

DEWON LITERACKI



DZWON

LITERACKI

PISMO ZBIOROWE.

TOM I.

Poszyt pierwszy.

Wydawca
Karol Maycho

WARSZAWA

W DRUKARNI POD FIRMĄ JULIANA KACZANOWSKIEGO

przy ulicy Długiej pod N. 543.

—
1846.

DZWI
LITERACKI
PISMO



Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komite-
cie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej
liczby exemplarzy.

W Warszawie dnia 16 (28) Listopada 1845 r.

Cenzor:

Niesbitowski.



Posyłki piśm. 845 ID

Handwritten signature: Stanisław Niesbitowski

WARSZAWA

W Drukarni pod firmą Juliana Bogdanowiczego
ul. Świętokrzyska 10, N. 243

1845

DOMINIK MAGNUSZEWSKI

I JEGO PISMA.

De mortuis nil nisi vere.

Nie tak łatwo obecnie, jak się na pozór zdaje, zająć słusznie wyższe miejsce w naszym piśmiennictwie pięknym, chociaż poprawdzie jeden tylko żywił jego wyrobił się i zajął znakomite stanowisko: poeta właściwa, a i tej jeszcze brak najpiękniejszego utworu, zespolenia pieśni, pendzla i dłuta — dramatu. Powieść także w kolebce; i niedziw! Oba te utwory musiałyby się tylko ograniczyć na obyczajowych teraźniejszych lub fantastycznych zakresu niezbyt obszernego. Historyczny więc żywił gruntownie pojęty nie ledwie wyłączony jest z dramatu i powieści, a jeżeli wyższy jaki talent obiera go za przedmiot swojego

wyrobu, z iluż trudnościami walczyć musi, aby nieobrazil przeszłości i właściwie pojętym był od czytających. Niewspomina się tu o tych dosyć licznych teraz bohomazach niby historycznych, co tyle mają historyi ile bohomaz poprawności rysunku lub kolorytu, ani o tych nędznych sztychach, co jedynie drobnotkową jaką właściwością przeszłości i to ujemną jeszcze zwracają na siebie chwilową uwagę. Śmiało powtórzyć można, że niełatwo zostać znakomitszym autorem w naszym piśmiennictwie pięknem, a stosując to zdanie do historycznego żywiołu, przekonamy się, że jeszcze trudniej podobno zostać dobrym powieściarzem a najtrudniej dramatopisarzem historycznym.— I tak — rozpatrzywszy się obecnie dokładnie iluż znajdziemy u nas już nie szczegółowych dramato lub powieścio-pisarzy ale w ogóle malarzy historycznych, godnych téj nazwy (niewspominając rozumie się o zbieraczach materiałów, o naukowych historycznych pisarzach, bo z tych, chwała Bogu, mamy kilku nawet znakomitych) Tam:—zaledwo dwóch; bliżej—jeden, dwóch, trzech, czterech, zdaje się, że więcej niema. W ogóle więc sześciu i to jeszcze nie wszyscy o jednakowych siłach, niektórzy zaledwo po jednym albo po dwu obrazach pokazali czytającym. Z pomiędzy téj małej liczby sześciu, jednym z najzdolniejszych, z najwięcej obiecujących był niezawodnie Dominik Magnuszewski, którego śmierć tak przedwczesna jest rzeczywiście bolesną stratą dla naszego piśmiennictwa, a tém bliżej nas obchodzić powinna, że chociaż od kilkunastu lat niezamieszkały, rodził się i wychował w Warszawie, a próby tutaj jeszcze pisane wiele już zapowiadały.

Dominik Magnuszewski urodził się w Warszawie 21 czerwca 1809 r. (a) z ojca Hjancynta i Marji z Borakowskich. Początkowe nauki pobierał w liceum warszawskim, gdzie odznaczał się znakomitemi zdolnościami i wtedy to jeszcze, należał w części do napisania powieści: *Władysław Herman i dwór jego*, której drugi autor tak wysoko wznosił się dzisiaj w dziedzinie piśmienniczej. Uczęszczał następnie na wydział prawa i administracyi w byłym Warszawskim Aleksandryjskim Uniwersytecie. Z owego to czasu są dwie wcale niezłe komedje jego pióra do dzisiaj przedstawiane w naszym teatrze. *Stary Kawaler*, pierwszy raz grany 1828 r. i *Zdzisław*, czyli skutki płochości 1829 r. W tej samej epoce utworzył także dwa dramata historyczne: *Hieronim Radziejowski*, w pięciu aktach wierszem i *Władysław Biały książę Gniewkowski*, także w pięciu aktach, wierszem. Niez szczęściem obadwa te dramata dotychczas są w rękopismach;—podobno wyjdą na widok publiczny w kompletnym zbiorze pism Magnuszewskiego, który Augustyn Bielowski ma zamiar wydać na rok przyszły. Nieczytaliśmy ich ale o ile polegać można na zdaniu tych, którzy je znają i wnioskując z następnych prac Magnuszewskiego do popolitości pewno nie należą, a dwie te postacie: *Władysław Biały* i *Hieronim Radziejowski* rzeczywiście godne dramatu, jeżeli dokładnie nie są pojęte, to niezawodnie nie skrzywione. Po zbiegu okoliczności, nowém polu zasług dla Magnuszewskiego, udał się on do Galicyi, gdzie osiadłszy, oddał się znowu piśmiennictwu, po koniecznej przerwie, z tym szlachetnym

(a) Mylna jest data urodzenia w zbiorze Łukaszewicza.

zapałem, który zarówno był cechą i osobistą i charakterem jego utworów piśmienniczych. Umarł bardziej moralnymi dolegliwościami niż chorobą znegany 27 lutego 1845 r. w Gwoźdzczu, w cyrkule Kołomyjskim, wkrótce po śmierci żony swojej, Karoliny z Kęszyckich. Z porzrzuconych po rozmaitych pismach poety, jedne z pierwszych które napotyamy, są:

Fragment historyczny *Wołoszczyzna*. Nie było tu właściwie wielkiego pola dla autora, sam przedmiot lubo że jest w formie dramatycznej właściwej talentowi poety i śmiałym obrobieniem strojny, niezbyt się uwydatnił. Najlepsze dwie przedostatnie strofy drugiego ustępu i zakończenie właściwe, a pełne ogólnego uczucia:

I była cisza na Wołoskiej ziemi,

Od Sepeniny aż na Bukowinie,

Wiatr się zadumał w nad Pruta dziedzinie,

I wnet zahuczał słowy takowemi.

„Pokaż mi Prucie siedziby Lachowe,“

„Na ich rycerskiej ziemicy zawieje“

A Prut mu chowa milczenie grobowe.

Wyjątek z poematu dramatycznego pod napisem: *Młodzieniec*. Jest to ustęp z filozoficznego dramatu coś w rodzaju niby Fausta, niby Manfreda. W ogóle, przy kilku niezłych szczegółach, nie szczególne to wypowiedzenie się poety, sądząc po tym urywku.

Gny du Faur czyli pacta - conventa. Ustęp historyczny pełen barwy właściwej, niepotrzebnie tylko czasem przesadzaną w zbytęchną chropawość i szorstkość stylu. Jest to jakby przelotna próba raczej pewna obietnica od autora czegoś większego, znamienitszego.

Wierszyk w Imionniku z początku pełen właści-

wój rzewności, przy końcu nieco w chorowitą wpada:

A może spytasz czemu serce nieoniemi
I czemu widny uśmiech na licach przybysza;
Słuchaj! ileż to wrzasku na wierzchu tej ziemi,
A w głębi o dwa łokcie, jakże głucha cisza!

Następująca z kolei czasu powieść: *Zemsta panny Urszuli* druk. 1838 jest jednym z najznakomitszych a może najznakomitszym utworem poety. Przedmiot bogaty sam przez się, pełen mocnych a wydatnych szczegółów, uwydatnił się jeszcze bardziej w umiejętnem, pełnem życia poprowadzeniu, we właściwem obrobieniu. Talent Magnuszewskiego znalazł się tutaj w swojej sferze; to też przemawia taką potęgą, takim zapewnieniem jeszcze większych na przyszłość utworów! Wybitne obrazy czy to same czy też dwoma przeciwnościami przeciwstawionemi działające na czytelnika, tak nazwane *effekty* musiały się koniecznie rozwinąć z przedmiotu tak dramatycznego, tak *effektownego* i one (effekty) też właśnie są wieńcami tej powieści.

Opisanie ówczesnej Warszawy lubo cokolwiek przypomina opis Paryża *à vol d'oiseau* i lubo barwa ówczesna cokolwiek przesadzona widocznem sileniem się czasem na nią; opisanie to jest jednakże niepospolitym szkicem raczej obrazem i trzeba było dłoni pełnej siły młodzieńczej, śmiałej i umiejętnej do nakreślenia go.

«A teraz patrz: od stóp Wisły ucieka miasto a jako Mazurka, co pieluchy w niej płucze, spiesząc ku domowi poostawia bieliznę i tu, i owdzie rozrucci, tak miasto spiesząc ku górze poostawiało to nad

brzegiem to i wyżej małe białawe domki i drogę sobie koło nich wydeptało, aże ku krakowskiej bramie... Za krakowską dopiero bramą zwita cię stara Warszawa, wązka, ciemna, pokurczona, ku rynkowi brzuchata wygląda tak z góry, jako Turczyn zasiadający na Bejram, kiedy obie nogawice zarzuci pod siebie węzłowatym kręgiem. Między domy, co się ku sobie przytulają plecami, leją się jak wiślane koryta, ulice długo, rozkosznie, póki im jaki dom niezaskoczy, to go obleją w okół i lecą dalej szalone, rozkrzyżowane. Święto-Janka jak garbus wydęła się ku farze, sprostowała się przy konwencie OO. Jezuitów i potulna dopadła rynku i t. d.»

Charaktery w tej powieści bardzo dobrze wybrane, pomyślane i aż do końca utrzymane. Postać Piekarskiego właściwie podniosła się w owym byłym rotmistrzu Lisowczyków, zrosłym na koniu, pierwszym w ogień, duszy, jak rozpasany rumak, wrzącej i ognistej; któremu hetman Chodkiewicz był jak święty obrazek a słowa jego jak rozkaz: ława wprzód! Scena tortur z ogromną siłą oddana nie razi, co jest wiele, ale w ustępie ścięcia Piekarskiego cokolwiek zanadto uniósł się autor przedmiotem. Wprawdzie ustęp ten jeszcze silniejszy, potężniejszy od sceny tortur, oburza przecież czytającego, okropność cokolwiek za jaskrawemi farbami obrzucona. Postać Chodkiewicza od początku aż do końca właściwie utrzymana. Nie powstydzilby się wielki hetman tego obrazu, poznałby się w tej mowie tak pełnej godności i potęgi starożytniej, a natchnionej prawdziwym i szlachetnym żalem.

— «Tam miłościwy królu, wskazał starzec, tam

Turek prawda, ale tam i cień wielkiego Hetmana błąka się z głosem i listem pomocy do was napróžno rzucanym; tam siota w ogniu, ale tam i wojska bez żołdu; tam miłościwy panie także był rynek Cecora i gawiedz bijąca poklask w pałasze, ale i tam stanęła niesprawiedliwość w szacie odmówionego wsparcia, i przyszło bratu naszemu przypomnieć światu Emiljusza pod Kannami...» i t. d.

W skreśleniu panny Urszuli, dewotki, mściwej, oszukującej, mimo nieco nienaturalnego stosunku jej z Hanzem i zanadto *konsekwentnego* utrzymania jej charakteru w scenie tortur, autor uniknął przesady, nie silił się na drobiazgowę, sztywne wypracowanie tej postaci. Osoby stojące na drugim planie, jak Zygmunt III, Lew Sapieha, królewic, Boboli choć chwilowo wydatnie jednak pokazują oblicza, dopełniając obrazu i wiążąc go w harmonijną całość.

Zemsta panny Urszuli wychodzi z granic zwyczajnych historycznych powieści, choć przedmiot był potem, mogąc rozwlec się bardzo, ale właściwość talentu Magnuszewskiego odrzuciła tę formę idąc własnym torem, chwytając jedynie najmocniejsze, najdramatyczniejsze obrazy i oddając je w wybitnych rapsodach, jakby w pieśniach. Jest to bardziej poemat niż powieść, poemat wprawdzie jakoby dorywczo ale silnie nakreślony, który zajmuje poczesne miejsce między najlepszymi utworami obecnego naszego pięknego piśmiennictwa.

W tym samym zbiorze gdzie poprzednia powieść znajdują się także dwa drobne wiersze. *Do matki* i *Do drzewa* zasadzonego w Z... Bardzo to słabe wierszyki, jedyną ich zaletą niekłamana boleść i rze-

wność trocha za miękka, jak w owym wierszu w imionniku. Przecucie bliźniego skonu tkwiło w duszy poety, wyraźnie je też wypowiada w tym wierszyku do drzewa:

Ty cicho szemraj, szemraj twoim liściem,
Kiedy lzy będę wylęwać,
Ostrzeż gałęzią, kiedy obcy przyjsiem
Będzie chciał żal mój wyśmiewać.

Jak przyjdzie zima, co mi serce zziębi

I wiosna co mnie nie zbudzi,

Jeszcze pod tobą ale trocha głębiej

Życ będę zdala od ludzi.

Z kolei następuje: *Kobieta w trzech przejsiach*. Autor miał na celu wystawienie naszej kobiety w trzech głównych chwilach wyrobienia się jej. Wyobrazicielką pierwszej chwili jest żona półbałwochwalczego Lacha. Jeszcze w sercu jej niezrozumiane chrześcijańskie pojęcia płaczą się z wiarą ojców, nie uczucie ale wrząca zmysłowa chuć gra w niem, bo i w jej niebie, powiada autor, jeszcze chuci obraży. Występuje więc naprzód typ zmysłowy, silny potęgą nieuhamowanej, dzikiej siły swoich zapragnień. Rzec dzieje się za Bolesława śmiałego, Supanowie Owada Jan, Bończa Mikołaj i Porczyk Byk walczą pod Kijowem, a żony ich przez siedm lat do nich stęsknione z jeńcami Węgrami i chłopiętami Lachami kalają łoża małżeńskie, jedna Małgorzata z Zębocina, Mikołaja Strzemięca żona, ocala pośród ogólnego zepsucia.

Mężowie wracają i dziką, krwawą zemstą na białogłowach wiarołomnych, Węgrach i pacholętach okupują swoje hanbę.

Typem drugiej chwili białogłowa polska pobożna, klasztornego wychowania, korząca się przed mężem panem, jak się przed ołtarzem korzyć nauczyła, skromna, cicha, wstydliva. Ale w jej myślach już tęsknota przesiaduje i marzenia niewieście ulatują w samotności. W dramatycznym szkicu, wystawiającym tę epokę, występuje postać kobiety narodowego wychowania, której wyobrażenia łamią się z napływowymi włoskimi uczuciami, której surowa wstydlivość ulga miękkim słowom lubowania.

«Królewic Zygmunt August ukołysany, a może i znudzony przedajnymi pieśzcotami dwóch kobiet *dworskich* swojej matki, hrabianek Luzzi i Palli, poznaje Barbarę Radziwiłłównę, żonę Gasztolda wojewody Trockiego, błagającą na klęczkach królowę o ratunek dla umierającego męża. Zepsutego zniewieściałym włoskim dworem, uderza widok boleści tak niekłamanej, prawdziwej, tak narodowej. Piękna postać klęczącej jeszcze bardziej podnieca to pierwsze wrażenie. Wkrótce poznawszy ją bliżej coraz mocniej zajęty, dziwi się nad tylu powabami, tylu pięknościami zawartymi w myśli i w sercu polskiej kobiety, której nie znał dotychczas.

„O ja was nieznałem polskie białogłowy!
Znam włoskie, miękkie czucia; lecz ten płacz surowy
Co w nim lży ciężkie jakby topnęły ze stali—
My się z niego na dworcu naszym naśmiewali.
Bo krój waszego żalu jak sukni, zakonny,
Bo wzrok wasz w lubowaniu, jak w kościele wzbronny;
Wam zdjęte powinnością serce tak zmęźniało.
Że krom myśli o sobie nic tam niesiedziało,
Takiem was sądził.

Barbara. Inak królewicu Panie!
Czyż winna białogłowa pokazać swe chęci?

O Bogu, to do myśli; o mężu staranie
 To do uczucia żony należy. Co święci,
 Co zaboli tam w głębi, co przemknie jak dziwo,
 Temże trzuci małżonka albo kogo z ludzi?
 Tak niekazały matki nasze. Przecie żywo,
 I one czuły, jako czasem myśl ponudzi,
 Zagra jakby organy w całym wnętrzu ducha,
 Że nasza biedna dusza tej muzyki słucha
 Aż do zbielenia włosów. O! ta myśl gdy zacznie
 Kręcić się krzywo w duszy to na świat opacznie
 Każe nam patrzeć, roić, co nigdy nie było;
 To jakby kto w dzień zasnął, i w dzień mu się śniło,
 Z rozwartemi oczyma i to bez skończenia!
 O! wtedy chce się jakoś miękkiego ramienia,
 Na którym wsparłszy głowę utuliwszy skronie,
 Możliaby cicho słuchać, co tam w duchu płonie.

Zygmunt niemogąc dłużej ukrywać tajemnicy,
 wyznaje jej niekłamane uczucia, lecz młoda żona
 bliskiego śmierci starca odskakuje z przestachem.

Jako! tutaj do zdobycia
 Serce! gdzie? obok męża, co bez życia.
 Tam jęczy w bólu i nim zamknie oczy,
 Już na dziedzictwo jego inny rękę toczy!
 Moje! to serce? — nie! to męża pana.
 Bóg nas połączył, jemum ci oddana,
 Z woli rodziców. Bóg, rodzic, to święta
 U cnej niewiasty; jam ci nie panięta
 Włoskie, co z powinności strzygą się jak z wełny.
 Mąż u mnie w domu i w sercu tak pełny,
 Że o tem choć zamyślić, to się dusza stracha:
 Gach, choć królewic.....

AUGUST.

Tutaj śmierć za gacha
 Służy ci cna Barbaro! Gasztold nie dożyje jutra.

Przewyciężona nareszcie słowami tkliwości powolniej ich słuchać zaczyna Barbara:

August gości często u Trockiego wojewody, krzepi umierającego starca obecność przyszłego władcy kraju, a kiedy ten z zapalem się odzywa:

Będzie tak, w żywy Bóg, Trocki wojewodo!

Co było, o to mniej dbam to przeszło jak z wodą.

Ojca krew, wasza krew z wiekiem mi dojrzewa,

W skrzydło pierz, w kudły zwierz, a mnie rośnie grzywa,
I rośnie dłoń Gasztoldzie!

Starzec rozczulony niedbając na bezsilność porywa się:

Co tam ważyć zdrowie,

Gdy taka piękna przyszłość osiadła mi w głowie,

Ziemia jest mi bezpieczna, województwa moje!

O! Trockie województwo! ja za niem tak stoję.

(składa ręce do Augusta)

Ojciec za swoim dzieckiem! W wasze ja go ręce.

Przyszły króla dziedzicu, w twe piersi panięce,

Porzucam. Oj to piękna ta Trocka puścizna!

Lasy, zstarzałe lasy, jak dęby dziczyzna;

Cztery powiaty łanie ino skrzycz w żelezie,

A gród przy województwie, co im na kark lezie,

Kark ma z muru, haubicą jak szerścią czubaty,

A cztery jemu rzeki leją swe wiaty.

(wolniej)

Weźcież ino w smycz harty i ogary czujne,

Jastrzębie i rarogi i sokoly bujne;

Puście sokoła w lecie, ogary w jesieni,

A rarogi pod zimę, to się tam wyleni

Siwawemi chmurkami. Cicho! w Trockim grodzie,

Trąby, rogi! Ulala!... Hej! a na koń szczwacze!

Ogarów sfór trzydzieści... siwy... daj go... gracze!

(zasypia)

A rusznica na przelaj... Basiu, bywaj zdrowa!

I tak rośnie napiętność w duszy królewica i duszy Barbary, która nareszcie zwyciężona zalotami i miękkimi słowami kochanka, tak nowemi dla niej, zapomina o wszystkiem, o umierającym mężu w drugiej komnacie, wyznając: że jej serce pokonane. W tém błazn Stańczyk, który niepostrzeżony od kochanków wbiegł był pierwój do komnaty Gasztolda, wyprowadza teraz konającego starca, który woła z ostatniem wysileniem zgrozy:

„Barbaro! Barbaro!... Jam Gasztold... i konał,
 Jam mąż twój? Barbaro!... i podbiegł z swą siłą
 Ratować mnie trefniś, bo żony nie było!
 Tu do mnie Barbaro! tu piskłę do gniazda!
 Królewic! królewic! szalona twa jazda
 Po głowach, po sercach, po grobach mężowych!
 I niedaszże skonać spokojnie!.. i w owych
 Podjazdach niewieścich tak bujasz... do syła,
 Że niedbasz choć cię kto przekleństwem powita!
 Młokosie! więc... niech ci... tam niebo odplaci!
 Niech na cię... ostatnim... twe imie zatraci!
 Niech ziemia... tu zacznie... najpiękniejsze dzieje,
 Gdy blada... twarz wasza... śmiercią się odzieje!
 Niechaj ci wrywa... od serca, od łona
 Skon każdą uciechę!.. niech tobie tak kona
 Jak wemnie... ostatnia... nadzieja... i siła
 Bez ręki! co by twe powieki skleila...
 Ty umrzesz Barbaro!

(Stania się w ręce Stańczyka i kona Barbarą mdleje).

Wchodzi z dworem Bona, chcąc niby to ratować syna, to przeszkodzić stosunkowi jego z Barbarą, zapowiadającą przyszłą królowę, ale w obec wszystkich zgromadzonych królewic uznaje ją za swoją żonę. Bona uśmiecha się... gdy wbiega Montio z wieścią o śmierci Zygmunta starego, a po chwili wchodzi

kanclerz Ocieski, oddając na klęczkach Augustowi pieczęć państwa... Bona z poprzedniej roli, przechodzi w inną, ironicznie pokazując zgromadzonym panom swoją następczynię...

Witajcie ją radzi!

(*szyderezo*)

Radziwiłównę na tron mój syn wam prowadzi.

JAN Z TĘCZYNA.

Wpierw Solimana!

KMITA.

Wpierw niechaj odpowie,
Czy bez senatu zdierży koronę na głowie!

BONA (*z ironią*)

Królowa wasza zemdląła panowie!

I nikt z ratunkiem? Montio, mój doktorze

Daj jej ratunek.

Montio cuci Barbarę, dając jej wypić kubek wody, w który ośm kropel płynu jakiegoś wpuścił, rachując krople wyraźnie. Barbara przychodzi do siebie.

BONA (*z cicha patrzy na nią*)

Rok i sześć miesięcy!

Następuje epilog tego szkicu, — Barbara już żoną Zygmunta. Montio w zmowie z Boną przedstawia dialogi. W czasie ostatniego Barbara umiera. Minęło właśnie sześć miesięcy, spełniły się tajemnicze słowa Bony, która wyrzekając się syna chce opuścić kraj natychmiast, mówiąc: za długo goszczę wśród niedźwiedzi.»

Typem trzeciej chwili są już kobiety z końca 18go

Tom I.

3

stulecia, intrygantki, w których salony wciska się i rządzi życie publiczne. Dwie kobiety, dwóch narodów: Polka i Francuzka, występują w tym trzecim szkicu, które współubiegając o miłość Króla tak się różnią wychowaniem, językiem, ułożeniem i środkami do usnucia intrygi. Dwórzezość francuzki podchodzi śmiałość polki, rubaszość znów ostatniej podchwyciona zalotami francuzki, a te drobne napozór fakta dzieją się w czasie ogromnych, wstrząsających całą posadę kraju, przeistaczających go.

Tak określona jest słowami jednej z bohaterek ówczesna kobieta: «U nas bardziej niewiasta przykuta do ziemi jak do nieba! My przez kościół niepokazujemy drogi kochankom do komnaty naszej ale my, pierwój o kościołach jak o kochanku myślimy. A jeżeli co ukochany to nie waszem salonowem zajęciem..... my o naszym miłośniku matczyném turbujemy się sercem, w miłość jak kwiat poglądamy ale nam na uwadze i łąka, na której kwiat ten wschodzi.»

Pomysł tych trzech szkiców, trzech szczebli rozwoju naszej kobiety jest rzeczywiście wielki ale nie wszystkie epoki tych szczebli, dokładnie wybrane i konsekwentnie rozwinięte. Chuć, zmysłowość, którą autor obrał za typ pierwszjej chwili nie jest rzeczywiście właściwym typem, właściwém piętnem owoczesném, nie leżała nigdy w charakterze naszej niewiasty, był to tylko chwilowy błąd, którego większa część spada na Supanów biesiadujących w Kijowie a nie na ich żony; chwilowy stan chorobliwy. Z jakąż przyjemnością znajdujemy chociaż jedną postać Małgorzaty z Zębocina w tém dzikiem kafarnaum brudów i okropności. O ileżby lepszą była, o ileż od-

powiedniejszą w tym pierwszym szkicu postać nieco późniejszej dziewczicy lub żony surowego, zakonnego wychowania, niepojmującej swojej niewoli. Byłby to także typ zmysłowy, bo niewolnica musi nim być ale bez chuci szalonej, bez sprośności, a o ileż wydatniej pokazałby się przy nim typ drugi kobiety — Barbary, której dusza błąka się już w marzeniach samotnych po za domowe ognisko, której niewola już ciężka, do której już rozkliwionego serca przemawiają słowa uczucia. Trzecia epoka właściwie dobrana i kobiety tego rzędu, co tam wystawiony, właściwe są. Ale czemu nie tylko w tej epoce ale w dwóch poprzednich autor błęd popełnił, inaczej bowiem nazwać tego nie możemy? Czemu tylko wystawił stronę ujemną niewieściej przeszłości, czemu niewzbogacił tego cienia światłem dodatniej? Czemu obok tej Barbary lub Anny nie spostrzegamy nigdzie matki — kobiety, która niezawodnie była jednym z najbardziej miejscowych, z najwydatniejszych typów naszego kraju? Albo tej żony — bohaterki z pod Trębowli albo tej siostry, tej kochanki ze skromnego szlacheckiego dworca w pół rzewnej, w pół wesołej jak nasze pola poprzecinane pasmami ciemnych borów? Wszak te wszystkie postacie miały także chwile przejścia, były niezawodnie jak tamte wyobrazieliśmy w życiu domowym zmian publicznego życia.

Typy takie, jak kobiety ostatniego szkicu są mniej miejscowe, wielkie domy najprędzej przesiąkały obczyzną, najłatwiej zapominały o tych żywiołach rodzinnych, których nie można zapomnieć, a które w pałacach rzadko znalazłszy przytułek, wyjąwszy

kilka znacznych rodzin, utrzymywały się pod strzechą chłopków, lub po dworcach tych podczaszych, stolników, mieczników, wojskich i t. p. Otóż co można słusznie zarzucić niewłaściwemu rozwojowi pomysłu pierwotnego. Zastanawiając się teraz nad oddaniem przedmiotów już obranych, nad obrobieniem i tu znajdziemy pomiędzy trzema szkicami różnicę.

W pierwszym znajdujemy ogólną wadę Magnuszewskiego, silenie się na barwę miejscową, która tu objawia się w formie niewykończonj, ciemnej, jakiejś symbolicznej, nibyto ówczesnej. Fakta szkicu poplątane, także ciemne, albo rażą wybitnością albo im czegoś niedostaje. W ogóle tak pomysł jak oddanie tego szkicu, prócz kilku miejsc, w których musiał zabłysnąć wielki talent poety, względnie do tegoż talentu bardzo nisko stoi.

W drugim szkicu autor szerokie zakresił sobie zadanie — dramat i to historyczny. Jednakże kilku tych urywków, powiązanych ze sobą węzłem intrygi dramatem historycznym nazwać nie można. Prócz ogólnej wady silenia się na barwę, mniej przecię tu widocznej niż w pierwszym szkicu, niektóre sceny zanadto rozwleczone, drugie zanadto treściwe, a scena na scenie, dialogi w epilogu natychmiast Hamleta przypominają. Niektóre postacie za krótko, za mało tu występują; charakter Luzzi kochającej i oszukującej nieokreślony. Mimo to ileż tu scen prawdziwie dramatycznych, a tam gdzie trzeba efektu z jakąż siłą oddany np. w przekleństwie Gasztolda, w śmierci Barbary i t. p. Charaktery Bony, Barbary, Stańczyka, Gasztolda jak dobrze od po-

czątku aż do końca utrzymane! Niezawodnie są tu żywioły do wielkiego dramatu, jest wiele ustępów godnych jego, szkic ten bardziej pomyślany, pracowiciej obrobiony, byłby dramatem, którego u nas w ścisłym znaczeniu dotychczas niema.

A i epoka jak szczęśliwa, jak wdzięczna dla dramatu! Prawdziwa chwila przejścia! Wyobrażenia ogólne łamią się za napływem postępnych wyobrażeń z Niemiec, wyobrażenia polityczne dążą ku prawdzie,—wyobrażenia domowego ogniska, obyczaje, miękną pod wpływem włoskim. Szkic ten zanadto dorywczo pomyślany, zanadto szkicowo rozwinął go autor, przyznaje się sam do tego w przedmowie, uważając go za szkic jedynie.—Jaka szkoda!

Trzeci ustęp niezawodnie najlepszy, choć także w ustach człowieka z czasów Stanisława Augusta dziwnie brzmi język z czasów Zygmunta IIIgo. Przedmiot jest dokładnie pomyślany i rozwinięty z tą potęgą, z tym ogniem i tym zakrojem efektywnym, które były żywiołami talentu poety. Jest to najlepszy utwór Magnuszewskiego po *Zemście panny Urszuli*, nieledwie nawet na równi z tamtą powieścią.

Mimo jednak wszystkich uchybień i niedostatków, w tych trzech szkicach, które u tak wielkiego talentu tem mniej do darowania, całe to dzieło należy bez zaprzeczenia jak *Zemsta panny Urszuli* do najlepszych utworów obecnego piśmiennictwa.

Z kolei następuje teraz *Dramat w Naturze* drukowany w Album Lwowskiem 1844 r.—Nie zgadzamy się bynajmniej z twierdzeniem pewnego galicyjskiego literata: że utwór ten nową epokę w naszej poezji stanowi. Owszem żałujemy, że tak wielki talent tyle ustępów rzeczywiście pięknych zagrzebał

w tój fantazji, której przedmiot w żaden sposób wdzięcznym być nie może. Przyroda o tyle jest piękną w sztuce o ile na przeciw niej postawimy człowieka, który uwielbia i zachwyca się nią. Z samej martwej przyrody jeszcze w malarstwie jako tako, ale w poezji dramat nieda się zawiązać. Wielkiego niezawodnie trzeba było talentu, znakomitego wyrobienia umysłowego a nawet pracy aby przedmiot taki podnieść do zajęcia i potęgi, do jakich jest podniesiony *w dramacie w naturze*, aby tyle drobiazgów wywołać i związać w całość, aby rzecz tak opisać, tak przedmiotową, ogrzać duchowém tchnieniem fantazji. Obrobienie, wypracowanie nadzwyczaj staranne i wykończone, coby było dziwną u Magnuszewskiego, gdyby sam przedmiot koniecznie go nie wywoływał. Zapatrując się na ten utwór już z jego stanowiska, pełno tu znajdziemy miejsc wypieszczonych, prześlicznych. Między innemi:

WOŃ LILJI (*do lilji*)

Ty marzysz lilijo, o czym? o nicości;
 Ty zginąć marnie, gdy się wszystko sprzęga?
 Nie, siła twoja w zapachu. Woń twoja,
 Jest cieńszą tkanką, co przestwór przenika,
 Jest jak modlitwa, co w wytrysk ponika
 Przyroda czerpa, dla przyszłości zdroja;
 Twój zapach tysiąc małych istot tworzy,
 Twój biały kielich, jakby kielich boży,
 Gdy woń przeczystą w dzień pogodny leje,
 Jest jak to niebo, co gwiazdami sieje!
 Bo któż o tobie, że istniesz rozgadał,
 I któż ci pszczołkę przynęcił do łona?
 Zapach o tobie światu wypowiedział
 I on w przyrodne rzucił się ramiona.

albo:

SŁOŃCE.

Trawo czy rośniesz?

TRAWA.

Jeszcze Bogu chwała
Rosnącym nie miała?
Zapuściłam geste włosy
Lica myję rąbkiem rosy,
A co ranku rosnę w strzałki,
I w kosiki i w piszczalki,
Do ciebie! do ciebie!

SŁOŃCE.

A kiedy rośniesz, czemu skargi twoje?

TRAWA.

Bo mi biorą słońce moje.

SŁOŃCE.

Nie zabiorą słońca twego;
Kto ma w duchu życia siłę,
Ten ożyje bez promienia,
Ten wygryzie swą mogiłę,
I na słońcu siędzie,
Gdy zechce być będzie,

W tem samem Album są jeszcze dwa drobne wiersze: *Dwoje piastunek i do moich sióstr.*

W pierwszym trocha dziwnym formą, ale nie dziwnym tęsknotą, przecucie bliskiego skonu, już widoczne w tylu poprzednich utworach, tutaj jeszcze widoczniej się objawia! Wiersz ten smutne zostawia wrażenie.

W drugim rodzinne przypomnienia silnie ozwały

się w piersiach poety, jakby przeczuł, że to już może raz ostatni wywołując je, żegna się z niemi.

Jedna biedna tylko struna,
Co nam spaja pierś tułaczą,
Gdy gdzieś nieszczęść bije luna,
Grób, a przy nim dzieci płaczą...
Wtedy wasze łzy to moje,
Bo do płaczu jest nas troje.

Prócz wymienionych utworów, prócz pięknego poematu: *Bekwark Lutnista i rozprawy o dramatyczności* o których po wyjściu zbioru obszerniej wspomniemy, drukowane są w Niezapominajkach: pan Kaniowski, w Bibliotece Warszawskiej: Wyjątek z dramatu pod napisem: *Kamil*, jeden z tych znanych wyjątków, gdzie marzyciel odrzuca rzeczywistość. Dużo takich urywków w Niemieckich dramatach i dramacikach. Mimo to wyjątek ten sam przez się niezły.

Pierwszy akt dramatu pod napisem: *Rozbójnik Salonowy* jeden z najślabszych Magnuszewskiego.

Bardzo dobry przekład z Wiktora Hugo: *Dunaj w Gniewie*.

Wiele fragmentów jego pióra jeszcze nie drukowanych ma wyjść także w ogólnym zbiorze dzieł, którym to zbiorem, jak wspomnieliśmy zajmuje się Aug: Bielowski.

Otóż przebiegliśmy pokrótce prawie wszystkie znane nam utwory Magnuszewskiego, głównie zapamiętując się na te, w których najwięcej się odznaczył, najwyżej stanął. Talent ogromny widoczny wszędzie, chociaż nierozwinął się jeszcze na najwłaściwszej dla

siebie drogę *dramatyczną*, która niezawodnie była jego żywiołem a byłaby wzniesieniem się najwyższem, bo miał siły do utworzenia dramatu historycznego i pewno byłby go stworzył.

To sąd bardziej szczegółowy, jakież ogólniejszy? O ogromny talent, trzy utwory, odpowiadające temu talentowi w zupełności, jednające autorowi wysokie miejsce w naszym piśmiennictwie a inne niepodołączane, dorywcze,—wszystko zaś przerwane przedwczesną śmiercią.

Ten sąd szczegółowego pisarza jest niezawodnie osądzeniem ogólnem całego naszego piśmiennictwa obecnego, którego widocznymi cechami: potęga żywiołów, wielkie zdolności, wielkie prace ledwo pozaczynane, usiłowania zwichnięte w samem poczęciu, siła twórcza bez utworu, siła działania bez działania i nic dziwnego! I mimo téj na pozór ujemnej choć koniecznej strony, iluż potrzeba trudów, aby choć te wielkie zdolności na jaw wyszły, aby choć zacząć wielkie prace, choć pomyśleć o usiłowaniach!...

Jakimże szacunkiem otoczyć trzeba ludzi, którzy te trudy pokonywają, jakim współczuciem wynagrodzić tych, co nie dla siebie ale dla drugich pracują, a tych zwłaszcza, których praca z prawego i prawdziwego przekonania wypływa! A jednak nie jest tak bardzo często,—fałszywa praca okłask nie jeden odbierze, niezastężone imię przechodzi z ust do ust, a prawdziwy talent, prawdziwą zasługę albo nagłym przywitają okrzykiem i nagle zamilkną, albo nie rozumieją, nie pojną dokładnie, nie zechcą zrozumieć lub pojąć, albo zapomną.

Gorzka to prawda! ale tak dalece prawda, że nieledwie za zasługę poczytać sobie można, obowiązek powiedzenia kilku słów winnej czci o prawdziwie zasłużonym, — rzucenia kilku wspomnień szczerego żalu na mogiłę zmarłego poety.

Włodzimierz Wolski.



RZUT OKA

Na budowę geologiczną Tatrów i wzniesień od nich równo-odległych, tudzież porównanie ich skał warstwowych z Alpejskimi.

przez

L. Zejsznera.



Charakter skał warstwowych składających Karpaty zupełnie jest odmiennym od skał osadzonych na północ tego pasma. Porównywano wprawdzie polskie, niemieckie, francuzkie, angielskie skały warstwowe, należące do szeregu dokładnie poznanego z karpackimi; ale wynajdowane podobieństwa były zupełnie dowolnemi, albowiem różne przedmioty porównywano. Tymczasem warstwowe skały karpackie największe mają podobieństwo do takichże, składających południową Europę, a mianowicie Alpy, Pirenee, Apeniny, góry Kalabryjskie i Sycylijskie, tudzież Turcyi europejskiej znacznej części Krymu i Azji mniejszej. Ułamki

z owych gór, aczkolwiek z miejsc sta mł od siebie odległych zebrane, nie można od siebie odróżnić; w najsubtelniejszych cechach zgadzają się pomiędzy sobą. I tak wapienie szare pospolicie zwane alpejskimi, służące w Tatrach i w innych pasmach za spodek reszcie osadowych skał alpejskich, bardzo znakomicie rozwinięte, są zupełnie podobne do takichże wapieni w Alpach szwajcarskich i tyrolskich, a mianowicie do sterczących nad jeziorem Thun (Thunersee) przy Interlacken i na północ położonych od Inspruka. Toż samo stosuje się do piaskowców zawierających fukoidy. Z ponad Sanu albo Szaflar, u stóp północnych Tatrów pochodzący, jest zupełnie taki sam, jaki znajdujemy pod Wiedniem, w południowej Bawarii, nad jeziorem Thun, lub przy Tryeście, w Apeninach i Krymie. Toż samo podobieństwo mają wapienie podrzędny pokład w piaskowcu fukoidowym tworzące; jego odmiany czerwone i białe z pod Rogoźnika, są także same jakby z Alpów Wenneckich, Wincentyńskich lub Tyrolskich pochodziły. Nietylko w mineralogicznych własnościach, ale i we wszystkich innych odpowiadają skały karpackie, skałom południowej Europy. Przebierzmy je pokrótce. Pojedyncze ogniwa skał warstwowych karpackich są nadzwyczajnie potężne, i składają się całkowicie albo z jednakowej skały, albo z różnych pokładów w jedną całość złączonych. Dla nadzwyczajnej potęgi niepospolita jest trudność uważać, która z tych skał leży wyżej lub niżej. Grubość pojedynczych pokładów jest nadzwyczajnie wielka, 5,000 stóp potężne należą do cienkich, pospolicie mają 15,000 stóp, a często i więcej. Grubości piaskowca fukoidowego nie można nawet przybliżenia

oznaczyć z jakimkolwiek bądź prawdopodobieństwem; podrzędny jego pokład Wapień ammonitowy ma przeszło 3000 stóp, w pasmie zwanem Pieniny nierównie znacznieszą ma potęgę. Rzadko w Karpatach cieńsze pokłady lub się wycinają. Z tąż samą potęgą osadziły się skały warstwowe w Alpach, Apeninach i również to jest przyczyną utrudzającą oznaczenie względnego położenia do siebie, to jest źródło wszystkich hipotez. Do tego przyłożyła inna okoliczność. Skały warstwowe karpackie, tak jak inne alpejskie prawie nie zawierają żadnych reszt organicznych, często pokłady kilka tysięcy stóp grube nie mają ani skorupy lub odcisku liścia. Wyjątek czynią z tego niektóre warstwy, będące zsympowiskiem ślimaków i muszel. Jestto wszakże rzadki wyjątek, równie w Karpatach, jak w Alpach i w całej południowej Europie.

Pomimo właściwego charakteru skał Alpejskich początek ich osadów odpowiada zupełnie Liasowi; następne pokłady nie można porównywać, albowiem w nich skamieniałości zupełnie odmiennym sposobem rozłożyły się, jak w ogniwach pojedynczych formacyi Jura i tak w Wapieniach ammonitowych, tworzących pokład wśród piaskowca fukoidowego, leżącego wraz z dolomitem nummulitowym na wapieniach liasowych, pomieszały się skamieniałości liasowe z należącemi do pokładów zwanych *Oxfordclay* i *Coralrag*, wraz z licznymi nowemi gatunkami skamieniałości właściwemi Karpatom i innym południowo-europejskim osadom; wraz z *Am. Conybeari*, *Birchii* znajdują się *Am. bplex*, *triplex*, *Pentacrinites subteres*. Z osadów południowej Europy te znane kształty pomieszane leżą wraz z nowemi, a mianowicie *Terebratula diphya*

Colonna, ową szczególną muszlą środkiem przedziurawioną, z licznymi gatunkami nie opisanymi, a blisko spokrewnionymi; tudzież z licznymi Ammonitami z całemi właściwemi familiami jako to; *Heterofillów* i *Ligatów* W piaskowcach wyżej leżących występują znowu kształty organiczne formacyi krédowej, a mianowicie jój spodniego ogniwa, zwanego Zielony piaskowiec czyli *Greensand* angielskich Geologów; najwyżej średnie ogniwa formacyi trzeciorzędowej. Pomimo téj tożsamości reszt istot organicznych, całkiem odmienny, właściwy charakter mineralogicznój od północno-europejskich osadów mają piaskowce kredowój formacyi, jako i osady trzeciorzędowe zawierające niezmiernie składy soli kuchennój.

Właściwy charakter mineralogiczny skał warstwowych karpackich, znakomita potęga pojedynczych ogniw, odmienne ich następstwo i w części fauna właściwa, odróżniają je od osadów północno-europejskich; a przeciwnie dowodzą ich tożsamości z Alpami, Apeninami i reszty znajomych gór południowój Europy. Jeżeli te okoliczności razem weźmiemy spostrzeżemy, że wymienione osady nie mogły się osadzić z jednego morza, tylko niezawisłe od siebie opadały z wielkich mórz śródziemnych. Rozdzielenie to musiało wprawdzie zwolna następować, albowiem z początku są różne skały a jednakowe fauny, następnie skały i reszty organiczne są odmienne, w końcu znów ca fauna powszechna.

Z Karpatami stykające się wapienie krakowskie, należące do formacyi Jura, obok odmienności skał, odpowiadają w najdrobniejszych szczegółach podobnymże osadom niemieckim; należą bowiem do systematu osa-

dów północnej Europy. Tak co do cech petrograficznych, potęgi i następstwa pokładów odpowiadają pokładom składającym Alpe wirtemberską. Rozpoznawając je przy Sance, wiosce niedaleko Krakowa położonej przecięcie ogniw formacji Jura nie jest do odróżnienia od przecięcie pod Urach i Neuffen w Wirtembergu, w każdym prawie szczególe.

Trzy pokłady począwszy od wapienia korallowego, białego marglu i brunatnych wapieni zmieniających się w piaskowce są zupełnie jednakowe i tenże horyzont geologiczny zajmują, co właśnie dowodzi, że są te warstwowe skały z jednego morza osadzały.

Cheąc wytłumaczyć odmiennosć mineralogiczną i paleotologiczną warstwowych skał alpejskich od północno-europejskich we formacji Jura, wystawiali sobie niektórzy, że pierwsze z nierównie głębszego morza osadziły się, aniżeli drugie. Przypuszczenie to jednakże w niczem nie jest uzasadnione. Niedawno miałem sposobność rozpoznawać kilka gatunków skamieniałości, wraz z ich skałą pochodzące z ponad rzek Peczory i Izmy, wpadających do morza *Białego*, a zatem z krajów bliskich bieguna północnego, i spostrzegłem, że te reszty organiczne zupełnie są też same co znajdujące się w całej Europie, w średnich ogniwach formacji Jura, były to: *Gryphea dilatata*, *Sowerby*, *Ammonites castor*, *Belemnites subquadratus*, *Lutraria Jurassii* i niektóre nowe gatunki, znane z północnej Europy, dotąd nie opisane. Miałyoby zatem od Peczory aż do Krakowa, a na zachód do pobrzeż morskich, Francji i Anglii być płytkim morze, a nagle stać się głębokiem na początku Karpat i w Alpach aż do końców południowej Turcji i Włoch, a nadto sprawić

taką odmienność pokładów. Ta nadzwyczajna odmienność charakterów mineralogicznych i paleontologicznych na bardzo znakomitych przestrzeniach pozostających jednakową, dowodzi ich rozdzielenie.

Geologowie którzy dokładniej znają Alpy, Apeniny, Karpaty i na północ tych pasm osadzone warstwowe skały zgadzają się, że pierwszych nie można równać z drugimi.

Oznaczywszy wiek skał warstwowych alpejskich że się z pierwszym ogniwem formacyi Jura, czyli z Liensem zaczynają. Na tak znakomitych przestrzeniach na jakich się osadziły, musiały mieć za posadę plutoniczne lub dawniejsze warstwowe osadowe skały. W ogólności pomiędzy warstwowymi skałami alpejskimi, rzadko gdzie trafiają się dawniejszego wieku warstwowe. W kilku miejscach w Alpach wschodnich występują, a mianowicie przy Gracu skały wapienne miasto to otaczające należą do przechodowych, zawierają bowiem tę formacyą charakteryzującą skamieniałości, jako to: *Gorgonia unfundibiliformis*, *Stromatopora concentrica*, *Cyathophillum turbinatum* C. *explanatum*, *Calamopora polymorpha*, *Cyathocrinites pinnatus*, i nieoznaczone *Ortoceratity*. W kilku innych miejscach w Styrii są wapienie nieco młodsze, należące do wapienia węglowego (*Mountain limestone*) zawierające wielkie Produkty, cechujące głównie ten pokład. W Alpach weneckich i wicentyńskich tudzież w dolinie południowego Tyrolu Val di Fassa dobywają się wierzchnie ogniwa formacyi pstrego piaskowca wraz z zupełnie rozwiniętą formacyą wapienia *getingskiego* (*Muschelkalk*) i z temiż samymi resztami organicznymi, które ten osad w Niemczech i w Pol-

sce cechują. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że łupki iłowe z odciskami paproci z gatunków właściwych formacyi węglowej przy Petit Coeur w Saubaudji, których poznanie winniśmy ścisłym poszukiwaniom Elie de Beaumont należą do tej formacyi, przez przewrócenie pokrywają margle zawierające Belemnity liasowe.

Rozpoznając Tatry i przyległe z niemi pasma czyli pas przeszło 15 mil długi, pomiędzy 47° a 50° szerokości północnej przekonałem się, że wszystkie skały warstwowe, należą do osadów Alpejskich. Wszystko, co różni autorowie prawią o skałach przechodowych, nie ma za sobą ścisłych dowodów i opiera się na teoryach od dawna za błędne uznanych. Skały warstwowe wymienię poczynając od najdawniejszych, przejdę stopniami do młodszych. Za spodek służą im statecznie skały plutoniczne i metamorficzne, a mianowicie granit, gneiz, łupki mikowy i talkowy, tudzież konglomeraty metamorficzne.

I. PIASKOWIEC CZERWONY.

Powszechnie drobnoziarnowy; często ziarna stają się niewyraźnemi, zbliżają się do siebie i są jakby stopione i piaskowiec zmienia w skałę kwarcową; odmiany te tracąc wejrzenie piaskowca, powstały według wszelkiego prawdopodobieństwa, przez działania ogniowe i ztąd pochodzi budowa zbita; przez powiększenie się ziarn kwarcu powstaje niekiedy konglomerat; lepsze marglowe łączące ziarna kwarcu ma powszechnie kolor czerwony, od niedokwasu

2 żelaza i od niego aczkolwiek bardzo mało domieszanego pochodzi kolor piaskowca; niekiedy piaskowiec jest białym i niczém nie zafarbowany. Gdy lepsze przeważa, wtedy skała zostaje łupkową; czasem bywają wśród piaskowca ziarna marglu porfirowato rozsiiane. Obcych domieszanych minerałów, ani skamieniałości niemasz, i dlatego wieku tego osadu nie można oznaczyć.

Piaskowiec czerwony dzieli się pospolicie warstwy 2 do 3 stóp grube, często bywają jeszcze potężniejsze. Grubość tego osadu wynosi około 2,000 stóp. W górze Praszywa sterczącej nad Bańską Bystrycą (Neusohl) przecina piaskowiec żyła, wypełniona blaszkowym niedokwasem 2 żelaza. Geogności Węgiercy uważają tę skałę za Tromat (Grauwacke) dlatego, że spoczywa na mniemanych skałach pierwotnych, a mianowicie na granicie, gneizie, łupku talkowym i t. d. tymczasem jako niżej okażemy granity tatrowe i w pasmach od nich równoodległych bardzo są młode i dopiero po osadzeniu wapieni liasowych na wierzch wystąpiły; mniemanie to zatem okazuje się nieuzasadnionem.

Piaskowiec czerwony w Tatrach i w pasmach za nimi równoodległych spoczywa statecznie na skałach plutonicznych i metamorficznych, a pokrywa go wapień liasowy alpejski, mający z nim równoodległe warstwy. Tak występuje w Tatrach począwszy od końca wschodniego naprzeciw Kiesmarku na całej pochyłości północnej, aż do góry Siwa Skała nad Zuberem w Orawie i ginie wraz z granitami. W *holach Turczańskich* znów się pokazuje, zupełnie w tychże stosunkach, i leży na północnej pochyłości

na granicie pomiędzy wioskami Parnica a Streczno; jako i we Fatrach na małej przestrzeni w dolinie Lubochni; w Niżnych Tatrach spoczywa na łupkach metamorficznych i granicie na północnej pochyłości pomiędzy górami Kralova hola a Praszywa; w pasmie bardziej na południe położonem, od poprzedniego równoodległem, pokazuje się tylko na małej przestrzeni pomiędzy Breznem a Bańską Bystrycą.

Porównanie. W zupełnie podobnych stosunkach znajdują się na granitach w Alpach szwajcarskich piaskowce mające z tarowemi jednakowe cechy mineralogiczne, nie zawierające żadnych skamieniałości i dla tego wielkie jest prawdopodobieństwo, że to są odpowiednie osady. Czerwone piaskowce zaś w wschodnich Alpach tyrolskich i wenecjańskich są ogniwami pstrego piaskowca, albowiem na nich spoczywa wapień getyngski, i dla tego nie ma powodów do uważania go za jednoczesny osad z tarrowym.

II. WAPIEŃ LIASOWY ALPEJSKI

Leży pomiędzy czerwonym piaskowcem a dolomitom Nummulitowym, z warstwami równoodległemi z wymienionemi skałami, wyjątkowo na Spiżu spoczywa wprost na łupkach i konglomeratach metamorficznych. Ogniwko to osadów alpejskich nierównie znakomiciej od poprzedzającego rozwinięte, odróżnia się od pokładu spodniego charakterami mineralogicznymi; od wierzchniego zaś zawartemi skamieniałościami i w części petrograficznymi; oddziela go statecznie łupkowy, brunatny piaskowiec.

Wapień liasowy składa się ze szeregu skał ściśle z sobą połączonych, t. j. z czystego wapienia i marglowego, marglu, dolomitu, piaskowca i konglomeratu. Wapienie w ogólności przeważają, miejscami dolomity rozwijają się znakomicie, inne skały są podrzędne.

a) *Wapień* jednostajny, jasnoszary, czasem miewa ciemne, prawie czarne kolory, rzadziej bywa brunatnym lub czerwonym; pospolicie przerzynają go białe żyłki węglanu wapna. Przez domieszanie się ilitu, przemienia się w wapień margłowy, mający powszechnie szare kolory.

b) *Margle* są statecznie łupkowe i mają czerwone i niebieskawe kolory; czasem bywa w nich rozrzucony siarczyk żelaza.

c) *Dolomit* aczkolwiek ma też same kolory co wapień, różni się wydatną budową krystaliczną z powszechnie jest drobnoziarnowym; pospolicie przerzynają go żyły białego dolomitu jeszcze wydatniej krystaliczne.

d) *Piaskowiec* jest drobnoziarnowy, biały, czasem brunatny.

d) *Konglomerat* składa się z większych ułamków kwarcu i wapieni ilitem spojonych. Wymienione skały niezawierają prawie obcych domieszanych minerałów; bardzo rzadko znajduje się ziarna albo nerki siarczka żelaza, często znaczniejsze bryły jednostajnego nied. 2 żelaza.

Wapienie i dolomity dzielą się w warstwy od 2 do 10 stóp grube, tudzież piaskowce i konglomeraty; wapienie margłowe i margle są statecznie łupkowemi.

Skąły wymienione tworzą pokład 12,000 do 15,000 stóp gruby, zachowują w swym rozkładzie pewien porządek; i tak wapienie przeważają w spodnich częściach, dolomity zaś we wierzchnich; w środku wydzielają się wapienie marglowe, margle i piaskowce z pokładem kilka stóp grubym wodanu żelaza, rzadziej zastępuje go niedokwas 2 żelaza. Żył wypełnionych metalicznymi minerałami bardzo mało, prócz nie wielu przecinających warstwy wapienia prostopadle, znajdujące się w pobliżu Serpentyń z Gabbrem połączonym i trachitu; i tak przy Tajowej niedaleko Bańskiej Bystrzycy ciągnie się żyła w wapieniu *Auripigmentem i realgurem* wypełniona; a pod Dobsząną pokazują się dwie inne, z tych jedna zawiera blaszkowy *niedokwas 2 żelaza*, a druga *Ankeryt* zwiertrzały z rozsiałym *Panabazem* i proszkowym *Cynobrem*.

Skamieniałości w tym potężnym pokładzie bardzo są rzadko rozsiane, w ogólności nieco liczniej znajduje się we wierzchnich ogniwach, aniżeli w spodnich. Są to same znane gatunki liasowe, jakoto *Ammonites Bucklandii*, *Walcotii*, *planicosta*, *serpentinus*; *annularis*, *Nautilus aratus*, *Aptychus lamellosus*, *Spirifer rostratus*, *Walcotii*. Osad ten mający faunę zupełnie odpowiednią poznanemu liasowi różni się cechami mineralicznymi i znaczniejszą grubością i w tym zasada się charakter właściwy alpejski.

Wapienie te bardzo przeważnie rozwinęły w Tatrach i dalszych na południe rozciągających się pasmach, ich potężne skały nadają malowniczą fizyognomię tej części Karpat. Wraz z czerwonym piaskowcem opasują na wschodzie Tatrowe granity, ciągną

się nieprzerwane na północnej pochyłości, wznosząc się do 6500 stóp nad poziom morza; pod Zuberem kończą się granity, wapienie zaś nieprzerwanie przez hole Liptowskie, aż do końca hol Turczańskich przeciągają się, gdzie znów na północnej pochyłości leżą na granitach, aż pod Streczno nad Wagiem w hrabstwie Trenczyńskim. Od Chocza jednego z najwyższych szczytów hol Liptowskich wysuwa się łańcuch wapienny z północy na południe; są to Fatry, z którymi łączą się wapienie niżnych Tatrów, równoodległego łańcucha z właściwemi, a pod Królową holą górą ostatnią wymienionego łańcucha łączą się z wapieniami pasma Spisko-Gemersko-Zwoleńskiego, rozciągającego się pomiędzy górą Branisko na Spiżu, a miasteczkiem Bańską Bystrycą w hrabstwie Zwoleńskim. Wreście jest czwarte pasmo równoodległe z Tatrami, bardziej południowe całkiem wapienne, nierównie niższe od poprzednich, pomiędzy wioską Jaszo a miasteczkiem Jelszową rozciągające się.

Porównanie Wapienie liasowe tatrowe w najdrobniejszych szczegółach podobne są do Alpejskich, tenże sam horyzont geologiczny zajmują. Pasma rozpostarte nad jeziorem Cyrknickiem przy Tryeście odpowiada im zupełnie; pasmo wapienne rozciągające się na północ od Inspruka ku Bawarji ciągnące się; wapienie na czerwonym piaskowcu spoczywając w Alpach szwajcarskich, a mianowicie sterczące przy Interlaken.

III. DOLOMIT NUMMILITOWY

Spoczywa statecznie na wapieniu liasowym i ma z nim równoodległe warstwy, jako i z pokrywającym go piaskowcem fukoidowym. Pusch uważa tę skałę za ogniwo wapienia liasowego; jednakże osad ten więcej ma powinowactwa do leżącego nad nim piaskowca, aniżeli do wapienia liasowego; niekiedy przechodzi w piaskowiec i trudno dostrzedz granic, gdzie się jedna skała kończy, a druga zaczyna; nadto piaskowce aczkolwiek bardzo rzadko też same gatunki nummulitów zawierają. Dolomitu fauna zupełnie jest odmienną od wapienia liasowego, a nadto oddzielają go statecznie cienkie pokłady piaskowca łupkowego. Z tych przeto powodów odłączam ten pokład od wapienia, i uważam za ogniwo pośrednie pomiędzy temi dwoma osadami.

Pokład dolomitu nummulitowego składa się głównie z dolomitu i piaskowca łupkowego. Dolomit jest drobnoziarnowy, ciemno szary, wyjątkowo jasno szary; niektóre warstwy mają domieszane ziarna piasku, jeżeli przeważają wtedy przemienia się w piaskowiec. Niekiedy składa się z ułamków krawędziastych opisanego dolomitu, mających pospolicie cał w średnicy, zlepionych tąż samą maszą dolomitową.

Piaskowiec jest zwyczajnie łupkowy, ciemnobraunaty, nie daje się odróżnić od piaskowca fukoidowego. W wymienionych skałach nie masz obcych domieszanych minerałów. Dolomit i konglomerat jego dzielą się w grube warstwy; piaskowce w cienkie, zwyczajnie są łupkowe. W pokładzie tym spodem

przeważają piaskowce, w środku osadził się konglomerat, wierzchem dolomit. Potęga jego bardzo jest zmienną w różnych miejscach, przechodzi od 500 do 5000 stóp.

Spodnie warstwy nie zawierają żadnych skamieniałości, we wierzchnich nadzwyczajnie są liczne; całe skały przejmują olęj skalny, powstający z rozkładu istot organicznych, które tutaj grób swój znalazły. Niektóre warstwy składają się ze samych Nummulitów, nawet spajającego one dolomitu nie można dostrzedz. Trzy gatunki można w nich odróżnić: pierwszy jak papier cienki, drugi grubszy ma stosunek średnicy do osi jak 1:3 albo 1:4 trzeci kulisty, pokrywają małe brodawki. Dwie pierwsze odmiany nie podobna odróżnić od gatunków znajdujących się w osadach trzeciorzędowych; trzeci właściwym jest temu osadowi. Wraz z nummulitami trafiają się miejscami liczne muszle dwuskorupne, należące do gatunków nowych, nie znanych, są to Operkuliny, Pektynity, Echinity i Terebratula gładka, której od *T. Zietheni*, Bronn ze zwyczajnego liasu niemieckiego przy Phoren przy Donaueschingen pochodzące nie mogą odróżnić. Skamieniałości te aczkolwiek bardzo liczne nieoznaczają wieku formacyi, największa bowiem część należy do nieznanych gatunków, a gładkie Terebratule nazbyt mają zmieniające się kształty, iżby z nich można jakie pewniejsze wnioski wyciągać. P. Pusch 1) wymienia w tej grupie niektóre skamieniałości krédowe z pod Kościeliska i Zakopanego, jakoto: *Gryphea columba*, *Ostrea biauricularis*, *Pecten asper*. Aczkol-

1) Poleus, Paleontologie str. 177.

wiek bardzo dokładnie rozpoznawałem te skały i liczny zbiór skamieniałości z nich posiadam, nie mogłem się przekonać iżby się istotnie znajdowały te gatunki. *Pecten* jest nowym gatunkiem, *Gryphei* nie widziałem, a kształty do *Ostrea biauricularis* podobne, tak są niewyraźne, że nie można jej za jakiegobądź dowód uważać. Nie znając skamieniałości Bukowińskich, nie mogę osądzić jak dalece te były ściślej oznaczone mi przez p. Pusch, znajdujące się według wszelkiego prawdopodobieństwa w podobnychże stosunkach geognostycznych. Jeżeli skamieniałości nie rostrzygają wieku tej grupy, tyle jest pewnego, że spoczywa nie tylko w Tatrach, ale wszędzie gdzie tylko występują na wapienie liasowym, a pokrywa je piaskowiec służący za wierzch wapieniom ammonitowym, zawierającym skamieniałości jurassowe; że te trzy osady jeden po drugim osadziły się wynika z tego, że mają warstwy równoodległe ułożone, a tym samym dolomit nummulitowy jest właściwem ogniwnem formacji alpejskiej jurassowej, młodziej od liasu, a dawniejszej od średnich ogniwi formacji Jura. Gdyby piaskowce leżące nad pokładem wapienia ammonitowego były młodszymi i należały do osadów krédowych, możnaby wtedy dolomit nummulitowy uważać za spodnie ogniwo téjże formacji, ale na to nie masz żadnego dowodu. Piaskowce służące za spodek wapieniowi ammonitowemu w najdrobniejszych charakterach podobne są do wierzchnich i z samymże wapieniem ammonitowym na przemian ułożonych; dla tego całego tego osadu rozdzielać nie można, bez dowolnych przypuszczeń.

Rozciągłość. Zmienna grubość tej grupy jest po-

wodem, że nie można jej uważać na całej północnej pochyłości Tatrów; skały dolomitu nummulitowego zaczynają się w środku pasma przy wielkim piecu Zakopanego i ciągną się nieprzerwanie na zachód aż pod Kubin; w holach Turczańskich odkryłem z pewnością tylko na jednym punkcie ten osad przy wiosce Terhova w hrabstwie Trenczyńskim, jako cienki pas; mała wyspa Dolomitu nummulitowego, występuje na południowym boku góry Chocz przy Turyku w Liptowie; w Niznych Tatrach najpotężniej rozwinął się ten pokład, rozściaga się pomiędzy wioskami Szuniawa z Niemiecką Lipczą na hrabstwie Liptowskiem; w trzecim równoodległym pasmie pokazuje się przy Słowiańskiej Lipczy nad Hronem.

Porównanie. Tenże sam horyzont geognostyczny zajmują wapienie, zawierające też same nummulity i operkuliny przy Obeczynie, pod Tryestem pomiędzy wapieniem liasowym a piaskowcem fukoidowym zawarte; w Alpach Szwajcarskich pas wapienia nummulitowego na karcie geognostycznej Studera oznaczony, odpowiada, zupełnie karpackiemu. Z nad jeziora Thunersee ułamki zebrane, takie mają podobieństwo do tatrowych, że różnic jakichbądź nie byłem wstanie dostrzedz.

(Dalszy ciąg nastąpi).



PRZEDŚLUBNE PRZYGODY

JULJANA BYGZYKOWSKIEGO,

MŁODZIENCA PEŁNEGO NADZIEI BOGATEGO OŻENKU.

*Komedja w ramotce uwieziona, dla powszechnego użytku
— co do słowa wiernie spisana.*

przez

AU. WI.

Ch. fil. k. k. n.

Bardzo szczupłą jest u nas liczba takich obywateli wiejskich, którzy naukowo znamienitęm ukształceniem swoich dzieci, na powszechną wdzięczność zasługują. Majątek i specjalna nauka żyją u nas w otwartej i największej nieprzyjaźni. Po za szkołami gimnazjalnemi które opuszczają zwykle bez ostatniego egzaminu, (bo pocóż dla majątnego chłopca egzamen) dla tak nazwanych synów obywatelskich, lotna, — mówię wyraźnie lotna podróż, do krajów Niemieckich, do Włoch i do Paryża, jest uzupełnieniem naukowem, a jeżeli który prócz zwiedzenia teatrów, prócz powierzchniowego oglądania osobliwości, był jeszcze

przez rok jeden zapisany na prelekcje jakiego filozofa, rodzic, krewieństwo i całe sąsiedztwo, dobrze że nie kraj cały uważa takiego młodzieńca za istotę najzupełniej ukończonych nauk, i taka też istota za powrotem do kraju dmie wszystkim pod nos w sposób najnieznośniejszy, a dla salonów staje się ozdobą i bożyszczem kobiet; — dla kraju jest niemal zawsze bezużyteczną, a przy chęci wyniesienia się, nader szkodliwą *kreaturą*.

Właściciele dóbr ziemskich mniejszego pomiaru inaczej znowu dzieci swoje kierują. Jeżeli synal nie jest przeznaczonym na urzędnika, w takim razie z małemi wyjątkami odbiera się co najwyżej z klasy VI, zawozi się na wieś i posyła się na wszystkie tańczące zabawy, z napomnieniem aby sobie bogatą — koniecznie bogatą ustrzelił panienkę — gdyż o ubogiej ani ojciec ani matka słyszyć nie chcą. (1) Tego rzędu młodzież gdybyś chciał zobaczyć w świetnych zebraniach, bądź na jarmarku w Łęcznie, w Łowiczu, w Skaryszewie, we Włodawie, w Jędrzejowie i w Ciechanowcu. Panie dobrodzieju! to las dębiastych, wąsiastych, rumianych chłopaków szlacheckich, aż się serce śmieje na widok zdrowia i fizycznej dzielności, tylko przez miłosierdzie Boskie nie kompromituj jarmarcznego obywatelstwa niedorzecznem zapytaniem o stanie literatury krajowej, ani też nie bądź głupim nad głupimi i nie żądaj od żadnego z nich objaśnienia w jakiejkolwiek nauce specjalnej, boby na

(1) O ile w dziedzinie moralności szpetną jest rzeczą ubiegać się za majątkiem (przy zawieraniu najdroższych serca stosunków, osobną napisałem rozprawę i ogłoszę ją drukiem w osobnym zbiorze „O sprośnościach serca ludzkiego.“

ciebie wytrzeszczono oczy jak na półgłówka i dziwneby o tobie rozeszły się wieści. Oto kropnij węgrzyna jedną i drugą lajenę, — umizgaj się do Niemek przy arfie skrzeczących, — pociągnij lanca, załóż bancek, a będziesz chwat, będziesz swój pomiędzy swojemi. O tych jarmarkach jeżeli Bóg nadal zdrowia użyczy, napisze się osobna ramotka; — obecnie zamierzylem opowiedzieć zalotne przygody pana Juljana Byczkowskiego, i tak rzecz rozpoczynam:

Kleofas Byczkowski, dziedzic obszerniejszej ale najnędniej zagospodarowanej wioski, miał pięciu synów dorosłych, i wszystkich pięciu od lat kilku bezczynnie w domu chował i dumał aby swoje męskie potomstwo bogato ożenić.

Żaden z młodych Byczkowskich nie był kaleką, wszyscy zdrowo wychowani i do tego przystojni, lecz najwięcej obywatelskiej posiadał *prezencji* pan Juljan, drugi z kolei, główna rodziców nadzieja i najmilsza matki pociecha, gdyż nietylko że był bardzo urodny, ale nadto on jeden z braci swoich mówił po francusku i umiał wiersze robić, stąd nazywano go w sąsiedztwie salonowym młodzieńcem.

Ponieważ pan Juljan jest bohатыrem mojej ramotki, poczuwam się przeto do obowiązku względem płci pięknej skreślić obraz pana Juljana. Wzrost więcej niż średni ale nie tyczkowy, w staniku wcięty, w barkach szeroki, nie otyły ale bynajmniej nie chudy, włos czarny, brwi i rzęsa gęste, oko pełne fizycznego życia, zęby zdrowe, usta świeże, czoło wysokie, wąż śmiały, nos odznaczający się regularnością rysunku, — jedną tylko miał małą wadę, że mu uszy nieco za wiele odstawały od głowy, ale że

nosił włosy długie w loki starannie zawijane, więc też i nie bardzo było widać.

Wybiła godzina pierwsza z południa, dzień był pogodny i jasny a jednakże w pokoikach oficyny, którą pięciu Byczkowskich zamieszkiwało, panowała nadzwyczajna ciemność przez dym fajczany jak zwykle najstaranniej utrzymywana. Na łóżkach leżeli na wpół ubrani Ignacy i Zdzisław, przed kominkiem siedział Marcin i Adolf, a przy oknie, w zamyśleniu patrząc na koszlawiące się wrony, stał Julian.

ZDZISŁAW.

Jutro będzie ponowa niezawodna, puścimy psy na rządowe lasy, a my staniemy od Zajadał, ręczę ci *słowem honoru*, że do sarn strzelać będziemy.

IGNACY.

Tylko żeby nam psów nie złapali.

ZDZISŁAW.

Złapią to wydadzą, ja na jarmarku zapraszając podleśnego na ponczyk, wielką z nim przyjaźń zawarłem.

IGNACY.

To wszystko było by dobrze, ale Grzmilas kuleje.

ZDZISŁAW.

On już niebardzo napada, zresztą obejdzie się i bez Grzmilasa, przecież są jeszcze dwa stare i trzy młode.

IGNACY.

Ja ci daję *słowo honoru*, że Grzmiłas najlepszy.

ZDZISŁAW.

Bo nie słyszałeś młodych; jak wczoraj zapuściłem w Zamojskiego knieję, *słowo honoru* grały jak na organkach.

IGNACY.

Djabli nadali tę delegcję żem wczoraj nie mógł polować.

MARCIN do ADOLFA (*przy kominku*).

— Wystaw sobie, przez trzy talje ani jednej karty nie mogliśmy mu trafić!

ADOLF.

To wam pewnie lisa ułożył.

MARCIN.

Ale gdzie tam, ja sam mieszałem mu karty, tylko już miał takie szalone szczęście.

ADOLF.

I ty zgrałeś się do grosza?

MARCIN.

Naturalnie że do grosza, przecież już w sztosu byłem przegrany.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Kleofasa, ojca młodzieńców, wraz z żydem Eliaszem Boruch

kupcem z pobliskiego miasteczka.—Pospieżyli synowie do pocałowania ręki ukochanego rodzica, przy czém na Eljasza Borucha cierpkie rzucili spojrzenie.

KLEOFAS (*Ojciec*).

Pięć godzin snu używać, najzdrowiej każdemu,
Tak wieku podeszłego, jako też młodemu,
Sześć godzin ten co kupczy niech sobie spoczywa,
Siedm godzin niech bogacz wygody używa,
Ośm godzin niechaj śpi niedbały,
Ospaluch, gnuśny, piecuch, niechaj śpi dzień cały.

Widzę że do ostatniej kategorii należeć chcecie, godzina pierwsza a wy się jeszcze wczasujecie; — przecież stare niesie przysłowie:

„Kto rano wstaje

Temu Pan Bóg daje“

JULJAN.

Kochany papo! ja już od godziny siódmej czytałem.

KLEOFAS.

Ty bo też zawsze tylko z temi książkami masz do czynienia.

Ale jest tu inna materja: pan Boruch przyjechał i podał mi wasze rewersa, pomiędzy któremi twoich najwięcej, bo na 4,000 złp. wynoszą. Cóż, czyście powarjowali, czy sądzicie że ja studnię z pieniędzmi mam w domu, albo w kuźni złoto i *srebro* fabrykuję. — Zapłaciłem na ś. Jan za was pięciu przeszło 7000 złp.

Sprawiłem dla twoich ludzi nową liberję jak już sam chciałeś, kupiłem i koczki i dywany i dałem

ci 1,200 złp. na garderobę od Żygardłowicza w Warszawie, a tu jeszcze przynoszą mi wasze rewersa, chyba chcecie abym z matką na starość po żebranych chodził chlebie. A waćpan także panie Boruch, dla czego do trzysta piorunów pożyczasz, kiedy wyraźnie powiedziałem, że ani grosza nie zapłacę.

BORUCH.

Niech tylko jaśnie wielmożny pan żartów nie robi, takich ślicnych mając paniców i zapłacić do roku kilkanaście tysięcy, czy to wielga rzecz. Jaśnie wielmożnemu panu, w całej okolicy zazdroszczą takich zięci, — a jak oni się wszyscy będą ożenić i każdy przywiezie do domu po kilka kroć sto tysięcy, czy także pan będzie narzekał?...

KLEOFAS (*uśmiechając się*).

Jeszcze to za górami są te krocie a teraz płac i płac, chyba przyjdzie wioskę sprzedać i na bruku gdzie osiąść; czy wtenczas da mi pan Boruch sto złp. na życie.

BORUCH.

Z przeproszeniem jaśnie pana, z pańskie dobr mierzwe na podwórzu więcej warte jak moje cała chudoba.

KLEOFAS.

Tak się to zdaje panu Boruchowi, ale w krytycznych czasach opłacić podatki i oficjalistów, dom i pięciu chłopców utrzymać, to nie żadne żarty; a przecież są jeszcze dwie córki, — wprowadzie jedna

bawi u ciotki, ale i dla niej nie obejdzie się bez jakiego sprawunku; od młodziej zaś trzeba płacić na pensji w Warszawie, a pan Boruch wie, że w Warszawie to wszystko drogo kosztuje.

BORUCH.

Z łaski Pana Boga pszenice też tego roku u jaśnie wielmożnego pana niezgorsze.

KLEOFAS.

Przebierze się i pszenicy, a toć że już pan Boruch 300 korcy zapłacił.

BORUCH.

Nic nie szkodzi, ja i resztę będę zapłacił.

KLEOFAS.

Jeżeli za gotówkę to i owszem.

BORUCH.

Ja dałem pańskim synom gotówkę.

KLEOFAS.

To asan od nich odbierz gotówkę i mnie gotówką zapłać.

BORUCH.

Ny! niech młodzi panowie zapłacą.

Pan Kleofas dalszych rospraw unikając, natulił futrzanęj czapeczki na głowę, z oficyny wyszedł, wsiadł na koń i pojechał na pobliską granicę Pruss, skąd mu 20 kuf okowity *przeszwarcowoć* miano.

BORUCH.

Ny! panicowie co to będzie?....

MARCIN.

To będzie, że Boruch pożycz mi dzisiaj złp. dwieście.

BORUCH.

Gikste! żeby Boruch po lesie rozbijał, jeszczeby nie nastarczył dla panów Byczkowskich, (*siada na kanapce i poprawia krymki na głowie*) ny! panie Juljanie! gdzie się podziało słowo honoru!? już dawno święty Michał pszejechał; z łaski Boże już i wszyscy święci pszejechali, i święty Marcin na swojego koniu pszejechał.... ny?.... mnie trzeba dzisiejszego dnia koniecznie tego długu oddać, bo ja tego pieniędzy porzyczył od siostry mojego szwagra, która będzie na przyszły tydzień zrobić wesele swojej najmłodszej córki.—Pan Adolf się szmieje, to bardzo nieładnie do żydowskiej ziewczyny umizgować się.

MARCIN.

Mój Boruchu, myśmy myśleli że się nasz brat z Esterką ożeni, bo tak ładne oczy do siebie robili.

BORUCH.

Już teraz nie będą robić, bo ona idzie za mąż za syna naszego rabina do Pinczowa.

ZDISŁAW.

To dla Adolfa będzie trochę za daleko odwiedzać panią rabinową.

BORUCH.

Ny! niech panowie takiego głupich żartów nie zrobią, — lepiej skończyć swoich ze mną interesów, bo ja sprawiedliwie bardzo pilno potrzebuje mieć moich pieniędzy i ani jednego dzień dłużej czekać nie mogę, ja pszecie nie z samemi panów Byczykowskich handluje.

MARCIN (*patrząc przez okno na dziedziniec*)

Ignasiu! idzie posłaniec z listem, to zapewne od Bolesia.

IGNACY.

Nie, to jest posłaniec od państwa Radkowskich, proszą nas na niedzielę.

MARCIN.

Założ się że od Bolesia.

IGNACY.

Założ się, że to Boles prosi nas na polowanie.

Gdy Marcin z Ignacym robili zakład, Julian najgrzeczniej Borucha do przyległego poprosił pokoiku, i bardzo długą miał z nim sam na sam rozmowę. Jaką zawarli ugode, jaki ze sobą zrobili *dorachunek*, ile Boruch przypożyczył jeszcze, ile Julian dopisał na rewersie, i na kiedy nowy termin ustanowiono, o tém czytelników na teraz powiadomić nie mogę, to tylko wiem, że Boruch w największej zgodzie pożegnał się z braćmi Byczkowskimi, i że pan Julian w godzinę po bytności Borucha czworokonnym koczkiem na kilka tygodni z domu wyjechał.

II.

W jednym z odległych od Warszawy powiatów żył na małej dzierżawie, poczciwości szlachcic, Stanisław Paleciński, i miał córeczkę Celinę, jedyną jedną na ziemi pociechę, śliczności dziewczątko.— To wszystko co może powierzchowność kobiety piękną uczynić, połączyło się w ośmnastoletniej Celinie:— cała wiotka i w miarę wysoka postać tchnęła tym niewysłownym wyrazem, który serca nasze w nagły, czarujący sposób nęci i do nieodgadnionej i niezmiennej życzliwości i opieki nakłania,—płec biała i przezrocza, przez którą modre żyłki szybko krążącej krwi widnymi były i cudownie utoczona drobna rączka od puchu delikatniejsza, do całunków stworzona, z podłużnemi paznokietkami po których zdawało się, że malarz artysta naumyślnie różowo-białe porozrzucał plamki,—nóżka wąska i lekka,—barki śnieżne,—szyja łabędzia,—najzdrowsze z słońcowej kości ząbki,—usteczka świeże, w których anielska słodycz wieczne obrała mieszkanie,—nosek grecki,—czoło jasne i pogodne,—w bogatych warkoczach, włos gładki i wilgotny,—lecz wszystko na raz niknęło przed jednym ócz spojrzeniem. Oczy Celiny były na wskroś przenikającą, cudowną, tej czarującej piękności, która jest po za orzeczeniem mowy naszej. A miała Celinka jeszcze jeden wdzięk nieporównany,—głos bezpośrednio z nieba uroniony, głos anielskiej lubości, głos co każdą zgłoską krępował twoje serce, głos który pragnął być słyszyć przez wszystkie dni twojego żywota. A rozumek Celinki!.. aj! aj! nauczne, mądre, łagodne, przenikliwe, odgadujące, dowcipne, li-

tościwe, jedném słowem: Cesia doskonałość!.. i gdybyś przez całą wieczność twój mózg i twoją estetykę suszył i mordował, żadnej wady w Celinie znaleźć nie mogłeś; — Celinka była urzeczywistnieniem ideału przez najpołotniejszy jenuusz stworzonego, — a jednakże nikt się o rączkę Celinki nie starał, bo pan Stanisław żadnego za Celinę nie mógł dać posagu...

Pewnego razu przyjeżdża do pana Palecińskiego znaczny ksiądz proboszcz i przywozi niemiecką gazetę w której było zamieszczonem, że w Gdańsku umarł bezpotomnie Norbert Paleciński, zostawiając w gotowiznie 40,000 czerwonych złotych i różne kosztowności. A że pan Stanisław miał rodzzonego braciszka któremu było na imię Norbert i który właśnie trudnił się handlem drzewa do Gdańska a żył zaś w kawalerskim stanie, więc tedy pan Stanisław nie wątpił, że należy mu łąc nad śmiercią Norberta uronić, a następnie z rodowodem przez właściwe władze zaświadczone, do bałtyckiego grodu wyjechać. I tak się też stało: pan Stanisław popłakał nad śmiercią brata Norberta, wyjął potrzebne mętryki urodzenia, wynalazł świadków, którzy zaprzysięgli że Józef Barnaba Paleta Paleciński małej Palety trzynastej części dziedzic, dwóch tylko miał synów, Norberta i Stanisława; — uzyskał od Pruskiego konsula poświadczenie co do tożsamości sądowych podpisów, wyjechał taradajką we dwa koniki zaprzęzoną, bawił w Gdańsku kilka tygodni, i jakoś przy końcu miesiąca października przywiózł przeszło 700,000 złp. w listach zastawnych z kuponami ubiegłej raty czerwcowej.

III.

Juljan Byczykowski w tajemnicy przed braćmi przez Borucha o bardzo bogatej panie Palecińskiej zawiadomiony, wraz z Boruchem zjechał do miasteczka Kalwaryi i stanął w zajezdnym domu Lejby i tamże Byczykowski, Boruch i Lejba, w skutek kilkogodzinnej narady zrobili dobrowolną, rozmyślną, w trzech egzemplarzach spisana, treści następującej ugodę:

Lejba obiecał jako w tej okolicy znajomy ułatwić przystęp Byczykowskiemu w dom pana Palecińskiego, a następnie dobre wieści o wzorowym gospodarstwie i o miłości pana Byczykowskiego do panny Celiny, zawozić i utrzymywać; Boruch przyrzekł pożyczyc tyle pieniędzy ile pan Byczykowski potrzebować będzie na konkurencją,—pan Byczykowski zaś zobowiązał się *pod słowem honoru i uczciwości*, że w pierwszy tydzień po ślubie zwróci pożyczone u Borucha pieniądze wraz z procentem po 8 od sta, na miesiąc,—nadto tytułem wdzięczności wypłaci Boruchowi i Lejbie po 500 dukatów w złocie. Przyjęto i podpisano dnia 20 listopada 1844 r.

Dzień był posepny, na dworze wietrzno i mroźno, śnieg chciał padać a nie mógł, Paleciński siedział przy biurku i odpisywał na listy sąsiadów o pożyczkę pieniędzy proszących, Celina odebrane z Królewca towary na Polski łokieć przemierzyła po raz drugi i ze sprowadzoną z miasta Suwałk szwaczką

właśnie walną miała naradę czy rękawki mają być marszczone czy gładkie, kiedy przed dworzec zjechał najbliższy sąsiad a dawny pana Stanisława broni towarzyszy, pan Gawęcki, wraz z tym samym księdzem proboszczem, co to pierwszy przywiózł był gazetę niemiecką, o śmierci ś. p. Norberta donoszącą.

Pan Stanisław na widok dobrych przyjaciół pisanie na czas późniejszy odłożył, Celinka na marszczone rękawki przystając odprawiła pannę szwaczkę na drugą stronę dworca, i nastąpiło z obu stron szczerze i radośnie przywitanie.

GAWĘCKI.

A wiesz też kochany sąsiedzie co nas dzisiaj z księdzem proboszczem do twojego domu sprowadza?

PALECIŃSKI.

Dobre serce i stara przyjaźń.

GAWĘCKI.

Pod względem ogólnym rzecz wiadoma, ale zgadnij szczegóły.

PALECIŃSKI.

Przecież do mojej Celinki nie przyjechałeś w za loty?...

GAWĘCKI.

Nie panie bracie, już nie dla mnie kwitną róże a jeszcze tak piękne jak twoja Celinka, — dosyć dla mnie zaszczytu, żem jest jej ojcem chrzestnym.

KS. PROBOSZCZ.

Jednakże pan Stanisław zgadł cokolwiek, albowiem przyjechaliśmy w interesie panny Celiny.

CELINA (*mocno zarumieniona*).

W moim interesie?...

GAWĘCKI.

Upredzasz księżę proboszczu! oto przyjechaliśmy ułożyć komedję, w której nasza Celinka ważną ma odgrywać rolę...

PALECIŃSKI.

Celinka ma grać komedję? na jakimże to teatrze?...

KS. PROBOSZCZ.

Panie dobrodzieju świat cały jest teatrem, ale tym razem scena zawartą będzie w domu rodzicielskim pana Stanisława Palecińskiego, w Jasnym Dębie.

PALECIŃSKI.

Nie rozumiem ani słowa. Celinko każno przynieść butelkę wina, może przy kieliszku będą państwo zrozumialej mówili.

GAWĘCKI.

Poczekajmy na butelkę, bo niezawodna rzecz, że przy winie *relacja* jest wyraźniejszą.

Celinka spełniwszy rozkaz ojca, niebawem powróciła do pokoju; przyniesiono butelkę wina, pan Gawęcki odwilżywszy usta, tak rzecz rozpoczął:

TOM I.

8

— Wiadomo ci kolego, że jestem w handlowych stosunkach z Lejbą Nestlem co to ma dom zajezdny w Kalwaryi, owóż tedy tenże sam Lejba przyjechał do mnie dzisiaj rano i uczyniwszy ze mną obrachunek zażądał wypłaty, dodając, że gdybym mu chciał być w pewnym interesie pomocnym, nie tylko będzie cierpliwym aż do S. Jana, ale nadto wystara mi się jeszcze na całoroczny kredyt o 300 owiec wysoko poprawnych, jak mu o tém na jarmarku w Łomży mówiłem. Pytam się, coby to był za interes w którym mu mam być pomocnym, aż tu powiada mi żyd pod wielkim sekretem, że jego szwagier, jakiś Boruch z Międzyrzyca, wie o jakimś paniczu Juljante Byczykowskim, i że on Lejba wraz z Boruchem pragną aby ten pan Byczykowski (mający być bardzo piękny i bardzo bogaty) ożenił się z córką twoją Celiną. Otóż tedy odgadując od razu, że wieść o wielkim majątku, jaki po bracie odziedziczyłeś, stała się przyczyną zamiarów pana Byczykowskiego, umyśliłem taką odegrać komedyjkę:

Jutro przyjadę do was z tym kawalerem przez żydów rekomendowanym, przyjmiesz go panie Stanisławie jak najgrzeczniej, ale mojego siostrzeńca Wacława przebranego za pannę, przedstawimy mu jako twoją córkę, a Cesię będziemy nazywali sierotą, córką po byłym oficerze. Jeżeli kawaler będzie smałił cholewki do Wacia, ubawimy się i uśmiejemy serdecznie, gdyby zaś zwrócił affekt swój do sieroty, wywiedziawszy się co to za jeden ten pan Byczykowski, pomyślimy co dalej uczynić.

Zdrażał się pan Stanisław z początku, ale gdy Celinka poczęła tatkę w rączki całować, zamiar pa-

na Gawęckiego przyjęty został i ułożono wszystkim szczegóły ostrożności domowej, aby się ani gość ani żydzi o przemianie osób niedowiedzieli lub niedomyślili.

Nazajutrz rano przybył pan Wacław siostrzeniec Gawęckiego. Był to mocno ospowaty blondynek, szczupły, niski, ale pełen życia, mniej szczęśliwą zaś powierzchowność nagradzało wyższe, naukowe ukształcenie.

Do godziny drugiej z południa zeszło na przymierzaniu strojnniejszej sukni panny garderobny, którą to suknię potrzeba było w ramionach i w staniku rozszerzyć, w spódnicy przydłużyć,—na ubieraniu głowy w szynion i loki z sąsiedztwa od pani Bryniewicz pożyczone,—na przypinaniu wstążek strój głowy uzupełniających,—na posyłce do Suwałk po trzewik i mitenki, i dopiero o trzeciej Wacio ukończył swoje przebranie. Pan Palecinski uśmiechając się, powtarzał: nie dziwię się młodym, ale że mnie kapitan do tej prawdziwej komedji namówił, uwierzyć nie mogę i niewiem jak ja tamtemu jakiemuś panu Bczykowskiemu w oczy zajrzeć potrafię,—chyba to tego żartu zaniechać potrzeba.

— Tatko! tatko!—wołała z całego serca ucieszona Celinka,—ze wszystkich córek na świecie będę najposłusznieszczą, racz tylko tatko nie psuć nam tak wyborniej komedji. Wszakżeż to pierwszy raz od śmierci mamy, że będziemy mieli w domu tyle wesołą zabawę.

Temi wyrazy Celinka wszystkie skrupuły ojca roz-

broiła, jakoż ostatecznie na odegranie komedji zezwolił.

«Jadą! jadą!» zawołał Wacio przy oknie,—i rzeczywiście niezadługo zajechali przededwór spodziewani goście, a wteż chwilę pan Gawęcki wprowadził do pokoju bardzo przystojnego młodzieńca, znanego czytelnikom Juljana Byczykowskiego.

Przywitanie się sąsiadów; uprzejme zapytania z których Byczykowskich pan Julian pochodzi, w której mieszka okolicy, i t. p.,—nawzajem oświadczenia pana Juljana, że wiele jest wdzięcznym nader miłej i szczęśliwej sposobności poznania tak godnych obywateli, i t. d. i t. d. trwały chwil kilka,—a gdy pan Paleciński zwrócił mowę do pana Gawęckiego, pan Julian przysunął się do Wacia i z najstaranniejszym umileniem zapytał:

— W tak odległej od Warszawy stronie, pani zapewne w literaturze i w muzyce wielką znajdujesz rozrywkę?

— W muzyce bardzo mało gustuję i nawet niechętnie słyszę gdy śpiewa panna Hortensja, którą mój ojciec wziął na opiekę, — lub gdy gra na fortepianie, — lecz i ja czasem zabrząkam; a co się tyczy literatury, nie znajduję w dzisiajszych utworach nic takiego coby mnie zająć zdołało, dla tego czytam wyłącznie klasyków greckich i łacińskich; nadto poświęcam się matematyce, a obecnie zajmuje mnie rachunek całkoróżniczkowy (calculus integralis et differentialis) i miło mi że się z panem poznaję, gdyż w naszym sąsiedztwie nikt mnie objaśnić nie potrafił, czyli potęga pierwiastków...

— Przepraszam że w tym przedmiocie objaśnić

pani nie mogę, albowiem nigdy nie poświęcałem się matematyce.

To może mnie pan raczy objaśnić w pewnych wątpliwościach z nauk przyrodzonych, to jest: czy skład powietrza atmosferycznego jest wszędzie jednakowy?... i dla czego cieplej w nocy jest na dworze, gdy niebo jest pochmurne?...

— Z zarumienieniem wyznać muszę, że niezajmowałem się naukami przyrodzonymi.

— To pan zapewne historyk?

— Tak, z historji więcej.

— Raczże mnie pan objaśnić jakie są główne szczepy narodów wschodnich, które obecnie tak wysoko na siebie zwróciły uwagę wszystkich polityków naszych?

— Historji wschodnich narodów nie zgłębiałem badawczo, moja uwaga zwróconą zawsze była na ludy ucywilizowane, na literaturę piękną, i właśnie piękna literatura jest tym warsztatem, na którym kształcę mój umysł i duszę hartuję.

— I któryż to oddział pięknej literatury obrałeś pan do hartowania swej duszy?...

— Jakto oddział?...

— Przyznasz pan bezwątpienia, że piękna literatura ma kilka oddziałów.

— O tak, ja obrałem oddział powieści i poezji.

— Na powieściach, jakkolwiek są dzisiaj w bardzo rozległych granicach, nie sądzę jednakże aby można duszę zahartować, a co do poezji, zapytam jeszcze czy pan zamiłowałeś podmiotową czy przedmiotową?

— E... e... i... ja obrałem sobie rodzaj poezji tkliwej, która do serca naszego najwięcej przemawia, która jest objawem uczuć naszych, a swoją już formą zachwyca i zniewala.

— Pan daleko stąd mieszkasz?...

— Dwadzieścia mil przeszło...

— Często pan bywasz w Warszawie?...

— O! bardzo często.

— Pan jesteś zwolennikiem teatru?...

— O bardzo! bardzo!...

— Długo pan w naszych stronach zabawisz?

— Zamierzałem już jutro te strony opuścić, — wszakże od chwili szczęścia poznania pani, pragnę jak najdłużej pozostać...

— Jak widzę pan jesteś improwizatorem, — wyrzekł Wacio z uprzejmością i umilkł niby to z dziewiczego uczucia, po chwili zaś zapytał:

— Czyli nie raczyłbyś pan należeć z nami do odegrania komedyi?

— Komedyi?... i owszem..... jakiej komedyi?..

— Oryginalnej, — pomysłu pana Gawęckiego.

— Pan Gawęcki autorem?

GAWĘCKI:

A cóż pan sądzisz, że tylko w Mazowieckim wszyscy autorowie zamieszkali?

JULJAN.

Bynajmniej tak nie sędzę.

WACIO.

Więc pan przyrzekasz?....

JULJAN.

Poczytam się za szczęśliwego, jeśli mnie pani swoim rozkazem zaszczycić raczysz.

WACIO.

A więc dobrze,—panu oddamy rolę kochanka, a ja z Hortensją będziemy grały rolę rywalek.

JULJAN.

Z wdzięcznością przyjmuję tę rolę, (*po cichu*) z tą prośbą, że pani będziesz szczęśliwą rywalką.

WACIO.

Hortensja już się tej roli nauczyła, dla mnie przypada rola nieszczęśliwej kochanki.

JULJAN (*pocichu*).

Ale poza komedią od pani tylko zależy przyjąć rolę panny Hortensji.

WACIO.

Poza komedią role nasze z większą obieramy rozwagą.

JULJAN.

Przebacz pani wyrazom prośby nagłego wrażenia, wrażenia któremu nie zawsze umiemy panować, co jednakże zdarza się tam tylko, gdzie do popełnienia błędu tyle się niezwykłych przyczyn połączy.

WACIO.

Pana tłumaczenie jest tak pochlebne, że niszczy wszelką urazę.

JULJAN.

Oby w najrychlejszej przyszłości i życzliwość zbudzić było zdolne.

Wacio udając przyjemne pomieszenie, usiadł do fortepianu i zagrał *sztajera*, (1) którego się przez trzy lata podczas swojego w Niemczech pobytu nasłuchał do woli.

HORTENSJA do BYCZYKOWSKIEGO.

— Jakżeż pan znajdujesz tę muzykę panny Celiny, pod względem myśli i pod względem wykonania.

JULJAN.

Myśl, idea jest giermańska, a więc mieści w sobie pierwiastek wyższości, tutaj w dokładnym wykonaniu wdzięcznie objawiony. Skupując w roku zeszłym do dóbr moich inwentarz na Żuławach, zdaje mi się, że też samą melodję słyszałem pomiędzy ludem Teutonów.

PAN GAWĘCKI.

Proszę pana, ile też pan dobrodziej płaciłeś za dojne krowy?..

JULJAN.

Ja drogo kupiłem, gdyż starałem się o sam wybór i za sto krów po ociełeniu dałem 36,000 złp.

PAN PALECIŃSKI.

Czy wszystkie były po ociełeniu?..

JULJAN.

Mniej więcęć wszystkie.

(1) Jest to bardzo powolny walec na 3, tempa, po wszystkich knajpach niemieckich przez niższego rzędu rzemieślników z największym upodobaniem tańczony, i jak Szwajcar na obcej ziemi usycha za powietrzem swoich gór rodzinnych, tak Niemiec na chlebowej wędrówce tęskni za *sztajerem*, który mu wszystkię chwilę młodzieńczego szczęścia do tkliwej przywodzi pamięci

GAWĘCKI.

To pan dobr. trzymasz znaczną ilość inwentarza.

JULJAN.

Obecnie mam 150 krów dojnych, drugie tyle młodzięży i 3,000 owiec, z których $\frac{2}{3}$ części są już krwi zupełnie czystej, nielicząc jagniąt z których połowę w tym mokrym roku utraciłem.

PALECIŃSKI.

Jakiż wysiew pan dobr. masz na swoim majątku?

JULJAN.

Żyta wysiewam tylko 300 korcy, pszenicy sto, ale natomiast jęczmienia i owsa przeszło 900.

PALECIŃSKI.

Jakąż więc pan dobrodziej prowadzisz rotacją?...

JULJAN.

Ja podług Thaera urządziłem moje gospodarstwo, płodozmian w 12 polach.

PALECIŃSKI.

Ileż pan tedy pól obsiewasz na zimę.

JULJAN.

Rozmaicie, to bardzo względnie, zawsze się tylko staram aby było wysiane 300 korcy żyta i 100 pszenicy, tę bowiem ilość przyjąłem za zasadę gospodarstwa postępowego.

GAWĘCKI.

Więc ja dla tego, że tylko 160 korcy wysiewam, nie jestem postępowym gospodarzem?....

Tom I.

9

JULJAN.

Tego bynajmniej nie twierdzę, ale ja trzymam się systemu Thaera, i znajduję go dla mnie najdogodniejszym. Panom znany jest system Thaera?

PALECIŃSKI.

O tyła o ile Block o nim wspomina.

JULJAN.

A! Block jest także wyborny!

GAWECKI.

Pan czytałś Blocka?

JULJAN.

Nie..... nie czytałem, ale mój kuzyn hrabia Tataroski bardzo mi Blocka zachwalał, gdyż będąc w Anglii poznał się z nim osobiście.

PALECIŃSKI.

Ależ Block jest Słazakiem, i nigdy w Anglii nie powstał.

JULJAN.

A to zapewne inny, bo ten Block, o którym mi mówił mój kuzyn hrabia Tataroski, jest właścicielem dóbr ziemskich w samej Anglii, i jego majątek stanowi jakoby przedmieście Londynu, i właśnie pod ten czas gdy mój kuzyn hrabia Tataroski zwiedzał jego gospodarstwo, pan Block skarżył mu się, że Londyńczykowie przy swoich wycieczkach świątecznych, ogromne w zbożu robią mu szkody, i gdyby nie to, że pod czas każdego święta sprzedaje do 60,000 kwart słodkiego mleka, co mu znaczny dochód przynosi, dawno by był swój majątek zamienił na dobra

księcia Wellingtona, usunione o mil kilkanaście w głąb kraju, na stronie zachodnio północnej.

WACIO.

Czy pan także Anglią zwiedzałeś?

JULJAN.

W przejeździe.

HORTENSJA.

Dokąd?

JULJAN.

Do Nowego-Yorku, w r. 1826.

WACIO.

To pan bardzo młodo podróżowałeś?

JULJAN.

W dziesiątym roku mojego życia.

PALECIŃSKI.

Chyba z rodzicami?

JULJAN.

Z rodzonym bratem mojej matki, z hrabią Małogórskim.

WACIO.

Szkoda, że pan nie odbyłeś tój podróży w wieku późniejszym, byłbyś pan więcej skorzystał.

JULJAN.

O pani! ja pamiętam najdrobniejsze szczegóły naszej podróży, — przed moim wzrokiem ciągle się płącą zielone niziny Walji, modre batwany morza, białe szczyty Nowego-Yorku, posępne Wassynghthonu wieżyce, złote Nowego Orleanu brzegi, odwiecznych lasów dęby, sosny i brzozy.....

GAWECKI.

Więc w Ameryce jest także brzezina?..

JULJAN.

Nie wiele, ale trafia się, zwłaszcza na północny zachód, lecz brzozy amerykańskie są od naszych nieco oddmienne, liść więcej okrągły, a kora nie jest białą ale blado-różowego koloru, — zapach cudowny i kwitnie przez trzy (1) miesiące.

WACIO.

Jakżeż pan znalazł obyczaje Amerykanów?

JULJAN.

O bardzo grzeczni ludzie i nadzwyczaj sumienni, powiem pani przykład: — w jednym z miasteczek nad rzeką ś. Wawrzeńca, mój wujaszek zostawił w hotelu pugilares, w którym się znajdowało podróżnej kasy przeszło 4,000 funtów szterlingów. O niczem nie wiedząc jedziemy sobie truchteczkiem.....

GAWECKI.

Przepraszam że przerywam, panowie swoim własnym jeździli ekwipażem?

JULJAN.

O! zawsze własnym.

GAWECKI.

Więc po polsku, z pościelą z obrokiem.

JULJAN.

Powiem państwu później jedno zdarzenie *à propos* tego tłomoka..... Kiedy więc jedziemy tuż nad samą rzeką i podziwiamy na drugiej stronie swawolne

(1) Jest to improwizowane przez pana Juljana kłamstwo, albowiem brzozy w Ameryce niczem się od naszych nie różnią.

skoki młodych tygrysów, służący nasz mówi: że nas ktoś goni;— oglądamy się, patrzymy, istotnie Amerykanin pędzi na siwym człapaku co koń mógł wyskoczyć i kiwa ręką abyśmy się zatrzymali. Kazał wujaszek przystanąć, ciekawy byłem czego chce ten konny posłaniec,— alisci poczciwy chłopiec dopędza nas, spienionego konia wstrzymuje, i mówi do mego wujaszka.

„Czy pan dobrodziej nie zapomniał pugilaresu....“

Mój wujaszek maca się po kieszeni, zbladł i słowa nie mógł wyrzec, aż tu poczciwy Amerykanin wyjmuje wielki zielony pugilares i oddaje go wujaszкови. I cóż państwo powiecie — nie mogliśmy go w żaden sposób nakłonić, aby przyjął kilka dukatów za fatywę,— odrzekłszy: „Amerykanin cudzych pieniędzy nie pragnie!“—grzecznie się skłonił, spiął konia ostrogami i zniknął z naszych oczu.

WACIO.

Niewie też pan nazwiska tego poczciwego Amerykanina?

JULJAN.

Nie pani! jakoś zapomniałem się spytać.

GAWĘCKI.

A cóż to pan przyobiecał nam powiedzieć *à propos* tłomoka.

JULJAN.

To była scena nader rozczulająca. Wjeżdżamy do Wassingthonu, — stary, osiwiaty rewizor przy rogatece, odzywa się do nas po polsku. „Panowie jesteście zapewne moi rodacy, miarkuję to po tłomoku za powozem.“ Wuj mój rzucił mu się na szyję i kilka chwil wszyscy nie mogliśmy się od płaczu utulić.

Przez sześć tygodni naszego pobytu w Wassynghonie codziennie mój wujaszek starego rewizora na objad do siebie zapraszał, i wyrobił u prezydenta Stanów Zjednoczonych, że mu pensją w dwójnasob podwyższono.

GAWĘCKI.

To poznaliście się z prezydentem Zjednoczonych Stanów?

JULJAN.

Mieliśmy do niego listy rekomendacyjne.

HORTENSJA.

Czy wolno dowiedzieć się od kogo?

JULJAN.

Książę Czetwertyński wuj mojego wujaszka, który z prezydentem jednocześnie na uniwersytet w Oxfordzie uczęszczał, dał nam listy do Anglii i do Ameryki.

Długo jeszcze pan Byczykowski kłamał bez litosci i już była godzina 10 wieczorem, gdy Gawęcki oświadczył, że czas do domu powracać. — Hortensija i Wacjo serdecznie ucieszeni śmieszłą beczelnością młodzieńca, prosili go aby jutro przyjechał. Juliś w mniemaniu, że swoją postawą i swoim opowiadaniem silnie zrobił wrażenie na umyśle i sercu posażnej panny Palecińskiej, — z najgorętszym zapałem szorstką rękę Wacia ucałował, pannie Hortensyi obojętnie się uklonił, — panu Palecińskiemu powtórzył zapewnienie, że szczęśliwym się mieni z zaszczytu poznania czci najgodniejszego obywatela — i z Gawęckim, pewny najpomyślniejszej przyszłości, — do Sękowki odjechał.

III.

Ogień z mokrój dębiny syczał i sapał na komin-ku w dworcu Olszyńskim, Kleofas Byczykowski przechadzając się po pokoju często zażywał tabaki, najoczywistszy dowód, że wielkie myśli w głowie swojej porządkował, —jakoż przystanąwszy przed swoją żoną, westchnął, i tak się wygłosił:

Chcę z jejmością pomówić, o rzeczy, która nas obojga zarówno dotyczy, bo wypływając z obowiązków rodzicielskich, jest naszą spólną powinnością

PANI KLEOFASOWA.

I cóż to jegomość powiedziec zamierza?

KLEOFAS.

Wiadomo jejmości, że mamy pięciu synów i dwie córki.

KLEOFASOWA.

Gdyby Justysia nie umarła, byłyby trzy córki.....

KLEOFAS.

Tylko jejmość nie przerywaj i zechciej słuchać cierpliwie. Otóż mając siedmioro dorosłych dzieci, niepostanowiliśmy dotąd żadnego, kiedy się więc trafia dla Juljana tak bogate ożenienie i od nas zależy aby przyszło do skutku, winniśmy zrobić poświęcenie jakiego ten chłopiec od nas wymaga.

KLEOFASOWA.

Nie dałeś mi przeczytać tego listu, nie wiem więc dobrze co pisał Juliś, a z twego opowiadania nie mogłam być rozumną, jak on to chce i czego chce istotnie.

Kleofas wyjmując list z kieszeni i siadając naprzeciw swęj żony, założył na nos okulary i rzekł z powagą:

— Właśnie mam jejmości cały ten list przeczytać. (Wpatrując się w napis koperty). Śliczny ma charakter ten chłopiec, jakby sztychowane.

KLEOFASOWA.

Bogu dzięki, że chociaż jeden tak pięknie uformował sobie rękę. Ale tylko czytaj co on w tym liście napisał.

Kleofas wyjął list z koperty i odczytał co następuje:

Sękówka dnia 17 Grudnia 1844 r.

Najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mojego!

Z listu ostatniego dowiedzieliście się, że ciągle bawię w domu pana Gawęckiego i że codziennie bywam w Jasnym Dębie u panny Celiny. Niema żadnej wątpliwości, że panna po śmierci starego będzie miała przeszło milion złp. majątku, — ile przy ślubie dostanie nie mogłem się jeszcze dowiedzieć z pewnością, bo nie wypada mi pokazywać się interessownym. Wczoraj znowu Gawęcki z wielkiem mojem przerażeniem ponowił propozycją abym się żenił z panną Hortensją, zapewniając, że pan Paleciński da jęj w dzień ślubu 50,000 złp. gotowizną. Wprawdzie ta panna Hortensja jest nadzwyczaj piękna i ukształcona, alem ja nie głupi, abym miał dla jęj piękności i ukształcenia rzekać się miliona posagu Celiny. Mnie się zdaje, że Gawęcki kroi na to, aby Celinę wyswatać za jakiegoś swojego siostrzeńca który jest w Królewcu na akademii, a którego się tutaj w tych dniach

dniach spodziewają, dla tego więc ciągle mnie namawia do Hortensji.

Dnia 19 Grudnia. Wczoraj spodziewano się przyjazdu tego pana Wacława, o którym wyżej spominałem,—czas nagił, potrzeba było coś stanowczego uczynić, oświadczyłem się więc Celinie najwyraźniej, że ją kocham, że bez niej żyć nie mogę. Z początku udawała śmiech i wierzyć nie chciała, ale gdym ukląkł przed nią i najstraszliwszą złożyłem przysięgę, że albo moją być musi albo sobie życie odbiorę...

KLEOFASOWA.

Przez Boga żywego!... żeby zaś chłopiec głupstwa nie zrobił...

KLEOFAS.

Co się też jejności marzy po głowie, zwyczajnie chłopiec umiał sobie poradzić, słuchaj jeno serce co się dalej stało,—(czyta) albo sobie życie odbiorę. Te wyrazy wymówiłem z najwyższem uczuciem i w ten czas dopiero anielskie oblicze Celinie boski okrył szkarłat i jej ręce zawisły na mojej szyi i pierwsze na moich ustach złożyła całunki.

O najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mojego! ta chwila stała się dla mnie wyrocznią szczęścia na całe życie.

Dziwną była zazdrość Celinie gdy żądała ażebym jej przysiągł, że nigdy do Hortensji uczuć mych nie zwrócę; następnie oświadczyła mi, że przychyła się do mojej prośby i pozwoli się wykraść, gdyby jej ojciec, naszego związku potwierdzić niechciał.

O godzinie dwónastej z północy.

Prosiłem, błagałem na klęczkach—napróżno. Odpowiedział mi, że córka jego za młoda. A więc umó-

wiliśmy się z Celiną, że w trzecie święto Bożego Narodzenia, zaraz z wieczora, mam na nią czekać z powozem nad drogą zwirową, dokąd z wierną służką przybędzie.

Najdrożsi i najukochańsi dawcy życia mojego! wybiła więc godzina, w której możecie mi dać dowód waszego przywiązania. Naprzód: proszę was abyście raczyli ustąpić dla Celiny swoich pokoi; powtóre: aby kochany papa nakłonił księdza proboszcza naszej parafii, iżby w dzień Nowego Roku, za naszym do Olszyna przybyciem, natychmiast ślubnym nas połączył węzłem.

Potrzenie: abyście nas przyjęli odpowiednio majątkowi Celiny, to jest: proszę najukochańszego papy, aby sprosił całe sąsiedztwo, żeby świat nie mówił, żem potajemnie żonę zaślubił. Wypada przedewszystkiem prosić najusilniej hrabiego Z..., hrabiego Ł... i panią prezesową trybunału lój instancyi, bo że jenerałstwo nie odmówią, tego pewny jestem, on mnie lubi, i u niej zawsze wielkie miałem łaski. — Aby uprzyjemnić Celinie pierwszy wstęp do domu mojego, pragnę aby była muzyka i tańce. Gdyby papa chciał szczęście moje uzupełnić, prosiłbym papy aby na bramie dziedzińca była cyfra z gorejących lamp J. C. Jacek stolarz niechby zrobił taką cyfrę i druty w niej umocnił, lamp olejem nalanych dostarczy organista z Brzmiącej Góry, ja mu już dobrze za to zapłacę. Do najukochańszej mamy mam zaś tę jedną prośbę, aby mama kazała ubrać 12 dziewczyn wiejskich, któreby przy bramie gdy wyjeżdżać będziemy, sypały kwiaty na drogę, a jeżeliby się mogły nauczyć śpiewać, żeby wiersze zaśpiewały, które dzisiaj jeszcze

skonponuję i do tego listu załączę. Najukochańsza Mamo! tylko żeby się nasz kucharz nie upił, czy nie lepiejby wziąć kucharza od państwa Bosaczyńskich, ja mu już zapłacę jeżeli wystąpi z piękną wieczerzą, — bo że najdroższa mama niczego żałować nie będzie, pewny jestem. Gdyby najukochańszemu papieżu szło o wydatek, *ja daję słowo honoru*, że papież wszystko zwrócić, boć przecież dostanę za żonę z pewnością milion złp. i jeszcze papież mogę pożyczyć na spłacenie pani Robakowskiej, Żołądkiewiczza, Fabisia, Mordki i Borucha, a przecież mając milion złp. byłbym najniegodziwszym synem, gdybym najukochańszemu dawcom życia mojego w pomoc przyjść nie miał, a dla braci pomyślę o dzierżawkach, dla siostr o posagu i będziemy wszyscy szczęśliwi, tylko najukochańsi dawcy życia mojego nie odmawiajcie moich próśb powyższych co do świętego przyjęcia mojej Celiny.

Święta miłości rodziców! odzywam się do ciebie sercem świętej miłości syna i nogi najukochańszych i najdroższych dawców życia prośbami moimi krępuję. Teraz nie mając nic więcej do wyrażenia, raz jeszcze polecam się rodzicielskiemu sercu najdroższych i najukochańszych rodziców i jestem z jak najgłębszym uszanowaniem, najdroższych i najukochańszych rodziców najczuliej kochającym, najprzywiazaniańszym, najposłuszniejszym i najwdzięczniejszym synem i najniższym sługą.

Juljan Rozmian Byczykowski.

Kleofas ukończywszy czytanie otarł czułością zwilżone powieki i wyrzekł: już on to umie do serca

przemówić i nie dziwię się, że go tak bogata dziewczyna pokochała od razu. Cóż ty na to wszystko powiesz Jadwisiu?

KLEOFASOWA.

Skąd tu wzięść kwiatów, żeby mu dziewczyny drogę usłały.

KLEOFAS.

E! o to mniejsza, gdyby przyszło posłać do Warszawy, to być musi, a wszakżeż można dostać kwiatów i w oranżeryi pana hrabiego Z***, tém więcej, że go się na ślub będzie prosić. Mnie najwięcej o to idzie, że mu się mamy ustępować z naszego pomieszkania, a najgorzej się wprowadzi, to go będzie i ciężko stamtąd rugować, bo co on pisze o tym miljonie złp.—wiem, że Paleciński odebrał wielki spadek po bracie, dowiedziałem się z pewnością, że ma tylko jedno dziecko, wierzę, że ten cały majątek Julian odbierze, ale kiedy?.. to pytanie i sek czasu terazniejszego, — bo jak się stary kozioł uprze i za życia nic nie da. cóż ja pocznę z młodem państwem,—które nie dosyć przyzwoicie utrzymać aż do śmierci ojca, ale tu jeszcze zechce im się jechać do Warszawy, mieszkać w najpierwszym hotelu, expensować po pańsku, a czyż ja wystarczę na to wszystko? Olszyn obdłużony po uszy, procentów od roku nie jestem w stanie opłacić, tamtych w oficynie jest jeszcze czterech dryblasów, rwą mnie ustawicznie i gdzie się obrócę wszędzie ich kwity, rewersa, kontrakty na moje imię zawarte, bo nawet Marcinek już i jakiś wexel podpisał, a tu przecież i o wyprawie dla Zosi pomyśleć należy; Racimorski na dobre konkuruje i niepodobna mu odmówić, chłopiec familjant, ma wioskę dziedziczną,—

zresztą dziewczynie dwudziesty rok minął i na kogoż z nią czekać? jakby się zestarzała, dopiero mielibyśmy żyjący w domu lament.

KLEOFASOWA.

Zosia jeszcze nie ma 20 lat.

KLEOFAS.

A czyście wszystkie powarjowały z tém ujmowaniem lat, czyliż nie wiem kiedy się córka moja urodziła?....

KLEOFASOWA.

Mniejsza o to czy nie ma czy ma lat 20, zgadzam się, że ją za Racimorskiego wydać potrzeba, ale teraz pilniejsza rada co do żądania Julisia.

KLEOFAS.

Otóż ja się właśnie z myślami biję, czyby państwa młodego nie można w oficynie ulokować, a chłopcy przenieśliby się do gorzelni, tam jest porządna izba, a w oficynie dla Juljanowstwa wylepiłoby się papierowem obiciem, kazałbym dać nowe okienice i drzwi nowe, które szelmy chłopaki strzelając z pistoletów do celu, na wskroś podziurawiali, — z pierwszego pokoju do sieni to istny przetak.

KLEOFASOWA.

Cóż dziwnego, nie zatrudnisz ich niczém, to i ze swawoli niewiedzieć co im już do głowy przychodzi.

KLEOFAS.

I czemżeż ich mam zatrudnić?.. jejmość zawsze gada jakieś androny ni w pięć ni w dziewięć..

KLEOFASOWA.

Nie gniewaj się mój Kleosiu,—lepiej oto uradz-

my czy się przeprowadzić do oficyny czy nieprzeprowadzić?....

KLEOFAS.

Trudno się nieprzeprowadzić, bo niepodobna znów panny mającej mieć milion złp. posagu, wprowadzać do oficynki.

KLEOFASOWA.

A jak Paleciński nie da tak prędko posagu, mając przyczynę gniewu, że córka pójdzie za mąż bez jego woli i że się oto wykraść da.

KLEOFAS.

Już ja tam zresztą potrafiłbym do szlachcica trafić, uprosi się księdza infułata, użyje się przyjaciół, sąsiadów, przecież tylko tego jednego dziecka jest ojcem,—niepodobna aby miał serce z kamienia.

KLEOFASOWA.

Toć już im trzeba ustąpić.

KLEOFAS.

I ja tak sędzę, i to zaraz jutro należy zaczynać, ażeby te pokoje oczyścić, odświeżyć, wywoskować, franki dać nowe, znajdzie się i reperacja w garderobie, bo się tam ściana do ogrodu wywała, a ten cieśla drapichróst miał jeszcze na jesień wyprykować;—mówiłem i Pępkowskiemu, że się też to na tych ludzi w niczem spuścić nie można.

KLEOFASOWA.

A jakżeż z przyjęciem?

KLEOFAS.

Pojadę jutro do Borucha, wezmę przynajmniej 5000 złp. i trzeba wystąpić jak się należy.

KLEOFASOWA.

Ja mam za masło i za wieprzki 23 dukaty, możesz wziąć na sprawunki, niepodobna dziecku żałować...

KLEOFAS.

Zwłaszcza, że to nasz pierwszy syn żeni się, jakos będzie i dla drugich *pevien honor* na przyszłość, gdy pierwszą synową z przyzwoitością i z wystawą przyjmiemy.

Do późna w noc rozmawiali szczęśliwi rodzice o najdrobniejszych szczegółach świetnego pani Juljanowej przyjęcia, i niewątpię, że starzy Byczykowscy wspaniale wystąpią;—zapraszam więc szanownych czytelników do Olszyna na dzień Nowego Roku, a ja tym czasem świeżą nałożę luleczkę i do Sękówki pojedę, gdyż mnie trapi jakies niemite przecucie, że młodzieniec ze zbytku szczęścia rozchoruje się i zaproszonym gościom niestychany zawód uczyni.

IV.

O ile od ostatniego listu Juljana nadzwyczajna panowała w Olszynie radość, o tyle w Sękowce u Gawęckiego i w Jasnym Dębie u pana Stanisława, posępne zwiększały się chmury, albowiem nadchodził czas ukończenia komedyi. Wprawdzie pomiędzy chmurami raz jeden cudowny promień zajaśniał, ale czy umiano z chwili korzystać, dowiemy się zaraz poniżej.

Juljan znudziwszy Palecińskiego bezczelnością kłamstw i zalotów do Wacia, od chwili oświadczyn, miał wprost dalsze odwiedziny zabronionemi, — lecz

upewniony przysięgą Wacia, że w trzecie święto Bożego Narodzenia *najniezawodniej* w umówionem stawi się miejscu, *młodzieniec drwił sobie z chimery starego* i już od tygodnia siedział w Kalwaryi u Lejby Nejtla, gdzie *na łeb na szyję*, za nową od Borucha pożyczkę, paradną bo pąsową szyli liberją, — gdzie przyprowadzono z Królewca bardzo piękną karetę, — i właśnie pan Byczykowski wyprawił sztafetę do Münhajmera w Warszawie, po ogromnej wielkości guziki herbowne, gdy przybył z Jasnego Dęba posłaniec z następującym listem od Wacia:

Panie Juljanie.

Im więcej zbliża się czas zakończenia komedji, w której pan rolę kochanka przyjąłeś, tym więcej jestem niespokojną o skutki mojej lekkomyślności—, drzę cała na myśl tajemnego wyjazdu z domu najlepszego ojca, chwieję się coraz więcej w nadziei szczęśliwej przyszłości, gdyż ciągle dręczy mnie to przekonanie, że pan przenosząc mnie nad tyle piękną, tyle uroczą, tyle zachwycającą, tyle łagodną i ukształconą Hortensją, chyba interes pieniężny, mój ogromny posąg miałeś na celu,—dla tego raz jeszcze błagam pana o szczerość. Pomnij panie Juljanie! że najpierwszym warunkiem szczęśliwego małżeństwa winna być najszczerza wzajemność obustronnych uczuć, gdyż pogwałcone serce nieubłaganą na całe życie wywiera zemstę, zatruwa wszystkie dni i godziny naszego istnienia i zwykle bogactwa zaparciem naszej godności nabyte, stają się obmierzłem i są ustawicznem przypomnieniem dokonanej podołości.

Panie Juljanie! ty się podobałeś pięknej Hortensji, ja z pewnością u ojca mego wyjednam, że z nią w dzień ślubu odbierzesz już nie pięćdziesiąt ale sto tysięcy złp. na zyskowne w naszym sąsiedztwie kupno tej samej wsi, którą tak często ojcu memu chwaliłeś; — mój ojciec, twierdząc to z niemylną pewnością, nieodmówi prośbie mojej; — wszakżeż podczas gromu dział, pod uroczystym niebios sklepieniem, przysiągł konającemu pułkownikowi, że się przez całe życie starać będzie, aby dola sieroty była szczęśliwą...

Juljanie! córka poległego żołnierza, anioł Hortensja śle ci przezemnie wyraz miłości... dla Celiny, wdzięczność wasza wystarczy... Nadto muszę ci wyznać szczerze, że ojciec mój usilnie pragnie abym rękę moję oddała Wacławowi, siostrzeńcowi pana Gawęckiego, z którym mnie łączy przyjaźń od lat dziecinnych, — i ten związek będzie dla mnie właściwszy. Wacław znakomitą i rozległą posiada naukę, byłabym umyślowo od niego niższą, — od ciebie panie Juljanie — przebacz mojej szczeroci, — byłabym o wiele wyższą; — niestosowność, która po za granicą pierwszej miłości stwarza brak tyle w małżeństwie potrzebnego szacunku dla męża... a częstokroć rodzi wstręt i pogardę.

Panie Juljanie! powtarzam! córka poległego za kraj żołnierza, anioł Hortensja śle ci przezemnie wyraz miłości... Nie wątpię, że w młodzieńczem sercu prawe uczucia pierwszeństwo nad chciwością bogactw od-

niosą, i że pan z szczerą dla mnie przyjaźnią tylko
co rychlej w dom nasz przybędziesz.

Z rzetelnym szacunkiem
zawsze dla pana życzliwa,

Celina.

Jasny Dąb 22 Grudnia 1844.

Po przeczytaniu tego listu Julisiowi ły się kręciły w oczach, serce jego drżało przyspieszonym biegiem, bo Juliś kochał Hortensję, (1) niebiańskie wdzięki Hortensji otoczyły w tej chwili wszystkie zmysł młodzieńca: widział ją w całym blasku piękności, słyszał ją w całym uroku anielskiego głosu, i już rój strzałami zbrojnych chłopczyków trzepotał radości skrzydełkiem i z figlarnym uśmiechem ciąciwę zwycięskiego łuku naciągał,—i już w górnym niebios błękitcie bóstwo hymenu ku świętej pochodni spojrzenie zadowolenia rzuciło, — i już anioł dyżurny miał chrzestne imię Byczykowskiego z chrzestnym imieniem Palecińskiej w księdze przeznaczeń, djamentowem piórem połączyć i zapisać, — kiedy w tym tak stanowczym momencie, najniezwodniej djabeł a nie kto inny, Borucha do izby wprowadził.

Czy państwo dobrodziejstwo uwierzyć zechce, że pomimo tego, iż Juljan Byczykowski do rzędu srodze głupiej kawaleryi należał, — żal mi się chłopca zrobiło gdym spostrzegł wchodzącego Borucha.

(1) Żebyście tylko nie rozgłaszali powiedziałbym wam mili czytelnicy, że i rzeczywista panna Celina, rzeczywiście się kochała w Juljanie i nie można się dziwić, bo Byczykowski, jak to wiecie, przedślicznym był chłopakiem, — a znów nie można żądać, aby w dziecieniu woda nie krew płynęła.

Na widok Borucha zarumienił się Juljan, przez jego myśl lotem gromu straszliwa przeleciała burza, ścisnęło się serce i słowa jednego nie był w stanie wymówić.

BORUCH.

Przyjechałem z powinszowaniem jaśnie wielmożnego panu Julisiowi, mężowi od panny Palecińskiej sceśliwego końca i przywoze podziękowanie od rodziców za takie wielgą radość jaką pan Juliś zrobić będzie rodzicom, a i wielgie ukontentowanie dla Borucha, co to do wszystkiego był najgłówniejsza przyczyna i namowa...

A co? nie powiedziała ja, że Boruch ode wszystkich przyjaciół pana Julisia Bczykowskiego jest nalepszy.

— Kiedy Boruch przyjechał?...

— W te minucie, jak tylko otrzymałem zawczora list pańskie zaraz wsiadłem na furmańskie brykie od warszawskich żydów, co jadą do Kowna i oto jestem w Kalwarji. — Tylko mnie coś tak uderza, że pan Juliś jakoby był smutny.., czyby się termin od panny Palecińskiej odmienił?... ny!... niech pan Bóg zabroni tego, boby to była wielga zmieszaniina; pan ojciec już wszelkich gości na Nowy Rok zaprosił, z Warszawy muzyka zamówione, tego illuminacje z kwiatami i od śpiewania ziewuchy przygotowane.

— Żadnej odmiany! na Nowy Rok przyjadę z żoną, albo sobie w łeb wypalę...

Na te ostatnie wyrazy, Boruch, któremu Juliś był winien nie licząc procentów 17,000 złp., zbladł jak na żółto ukrochmalona chustka perkalowa,—i ledwo potrafił wybełkotać:

«Co—co to jest... wus ist dos?...»

— Widzisz Boruchu! właśnie przed kwadransem odebrałem list od panny Palecińskiej, w którym bynajmniej nie cofa danego słowa, ale mnie tylko namawia, abym się żenił z jej bardzo piękną przyjaciółką, z panną Hortensją, która bawi w domu jej ojca—i przyrzeka mi...

BORUCH.

Żeby te przyjaciółke wszystkie pioruny razem zatrzaśły z jej jej pięknością, niech ją djabli porwą do piekła, żeby sobie tam poszukała kawalera;— a panu Byczykowskiego do wciurnostych djabłów co jest po pięknej panny?... panu Byczykowskiemu trzeba pieniędzy, kupa pieniędzy... czy ona tego Paleciński zwarzowała?...

JULJAN.

Nie mój Boruchu! to z jej strony udowadnia tylko bardzo szlachetną duszę.

BORUCH.

Niech ona pierwszemu lepszemu psu takie dusze oddaje.

JULJAN.

Tak gadasz jak rozumiesz, trzeba ci wiedzieć, że ona z swojego własnego majątku chce dać sto tysięcy na posag dla tej panny.

BORUCH.

Jakiego swojego własnego majątku?... tego majątek należy teraz do pana Palecińskiego, a potem będzie należał do pana Juljana Byczykowskiego jej męża od ślubu, a nie do niej panińskiego stanu. To także jakiegoś pańskich muchów ma w nosie, sto tysięcy chce dawać jakieś obcej ziewczynie?...—Czy pan już zrobił odpisanie na tego głupi list.

JULJAN.

Jeszcze nieodpisałem ale zaraz odpiszę.

BORUCH.

I cóż pan będzie odpisać?....

JULJAN.

Że jej niezwalniam z danego słowa i że nie chcę za żonę jej pięknej przyjaciółki, i że na nią czekać będę wieczorem w trzecie święto Bożego Narodzenia, w miejscu umówioném.

BORUCH.

To jest na tego Palecińskie?....

JULJAN.

Tak jest, na pannę Celinę Palecińską.

Boruch odetchnął, lecz musiało go coś w żołądku zabołec, bo jeszcze chwilę potem przyciskał obiedwoma rękami środek swojego tłustego brzucha, a Julian zaczął przy zapalanej świecy lak topić i fajeczkę rozniecić, — kwoli przeczyszczenia powietrza.

JULJAN.

Idźżeż teraz mój Boruchu do Lejby, bo ja muszę zaraz odpisać pannie Palecińskiej i niechcę abyś mi swoją obecnością przeszkadzał; jak skończę to cię zawołam. A przywiozłeś też tyle pieniędzy o ile pisałem?

BORUCH.

Niech się pan Juliś o pieniądze nie turbuje, ja nie przywiózł pieniędzy, ale jeśli koniecznie pokaże się potrzeba, to ja się będę z Neytlem wystarać (1), tyl-

(1) Zełgał Boruch bo przywiózł ze sobą pieniądze i szło mu tylko o to, ażeby mógł większy procent wyludzić, a osobno żądać faktor-nego.

ko niech pan Jułys napisze taki sam czuły list do swojej panny, jak pan napisał do pana ojca donosząc że ona już dała słowo. Jak pan ojciec przyjechał po pieniądze na te do ślubu sprawunki, to on mi przywiózł tego listu i dwa razy czytał mnie i mojej żonie i zięciom, było bardzo ładnie napisane.

JULJAN.

Ja dzisiaj jeszcze ładniej napiszę tylko muszę mieć kilka godzin czasu.

BORUCH.

Ny, ny, niech pan pisze, ja każe Lejbie żeby przymknął okienice i żeby tędy nik nie pszechodził, a tym czasem ja pomówię z tego poścancem i będę go poczęstować wódką.

JULJAN.

Tylko się zaś Boruch nie wygadaj, że w Olszynie moi rodzice mieszkają, bo ja tam w Jasnym Dębie powiedziałem, że to moje własne dobra.

BORUCH.

Pszecie ja nie głupi, — pisz pan z Bogiem, tylko z czułością, delikatnie i tak żeby ona ani jednego dnia nie zmyliła, bo wszescy goście będą w Olszynie czekali i na ten dzień wielgi się zrobi ekspens.

JULJAN.

Ale, ale, Boruchu! czy wiesz z pewnością, że papa każe illuminować?...

BORUCH.

Z wszelką pewnością wiem, bo ja na moje własne oczy widział, jak stolarz Jacek brał miarę na tego bramę od zieżinca, gdzie się dwie państwu litery mają świecić z lampami, do których ja przywiózł knoty trzysta i 6 garcy oleju.

JULJAN.

To będzie mało 6 garnicy.

BORUCH.

Bo jéjmość ma także dać tłustości ze spizarni do jakichsiś dygańców, co będą wisić na topolach przez całą wieś. Już się niech pan nieboi, takiego parade jak będzie w Olszynie, to jeszcze nikt na świecie nie widział, całe kuźnia będzie także z dygańcami obstawione, i na samym wierzchołku od kuźni będzie jedne donicę z tłustością także się palić, a przy mostku od granicy to pan Zdzisław z braćmi mają konno wystrzelić jak wielmożny pan przyjedzie ze swoją żoną do granicy, i już oni potém od tego karety nieodstąpią aż do samego przededwór. Mnie pan Zdzisław każdą rzecz opowiedział.

JULJAN.

Wszystko więc będzie dobrze; — teraz tylko mój Boruchu nieprzeszkadzaj mi i przyjdź dopiéro za dobrą godzinę a ja ci także opowiem, jak ja umyśliłem do Olszyna przyjechać.

BORUCH.

Er hot Recht — ny! ny! ja już będę iszć.

Boruch wyszedł a Juljan usiadł za stolikiem, wziął pióro do ręki, wierzchni koniec tegoż pióra włożył w usta, ścisnął zębami i nieruchomo siedział przez cały kwadrans; potém wstał, przeszedł się trzy razy przez izbę, znowu usiadł, przyłożył do papieru w atramencie umoczone pióro, wielki palec od lewój ręki na pół paznokcia w ustach zanurzył i drugi kwadrans

dumał nad treścią listu pisać się mającego, wreszcie o trzy kwadransie na osmą tak pisać począł:

Celino! Aniele życia lub śmierci!... Ubóstwiona istoto! ideale mojego szczęścia na ziemi!... moja ty moja Celino!

Litery anielską rączką Twoją stawiane, litery, które zrosiłaś promienieniem Twojego Boskiego spojrzenia, odebrałem przed chwilą. Celino! ty mnie tylko doświadczać chciałaś, ty nie jesteś zdolną poić się krwią moją.— Nie, nie Celino! niebyłoby Boga na błękitnych nieba obszarach, nie byłoby Boga na ziemi, która co wiosnę milionami kwiatów jaśnieje, — nie byłoby władzy nad szatanem piekieł, który w ciemnościach kuje rodu ludzkiego nieszczęścia, — gdyby treść twojego listu była wiernym odbiciem twojego uczucia. Celino! to tylko było Twojem marzeniem, Ty tylko twojego Juljana chciałaś przerazić najokropniejszą na świecie groźbą, aby tém silniej ocenić umiał szczęście posiadania Twojego serca. Celino! życia mojego życie! to był tylko żart Twojej ku mnie miłości... I czemżeż są słabe wdzięki Hortensyi przed Twojem Anielskiem obliczem,— czemżeż jest jej słabe uczucie przy Twojem sercu, w którem harmonja całego świata dźwięczy lutnią zbawienia, — czemżeż jest jej słaby umysł, przy potędze Twojej nieskończonej wiedzy, — czemżeż jest jej nieudolna dusza, przy Twojej duszy, która całą ludzkość ogarnia i za granicę pojęć człowieka przechodzi. — Celino! w liście swoim wspominasz o Twojej umysłowej wyższości nademną, przyznaję Ci najzupełniejszą słuszność tego zarzutu, ależ czyli miłość moja ku Tobie, miłość niedościgłej potęgi nie nadgrodzi Twojemu sercu ujemniej strony

mojego jestestwa?... Celino! jeżeli jednakże dane mi przez Ciebie słowo ma być dla Ciebie źródłem przykrego w przyszłości uczucia, uwolniam Cię od tego słowa i tylko pragnę, abym się w Twojej pamięci wielkością moją dla Ciebie miłości uwiecznił, bo przysięgam na święte popioły moich naddziadów Byczykowskich, na herb naszej rodziny, na honor nieskazitelnej duszy mojej, na wszystkie siedm ran Chrystusa Pana Naszego, że jak w dniu 27 grudnia przed północą nie przyjedziesz w umówione miejsce, aby los przyszły ze mną podzielić, ja przez pośrednictwo prochu, z dwururnej strzelby czaszkę głowy mojej na drobne kawałki roztrzaskam, aby Cię przekonać, że Cię Celino kochał nad życie moje, nad zbawienie duszy mojej. Czekam jutro Twojej odpowiedzi a tym czasem o tém Cię tylko zapewnić mogę, że w godzinę mojego skonu, usta moje słowa Ludgardy powtórzą: **„Okrutna żyj szczęśliwą!”**

Moja ty moja Celino!

Twój do śmierci.

Juljan Rozmian Byczykowski.

Pisałem w Kalwaryi d. 19 Grudnia 1844 r.

P. S. Gdym list ten ukończył odebrałem z domu wiadomość, że najświetniejsze dla Ciebie przyjęcie jest przez rodziców moich rozporządzone. Wczoraj przysłano mi nadzwyczaj piękną karetę i pąsową dla ludzi liberją,—nieszczęśni! niedomyślają się, że w chwili kiedy oczekiwać będą na tkliwe uściski synowej, kir śmierci syna, serce rodzicielskie wieczną okryje żałobą. Raz jeszcze powtarzam: **„Okrutna żyj szczęśliwą!”**

V.

Ponieważ bieg czasu z odwiecznych niepojętego Boga rozkazów, od stworzenia świata ani się jednego razu ani na jedną nie zatrzymał chwilę,— cóż więc naturalniejszego jak to, że i do Olszyna rok nowy czyli dzień 1 stycznia 1845 roku, zaraz nazajutrz po 31 grudnia, na całe 24 godzin zawitał.

Czy to w skutku zburzenia krwi z niezwykłych od kilku tygodni zatrudnień wynikłego,—czy też z radosnej niespokojności umysłu,—albo li też z tej przyczyny, że wiatr przez niezaklejone jeszcze dziury we drzwiach pierwszego pokoju oficynki, z wiatrem od komina jakąś świstającą prowadził rozmowę,—czy też z innych mnie wcale niewiadomych przyczyn, dosyć, że Kleofas Byczykowski zaraz po północy snu pozbawiony, słyszał godzinę 1, 2 i 3, i gdy kwadrans na ściennym zegarze uderzył,—wstał, ubrał się i poszedł do dworu, gdzie sprowadzony z Warszawy tapicer ostatnie do firanek przypinał kokardy, a froter czwarty już zaczął pokój woskować. Obejrzawszy wszystko we dworze i zachęciwszy frotera do pospiechu, pan Kleofas udał się następnie do kuchni. Tutaj aż trzech kucharzy w białych szlafmycach, w brudne zakasanych fartuchy, zajmowało się właśnie wysadzaniem z pieca pasztetów i lukrowaniem ciast piramidalnych, chwiejących się na 12tu fajansowych półmiskach,—kolorowym papierem wyklejonych.—Dalej zwiedził pan Kleofas izbę folwarczną, gdzie stary ogrodnik z dziewczkami wiązał z gałązek odłowych, sosnowych i świerkowych i z tak nazwa-

nej borówki, zielony łańcuch, 400 łokci długości mający, na zrobienie w około dziedzinca strojnej opaski.

— A cóż Grzegorz! wystarczy 400 łokci na cały dziedziniec..... — zapytał ogrodnika Kleofas.

— Wystarczy, jeszcze się zostanie na girlandę do siennych drzwi we dworze, — odrzekł pracowity Grzegorz.

— A wszakże drzwi sienne mają być przystrojone kwiatami przywiezionymi z oranżeryi pana hrabiego.

— Proszę wielmożnego pana, te kwiaty pójdą wszystkie do sypialnego pokoju i ustawią się na ceglach, tak samo jak podczas lata przed oknami jejmości, — od dołu większe doniczki, na samym zaś wierzchołku będą dwie najmniejsze doniczki z kwitnącemi różami, piękną wstążeczką ze sobą związane.

— Mój kochany Grzegorzu, dostaniesz od pana Juljana kilka talarów za ten przewyborny koncept. Otóż mi stara głowa a myśl jara, lepiej nie można było wymyślić. Tylko się spieszcie z tym łańcuchem, żeby już przed południem był porozwieszany.

— Wielmożny panie na południe będzie wszystko gotowe.

Tym czasem dzień się rozwidnił, ogólny rozhor wszczął się na całym dziedzincu i bez żadnego względu na uroczystość kościoła katolickiego, — huk, stuk, gwar robotników, roskazy Kleofasa i czterech młodych Byczykowskich, krążyły we wszystkich zakątkach Olszyna. Stolarz Jacek ustawiwszy na wierzchołku bramy, ogromnej wielkości litery drewniane:

J. C.

przybijał druty i zawieszał lampy; — 25 fur włościańskich i 4 fornalki i dwie pary osłów, rozwodziło piasek rzeczny na drogę i ścieżki; — w browarze pod dyrekcją Zdzisława 12 dziewczyn w ostatniej próbie odśpiewywało hymn przyjęcia;—Grzegorz ogrodnik rozwieszał już ukończony zielony łańcuch;—pastucha i dwóch karbowych ustawiało kagańce,—ekonom Pępkoski z nadwornym cieślą na moście przed bramą, dwie sadzawki rozgraniczającym, nowe układał bale;—trzech żydków z najbliższego miasteczka malowało poręcze i słupy, — a i kowal miał zatrudnienia podostatkiem. Dopiero o godzinie 4 z południa roboty publiczne ukończone zostały —a zaczęło się równocześnie ubieranie państwa i służby dworskiej. O godzinie 6 ostatnie z kuchni wysłano żelazka do zwijania włosów pana Zdzisława — a o wpół do siódmej, wszyscy czterej bracia wyfryzowani, wypomadowani, w granatowych frakach, w białych rypсовых pantalionach, z nowemi białemi rękawiczkami, z kapeluszami w ręku, przybyli do oficyny,—skąd jegomość w galowym fraku i jejmość w karmazynowej aksamitnej, Zosia w różowej krepowej sukience, już się do dworu prowadzili.

Niezadługo poczęli się zjeżdżać goście i w przeciągu niespełna dwóch godzin,—4 karety, 19 landar oszklonych, 3 landary z fartuchami skórzanemi, 28 koczów półkrytych i jedna ogromna baszarda, matka wszystkich pojazdów z całej okolicy, i 7 kawalerskich najtyczanek — i kilkuset wieśniaków z Olszyna i sąsiednich włości, i tłum liberyi, i mnóstwo żydów z pobliskiego miasteczka i dzieci co nie miara, i psy dworskie i psy wiejskie, i pawie z pod szopy

światłem lamp wystraszone, i zabłąkana ze wsi gromadka prosiąt, i osiodłane dla młodych Byczykowskich wierzchowce, — to wszystko przepełniło dziedziniec, i był gwar i hałas syczeniem i pstrykaniem kagańców zwiększony, — gdy przyjechał nakoniec także i oczekiwany ksiądz infułat, pokrewny pani Byczykowskiej, który przyrzekł oblubieńców szluby nym połączyć węzłem.

W ostatnim liście zapewniał Julian, że na godzinę 9 przyjedzie z najdroższą swą oblubienicą najniezawodniej. Pół do 9 na zegarze brązowym w pokojach bawialnych jęknęło, spojrzeli wszyscy na kieszonkowe zegarki, czterech braci Byczykowskich spojrzęło na ojca, — dał znak jawny, młodzieńcy pokłonili się księdzu infułatowi i zgromadzonym gościom, — wyszli do sieni, podano im prochem nabite pistolety, siedli na suto przybrane rumaki i puścili się kłusem przez gorejący dziedziniec, przez wieś 300 kagańcami owidnioną, — na zachodni północ, ku granicy do mostku, gdzie na pierwsze przyjęcie państwa młodych oczekiwać mieli.

Im więcej zbliżała się stanowcza rodziny Byczykowskich chwila szczęścia, tém powszechniejsze stawały się powinszowania i życzenia rodzicom Juliana składane, które pan Kleofas przyjmował z wdzięcznością, — najbliższemu zaś sąsiadowi panu Cielątkowskiemu, (1) dziwiącemu się że pan Juljan w tak krót-

(1) To niebył pan Wojciech, którego żona otworzyła salony literackie, (jak o tém w jednej z moich ramotek napisałem) ale pan Hijaeynt, który się ożenił z córką pana Brzękalskiego, sławnego dowodzeniami, że chłop polski nie jest wdzięczen panom swoim, za odbierane łaski i dobrodziejstwa, — a więc że niezasługuje na żadne względy jaśnie wielmożnych i wielmożnych dziedziców.

kim czasie tak wielkiego dopiął celu, odpowiedział z pewną dumą: „to co dla wielu byłoby niepodobieństwem, dla Bczykowskich jest rzeczą łatwą i najnaturalniejszą“ — gdy w tem rozległy się w ogrodzie dworskim powtarzane wystrzały, umówiony odgłos wystrzałów przy granicy Olszyna. — „Jadą! jadą!“ zawołali wszyscy. ‘Oczy Kleofasa zaiskrzyły się najwyższem w jego życiu uczuciem, i zapominając że się wpośród stu pięćdziesięciu spółobywateli znajduje, donośnym zawołał głosem: „Pępkowski! nad stawami race wypuszczać! gajowi niechaj z dubeltówek strzelają! na wszystkich słupach smołę zapalić!“ i tłumem ciekawych otoczony, wyszedł przede dwór i wionął białą chustką w powietrze.

— I rozpoczął się trzesk, huk, łoskot, a płomień tysiąca świateł noc ciemną w dzień najjaśniejszy zmieniły...

Za chwilę słyszyć się dała trąbka pocztarska, ujrzano karetę czterma jeźdzcami otoczoną.

Przy bramie dziedzinca ozwał się nieco piskliwy, ale zawsze choralny śpiew:

Pani! Pani!

To my sami

Lud Twój wita Cię!

Pani! Pani!

To my sami

Lud Twój korzy się!

Pani! Pani!

Rządź nad nami!

Olszyn prosi Cię!...

Pani! Pani!

Tutaj szczęście,

Tu zamęcie

Czeka Cię!...

Wreszcie po improwizowanym na tę uroczystość bruku, zadudniła ogromna karetą, poczylił na skrecie dwa razy z bicia wypalił i przed samym dworem konie w biegu zatrzymał. Skoczyła młodzież do otworzenia karety... Kleofas i Kleofasowa stali na ganku, wieńcem obywatelstwa otoczeni...

Otwierają drzwiczki karety, chwytają pod pachy, — wysiada:

ŻYD BORUCH!....

i nikt więcej, bo nikogo więcej nie było w karecie.

Najokropniejszą na całej ziemi krótkotrwałą ciszę przerwał nagle śmiech szalony, śmiech bez końca, jakiego jeszcze nikt nigdy pod słońcem nie słyszał...

Lecz przez ten śmiech kilkuset osób przedarł się bolesny zawrzask matki:

«Gdzie jest mój Juljan, syn mój ukochany!?!...»

I głos ojca:

«Żydzie! gdzieś syna naszego zostawił!?!...»

I głos siostr i braci:

«Żydzie! gdzieś brata naszego zostawił!?!...»

Boruch z rozczochanami pejsami trzęsący się od strachu, tocząc wzrok nieśmiały po braciach Byczykowskich, których żelazne dłonie w silnym trzymały go objęciu, odezwał się w końcu:

— Te pannie Palecińskie to był chłopiec, pan Jułys został zmartwione w Kalwarji, a ja w mojego własne karety co ją odebrałem panu Julyszowi, na koszt

starszego pana pszyjechałem z extrapocztą donieść, że z wesela nic nie będzie, tylko ja się spóźniłem o dwie goziny, bom wstąpił do mojego szwagra we Siedlcach.

* * *

W kilka tygodni później, Kleofas Byczykowski zeznał przed rejentem w mieście Biały, dług 25,000 złp. na rzecz starozakonnego Borucha i podpisał dla tegoż Borucha kontrakt dzierżawy folwarku Zajadały na lat 6, z prawem gorzelni i propinacji na całych dobrach Olszyna, (biednych chłopków do reszty rozpoi).

Juljan po odbytych pojedynku bez krwi rozlewu, gdy w parafii Jasnego Dęba wyszła pierwsza zapowiedź Wacława z Celiną, wyjechał w okolicę nad rzekę Wieprz,—w zamiarze starania się o rękę pani Kurkowskiej, wdowy już nie młodej ale bardzo majątnej. Nie wątpię, że syn obywatelski dopnie swego celu i że się bogato ożeni, a tём samém wywiąże się z długi i zaprosi nas na huczne przenosiny. Przynajmniej do mnie mówił, że się nie obej dzie bez Gucia, to jest przez niżej podpisanego autora tój ramotki, który całej rodziny Byczykowskich pragnie na zawsze pozostać najwierniejszym kronikarzem a dla miłych czytelniczek zawsze na rozkazy—
powolnym sługą.

Au: Wi:

Ch: fl. k. n. k.

Szacowny Dzwonie!

Niegrzeczny los, ten co to ma najdziwaczniejsze muchy w nosie, mnie człowieka dobrego urodzenia, który przez lat 15 trudnił się wyłącznie gastronomją i próżniactwem na pańską stopę, — nagle w literata przemienił, dowiedziawszy się bowiem, że ostatni groszyk z mojego przyzwoitego niegdyś majątku wydał na bilet do krzesła w Rozmaitościach, skorzystał ze sposobnej chwili, pochwycił grubjanin za kołnierz i zaprowadził w obowiązki bibliotekarza, — wprawdzie przy prywatnym ale bardzo znakomitym księgozborze. Otoż od rana do wieczora księgi z kurzu ocieram, ustawiam i spisuję.

Właściciel tego księgozbioru jest mężem postępowym, kupuje wszystkie księgi, jakie tylko wychodzą, a ja z nudów czytywać je muszę, — czyliżbym ci więc nie mógł przysyłać tabelek bibliograficznych? przez co Twój czytelnicy mieliby zawsze regularne wiadomości o nowo wychodzących dziełach, gotów nawet jestem przy wymienianiu ty-

tułów, domieszczać króciuchny sąd mój o każdej książeczce, co by ci szacowny Dzwonie bynajmniej nie przeszkadzało do pisania obszerniejszych rozbiórów, o ile obszerniejsze rozbiory potrzebnemi będą.

Nadto, trawiony wyrzutami sumienia, żem 15 lat niewrotnego czasu zmarnował, sypiać niemogę i stąd często pod czas nocy przechodzę się po pokojach księgami napełnionych i słyszę wszystkie kłótnie pomiędzy książkami. Niektóre z tych kłótni wyjaśniają mi nieznaną dotąd prawdę, nie które mnie bawią swoim dowcipem, inne znów łyżę cisną do oczu, — możebym ci mógł służyć ciekawszemi ustępami z tych kłótni. Niechbym był chociaż w drugiej połowie mojego życia czemkolwiek dla powszechności użytecznym.

Czekam na odpowiedź i serce Twoje

szacowny Dzwonie

szczerze całuję,

Spiridjon Tryllerski.

były gastronom, obecnie bibliotekarz i własnych dochodów inspektor.

Pisałem w seledynowym pokoju,

5 Grudnia 1845 r.

więcej — Tu czemu tedy Ci, abyś na noc ustawił
takie książki przy sobie, które mają do siebie
zg. kuzyni, złość, nieprzyjaźń, — i w ów czas
dobro mnie wyprowadzić i w roku wybrać do
to, a kochać jak się uważa i jak cudość
dla światu wywodzić.
Trzeba tylko się w pracy dawać i
jakiś ten i często mi swoje sprawozdanie przy-
syłać.

Jeśli mi dasz, poznam Cię osobiście je-
szcze
dziennie zastawiać moim 0 — 11 rano i od
7 — 10 wieczorem — mieszkać przy ulicy Szostak-
skiej nr. 107 lit. B. wprost Alaksandrowa nr. 00.
Reformatorów. W dziedzinie hierz się na ławni mają

Laskawy panie Tryllerski!

Odezwa Twoja rzetelną mnie napełniła radością,
że nasz Dzwon i takiego próżniaka jakim byłeś, do
spólnej pracy pobudza. Tabelki bibliograficzne przy-
jęm z wdzięcznością, albowiem czytelnicy Dzwonu
rzeczywistą znajdują usługę, gdy mieć będą regu-
larny spis dzieł nowo wychodzących, — nie jeden na-
wet podobnemi bibliograficznemi wiadomościami, bę-
dzie mógł pokryć swoje literackie próżniactwo, a może
i kogo zatumanić w salonach, wymianianiem napi-
sów i krótkich sądów o dziełach świeżo wycho-
dzących, — wielu zaś znajdzie właściwe przypom-
nienie do nabycia dzieł pożyteczniejszych. Proszę
cię tylko szanowny Dobrodzieju, abyś mi zawodu
nieuczynił i rzezone tabelki regularnie przysyłać
raczył.

Co się tyczy kłótni pomiędzy książkami, spisuj
je Dobrodzieju co do słowa i dawaj ich co naj-

więcej, — ku czemu radzę Ci, abyś na noc ustawiał takie książki przy sobie, które mają do siebie urażę, zawziętość, złość, nieprzyjaźń, — i w ów czas dopiero miej wprawne ucho i w rękę szybkie pióro, a zobaczysz jak się ubawisz i jak cudną łaskę dla Dzwonu wyświadczysz.

Tryllersiu! tylko się w pracy dawnym zwyczajem nie leń i często mi swoje sprawozdanie przysyłaj.

Jeżeli mi czas pozwoli, poznam Cię osobiście jeszcze dzisiajszej nocy, Ty zaś, prócz wtorków, codziennie zastać mnie możesz od 9 — 11 rano i od 7 — 10 wieczorem, — mieszkam przy ulicy Senator-
skiej Nr. 467 lit. B. wprost klasztor-
nego muru OO. Reformatów. W dziedzincu bierz się na lewo; mijaj
introlligatora i winduj się na 2 piętro, a trafisz
najniezawodniej.

Do widzenia Łaskawco—

serdecznie obowiązany

Au: Wi:

Ch: fil: k: n: k:

Pisałem w kanarkowym pokoju, na jesionowym stoliku,
przy weneckim oknie, — 9 Grudnia 1845 r.

AUGUST CIRSZEKOWSKI

i jego prace

przez

Fr. Henryka Lewestama.



Mało jest u nas imion głośnej sławy, któreby w szczęśliwym polocie przeszły po za szczerpłe swojskiego zakresu granice, — mało takich, którymby los przyjazny dozwolił, do obcych także piśmiennictw przemówić głosem poważnej nauki, albo nawet ustanowić wieloznaczną odnogę w jakiegokolwiek z gałęzi cywilizacji człowieczeństwa. Wyznajmyż to nareszcie przed samymi sobą, że ubodzy jesteśmy, tam gdzie idzie o określenie rzeczywistej i trwałej wartości utworów naukowych, — ubodzy, tam gdzie reszta uczo-

nych prowincji europejskich po równych prawie częściach się składa na ustalenie nieodpartych epok w dziedzinie wiedzy ducha ludzkiego. Nader małe są nasze zasługi,—w wielu razach prawie żadne i żadne. Jeżeli z jednej strony ta okoliczność winna pobudzić działalność naszą do wynagrodzenia wszelkich szkód i straconych korzyści, któreśmy tą przodków naszych i własną, czy obojętnością czy nieudolnością, ogólnej sprawie europejskiego postępu wyrządzili, tedy z drugiej strony sprawiedliwym ona nas żalem przejmuje, zmniejsza naszą odwagę, i co najgorsza, o własnych siłach powątpiewać nam każe. Na takie złe nie masz innego lekarstwa, jak dobrze się otoczyć blaskiem owych kilku imion wybranych,—należycie sobie wyobrazić trudności, jakie miały do przewyciężenia, zanim się na wielki gościniec przedarły, i napawać się nadzieją, że podług wyrzeczeń mędrca perskiego, nadejdzie dzień, w którym wyjątki staną się prawidłem, a podstopia wzgardzonych wyżej pójdą nad szczyty cedrów Libanu. Dla tego to owych imion nie powinniśmy uważać za proste tylko złotego kruszcu wyciski, które bogacz obojętną ręką do obfitego skarbcu dorzuca, już się bliżej o nic nie troszcząc, przekonany że obowiązkom swoim zadość uczynił, jeśli ich bytność w tymże skarbcu liczebnie wykaże:—ale powinniśmy je pielęgnować jak lubownik nader rzadkiego kosztownością swoją brylantu, który tego króla kamieni w każdej fasetce dokładnie przepatrzy, tu i owdzie małoznaczną rysę zaciera, albo go z lekkiego śladu pierwotnej ziemi oczyści,—szcząc się jego rzadką pięknnością, a więcej jeszcze niewątpliwem prawem posiadania.

Do małej liczby takich inion w naszej literaturze bez zaprzeczenia należy przedmiot dzisiejszej naszej próby,—*August Cieszkowski*.

Zanim pojedyncze prace Cieszkowskiego po szczególe przejdziemy, zastanówmy się nieco nad dzisiejszym stanowiskiem filozofji w ogólności, i nad stanowiskiem, jakie nasz autor do tejże nauki wprowadzić usiłuje. Wiadomo, że reakcja ostatnich lat w historii i w polityce, była także reakcją filozoficzną: wszakże widoczny brak wszelkiej oryginalności i ducha samodzielnie płodnego, spowodował osłabnięcie siły spekulatywnej, i dla tego to głównie widzimy przestarzałe sławy, jak np. i przed wszystkimi *Schellinga*, bez względu na otaczający go zewsząd pośpiech postępu, w swobodnym pochodzie i w rokosznem spożywaniu. Walki już prawie ustały i wszyscy równoległemi drogami jednakowo od celu swego się oddalają. Nowsi filozofowie zgromadzają się w okół naczelników jakiegokolwiek stronnictwa, różnie ugrupowani, niektórzy z bliska, niektórzy ściśle zjednoczeni, inni tylko połową, inni w rozmaitych modyfikacjach i cieniowaniach. Wszakże *dwie* są charakterystyczne cechy dzisiejszej spekulacji: dążenie do gruntownej metody filozofowania, która tém łatwiej da się osiągnąć, ile że w szybkim następstwie wszystkie prawie kierunki jej przebieżono; — dalej zamiłowanie w zastosowaniu i w wyjaśnieniu prawdy już istniejącej, oraz w jednoczeniu jej z realnością i z rzeczywistymi potrzebami i faktami ducha ludzkiego. Nie ujmował się z pod takiego wpływu *August Cieszkowski*, i jeżeli wymagania wieku mogą uleść zarzutowi, tedy zbytek ustąpień tymże wyma-

ganiom, raz w pedantycznym prawie przeprowadzaniu metody dialektycznej, powtóre w nieodpowiedniem jego zakresowi filozoficznem obrabianiu niektórych przedmiotów, dla tego wszakże nie będących jeszcze filozofją, główną stanowi podstawę zarzutów przeciwko Cieszkowskiemu czynionych.

Pierwszą znakomitą pracą Cieszkowskiego są: *Prolegomena do Historjofzji*. *) Wyjaśnienie, dlaczego autor swego dzieła nie nazwał raczniej *Filozofją Historji*, będzie zarazem wyjaśnieniem całej jego dążności. Cieszkowski, stojący na podstawie dialektyki Hegłowskiej, ale stojący na niej, jak się w innym miejscu wyraża, **) z śmiałością równego, tak iż nieraz mistrzowi ostro w oczy zagląda, ujął się przeciwko niedostatkowi w metodycznym przeprowadzaniu niektórych głównych oznak spekulacji Hegłowskiej, i tego, co Hegel uczynił dla swojej Logiki wewnętrznego myślenia, chce dopełnić dla innych gałęzi filozoficznych. Tak jak w ogóle *filozofja*, mówi, od Pythagorasa aż do Hegla była jedynie *zamiłowaniem mądrości* (filozofją), a przez Hegla dopiero podniesioną została do powagi samejże wyłącznie *mądrości* (Zofji), tak też i *Filozofja historji*, póki by obejmowała jedynie obszar rzeczy istniałych (faktów i wydarzeń), nie mogłaby przejść w prawdziwą *Zofję historji*, której przedmiotem jest cały organizm świata we wszystkich swoich członkowaniach, od dojrzanego

*) *Prolegomena zur Historiosophie* von August von Cieszkowski Berlin, 1838, bei Veit und Comp. in 8. str. 157.

**) W swojej rozprawie o *Filozofji Joński*, w tomie I. Bibl. Warsz. z 1841 roku.

początku aż do przewidzianego końca historii. Dlatego to Cieszkowski, odrzucając podział Hegla na cztery, główne okresy dziejowe (wschodni, grecki, rzymski i chrześcijańsko-germański) w śmiałym dążeniu za metodą ustanawia trzy światy odrębne: *Starożytny chrześcijański*, i logicznie wywindykowaną *przeszłość*, którą za część nieodłączalną całości historycznej uważa. Aby dojść do takiego przeprowadzenia *Trychotomji*, czyli, jakbyśmy ją raczej nazwali, *Trymureji* historycznej, nader bystrego używa procesu duchowego: wykazuje bowiem konieczność zupełnego ogarnięcia całości i możność poznania niezajomiej ze znajomiej części organizmu historycznego. Świat starożytny czyli klasyczny, jest więc według niego wynikiem *zmysłowości* i zarazem *oderwanej idei prawa*,—świat chrześcijański w kontrastie z poprzednim okazuje się światem wewnętrzną *świadomości*, i prawa podniesionego do potęgi *moralności*; —świat przyszłości będzie zetknięciem się *czynu* z *wolą*, będzie spojeniem się bezpośredniego czucia z pośrednią wiedzą, będzie *rezultatem piękności i prawdy*.

Tak ustaliwszy swój zuchwały pogląd na bezwzględne kroczenie ducha wszechświata, w czém niezawodnie główna jest i najogromniejsza jego zasługa, przechodzi Cieszkowski do drugiej części swego obrazu, do kategorii na jakich swój pomysł wykazać zamierza. Część ta nierównie słabsza od poprzedzającej, bo w kategoriach filozoficzno-historycznych wszystko co stanowi rzeczywistą i oczywistą ich prawdziwość, może wprawdzie być uzupełnionem, ale nie odtworzonem,—a tam, gdzie Cieszkowski chciał pokazać swoją oryginalność, jest on wprost tylko dowcipnym i bawiącym

Mówimy tu o jego historjozoficznem pojęciu fizycznego świata, które to pojęcie w całej swej mistyczności przypominałoby raczjéj jaki wpływ mądrości średniowiecznego adepta: boć i filozofja natury już się przeżyła, owa filozofja kory i ziarna, albo współśrodkowych kół organizmu wszechświata. Chcąc dać czytelnikowi wyobrażenie o sposobie, w jaki Cieszkowski tę Filozofję w zakres swojej Historjozofji wprowadza, powiemy, że według niego *Persja* oznacza światło, *Chiny* mechanizm, *Grecja* elektryczność, a mianowicie *Ateny* elektryczność dynamiczną, *Sparta* statyczną, *Macedonia* elektromagnetyzm; *Rzym* jest ciepłikiem, *Wieki średnie* processem chemicznym, w którym *kościół* wyobraża kwas, a *władza świecka* niedokwas, i że teraz na nowo zasiedliśmy w *stadjum mechanicznem*, — z czego wnosi, że przyszłość wyrodzi całkiem nowy i spojony we wszystkich częściach organizm, którego członkami będą wszystkie siły nieorganiczne. W swoim obrobieniu kategorii antropologicznej, bardziej jeszcze w logicznej, w których Cieszkowski nie może odeprzeć licznych poprzedników, i w których dlatego mniej się żądzą oryginalności unosi, jest on znowu samym sobą, i arcydziełem nawet nazwiemy jego pogląd na dzieje, nie jako w duchu mikrokozmicznym, lecz jako na najdokładniej urządzony *makrokozmi*; albowiem Historja powszechna nie jest analogją wszystkiego co się działo, ale *sama* jest wszystkiem, i niczego z siebie nie wyłącza. Historja powszechna, mówi, jest to *sensorium commune* wszechświata,—jedno tylko jest nad nią: *Duch absolutny, Bóstwo*.

W rozdziale trzecim, obejmującym *Teleologię*, czyli dążność Historji, znowu Cieszkowski ustana-

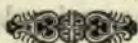
ustanawia organiczny systemat rozwinięcia, — począwszy od idei bezpośredniej, czyli od piękności i sztuki, objawiającej się w estetycznym ukształcaniu człowieczeństwa, aż do myśli filozoficznej, ukazującej się w koniecznej świadomości i w wolności duchowej, i nakoniec do działalności wiedzy i woli, czyli do praktycznego wykonania tego, co duch nasz uczuł, co poznał i czego zarazem zapagnie. Jest to panowanie piękności, prawdy i dobroci, czyli, jak się autor w rezultacie wyraża: Historja powszechna jest processem rozwinięcia ducha ludzkości w *uczuciu*, w *świadomości* i w *czynnym* jego udowodnieniu.

Zaprawdę widok czarujący! podobna przepowiednia, która w logicznej swój ścisłości gubi wszelkie oznaki łudzącego marzenia, powinna nas pogodzić z niejedną niesprawiedliwością historji, i jeżeli, jak sądzimy, taki był cel właściwy pracy Cieszkowskiego, tedy cześć jemu, że podniósł upadające umysły za pomocą najsilniejszej dźwigni, jaka istnieje w dziedzinie możliwości, za pomocą niezbitcie dialektycznego rozumowania.

Podkładając taki cel autorowi, wybaczymy chętnie wszystkie chyby drobniejsze, które mu się tu i owdzie, szczególnie w prygmaticzno-historycznych wyobrażeniach, wymknęły:—snać, że całkiem tylko myśliciel, wyrobił sobie logiczny bieg swego dzieła, mniej się nawet troszcząc o szkielet dziejowy, do którego filozoficzne miał ciało i dialektyczną epidermę przyczepić. Czyn samoistny, świadomy siebie, zgodny z sobą, czyn boskiej sprawiedliwości w ludzkim wykonaniu, przyświecał mu jako sternik przez ten ogrom konieczności dziejowych:—i chociażby nawet nigdy

nie zamyślił przystąpić do wyrobienia wielkich w ma-
 łej tej książeczce porozrzucanych idei, choćby z *Pro-*
legomenów, tyle organicznego życia wykazujących,
 nigdy organiczne nie wyszło dzieło, zawsze powie-
 my, że Cieszkowski wywiązał się ze swego zadania
 w sposób wielki i szlachetny.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O LICHWIE I O LICHWIARZACH.

Wiek dziewiętnasty zapewnił panowanie
kapitału.....

Wyjątek z jakiejś ekonomii politycznej.

Nie myślę się wdawać w obszerne wywody, jaki był początek lichwy, kto ją w użycie wprowadził, kto jej zasadę rozwinął, jak wzrosła lub jakie przechodziła koleje, czy jest konieczną wynikłością stosunków ludzkich, czy też anormalnym stanem, czy etc. etc... Rzecz to nie moja, na to są inni głębcy myśliciele, ci nam wykażą, gdy zechcą, jako lichwa była przed potopem jeszcze, jako w księdze praw Menu lub w Konfucjuszu szerokie o niej traktaty, jako chrześcijaństwo, do którego dziś wszystko

tak umiejętnie ściągają, przytłumił ją lub rozwinął,— bo zdanie tutaj zależy od osobistego usposobienia, a bardziej jeszcze doświadczenia autora. Ja tylko mówić będę o tém, co widziałem i na co patrzymy wszyscy, chociaż nieraz dobrze nie widząc; przykłady dla życia, rozumie się praktycznego, lepsze jak teoria. Kapitał dziś panem, potęga w dłoni bankierów, uderzenia sakiewek pełnych zastąpiły uderzenia miecza; brzęk dukatów zagłuszył huki trąby i okrzyków stawy, wexle nieprotestowane, dobrze widziane na giełdach, zajęły miejsce najbardziej pożółciałych pargaminów z najogromniejszymi z czerwonego wosku pieczęciami. Wszystko ustąpiło przeważnej sile kapitału, oprócz mu się śmiała, tylko myśl, z nią on jedynie wiedzie walkę, ale walkę ostrą, zaciętą. Zmóźdz jej nie zdołał, bo jej siedlisko zbyt wysoko, kupić jej nie może, bo na nią ceny niema, więc ją podkopać powoli pragnie, stawiając naprzeciw niej użycie. Gdzie myśl jest słaba, początkowa, niewyrobiona, tam kapitał zwycięża, tłumi, kale, topi ją w użyciu i zwycięsko potem głowę swą podnosi.

U nas myśl w ogóle nie mogła się jeszcze rozwinąć, wątki, młodociana, namiętności użycia niedołącznie się opiera, stąd ta gwałtowna potrzeba pieniędzy, nieodpowiednia możności ogółu, ani możności indywidualów. To pragnienie wyradza niebaczną na środki w dostaniu, a jednym z nich, najprostszym, najmniej niegodziwym dla pragnącego, jest lichwa. Ma ona swój wpływ wszędzie i w każdym kraju; napotkamy spekulujących na potrzebę, na namiętność drugiego, ale nigdzie nie doszła ona stosunkowo do tak olbrzymich rozmiarów, nigdzie mniej hańby na

siebie nie ściąga, nigdzie jej stopa nie jest tak wysoką, jak w naszym kraju. Lichwa u nas nie wyrodziła się jedynie z upadku umysłowego, z braku w indywidualach szlachetności uczuć, przytępionych chęcią użycia, ale i z rozdziału dziwnego, jaki panuje w kraju pomiędzy klasą używających a mogących, potrzebujących a zasobnych.

W jednej kascie wszystkie żądze, wszystkie potrzeby, w drugiej wszystkie środki, wszystek kapitał kraju,—w jednej rozrzutność, nieopatrność, lekkomyślność, w drugiej oszczędność, sknerstwo, wyrachowanie. Tu ogień, tam woda. Któryż z dwóch żywiołów zwycięży? W ciągu nie badań, bo powierchowne spostrzeżenia może na tę poważną nazwę nie zasługują, w ciągu patrzenia się na świat nasz wyciągnąłem niektóre wnioski ogólne:—lichwa najwięcej nurtuje naszą młodzież. Po trzydziestu latach wieku tylko wyjątkowo doń uciekają się.

Najwięcej lichwiarzy żydów, jakkolwiek dziś do nich lichwa wyłącznie nie należy.

Kobiety mało lichwą się trudnią.

Raczêj zbytek jak potrzeba zmusza do szukania pomocy lichwiarzy.

Lichwa wzrasta w stosunku odwrotnym potrzeb prawdziwych pożyczającego.

Lichwa wzrasta w stosunku prostym młodości pożyczającego, i odwrotnym do pewności zwrotu.

Synowie bogatych ojców największą jej podporą.

Uciekanie się do lichwy zmniejsza się w miarę wzrostu myśli w pożyczającym.

Lud prosty równie się do lichwy ucieka jak klasy zwane wyższemi, wie dzie go jednak prawie za-

wsze potrzeba i nędza, a niekiedy tylko rozpusta lub zbytek.

Bardzo często lichwiarz jest uboższym od zaciągającego pożyczkę.

Lichwa najczęściej niszczy średnie majątki, jest dowodem braku kredytu w pożyczającym.

Karty i swobodne miłostki są jej najdzielniejszym zasiłkiem.

Wartoby napisać o sympatji pomiędzy lichwą a młodzieżą, bo ta najwięcej do niej się ucieka. Ograniczone potrzeby wieku starszego, pewność zajęcia, przejście wszystkich namiętności mniej szlachetnych w ambicję, a najczęściej w chęć robienia majątku, czynią wiek starszy niedostępnym dla lichwy. Ale młodość, ta boska, złota młodość, to pole marzeń czystych uczuć, i to życie serca i zapału, jest właśnie polem, na którym brudne palce lichwiarza orzą bruzdy, siewając w nich ziarno żalu, nędzy a nieraz hańby.

— Zgrałem się do szeląga Adamie, pożycz, bo nie mam czém w hotelu zapłacić.

— Chętnie, ale ja sam ledwo mam na drogę, co tu robić? Nie masz kredytu gdzie na kilkaset złotych, zapłacę chociażby sto za sto.

— Chyba że Szlame pożyczysz.

— Jedźmy do niego.

Wsiadają do dróżki,—kości rzucone, Cezar przebywa Rubikon, młodzież spieszy na Franciszkańską ulicę lub gdzie indziej, Cezar losy swe powierza wiernym legionom, młodzieniec poczciwym wyznawcom Izraela. Jeden zginął, drugi zginie; ten pod ciosami Brutusa, a tamten pod uderzeniami komorni-

ków. Pierwszy krok najwięcej kosztuje, z początku wstręt i pogarda wstrząsa nas na widok tych postaci brudnych, lub nawet wykwintnie ubranych, ale zawsze jedną cechą, cechą podłości naznaczonych; wstręt dla ludzi, których każdy łaje, potrąca, obsypuje tytułem zdzierców, oszustów, a którzy pokornie gną czoła do ziemi, dopóki jeden wyraz: «nie mam pieniędzy» nie wyprostuje ich nagle, dopóki czarodziejska potęga prawomocnego wyroku nie zamieni ich z pokornych lokai na rozkazujących panów. Ale po pierwszej pożyczce wstręt się zaciera, przy drugiej znika zupełnie, a trzecia wyradza potrzebę, konieczność, bolesną zawsze ale nieprzełamaną, przyjmowania u siebie lichwiarza i zawierzywania z nim stosunków. Jeden pociąga tutaj za sobą rój cały; pożyczający przechodzi z ręki do ręki, tu pożycza a tam oddaje, tego prosi, bo tamten ubłagać się nie da, i powoli przez lat parę przeciąga przed nim długi szereg rozmaitej postaci lichwiarzy, z których każdy dzwiga jedną część jego mienia. Co za piękna panorama dla patrzącego, co za rozkosz, jeżeli jeszcze pomyśli, że cały ten ustęp swego życia z niemi przepędził, że w każdej chwili tych lat tkwiła myśl jedna, zawsze jedna, budząca go w śród snu pijanego, wśród uciech zapłaconej miłości «jutro o dziesiątej Szmul, pojutrze Jankiel i Szlama.»

Spojrzyjmy na życie szumiącej młodzieży, jeżeli tylko uciechy zmysłów pragniemy, co za widok? Bogini rozkoszy nieustannie leje ambrozę w kielich żywota. Co za szkoda, że na spodzie kielicha pijący widzieć musi wexel zaprotestowany, a dopiero pod tą pokrywą swoją przyszłość.

Kiedys lichwiarstwo było w pogardzie, kiedys nawet, ale to musiało być bardzo dawno, karano je prawami, dziś nie jest tak źle, nie doszło ono jeszcze do panowania, nie oddają mu hołdów ale tolerują, i tolerują nawet tak uprzejmie, że możesz wziąć tolerancję za względność. Zasada, że kapitał jak najwięcej powinien procentu przynosić, widocznie górę bierze; kto ją najlepiej zastosować trafi temu cześć i pokłon.

W hotelu X. rozległe mieszkanie zajmuje młody Adam G., majątek niewielki, może stotysięczny, już od lat dwóch topnieje jak bryła lodu w gorących dłoniach swego właściciela, a im mniej lodu, tem uściśnienie silniejsze, gorętsze, wścieklejsze, tem ciepło większe, tem szybsze topnienie; już patrzyć tylko, rychło w dłoni nie zostanie. Ale mieszkanie piękne, pyszne nie powiem, u nas w pyszne mieszkania młodzież się nie funduje, hotel to lepiej, hotelowy komfort, chociaż nogi u stołków będą złamane, mur zdrapany, lub piec dymiący, wygodniejszy dla nich jak własny domowy sprzęt.

Więc mieszkanie było piękne jak na hotel, przedpokój, sala, dalej pokój jeden, drugi. Mieszkanie było drogie, a choć nie wygodne, dość że było drogie, można się doń przyzwyczaić, bo na wykrzyknik: «ten stołek złamany, ta kanapa twarda,» rzucamy w oczy natrętnemu: «no proszę, a jednakże płacę dwa dukaty dziennie temu gałganowi.» Lecz dość o mieszkaniu, jakkolwiek i to nie jednę uwagę nastrecza... W ostatnim pokoju za stolikiem siedziło dwóch młodych, jeden z nich tak młody, że puch młodzieńczy jeszcze mu warg nie pokrywał, a ruch

zdradzał, że jeszcze niedawno, drapając się na drzewo lub przesadzając opłotek, patrzył z obawą czy surowy nauczyciel nie goni za nim; chociaż starannie czelnością te ślady dzieciństwa zacierać się starał. Był to gość. Drugi pięknej chociaż zniszczonej twarzy, wysoki, szlachetnego nawet oblicza, siedząc przed stolikiem z herbatą, był gospodarzem.

— Czy wiesz, zawołał gość, którego nazwiemy Arturem, — czy wiesz, wczoraj u pani B. spotkałem tego bruneta, śmiał mi się ukłonić, kiwnąłem mu głową, ale tak, że drugi raz mu się odechce. Że się raz spotka lub drugi gdzie tam u Jana lub Pawła, że go moja matka przyjmuje, już znajomość, cóż on za jeden? Kto go rodzi?... Wiedzieć powinien, że pomiędzy obywatelskim synem a jakimś tam... pewna różnica i wielka różnica, ja takich samych mam za włodarzy...

— Dobrze Arturze! dobrze, lubię tę dumę szlachecką, jesteś na mojej opiece, nie pozwolę ci wejść w niestosowne znajomości, to dyshonor, pamiętaj o tem. Wiesz co, gdyby tu śmiał przyjść, bez wahania zawołałbym — «hola Jan! wyrzucić tego pana za drzwi» i wiem pewno, że aniby pisnął... a jakby słowo powiedział, to kuć djabła. Żadnych znajomości niepotrzebnych, duma godna, duma ta powinna nas odróżniać...

— Proszę jasnie pana, pan Fein,—zawołał służący.

— Prosić, zaraz prosić, wyrzekł gospodarz domu, zrywając się z kanapy.

— Jak się masz Jcuś, dzień dobry Jcuś, siadaj duszko! proszę siadaj... Dobrze żeś przyszedł...

— Jak się pan ma?... dzień dobry panu,—odpowiedział pan Fein, silnie przyciskając na r, jak to zwykle czynią ludzie orientального pochodzenia.... Przeszedłem tutaj na konferencję z panem,—dodał poprawiając atłasowój krawatki, —ale wprzód daj mi pan herbaty i poślej pan po sera szwajcarskiego na butersznyty, będę pić także kieliszek likieru. No zrób pan herbaty... ale fajkę będę palił, zawołaj pan Jana, żeby mi podał...

Zatém wszystko się ruszyło, gospodarz domu toczył herbatę, Jan lokaj nabijał fajkę, dawniejszy gość usunął się bardzo uprzejmie z krzesłem dla zrobienia miejsca nowoprzybytemu. Pan Icyk Fein rozsiadł się w wolterze, i nogi założył, sapiąc czekał aż go obsłużą. — Nowoprzybyły mógł mieć lat czterdzieści kilka, był niski, łysy, pękaty, oczy przymrużał, kapelusz w tył nosił, jeździł pięknym powozem, na szyi, palcach i piersiach dźwigał ogromne brylanty, a w kieszeni pękaty banknotami pugilares. Mówił, że był z Pruss, gdzie jego familja posiadała znaczny majątek, ale złośliwi twierdzili, że był po prostu synem pachciarza z pod Suwałk, któremu szczęśliwie prowadzone kradzieże koni pozwoliły zebrać cokolwiek grosza; że następnie, służąc niby za plenipotentu u jakiegoś obywatela na Litwie, okradł tegoż dość obficie; że wsadzony do więzienia wolał wytrzymać potężną chłostę, jak przyznać się do zbrodni i wydać pieniądze, i że nareszcie, wysiedziawszy długie pięć lat w lochu, wyszedł na świat jak piękny motyl z poczwarki;—przed kilkunastu laty zjawił się w Warszawie i świetną rolę wexlowego lichwiarza grać zaczął. Rys jego życia dał Warsza-

wianom jakiś młody obywatel z Grodzieńskiego, kilku innych sprawdziło te podania na miejscu, rzecz była wszystkim wiadoma; nikt też ze zniszczonych nie przemawiał w imieniu litości lub honoru, nie czytał mu zarzutów, i w tym postępowali bardzo rozsądnie. Wprawdzie pan Fein co chwila mówił »daję słowo honoru,« »dodawał nie raz:« daję najświętsze słowo honoru, jeżeli ktoś na pierwsze zaręczenie nie wierzył, ale zapewniano, że do tego nazwyczaj się przez lat pięć w więzieniu, by ta częsta o honorze mowa wykazać potem mogła, że nigdy o nim niezapomniał.

Nikt też mu niepowiedział, że jest lichwiarzem, ten wyraz niebyłby zarumienił człowieka, któremu przez pięć lat kajdany na nogach brzęczące mówiły....., »złodziej«.....

Takim był pan Fein, który posiedziawszy pięć minut zawołał z gniewem na gospodarza: panie Adamie! pańska służba djabła warta, wypędź pan tego łajdaka, jaką on mi fajkę podał? nic nie ciągnie... A tfu! piersi zerwać trzeba, i herbata niegodziwa... tfu, tfu... ty Jan... czemu ty nie dał mi antypki. Już to pan powinienes wiedzieć, że z niej tylko palę... Tfu! słowo honoru, jak pan do mnie przyjedziesz to panu daję takich cygar, jak sam król nie pali, może pan powiesz że nieprawda... to nie takie głupstwo jak u pana, tfu...

Więc gospodarz przeproszał, służącego łajał, kosztował herbaty, dowodząc, że pewnie woda nie czysta; kazał na nowo samowar nastawić. Pan Fein się udobruchał, nową fajkę zapalił i malsknąwszy parę razy, rzekł: A widziałeś pan moje nowe kasztany? co za konie, nie-

prawdaż? takich drugich niema w Warszawie, co nie prawda tfu?... A moja Anusię widziałeś pan? Co za dziewczyna, brunetka, co za oko, a jak mnie kocha, przepada za mną, tfu... panie doprawdy.-

Pan Fein był brzydki, nie jak noc, bo noc brzydka to okropna przynajmniej, ale był brzydki podle, brzydota galernika, który po dwudziestu latach ciężkiego więzienia zdołał uciec stróżom, zachowując na swoim czole wszystkie ślady hanby, poniżenia i bata. Sądził jednakże, że się w nim wszystkie kobiety kochać będą, byle chciał. Ta słabość wielkie miejsce zajmowała w jego prawém sercu-

Gospodarz domu przyznał, że konie pana Fein uwielbiał na Krakowskiem Przedmieściu, że nic podobnego nie widział ani w Warszawie ani za granicą, chociaż był w Wiedniu i Wenecyi; do Anusi podobną spotkał tylko raz w podróży z Rzymu, wieśniaczkę, w okolicy Gaete, która.... tu pan Fein zmarzczył się—nie miała przecież tyle wdzięku i uroku, co szczęśliwa kochanka jego szanownego gościa.

Obecni jeszcze pogadali chwilę, udzielili sobie kilka wiadomości miejskich, rozśmiali się, ubawili, nareszcie pan Fein zawołał: Nu, a teraz do interesu... kiedyż mi pan oddasz pieniądze?... Zaczęła się żywsza rozmowa, pan Fein dowodził, że już dwa miesiące minęło od terminu wypłaty wexlu na 1376 r. s. że nie widzi ani procentu ani kapitału... Pan Adam zaś twierdził, że wziął na to tylko 1,000 rubli, że zapłaci, że rok zły, że pszenicy niema, że las sprzeda etc. etc. Powoli konferencja wznosiła się do coraz wyższego tonu (ale nie w przyzwoitości, tylko

w krzyku) pan Fein się zapienił, pluł na obie strony, rzucił fajkę i zawołał.

— Cóż to sobie pan myśli?— Aj waj! (w chwilach wielkiego uniesienia pan Fein miał właściwe sobie wykrzykniki):—Co mi za pan? ja pana nauczę, pan szachraj, oszust, wzięłeś pan pieniądze, a teraz nie chcesz pan zapłacić, mnie pieniędzy potrzeba; jak do jutra nie będą to pozwę i wieś sprzedam, i pana na Leszno wpakuję.

Pan Adam, lubo młodszy od pana Fein, miał więcej krwi zimnej, prosił go siedzieć i wzywał łagodnie do umiarkowania. Nareszcie po długich sporach, gdzie rolę ognia grał pan Fein, a rolę wody pan Adam, ułożono się że do 1376 dopisze się 624, aby było okrągło 2,000, za co pan Fein da Adamowi 150 r. s. których mu właśnie było potrzeba. I nastąpiła zgoda.—Pan Fein odchodząc dawał przyjacielską radę panu Adamowi:—«poco panu szachrować, poco pan przypominasz, że tylko 1000 rubli dostałeś na ten wexel; to ja się tego nigdy po panu nie spodziewałem, żebyś pan mógł takie oszukaństwo zrobić i mnie przymawiać o niewypłacenie waluty... Bądź pan uczciwy a ja zawsze będę dla pana grzeczny.... To mówiąc żegnali się, ściskali się za ręce... i za drzwiami jeszcze ex-złodziej *nunc* lichwiarz, dawał korzącemu się młodemu lekcje uczciwości podług swojego systemu, a ten słuchał, ręce ściskał i dziękował...

Po chwili p. Adam wrócił do swego drugiego gościa, do młodego Artura, prowadził dalej wprzód rozpoczętą rozprawę, że duma szlachecka jest najpiękniejszym przymiotem, że powinien stronić od lu-

dzi bez znaczenia pewnego, i jak dżumy unikać wszelkich podrzędnych znajomości, przyczem wiele rozwinął zasad o honorze, o zbawiennęj drażliwości uczuć, i t. d. Co myślał Artur słysząc człowieka, którego nazwano szachrajem, oszustem, rozwijającego tak piękne teorje, nie wiem,.. twierdzono przecież, że treść jego dumań możnaby zebrać w tych wyrazach:—Co za szkoda, żem nieletni, inaczej już i dla mnie szkatuła Feina byłaby otwartą.

Nieletność jednakże nie przeszkadza do stosunków podobnych;—dobre poręczenie jest dla lichwiarza rękojmią, zysk dlań potrójny: najprzód z głównie pożyczającego jak zwykle trzy od sta na miesiąc lub podobnie; druga taka kwota od tegoż, bo nieletni, trzecia podobnież od poręczającego, gdy nieletni, co się często zdarza, nie płaci w terminie, a poręczający, co jeszcze częściej się przytrafia, nie może także wyswobodzić swego podpisu. Ale jest jeszcze inny środek w użyciu. Pełnoletność kryminalna poprzedza pełnoletność cywilną: w szesnastym roku swego życia już płacisz swą czią, swym honorem, swem życiem moralnem, kiedy w dwudziestym pierwszym wolno ci dopiero rządzić majątkiem. To dość dla lichwiarza, on więcęj nie potrzebuje. Przed okiem żądzą miotanego stawia pieniądz, w rękę wkłada pióro i woła... «Pieniądze są, dam je, ale ci nie wierzę, połóż tutaj podpis swego przyjaciela, lub inny jaki który ja wybiorę, a dam je, inaczej nie.»

— Ależ to fałszerstwo!

— Co za fałszerstwo?... odpowiada lichwiarz, ja zbyt panu dobrze życzę, bym z tego robił użytek, tylko zapłać pan w terminie. Walka się toczy w ser-

cu potrzebującego, namiętność zwycięża, podpisał i został fałsz erzem,—bo tajemnica jego nie zostanie w pugilaresie lichwiarza, ona się wydrze stamtąd, a cicho przez przyjaciół dobrych obnoszona, stanie się piętnem, które zaledwie latami pracy i zasług zmazać zdoła, —i pomimo dobrego bytu, pomimo dumy i zuchwałości nawet, czerwienić się będzie tym silniej, tym widoczniej, im świetniejszym, im bardziej w oczy bijącym jest rodzaj życia, który pożyczający prowadzi. Może sam fałszierz zapłaci, może rodzina, krewni wykupią hańbę jego z brudnych rąk lichwiarza, ale na zawsze pozostanie mu ten wyraz, «fałszierz» przyczepiony jak tytuł hańbiący do jego nazwiska. Nie myślimy się rozwodzić nad niemoralnością samego czynu,—nie piszemy tutaj kazania, bierzemy tylko rzecz z punktu praktycznego życia, a to życie praktyczne wskazało nam, że najmniejszą plamę, najmniejszy usterk, nieraz mimowolny nawet, ciężko w dalszym rozwinięciu odpokutować trzeba. Bo świat kochany nie zapomni o twym błędzie, i wśród całej przyjaźni będzie ciebie tym błędem kamienował; — jeżeli kamień lekki ustoisz łatwo, jeżeli ciężki, jakiejże ci siły potrzeba, by cię nie powalono?

Od dawna już mamy wyobrażenie o lichwiarzach, że są brudni, prawie obszarpani, że jak Harpagon, z papierka kładą w zabrudzony nos nędzną tabakę, że za zyskiem złotych kilku gotowi stopy pańskie ucałować, a na zapłatę wexlu z lokajami czekają w przedpokoju. Stare to wyobrażenia, zmieniła się szlachta, zmienili się lichwiarze, znikła u jednych wyniosłość, u drugich za to wyrosła duma, zuchwa-

łość;—pokora poszła do pożyczających, zuchwalstwo do lichwiarzy, — jeżeli tylko noszą frak zamiast chałata, paryski kapeluszek zamiast lisięj czapki. Jeszcze dawne obyczaje pokory zachowali tylko nasi brodaciele lichwiarze, oni tak przywiązani są do wszystkich starych podań, że im się dziwić niepodobna. Jeszcze żyda czystego można przyjąć wyrażeniem: «łotrze a złodzieju! oszuście!» wypędzić, uderzyć, wykrzyczyć, a on jeszcze kłaniać się będzie, mówiąc: «jaśnie pan zawsze lubi żartować, ale kiedy pieniądze dostanę?» Dla tego też mnóstwo naszych młodych pożyczających dowodzi, że bodaj tylko mieć z żydami do czynienia. To prawda, że za każde użycie wyrazu «złodzieju» rachuje się $\frac{1}{2}$ procent, za każde potrącenie 1 procent, nie licząc już dopisanych za czekanie, ale przynajmniej tutaj «pan wymyśla i bije, bo płaci» kiedy gdzieindziej zaś, pan zapłaci i jeszcze niegrzeczności nasłuchać się musi.

Są także ludzie, ale ci od dawna nie oddalili się za obręb swój wioski, którym się zdaje, że tylko żyd może być lichwiarzem. Jestto opinia tych starych siwoszów, którzy dowodzą, że szlachcic (o ten tytuł nam wiele nie chodzi) traci swe prawo słusznie, gdy mierzy kwartą lub łokciem, jak gdyby, nie zważając na inne niedorzeczności tego zdania, kwarta, łokieć, nie były tej samej natury co sążeń lub korzec. Ale my ludzie miasta, nawykliśmy do widzenia innego rodzaju lichwiarzy. Lichwiarstwo ma tak swoją arystokrację jak szewstwo, jak wszystkie inne stany. Żyd pożyczający na fanty, to najniższa klasa tej kategoryi społecznej; żyd pieszy, dający na wexel, z dwoma, trzema, lub jednym podpisem,

to średnia klasa,—najpotężniejsza i najpewniejsza dzia-
 łań; lichwiarz w powozie, posiadający świetne miesz-
 kanie, nieraz tytuł znakomity, tytuł prawdziwy po-
 siadany od dawna, nie jeden z tych tytułów kupionych
 za kilka grajcarów u niemieckiego garsona, ale
 pięknie wypisany na żółto brudnym pargaminie, li-
 chwiarz taki, przyjmowany w najlepszych towarzy-
 stwach, uznany nawet za dowcipnego niekiedy, pro-
 wadzący życie świetne, bryzgający błotem przecho-
 dzących ulicą, stanowi arystokrację cechu.

Wszystkie te trzy kategorie pożyczają na lichwę,
 drą potrzebujących bez litości. A jednakże, jakże-
 by się wzdrygnął pan baron, gdyby ktoś powie-
 dział, że się trudni tem samém rzemiosłem co Jan-
 kiel lub Szmul. Ostry docinek skarciłby zuchwal-
 ca, kula pistoletu wskazałaby podobną żywiącym
 opinię, że honor jest w krwi szlachtetnej, że można
 drzeć potrzebujących, brać lichwę, a jednakże być
 godnym szacunku, a przynajmniej gwałtem rościć do
 tego prawo. A jednakże całej tej różnicy, tej po-
 gardy pomiędzy rozmaitemi szczeblami lichwiarstwa
 pojąć mi trudno; ale bo też nigdy nie mogłem zrozu-
 mieć pogardy, którą kradnący tysiące, dla złodziejów
 drobnych kieszonkowych okazują.

Lichwiarz arystokrata nie zawsze czelnie domaga
 się procentu, toby obrażało jego godne, szlachtetne,
 obywatelskie serce. — Ja mam brać procent od cie-
 bie mój Olesiu? chyba żartujesz? ja z twoim ojcem
 nieboszczykiem żyliśmy jak bracia. Oh! co to był za
 zuch;—jakże chcesz, żebym ja brał procent od syna
 mego dawnego towarzysza broni, a wolałbym sobie
 rękę uciąć.... A wiele chcesz duszko moja? — Ja nie

wiele potrzebuję, — 10,000 złp. panie hrabio! to frazski dla pana. — Hm! dziesięć tysięcy! zleś się wybrał duszko. Ana cóż ci potrzeba, powiedz—no kochanie? — Oto trzeba mi konie cztery kupić, trochę też rzeczy do gospodarstwa, kocioł w gorzelnii i tam inne jeszcze wydatki, to tak zniknie ani się człek obejrzy. — Konie? a słuchaj, mam cztery konie z własnego stada, po cztery lata do pięciu, dzielne, gniade, zobaczysz je, i powozik niczego, wiedeński, każę ci pokazać po obiedzie kochanie i pomówimy o interesie. Ale jak ty jesteś podobny do nieboszczyka twego ojca! kubek w kubek, musisz być także bałamut..... etc. etc.

Mniejsza nam o protestacje przyjaźni i przywiązania, te nie kosztują, to też ich nikt nie szędzi, czy go kto prosi czy nie, dla czegoż lichwiarz arystokrata ma się z niemi drożyć. Po obiedzie chudym, chociaż nie postnym, pokazują cztery wywłoki szkapy, kocz od lat piętnastu stojący w wozowni, jakkolwiek licznych panów zmieniał; lichwiarz przypomina sobie, że ma pod lamusem dwie stare sikawki, i każe je przededwór przyciągnąć, — próbuje ruchu korby i chwali, jak to dobra rzecz w gospodarstwie sikawki, i jak od ognia go uratowały, jak kochany Oleś te *sikaweczki* nabyć powinien, jeżeli chce zostać dobrym gospodarzem etc. etc. Pożyczający manifestuje się, że nie ma pieniędzy, że właśnie przyjechał do pana hrabiego.....—Pozwól duszo chwilkę, potrzeba ci koni i powozu, oto masz, mnie kosztowały po 50 dukatów, kupiłem w Łowiczu od X.... spytaj, daję ci słowo honoru, ale dla ciebie duszko odstąpię na nich po 10 dukatów, to tak jak w prezencie przyjm ode-

Do tego gotówką wzięto od przyjaciela nieboszczyka ojca	— 3950
Razem złp.	5050
wydano zaś rewers na	— 10,000
pozostaje procentu złp.	4950

czyli na sześć miesięcy zapłacono sto od sta, a na rok dwieście, przyjacielowi nieboszczyka ojca, godnemu potomkowi starożytnej rodziny. Prawda że na rewersie miał honor, napisać: Ja etc. winien jestem JW.... zamiast napisać winien jestem staroza-konnemu Herszkowi Gelbfisz lub podobnie, — jest to zawsze okoliczność, na którą warto, by pożyczający zwrócili pewną uwagę.

Wypłacanie waluty za pomocą efektów, nie jest jedynym środkiem ściągania procentu, nie każdy lichwiarz ma złe konie, nie każdy ma czas zajmować się skupowaniem na targowisku starych landar, by je odstępować swoim klientom, powtórę to nudne i śmieszne, to zostawia się lichwiarzom starej daty, czasami odstręcza klienta, bo ten nie wie co ze starym gratem robić, ale na to jest inny środek.—Na giełdzie naszej kursują papiery gorsze od hiszpańskich, od meksykańskich, boliwijskich.....papiery zbiegłych bankrutów.

— Hersz, czy dużo masz papierów F.....?—Albo co? mam za pięćdziesiąt tysięcy— (F.... jestto nazwisko zbiegłego bankruta, który długo jaśniał na horyzoncie, długo kredyt wielki posiadał, nareszcie zniknął i dziś tam gdzieś na drugiej stronie równika chodzi z zapalkami chemicznymi, lub jest reżyserem teatru marionetek!)— Nu Hersz, daj mi ich na dwadzieścia pięć tysięcy.—A co dasz za to?..—Nu, kupię ci kie-

liszek wódki i krysek koszernych.—Dasz złotówkę na kugel szabaśny?—Aj waj! jaki ty drogi, ja za połowę tego mógłem u Szmula kupić 30,000 papierów X... a Icyk za kieliszek wódki dawał mi wexel podpisany przez B... etc. etc. To daje nam wyobrażenie o stopie owych rewersów.

Kupiwszy potrzebną ilość takich papierów, lichwiarz spieszy do czekającego nań niecierpliwie, i daje $\frac{1}{2}$ gotówką, $\frac{1}{3}$ w wexlach nabytych,—wlicza procent, czasami stosunek ten wzrasta do tego stopnia, że gotówka wynosi $\frac{1}{3}$ ogólnej summy, ale to w ówczas tylko, gdy pożyczający jest bardzo ograniczony, lub bez kredytu, potrzebuje gwałtownie, by dług honorowy (np. zaciągniony u szulerów, którzy go oszustnie zgrali) zapłacić.

Zwykle jednakże przy zapłacie podobnych wexłów wchodzi się w układy, a lichwiarz dostaje tylko połowę kapitału nominalnego, czasami mniej, niekiedy nie nawet, ale zawsze w summie w ten sposób użytej, czyste pieniądze przynoszą mu rocznie 50 od sta procentu.

Nie każdy przecież otwarcie lichwiarstwem się trudni, chociaż żywi ku temu mocne popędy i chętnie widzi powiększający się procent od swych kapitałów. Ten tytuł niemile brzmi dodany do nazwiska, zysk pieniężny niewynadgrodzi czasem upokorzenia, jakie arystokratyczny lichwiarz na siebie ściągnąć może, woli więc procentem dzielić się z meklem, wchodzi z nim w spółkę, a dając mu pewien zysk zastrzega sobie tylko tajemnicę. Stąd to owi lichwiarze brodaci lub bez brody, których inajtku nikt nie zna, których zasobów nikt nie pojmuje, przed

kilku laty jeszcze nędzni faktorowie, pokornie dziękujący za daną im łaskawie złotówkę, bijący czołem o progi, gdy kto ich do siebie zawołać zechciał, dziś dumni, zuchwale potrącający tych, którym niedawno z pokorą podawali płaszcze, lub trzymali stopień od doróżki, dobijając się o tę łaskę z lokajami.

Lecz dosyć już o tych i o innych, których całłem zadaniem ssać młodzież traczącą wesoło lub smutnie, lecz zawsze hucznie swoją ojcowiznę. — Tych liczba mniejsza, wpływ chociaż wielki nie tak zgubny, bo się tylko rozciąga do niewielu indywiduów o płytkiej głowie, o czczem sercu. Czyż to kraj obchodzić może zbyt silnie, że jeden albo drugi półgłówek, zmarnowawszy to co mu się dostało w ręce, przejdzie z świetnego utracjusza na uniżonego darmozjada u swoich krewnych lub przyjaciół? Czyż należy ubolewać, gdy kilka głów pustych kula pistoletowa rozsadzi, tém bardziej kiedy ten ostateczny środek rzadko u nas się przytrafia, bo zmordowany swobodnym życiem marnotrawca, nawyknie powoli do wszystkiego, i usłużną grzecnością dla innych, po nim tracących, będzie zarabiał na łaskawe u nich objady. Tacy ludzie nie stanowią kraju, a pieniądze, dostawszy się w ręce lichwiarza, może korzystniejszy obrot zrobić, jak w ich dłoni trzymany.

Dotąd opisywani przez nas lichwiarze, korzystają głównie z namiętności, teraz musimy powiedzieć, o ile można, kilka słów o tych, którzy korzystają z potrzeby innych, z ich nędzy.

Lud prosty w mieście, wyrobnik, rzemieślnik, jeżeli ich nie wesprze właściciel zakładu, udzielając im zasiłku w razie potrzeby, muszą się uciekać do pożyczki.

Zakład lombardu, tak zresztą dla nich dobroczynny, w mniejszym jest użyciu, liczne formy przez które tam przechodzić musi człowiek pragnący zaciągnąć pożyczkę, konieczność stawienia się w terminie, brak przedmiotów wyższej wartości, za które możnaby uzyskać potrzebną ilość pieniędzy, odległość mieszkania, strata czasu stąd wynikła, a szczególnie pewien rodzaj nawyknienia do stosunków z lichwiarzami, wstrzymuje u progu lombardu prawdziwie potrzebujących, i rzuca ich w konieczności w ręce lichwiarzy drobiazgowych.

Lichwiarz ludowy posiada kapitał mały, czasami kilku tysięcy złotych nie przechodzący; założeniem jego zaciągnąć stąd największe zyski, zyski tak wielkie, by te mogły wystarczyć na jego utrzymanie, pozwoliły kapitał powiększyć, a szczególnie, bezczynnie pędzić życie, wolne od trudów i od pracy. Pojmujemy więc, jakie procenta ciągnie, by celu swego dopiął, wiele krwi, trudu i pracy znieść musi ojciec, którego zniszczyła choroba syna, matka wyrobnicą opiekująca śmierć swjej córki, których nędzny zarobek nie wystarczał na kupienie choremu dziecięciu pożywniejszego pokarmu, lub nabycie grobowej sukni; wiele to dni głodu i umartwienia ciężkiego przeminie, by trawieni lichwą złożyć się mogli na wygodne życie człowieka, który jak im się jeszcze zdaje, dobroczynnie wsparł ich w potrzebie. Bo zaprawdę, nie zawsze rozpusta zmusza lud nasz uciekać się do niszczących go pożyczek; rozpusta inne drogi posiada, dla niej to otwartemi kiedyś stały tysiąc szynków Warszawy, których kredyt pokrzepiał ją i zasilał.—

Pijak nie ucieknie się do lichwiarza, dla niego bożkiem opiekuńczym był szynk, dla niego pomimo wszelkich postanowień, ucieczką i zbawieniem długo jeszcze szynk będzie!— U ludu lichwiarz korzysta tylko z prawdziwej, odartej nędzy; z krwawej potrzeby; czas głodu to jego żniwo, brak zarobku to dlań wesele.

Lud nie ma hipotek, nie ma kredytu, jego jedyną ucieczką zastawy. Do lichwiarza to, matka niesie ostatnią suknię, by sprawić kolebkę córce, ojciec ostatnią sukmanę, gdy głodem trawione dzieci o chleb nań wołają,—lichwiarz daje na przedmioty doń zniesione, trzecią, czwartą część wartości, dowodząc, że łaskę świadczy, że ocala.

Na Zapiecku, na Furmańskiej ulicy, w Starem Mieście, lub koło Tamki, dostawcy pieniędzy siedzą spokojnie, czekając póki los nie wpędzi w jego ręce klientów.—A jak się masz, a czego to chcesz?—A chciałbym wziąć trochę grosza od pana.—A na co? na pijałkę może, nie dam, nie dam.

— Ale bo proszę pana, panie Jakóbie! roboty nie ma, a żona chora.—No, a masz zastaw?—A juści.... Tu pożyczający rozkłada fanty, ocenia i pyta na długo?

— A tak, alboż ja wiem, może na tydzień, może na dwa.—To dam ci 10 zł. i procent strącę za dwa tygodnie po 2 grosze *) na tydzień od złotego, to czyni 40 gr., masz więc zł. 8 gr. 20.— Może nie podobnym zdawać się będzie, że tutaj wysokość procentu przesadzam, że niepodobna, by nierozwaga pożyczające-

*) Szanowny autor tego artykułu o dawnych mowi zwyczajach, dzisiaj biera po 3 gr. pol. od złotówki.

go dochodziła tak wysoko, a zdzierstwo dającego było tak potężne, przecież tak jest w istocie. Nasz nędzny wyrobnik, nie zważa na nic gdy mu pieniądze potrzeba, zresztą do tego wyrazu „grosz“ przywiązuje zbyt małą wagę. Gdyby mógł pojąć, że dwa grosze na tydzień daje 104 grosze na rok, że w ten sposób od złotego płaci na rok 3 zł. gr. 14, czyli w naszym obliczeniu blisko 346 od sta, dłużej wahałby się przestąpić próg lichwiarza.

Zresztą, jakże się dziwić mamy ludowi, gdy klasy zwane wyższemi, z równą niebacznością postępują. Wieluż urzędników np., a klasę tę najbardziej ręka lichwiarzy przygniata, pożyczało lub pożyczają sumki średnie po kilkaset złp. z wypłatą na raty, z procentem $2\frac{1}{2}$ od sta na miesiąc od całej summy. I tak potrzebujący żąda 200 złp., lichwiarz daje i otrzymuje rewers za 5 miesięcy, na złp. 250 zwykle, — ludzie znający z praktyki ten stan rzeczy wiedzą, że wcale nie przesadzam. Wypłatę urządzono na pięć miesięcy. Gdyby wprost liczone po $2\frac{1}{2}$ od sta z ratami, wypłata byłaby następują:

1 rata 200 zł. po $2\frac{1}{2}$ od sta na 4 miesiące	zł. 10 gr. —
2 rata 150	— 7 — 15
3 rata 100	— 5 — —
4 rata 50	— 2 — 15

Procent przez nich opłacony jest więc dwa razy większym jak się zobowiązali, płacą więc po 6 od sta na miesiąc, czyli po 72 na rok. Licząc w to opóźnienie rat, faktorne, które żyd zawsze wyłudzi, opłaca się po 80 od sta na rok, i to jeszcze nazywa się procentem.

tem umiarkowanym, bo i tam nie wszyscy pożyczający są tak skromnymi w żądaniach, gdy idzie o summy mniejsze, a niekiedy przychodzi płacić po 100—120 lub 130 za sto.

Jakże dziwić się ludowi, że w swej niewiedomości i potrzebie szuka zasiłku w niszczących go środkach, gdy klasy pióra i rachunku z równą, nierozważą i lekkomyślnością w chwilach mniemanąj potrzeby tak niszczących źródeł pomocy szukają. Istnieje wprawdzie w naszym kodexie artykuł stanowiący pięć procent na rok, używają go nawet często w wyrokach, ale artykuł ten to martwa litera, to ironja rzeczywistego stanu rzeczy.

Nie dawno zwrócono uwagę na inną plagę naszego miasta, na szulerów, postąpiono z nimi silnie, energicznie, dość nawet bezstronnie. Oddalono z miasta, piętnem wzgardy sprawiedliwie naznaczono, i złe zmniejszono, o ile takimi środkami zmniejszyć je można.

Lichwa jest drugą plagą, większą może bo powszechniejszą, plagą, która jak nic czarna przewija się od najniższych szczebli społecznych do najwyższych, plagą równie jak szulerstwo niszczącą indywidua, a silniej jak ono ciążącą na massach, — czyż nie powinna także zwrócić na siebie baczniejszego oka? Złe jest bardziej zakorzenionem, to też gruntowniejszego lekarstwa potrzeba.

Szulerstwo da się w części znacznej wytepić środkami policyjnemi, — przeciw lichwie składać się (mniejszą) środki finansowe, moralne i prawne, bo ona łączy się z stanem pieniężnym, z usposobieniem moral-

nem kraju, z jego ustawami prawnemi. Niepodobna jest wytepić jęj, ale zmniejszyć w naszej jest mocy. Zresztą niech lichwiarze korzyści ciągną z namiętności, ale ocalmyż przynajmniej od ich władzy prawdziwie potrzebujących. Możemy się śmiać ze zrujnowanych i zubożałych marnotrawców, ale boleć należy nad nędzą ludu, tak często z szatańskiej przewrotności lichwiarzy wynikającą.

Króliński.

* * *

DODATEK.

Czci godny autor przy przesłaniu powyższego artykułu napisał do mnie: „załączam ci szkic o lichwie i o lichwiarzach,—jest to część pierwsza, mieszcząca (oprócz sikawki) szczegóły i rodzaje lichwiarstwa z miast większych,—część drugą: małe miasteczka i wieś, pod twoje pióro oddaję.“

Wdzięczny jestem za zaufanie, nie taję przecież obawy, ażali przy najszczerzej chęci to ważne zadanie w zupełności rozwiążę, albowiem lichwiarstwo niszczące poczciwy lud wiejski, jest tak bardzo różnorodne i rozgałęzione, że szukając źródła nieszczęścia, przyjdzie się oprzeć o ekonomiją polityczną, o stosunki zasadnicze,—i tu znajdą się niezwalczone trudności wykładu, a więc chyba rzecz w ramotkę obwinę,—trudno znów jest ramotkować przedmiot tak bardzo bolesny.—Lecz zanim w następnych poszytach sił moich spróbuję, dzisiaj do pierwszej części przez czcigodnego autora K. skreślonej, przyczępię moich słów kilka dodatkowych:

Młodziutki panicz machinalnie chwyta za pióro, i z najprzykładniejszém posłuszeństwem czeka na wyrazy, lichwiarz zaś dyktuje:

Ja niżej na podpisie wyrażone.

— Jus Pan napisać?

— Już.

Adolf Mydlowski, oświadczam tego na piśmie.

— Jest na piśmie.?

— Jest.

Ze pozwolę się we wszystkich gazetach ogłosić jako największy oszust, łajdak...

Adolfek się wstrzymuje, lichwiarz mówi: „niech jeno pan dalej pisze:

*jeżeli kiedykolwiek będę zaprzeczać całkowitej walu-
tury z rewersu dla Herszka Zimt wystawionego. Tak
mi Boże dopomóż przez całe życie moje.*

— Jest jus?

— Jest.

— Niech pan tera podpisie wyraźnie, *daty*, imię i nazwisko.

Na Adolfka gorący pot uderzył, ale chłopiec odważny, podpisał dzień, rok, imię i nazwisko; i powtórnie wyciąga ręce do pieniędzy, ale lichwiarz zamiast pieniędzy wydobywa z kieszeni drugą, również przez długie użycie zabrudzoną karteczkę, i każe pisać trzeci cyrograf. Adolfek pobladł, siada na powrót do stolika i przepisuje podaną sobie karteczkę, która niemniej nie więcej te tylko zawiera wyrazy:

Najdrożsi i najukochańsi Rodzice!

Na przypadek mojej śmierci uwiadamiam was, że Herszek Zimt, ratując mój zagrożony honor, pożyczyl

mi 350 złp. z procentem rocznym po 6 od sta. Zaklinam Was na miłość rodzicielską i na to wszystko co wam jest drogiem i świętem, zapłaćcie ten dług mój u Herszka Zimt zaciągniony. Proszę Was o to z tamtego świata, proszę was o ostatnią łaskę, której, zawsze Was kochającemu synowi, za jego grobem odmówić nie racycie (*).

Z najgłębszym uszanowaniem
przywiązany i posłuszny syn

Adolf Mydlowski.

— Ny! a daty?

Adolfek dodaje: Warszawa dnia 15 Lutego 1843 r. Wówczas Herszek Zimt odlicza 10 najniełitościwiej pod słońcem oberżniętych (**) dukatów, i zaraz się odwraca do okna, niby dla przeliczenia pozostałej mu

(*) Że takie i tym podobne *listy pośmiertne*, niektórzy lichwiarze mają już przekopijowane, i że je dyktują a młodzieuchni paniczowie piszą, — bez żadnych żartów, z całym uczuciem prawdy, zaręczam. W jednym z takich listów czytałem:

Post scriptum: Moja Matko! na *śmiertelném łóżku*, konając, proszę cię, zapłać Szmułowi!

(**) Często się zdarza, że rycerzom na tych dukatach, kołpaków i całych pięt brakuje, a z boku mają poprowadzone cięcia, aż ku samym żebrom, tak że niegdyś okrągły dukat, zamienia się w najwidoczniejszy czworokran, którego nawet przygrze w karty przyjmować niechcą.

Na pamiątkę mojej młodości, przez wiele lat chowałem jednego z tych męczenników, — i dopiero w roku 1843, rozpoczynając zawód literacki, zmuszony byłem dać go w procencie jednemu z lichwiarzy Warszawskich, — i ciągle upatruję rychło mi go znów za *al-pari* wyliczą.

Z boleścią ale i z radośnem rozrzewnieniem przyjąłbym dawnego znajomego, poznałbym go zaś pomiędzy tysiącami, ma bowiem szczerbę na nosie, i lewa noga jest po samą kostkę urznięta. — sic!

gotowizny;—faktor korzystając z tej chwili chwyta ze stolika 2 dukaty, Adolfek chowa do swęj kieszeni 8, mówię wyraźnie *ośm* oberżniętych dukatów. Pozostaje tylko upomnieć Adolfeka aby był uczciwy (?) i rzetelny (?) (to jest głupi), a każdego czasu może dostać pieniędzy, jak się w tym pierwszym razie uści. Ośmnastoletni Adolfek przyrzeka najuroczyścięj, że będzie *punktualny*, Herszek Zimt i faktor jeszcze raz upominają, i interes jest ukończony.

Au. Wi. ch. fil.

RZUT OKA

*na budowę geologiczną Tatrów i wzniesień
od nich równoodległych, tudzież porówna-
nie ich skał warstwowych z alpejskimi.*

przez

L. Zejsznera.

(Ciąg dalszy)



Piaskowiec karpatowy składa się właściwie z trzech różnych formacji. Piaskowce te tak są do siebie podobne, że długo uważano je za jeden osad; aże się stykają z sobą, trudno było je rozróżnić, gdzie nie zawierały skamieniałości. Część najdawniejsza należy do formacji Jura, średnia do krédowój, a wierzchnia do średnich ogniw trzeciorzędowój. Beudant, Boué, Keferstein i ja oddzielili formacją solną od piaskowca karpatowego, i uznali ją za część osadów trzeciorzędowych. Reszta piaskowców powszechnie kar-

packiem i nazywana część zawiera skamieniałości jurassowe, druga krédowe. Główne charaktery każdej formacji piaskowca wymienię w krótkości.

IV. PIASKOWIEC FUKOIDOWY CZYLI JURASSOWY.

Składa się ze trzech ogniw. W przeważającej ilości z właściwego piaskowca, mającego za lepsze potrójny węglan wapna, magnezji i żelaza; wapienia białego, czerwonego, margli i iłów; i szarych wapieni w środku pasma, tudzież na podgórzu Bieskidów rozpostartych. Trzy te ogniwa zawierają jurassowe skamieniałości, łączą się między sobą najściślej, i stanowią jedną nierozdzieloną całość.

1) Piaskowiec fukoidowy składa się głównie z piaskowca, konglomeratu, margli, iłów, i podrzędnych pokładów wapienia.

a) *Piaskowiec fukoidowy* znakomicie przeważa nad wymienionemi skałami, ziarna kwarcu zlepia potrójny węglan wapna, magnezji, niedokwasu i żelaza pomieszany z iłem; zwyczajnie lepszycze przeważa i dlatego piaskowiec ma powszechnie budowę łupkową; rzadko wśród cieńszych warstw wydzielają się grubsze, a te wystawione na działanie powietrza pokazują budowę mniej więcej łupkową; w spolicie wydaje się być zupełnie jednostajną skałą, zlepionych i zlepiających części nie można odróżnić, tylko włożywszy w kwasy utrzymujemy pojedyncze części, albo mocnym szkłem powiększającym odkrywamy ziarna piasku. Kolor zwyczajnie piaskowca jest szary, często niebieskawoszary, przez zwietrze-

nie nabiera różne nieczyste szare kolory, najczęściej nieczysto zielonawe, wyjątkowo bywają brunatne. Wymieniona skała zawiera nie wiele domieszanych minerałów; ograniczają się do żyłek białego węglanu wapna; często bardzo obficie nagromadzanych, niekiedy grubiejących i wtedy powstają geody wysłane kryształami tegoż minerału. Czasem ziarna siarczyska żelaza są rozsiane: ułamki węgla pokazują na oddziałach warstw, rzadziej wewnątrz onych. W niektórych okolicach na oddziałach warstw są liczne kryształy kwarcu, jak łaza przezroczystego, są to owe znane dyamenty marmoroszkie. Niektóre piaskowce przyjęte są naftą, uderzone, wydają mocny odór bitumiczny, jak wapienie bitumiczne.

b) *Konglomerat*. Ziarna kwarcu powiększając się przemieniają się w gruboziarnowy piaskowiec, a następnie w konglomerat, do którego przyłączają się ułamki wapieni; kolor pospolicie jest niebieskawo szary, od lepszysza pochodzący; powszechnie tworzy konglomerat cienkie pokłady wśród piaskowce, wyjątek z tego czyni okolica Pucowa przy Zamku Orawskim, gdzie potężne skały konglomeratu składają się z brył granitu i trachitu, 2—4 stóp mających w średnicy, i tworzą potężne sterczące skały.

c) *Margiel* powszechnie cienkołupkowy, przechodzi w odmiany iłowe albo wapienne, zmienia się nawet w istotny wapień; kolory szare przeważają, i te są albo niebieskawe, albo zielonawe, wyjątkowo czarniawe; żyły białego węglanu wapna dosyć są pospolite: zwyczajnie rozpada się w ułamki romboidalne.

d) *Łł szary* zwyczajnie czarniawy, pospolicie cienko łupkowy.

Pospolicie rozmaitej grubości warstwy piaskowca układają się naprzemian; gdzie lepszycze bierze przewagę, tam są cienkie warstwy, a w nich grube warstwy tu i owdzie wydzielają się w pewnych odstępach; gdzie się zaś kwarcowe części znacznie nagromadziły tam są grube warstwy; w ogólności pierwsze przeważają.

Konglomeraty tworzą pospolicie cienkie pokłady 3—8 stóp grube wśród piaskowca, lecz nie są zbyt częste; wyjątek jedyny czynią konglomeraty pod Pucowem tworzące bardzo potężny pokład.

Pozostałości organiczne w ogólności bardzo są rzadkie w piaskowcu fukoidowym; na podgórzu północnym Bieskidów w kilku tylko punktach pokazują się skorupy ślimaków, należących do formacji Jura, a mianowicie: *Am. fimbriatus*, (Libiertów) *Aptychus lamellosus* (Libiertów. Kossocice) *Belemnites bipartitus* (Kossocice); nierównie obfitsze są Fukoidy znajdujące się na oddziałach łupkowych piaskowców, w bardzo wielu miejscach napotykanie, a mianowicie *F. Targionii*, *intricatus* w marglach łupkowych i wapieniach (Żywiec Mogilany, Wapowce, Rybie, Synowódzko, Zamek Orawski).

II) *Wapień ammonitowy* (Klippenkalk, Pusch) tak nazwany od licznych ammonitów w nim zawartych: Pokład ten odpowiada w najdrobniejszych szczegółach mineralogicznych i paleontologicznych znakomicie rozwiniętemu wapieniowi ammonitowemu w Alpach weneckich i wincentyńskich. Włoscy geolodzy, a mianowicie Catullo tak go mianują, przyjąłem onę, jako poprzedzającą nazwę Puscha.

Pokład ten składa się z różnych wapieni marglowych, margli, iłów i piaskowców.

a) *Wapień jednostajny*, powszechnie koloru czerwonego, czasem różowego przechodzi w biały, nadzwyczajnie jest zbitym i przyjmuje piękny polor. Odmiany czerwone niekiedy mają szczególniejszą budowę; składają się ze zbioru wapiennych kul spłaszczonych, mających kilka cali w średnicy, spojonych marglem stwardniałym, nieco ciemniejszym od czerwonego wapienia; co po wypolerowaniu pokazuje się wyraźniej. Jestto marmur czerwony zupełnie podobny do zdobiącego kościoły Wenecji, Werony i wielu innych miast we Włoszech północnych. Białe odmiany odpowiadają zupełnie skale, zwanój Biancone przez włoskich geologów. Ze zbitych jednostajnych odmian przechodzi zwolna w ziemiste, a niekiedy miewa podobieństwo do krędy, i ta odmiana Scaglii włoskich geolów odpowiada. Trzy wymienione odmiany łączą się najściślej pomiędzy sobą i zawierają jednakowe skamieniałości, dlatego uważamy je za jedną nierozdzielną całość. Obcych minerałów, prócz siarczyska żelaza i rogowca nie masz żadnych. W odmianach czerwonych i białych bardzo obficie nagromadziły się pozostałości organiczne, mianowicie w zbitych.

b) *Wapień ziarnisty* składa się ze znaczni ejszej wielkości ziarn wydatnie blaszkowych; ma kolor biały, rzadko czerwony; budowa krystaliczna nie jest skutkiem działań ognia na jednostajny wapień, ale ciał organicznych; ziarna bowiem są kolankami Enkrynitów, w których często można dostrzegać rysunek gwiazdki, należący do *Pentacrinites subteres* Gold.

I ten pokład znany jest w innych okolicach, a mianowicie odkrył go Dr. Girard przy Latein niedaleko Berna, a Al. Humboldt pomiędzy Poligny i Dijon, tudzież przy Vittaux w ułamek i z tych odległych stron pochodzące porównywałem z Tatrowemi, a niebyło podobną rzeczą je odróżnić.

c) *Wapień marglowy* szary albo czerwony, pospolicie łupkowy, zawiera czasem rogowiec.

d) *Ił czarny* rozpada w ułamki nieoznaczone, krwędziaste; rzadko bywa łupkowym; zawiera miejscami bardzo obficie buły iłowego sferosyderytu ze skamieniałościami w siarczyk żelaza zmienionemi; niekiedy przecinają go żyłki białego węgla wapna.

e) *Piaskowiec*, pospolicie drobnoziarnowy, rzadziej gruboziarnowy; zwyczajnie lepsze w nim przeważa.

Wymienione skały składają jedną nierozdzieloną całość, i zachowują względem siebie pewne położenie. Spodem leżą wapienie ziarniste przechodzące w piaskowiec, służący mu za podstawę (Czorsztyn); na nich osadziły się czerwone i białe jednostajne wapienie, zawierające owe niezmiernie składy skamieniałości; dalej leżą iły czarne i szare wapienie najściślej połączone z marglami, zawierającymi liczne skamieniałości, następnie spoczywa piaskowiec lub konglomerat, który pokrywają potężne pokłady wapienia marglowego, tudzież wapienie szare i czerwone, mające często wejrzenie do krędy podobne; w tej odmianie wapienia wydzieliła się rogowiec, tegoż koloru co wapień szary albo czerwony; pozostałości organicznych nie zwykł zawierać. Szereg wymienionych wapieni pokrywa zwyczajny piaskowiec fukoidowy, albo

szary ił zawierający w odstępach pewnych pokłady piaskowca z warstwami równoodległymi z wapieniem. (Czorsztyn, Szaflary). Grubość pokładu wapienia ammonitowego wynosi około 3000 stóp, często nierównie jest potężniejszą, jakoto w małym łańcuchu zwanym Pieninami, pomiędzy Czorsztynem a Szczawnicą.

Najliczniejsze a zarazem i najrozmaitsze skamieniałości zawierają wapienie czerwone; większa część należy do gatunków właściwych temu pokładowi, mniejsza była dawniej we formacji Jura poznanej; istotnego kredowego gatunku niemasz. Co do rozkładu różnią się bardzo od osadowych skał północnej Europy, jeden pokład bowiem zawiera gatunki ze spodnich, średnich i wierzchnich ogniw formacji Jura. Skamieniałości w wapieniu ammonitowym znajdujące się w różnych warstwach mają tę właściwość, że niższe warstwy zawierają młodsze, a wyższe dawniejsze skamieniałości jurassowe, i tak *Am. Conybeari*, *Am. Birchii* (Zamek Orawski.) *Am. Murchisonae* (Szaflary, Zamek Orawski) leżą nad czerwonym wapieniem zawierającym *Am. annularis*, *biplex*, *triplex*, *Aptychus lamellosus* (Rogoznik) *Pentacrinites subteres*. Gold. (Szaflary, Terstena). Razem z temi istotnemi jurassowemi resztami znajduje się *Fucoides Targionii* uważany za cechujące li kredową formację. Jednakże trafia się ten gatunek w niewątpliwym liasie Wirtembergskim przy Boll, i dlatego nie może służyć za dowód, że to jest osad kredowy, za który uważany był piaskowiec fu-koidowy. Wraz z wymienionemi mieszają się gatunki skamieniałości Tatrom i skałom alpejskim właściwe; są to kształty bardzo szczególne, a charakterystyczne, jakoto: *Terebratula diphya* Colonna; *T. si-*

ma, *Staszycii*, *diphoros*, *axine*, *Agassizii* i t. d. różne Ammonity: *Am. taticus*, Pusch, *simplus*, D'orb. *acanthicus*, *retroflexus*, *Plateri*, i t. d. nadto nowe *Eugeniakrynity*, *Echinodermy* i dwuskorupne.

III. Szary wapień, *Teschner Kalkstein*, Pusch; rozciąga się na podgórzu północnym Bieskidów, gdzie znacznie rozwinięty; składa się z jednostajnego, szarego wapienia; niekiedy zostaje marglowym; białe dzielące się w grubsze, rzadko w cieńsze warstwy. Skamieniałości odkryte w nich przez p. Glocker są jurassowe, wraz nowemi gatunkami wapieniowi ammonitowemu właściwemi; do pierwszych należą: *Ter lacunosa*, *perovalis*, *nucleata*, *Am. Murchisonae*, *annularis*, *triplex*, *cordatus*, *Aptychus lamellosus*; do drugich zaś: *Am. taticus*, *Am. recticostatus*, D'orb. (*Am. Beskidensis*, *Glocker*) wraz z temiż samemi Fukoidami, które piaskowiec fukoidowy i wapień ammonitowy zawierają, a mianowicie *F. Targionii*, *intricatus*, *furcatus*.

Wapienie szare rozpoczynają na północnej pochyłości Bieskidów, począwszy nieco za Kobiernicą, przy Białej i Bielsku rozszerzają się, a pod Cieszynem znakomicie rozwinięte tworzą okoliczne wzgórza. W tychże samych stosunkach znajdują się wapień rozpostarte na podgórzu wschodnim Karpat od Dobromilu aż do Bukowiny rozciągle. Tak pierwsze jako i drugie zapadają pod piaskowiec fukoidowy.

Z szarym wapieniem łączę tegoż samego koloru wapień, tworzące pokłady w piaskowcu fukoidowym, z nim jednakowo warstwujące i zawierające też same Fukoidy, pokazujące się pod Żywcem, przy Wapowcach niedaleko Przemyśla, pod Terszowem niedaleko Starego miasta Sambora i t. d.

Trzy wymienione ogniwa piaskowca fukoidowego stanowią jedną nierozdzieloną całość; wapień amonitowy z piaskowcami podobnymi do fukoidowych warstwują naprzemian, i wśród właściwego piaskowca fukoidowego tworzą podrzędny pokład, rozciągający się wzdłuż całych Karpat, począwszy od Siedmiogrodu aż pod Wiedeń. Niektórzy autorowie oddzielają go od piaskowca i uważają za ogniwo formacji Jura, a piaskowce za krédowe. Wapień amonitowy leży nad piaskowcem, wypadaloby zatem te części oddzielić i dołączyć do równoczesnych wapieni; a że zupełnie wierzchnim odpowiadają spodnie piaskowce, niemasz do ich rozdzielenia uzasadnionego powodu; wreszcie piaskowce fukoidowe warstwują naprzemian z piaskowcem. Same nadto piaskowce zawierają w sobie skamieniałości jurassowe jako to: *Am. fimbriatus*, *Aptychus lamellosus* i t. d. Do tego błędnego wniosku doprowadziły według wszelkiego prawdopodobieństwa fukoidy, mające należeć do formacji krédowej. W Karpatach jednakże z niewątpliwymi skamieniałościami liasowemi (Szaflary i Zamek Orawski) natrafiamy je w wapieniach szarych. Tenże sam przypadek powtarza się w osadach północno-europejskich, wraz z liasowemi skamieniałościami w normalnym liasie trafiają się przy Boll także Fukoidy, i dlatego jestto roślina spólna osadom formacji krédy i jura. Jaką rozciągłość mają piaskowce fukoidowe czyli jurassowe w karpackim łańcuchu, trudno nateraz oznaczyć, albowiem prócz Fukoidów nie mieszczą w sobie innych skamieniałości z niewielu wyjątkami, a z piaskowcem krédowym mają cechy zewnętrzne spólne; trudno zatem granice oznaczyć, ostatnie nie

zawierają w sobie Fukoidów i dlatego wiele jest prawdopodobieństwa, że potężny pas piaskowca składający Karpaty od Bukowiny aż pod Presburg jest jurassowym; bardziej na południe posunięte piaskowce na Spiżu i w Trenczyńskim Hrabstwie, do krédowej formacyi należą.

Porównanie. Piaskowiec fukoidowy przenosi się z Karpat pod Presburgiem w Alpy, i rozciąga się na północnej pochyłości tego najwyższego pasma europejskiego od Wiednia aż do Bawaryi; przy St. Veit niedaleko Wiednia ma podrzędny pokład wapienia ammonitowego, składającego się z tychże samych odmian wapienia, które u stóp Tatrów poznaliśmy i zawiera skamieniałości jurassowe. Piaskowce przy Tryeście sterczące, zupełnie odpowiadają w cechach mineralogicznych i w następstwie pokładów karpaczkim. Apeniny, a według wszelkiego prawdopodobieństwa Pirenee i Turcja Europejska także z nich się składają. Na południowej pochyłości Alpów, a mianowicie w Alpach wenecjańskich, wicentyńskich, tyrolskich, w Eugeneach wapień ammonitowy, *biancone*, *scaglia* pokłady, pomiędzy któremi granice trudno prowadzić, odpowiadają w najdrobniejszych szczegółach wapieniowi ammonitowemu w Tatrach; teżsame bowiem mają cechy mineralogiczne, a skamieniałości zupełnie podobne. Tenże wiek mają według wszelkiego prawdopodobieństwa wapień czerwony w górach kalabryjskich, w Apeninach, w Alpach szwajcarskich rozpostarte, jako i wapień jurassowy w Krymie zawierające *Terebratula diphya*.

Znaczna część skamieniałości pochodząca z pokładu zwanego Neocomien, mającego być osadzonym

pomiędzy formacjami Jura i krędy w Paleontologii fraucuskiej przez D'Orbigny opisane, odpowiadają zupełnie znajdującym się w wapieniu ammonitowym w Tatrach, w części mają kształty najbardziej z niemi spokrewnione. Do pierwszych należą *Am. simplus*, liczne gatunki z familii heterofillov; inne bardzo są do siebie zbliżone, odróżniają w drobnych cechach, i tak *Am. carachtheis*, jak największe ma podobieństwo do *Am. Grasianus*; i dla tego wnoszę, że ta część pokładów, które w południowej Francji za Neocomien D'Orbigny uważa, należy do osadów alpejskich i jest ogniwem wapieni ammonitowych. Wprawdzie nie rozwinął się ten osad we Francji jak w Karpatach, ale znajdują się też same warstwy w Tatrach, inne zaś wzięły przewagę; i tak znakomicie są rozwinięte szare ility, a wapienie stały się podrzędniemi. W Tatrach przeciwny jest przypadek, ility tworzą podrzędny pokład, a wapienie znakomicie przeważają. Niektóre skamieniałości przez D'Orbigny za nowe oznaczone największe mają podobieństwo do jurassowych, i tak: *Am. subfascicularis*, D'Orb. w rysunku nie pokazuje najmniejszej różnicy od *Am. polyplocus*, Reineke, tak pospolitego w wapieniu koralowym pod Krakowem i Częstochową. Czyli wniosek mój jest prawdziwym nie jestem w stanie rozstrzygnąć, tyle wszakże jest pewnego, że fizjognomia fauny wapienia ammonitowego pod Tatrami, największe ma podobieństwo do znajdującej się w pokładzie Neocomien we Francji południowej Al. D'Orbigny; tak nadzwyczajnie odmienną od zawartej w osadach północno-europejskich, i to jednoczesność okazuje dwóch tych osadów. Od wapieni z piaskowcem sukoidowym połączonych, oddzielić wypada wapień jednostajny bia-

ły, sterczący na boku północnym pierwszych gór do Bieskidów należących pod Inwałdem. Na pierwszy rzut oka podobny jest do wapienia korallowego, pod Krakowem rozpostartego, i z niem łączą go niektórzy geologowie. Różni się stanowczo od niego wapień Inwałdzki brakiem zupełnym krzemienia i właściwymi pokładami konglomeratu wapiennego, które w wapieniu korallowym nie zwykły się znajdować. Zawiera liczne nowe gatunki *Nerineów*, *Hippuryt*, *Sferulit*, *Astarte*, *Natica* i dwa gatunki Gwoździeli (*Caryophyllia*.) Aczkolwiek znaczna jest liczba tych skamieniałości, nieoznaczają one wszakże formacji. Konglomerat wapienny wielkie ma podobieństwo do podobnejże skały pod Terhową w Niżnych Tatrach, zawierającej *Nummulty* kuliste, i dlatego możnaby je uważać za ich ogniwo, i w tym odpowiadałyby Alpom szwajcarskim. Uprawdopodobnia to przypuszczenie zupełnie podobny co do zewnętrznych charakterów biały konglomerat wapienny, zawierający *Hippuryty* przy Santa Croce w Alpach weneckich.

W jakim stosunku zostaje wapień Inwałdzki do piaskowca fukoidowego, z którym się bezpośrednio styka nie można rozstrzygnąć, albowiem na całej przestrzeni, w której wapień występuje pokrywa je ziemia urodzajna i wątpliwą jest rzeczą czyli służy mu za spodek, czyli też nie zostaje z nim w jakim stosunku, i wulkanicznymi siłami na wierzch wypchnięty został. Wygładzone płaszczyzny w wapieniu licznie pokazujące się, i w pobliżu dobywający *Dyoryt*, w górze Lackorona pod Andrychowem, zdają się potwierdzać ostatnie przypuszczenie.

Wapień Inwałdzki występuje na przestrzeni 3000

stóp długiej. Niemasz w całym pasmie karpackiem podobnego wapienia; zdaje się jednakże należy do podobnego Dolomitu numulitowego zawierającego skamieniałości w tych osadach pospolitsze, jakoto: Hippulity, Sferulity.

V. PIASKOWIEC KRÉDOWY.

Nadzwyczajnie trudno oznaczyć granice pomiędzy piaskowcami jurassowemi a krédowemi, dla ich podobieństwa; toż samo potrójne lepiszcze spaja ziarna kwarcu co w piaskowcach fukoidownych; tylko skamieniałości świadczą, że to późniejsza formacja. Przejścia dwóch tych osadów jednego w drugi, tak są nieznaczne, że powątpiewam czyli pewne granice pomiędzy nimi kiedykolwiek zostaną wskazanemi. Geologowie oznaczający wiek piaskowca karpatowego z jednej skamieniałości pod Orłową i Wercizerem znalezionej, wnioskowali o wieku tej skały 1000 przeszło mil kwadratowych zajmującej przestrzeni w Karpatach, i swe rozumowanie popierali Fukoidami. Jak dalece podobne massowe oznaczanie formacji jest niedostatecznym, okazaliśmy właśnie powyżej że większa część piaskowca karpackiego należy do formacji jurassowej. Piaskowce należące z pewnością do osadu krédowego, zajmują małe przestrzenie w Karpatach; ograniczają się do małej części piaskowców hrabstwa Trenczyńskiego, pomiędzy Orłową i Podhradem i naprzeciw leżącej wioski Wercizer; dalej do wyspy piaskowca około milę długiej, pomiędzy skałami metamorficznemi pomiędzy Kluknąwą i Margiecanami na Spiżu zawartej; znacznie rozwinęły się piaskowce krédowe na Spiżu przy Iglo;

wszystkie piaskowce dalej na wschód rozciągające się aż po za Wielki Szarysz są do siebie podobne, i pochylają się pod kątem nieprzenoszącym 5° na wschód, dlatego za części formacji krédowych można je uważać. Piaskowce krédowe mineralogicznie różnią się nieco od jurassowych; w ogólności mniej są zbite i do piaskowca zwyczajnego bardziej podobne; kolor mają niebieskawoszary, po zwiertzeniu w zielonawo szary zmieniający się; dzielą się w grubsze warstwy mające 4 do 10 stóp, rzadko bywają cieńsze; łupkowe odmiany bardzo rzadkie. Obcych domieszanych minerałów nie znamy.

Skamieniałości bardzo obficie nagromadzają się między Orławą a Podhradziem i Wercizerem; składają się prawie ze samej *Exogyra columba*, tworzącej pokład sześć stóp gruby, rozciągający się wzdłuż pół mili. Przy Iglo nie tak nagromadziły się reszty organiczne; pospolitemi są *Photolomya Esmarkii* wraz z różnemi jądrami dwuskorupnych muszli; przy Kluknawie według Göpperta występuje flora zielonego piaskowca (Greensand), są to liście należące do gatunków znanych z spodnich ogni *Salicites crassifolius*, *Petzoldianus*, *Alnites strictus*?—*Fucoïdes Targionii* nigdy w Karpatach nie towarzyszy skamieniałościom krédowym, aczkolwiek w spodnich ogniach formacji krédy, osadów północno europejskich zwykły się znajdować. Wymienione skamieniałości dowodzą, że to są niezawodne kształty krédowej formacji, jakiemu pokładowi w niej odpowiadają, trudno oznaczyć, dla na zbyt szczupłej ilości poznanych dotąd, tyle tylko jest pewnego, że piaskowce fukoidowe same kształty jurassowe, te zaś same krédowe zawierają.

Czyli w Karpatach piaskowce krédowe występują jeszcze w innych miejscach, nie jesteśmy w stanie okazać, albowiem w nich nie odkryto dotąd żadnych skamieniałości. Podobnie nie można teraz okazać, które piaskowce w Alpach i w krajach południowej Europy odpowiadają karpackim.

VI. FORMACJA TRZECIORZĘDOWA.

Tak na północnej jako i na południowej pochyłości Karpat osadziły się znakomicie skały, do średnich ogniw formacji trzeciorzędowych należące; czasem pokazują się w środku łańcuchów. Formacja ta składa się z dwóch ogniw odróżniających się dokładnie między sobą; do składu pierwszego wchodzi potężne pokłady soli kuchennej i siarki rodzimej, wraz z anhydrytem i gipsem, naprzemian ułożone ze szarym iłem, czerwonym marglem; do drugiego zaś ogniw szare ły, żółte piaski zmieniające się w piaskowce.

Na obydwóch pochyłościach Karpat osadziły się nadzwyczajnie potężne pokłady soli; budowa ich na północnym boku nierównie lepiej znana, aniżeli na południowym; albowiem tam zostały otworzone od wieków kopalnie Wieliczki i Bochni. ły szare zmieniające się niekiedy w piaskowiec wraz z anhydrytem przedzielają w Wieliczce potężne pokłady soli, mające odmienną budowę ziarna; wierzchem leży gips powstający według wielkiego prawdopodobieństwa z anhydrytu; w Bochni jednej odmiany gruboziarniste sołe przedzielają anhydryt i gips; sól kuchenną zastępuje niekiedy siarka (Swoszowice.)

Sól kuchenna tworzy znakomite pokłady od 10 do 50 stóp grube, nie dzielące się w warstwy; zato ility i anhydryt tworzą cienkie warstewki, kilka cali grube; są to dowody, że sole są osadem wodnym; nadto nie jest zupełnie czystą, ale zwyczajnie z iltą i piaskiem pomieszana, i części te zawiesiły się w równo odległych liniach odpowiednich warstwom. Dalej zawierają skamieniałości i przegradzające one ility szare. Wszystkie należą do gatunków dobrze znanych, charakteryzujących średnie ogniwa formacji trzeciorzędowej, główniejsze wymieniam: *Nucula comta*, *Pecten cristatus*, *Natica millepunctata*, *Pedipes buccinea*. Toż samo potwierdził Dr. Philippi, który rozpoznawał mikroskopiczne skamieniałości w samejże soli spiżowej zawarte; wszystkie przezeń odkryte gatunki toż samo ogniwo trzeciorzędowe cechują, jakoto: *Orbiculina universa*, D'Orb.; *Tritoculina ovalis*, Roem. *T. orbicularis*, R.; *T. trigonalis*, D'Orb.; *Quinqueloculina rotunda*, Roem. *Q. sulcifera*, Roem; *Q. ovata*, R.; *Rissou elongata*, Philippi; *Cerithium Lima*, Brg.

Pokłady soli właściwy charakter nadające osadom trzeciorzędowym karpackim, statecznie towarzyszą skałom alpejskim. Wierzchnie pokłady zaś tej formacji, są zupełnie podobne do znanych trzeciorzędowych; są to lotne piaski, grube zwiry, czasem piaskowce i ility szare, zawierające miejscami bardzo obficie skorupy ostryg i pektynitów.

Spodnie pokłady trzeciorzędowe osadziły się przeważnie na północnym podgórzu Bieskidów; z pewnością wiadomo, że zaczynają się przy Sydzinie i Skotniki i ciągną się przez Swoszowice, Wieliczkę do Bochni, odtąd znaczna jest przerwa ku wschodowi; od

Dobromiła pokazują się znów pokład solny koczający się w Bukowinie. Na tej przestrzeni świadczą o bytności pokładu soli liczne źródła surowicy; tak nazywają mieszkańcy źródła słonej wody. W dwóch miejscach jest istotnie dobywaną sól kamienna, przy Kaczyka i Stebniku. W samym pasmie Bieskidów tryszcą także źródła słone wśród piaskowców fukoidowych, co dowodzi że aż tam zachodzą osady trzeciorzędowe; i tak niedaleko Żywca są źródła słone pod wioskami Sol i Ujsol, a na południowej pochyłości Babięj Góry, przy wiosce Orawskiej Połhora; przy wiosce Rabku nie daleko Jordanowa u stóp południowych góry Luboń. Na południowej pochyłości Karpat nierównie potężniejsze są pokłady soli, aczkolwiek ledwie co są znane; pod Paryad w Siedmiogrodzie sterczą skały soli, składające góry przeszło milę długie, a dwieście stóp wysokie.

Czyli alpejskie pokłady soli wśród wapieni jurassowych zawarte w Salzburgu i Tyrolu odpowiadają karpackim, niema dotąd pewności, aczkolwiek wielkie jest do tego prawdopodobieństwo; znalezione skamieniałości mają fizjognomią trzeciorzędowych. Pokłady soli w Cardona w Pireneach według Dufrenoy, w Kalabrja Salina de Langre według Pila, odpowiadają trzeciorzędowym osadom, a zatem tenże wiek mają co karpackie. Wierzchnie pokłady formacji trzeciorzędowej na pochyłości południowej znacznie się rozwinęły i pozachodziły w głąb dolin, a mianowicie znajdują się w dolinie Hronu i prawie do jej źródeł dochodzą.

Na północnej pochyłości Bieskidów również są

znacznie rozwinięte. Począwszy od Izdebnika ciągną się nieprzerwanie, aczkolwiek często nie wyraźnie przez Rajsko, Wieliczkę, Brzysko, Tarnów i coraz dalej na wschód obszerniejsze zajmują przestrzenie.

Skąły należące do szeregu alpejskich w Karpatach rozpoczynają się z liasem; pominąwszy czerwone piaskowce, których wieku nie można oznaczyć; na wapieniach liasowych spoczywają młodsze jurassowe osady, dalej krędowe i trzeciorzędowe. Szereg pokładów na sobie następujących zupełnie odmienny jest, od formacji normalnych północnej Europy. Skamieniałości zawierają dwojakie, jedne właściwe są alpejskim osadom, drugie dawniej znajome. Rozdzielenie ich jest zupełnie właściwe w osadach alpejskich: i to główną jest trudnością przy poznaniu wieku tych osadów. Najdawniejszy osad czyli wapień alpejski zawiera z niewjelu wyjątkami same gatunki znajome z liasu; w pokładzie na nim leżącym, dolomitu nummulitowego same nowe gatunki występują, prócz jednego mogącego należeć do liasowych; piaskowce fukoidowe na poprzednim pokładzie spoczywające zawierają przeważnie nowe gatunki alpejskim osadom właściwe, wraz z gatunkami dawniej znanymi, należącemi do trzech pokładów odmienne położenie względem siebie zachowujących t. j. do liasu, Oxfordclay i Coralrag. Wszystkie te skamieniałości razem zmieszane są w jednym pokładzie i często za młodsze uważane w osadach północno europejskich leżą pod dawniejszemi. W dwóch później utworzonych osadach skamieniałości odpowiadają formacji krędowej i średniemu pokładowi formacji trzeciorzędowej, i nie są odmiennymi od znajomych.

Z osadami alpejskimi stykające się na północnej pochyłości wapienie formacji Jura i ogniwa krędy, zupełnie są różne od alpejskich i znajomemu szeregowi w najdrobniejszych szczegółach odpowiadają co do gatunku skały, następstwa pokładów i zawartych w nich pozostałości organicznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WŁADYSŁAW.

NIEPODOBNE DO PRAWDY A JEDNAK PRAWDZIWE ZDARZENIE.



„ . . . żebym najmniejszym punkcikiem,
„czyli krytyczną notą, Prześwietnych
„Domów miał sępić lustry; dalekim mię od
„tego, Professyi mojej obligacya oświad-
„cza. “

Pamięta do Herbarza X. Kaspra Niesieckiego S. J.

I.

Kto zwiedził Litwę a nie był na wielkiem polowaniu, jakie tam jeszcze tu i owdzie odbywają się, kto nie widział jak ważną te łowy w zatrudnieniach wiejskich grają rolę, z jakim zajęciem o nich mówią, jakie szmaty dziejów krajowych, i rodzinnych podań i gawęd do nich przyczepiono, ten niech niewyobraża sobie że zna domowe życie Litwinów. Wprawdzie coraz się już zmniejsza to pokolenie namię-

tnych myśliwców, już osobliwością są owe polowania w których kilkuset ludzi bierze udział; bo też i owe niedostępne puszcze, poczynają się przerządzać, i nieprzeliczone niegdyś gromady wilków, dzików, niedzwiedzi i łosi szczupleją:—przecież nie ze wszystkiemi wyginęli prawdziwi myśliwi, jest i zwierzyna i są prawie nieprzebyte knieje — obyczajy tylko i zwyczaje codzień więcej się przeobrażają.

Wiedząc o tem, z radością przyjąłem słowa mego przyjaciela w którego domu od kilku tygodni bawiłem.

— U pana deputata, sąsiada naszego, rzekł mi pewnego ranku, na jutro zapowiedziana obława; pojedziesz z nami?

— Z największą chęcią!—a z której strony on twoim sąsiadem? — bo przyznam się, że dotąd nie mam pojęcia o waszych odległościach. Nie jeden zwany sąsiadem mieszka o mil dziesięć, a z wizytą jeździcie często o mil pięćdziesiąt.

— Tą razą, odparł uśmiechając się mój gospodarz, podróż nie znuży cię. Deputat nasz mieszka tylko o trzy mile, nad samą Wiliją; poznasz tam prawie wszystkich myśliwych z okolicy.

— To się znaczy: wszystkich obywateli i szlachtę, bo istotnie któż tu nie trudni się myślistwem, choćby dla zwyczaju?

— Dawniej tak było, ale teraz znajdziesz nie jednego co strzelby od urodzenia nie miał w rękę; jednakże i tacy zjawiają się na polowania dla gawędki, zabawy i kart,—kart, bez których jak u was tak u nas żaden szlachcic nie obejdzie się, bo czemże by czas zabijał? — umarłby z nudów!—Ale nie będę cię uprzedzał, przypatruj się sam.

— Kiedyż jedziemy?

— Jutro skoro świt rozpocznie się obława, dziś wieczorem musimy być na miejscu.

Opatrzywszy strzelby, dawszy rozporządzenie gajowym i chłopom, których sobie panowie wzajemnie do obławy pożyczają, po południu wsiedliśmy na bryczkę. W parę godzin przelecieliśmy tę trzydzielową drogę, składającą się niby z samych próbek rozmaitego gatunku traktów: z dołami, wybojami, kamieniami, groblami z okrągłaków, piaskami, wygodnymi miejscami na mostki, z brakiem takowych i gorszymi jeszcze od owego braku mostkami, zgoła zbiór tych wszystkich gatunków byłby zupełnym, gdyby na całym przeciągu znajdował się choć jeden kawałek dobrej, ubitej drogi.

Wjeżdżając na dziedziniec dworski, widać było pełno przygotowań do obławy. Bryczki, wozy, powozy, kałamaszki, — konie, psy, sługi i chłopcy zapelniali całą przestrzeń między dworem, oficyną a zabudowaniami folwarcznymi. Pan deputat przyjął nas na ganku z niewymuszoną szczerością, zwykłą gościnnym tamtych stron mieszkańcom. Był to człowiek czterdzieści kilka lat liczący, średniego wzrostu, szerokich ramion, na pierwszy rzut oka niepospolitą siłą zdradzających. Twarz mocno ospowata, oko czarne i żywe, zawiesziste szpakowate wąsy, nadawały mu surowy ale nie przykry wyraz męskości i siły. Ubrany był w szaraczkową, siwemi barankami podbitą kapotę, u której na guziku wisiał skórzany kapciuszek z nieodzowną przetyczką z mosiężnego drutu do drewnianej fajeczki, bezprzerwanie sączącej wąski dymek. Deputat nigdy nie był

żonatym, nie wiele więc dbał o wykwiłtne pomieszkanie; składało się ono z małego niby przedpokoju nibyto kredensu, dużej izby jadalnej i bawialnej zarazem, dalej z pokoju sypialnego, a w końcu z tak nazwanej kawiarni. W tej chwili napełnione, a raczej przepelnione było gośćmi —co u nas już rzadko się zdarza:—jednego stanu; była to albowiem sama szlachta. Jedyłą różnicę nie urodzenie lecz stanowił majątek—poznać go można było od razu po stosownej niskości ukłonów stron obu, i mniejszej lub większej serdeczności powitań.

Śród wrzawy opowiadań, oglądań psów i broni, ogłaszanych zamiarów i dawanych rozporządzeń, czas szybko leciał.

Stara wódka litewska i rozmaite zakąski, w miarę nowo przybywających ciąglą odbywały wędrowkę, a z daniem wieczerzy wstrzymywano się widocznie na przybycie jakiegoś znamienitego gościa.

— Widno już się sędziego dziś nie doczekamy, wołał jakiś niski i czerwony jegomość w kurtce obszytej lisiem futrem.

— Żona mu chora, odrzekł deputat.

— Toć od pójścia za mąż nie była ani dnia zdrowa, powinienby przywyknąć.

— Biedny człowiek, odparł z ubolewaniem ktoś inny, bodaj że i po drugi raz zostanie wdowcem.

— Żeby aby po niej wziął jaki majątek, toby nie żał.....

— Ba! i cóż choćby i wziął, familja by się upomniała,—musiałby oddać.

— Jużby tam sędzia sobie poradził: albo to taka choroba i *alimenta* nie kosztują?

— Tą razą poczciwy sędzia oczywiście straci na hrabiance to co zarobił na przeszłej żonie, chociaż była tylko córką dzierżawcy.

— Aleć za to miał hrabiowski ton w domu przez cały rok—i jaki ton jeszcze!

— Samei tego chciał; miał pieniądze a nieumiał dawać tonu,—wziął hrabiankę aby go tonu nauczyła—a teraz traci i żonę i ton i pieniądze!

— Ona była poczciwa kobieta—dobra jak baranek,—nie widziałem ci ja tam tego tonu o który ją ludzie oskarżają.

— Bo wasan panie Jerzy nie uważasz choćby ci na odcisk nastąpić, — ale była tam fanaberja, — ba i niemata.

— Oj! co była to była! spytajcie się tylko sąsiadów, naszych żon; czy ona miała którą za przyjaciółkę? — czy należała do jakich zabaw? na kontrakta nie raczyła nawet przyjechać!

Obok mnie na ławce wpół zacięzionej wielką szafą siedział młody jakiś człowiek, na którego dotąd nie zwracałem uwagi, ponieważ nikt do niego i on do nikogo nie przemawiał. Domyslałem się, że to musi być jakiś ekonom czy pisarz a najwięcej jeżeli jakiś drobny szlachcic lub dzierżawca. Począłem dopiero uważać, że w czasie powyższej gawędy okazywał coraz żywsze oznaki niecierpliwości; pokręcał wąsów, kaszlał przymuszenie, poprawiał fajkę i gęstym otoczył się dymem, aż w końcu kiedym spostrzegł tę niespokojność, i parę razy na niego spojrzałem, odezwał się do mnie:

— Pan nie z tych stron jesteś?—i zaledwo dając czas do odpowiedzi, mówił dalej:

— Z tych rozmów będziesz miał nie tylko złe ale i fałszywe wyobrażenie o naszych stronach. Ludzie ci nie są tak zli jak się wydają; ale niestety, głupstwo i przesąd przeważa nieraz złość najwyrafinowaną!

Kobieta o której tu mówią jak o umarłej i złośliwie, jest godna uwielbienia, w całym znaczeniu tego wyrazu, bo tu kobiety we wszystkiem stoją wyżej i dalej od mężczyzn, — mają wszystkie ich cnoty i inne jakich mężom brakuje, a wolne są od ich wad. Należy się poddanych zapytać — lud nigdzie nie wstydzi się wdzięczności — i tu zaledwo znajduje dosyć wyrazów do uwielbienia. — Młoda, piękna, wychowana pośród zbytku uprzedzającego najmniejsze jej życzenia, — przyzwyczajona tak zwanym książęcym przepychem do zaspokojania najdziwaczniejszych kaprysów, namiętnie uwielbiająca wszystko co piękne i szlachetne, z sercem oczekującym spełnienia się jej ideałów — wtrącona została w świat brudów i egoizmu — wydano ją za człowieka... ale otóż jest sam pan sędzia.

Rumot krzesel i gości idących tłumnie na spotkanie nowoprzybyłego, przerwały naszą rozmowę.

Pan sędzia mógł mieć lat około sześćdziesiąt; wzrostu niskiego, z plecami tak dalece wygiętymi i ścieśnionymi ramionami, iż garbatym się wydawał. Widać że ruch ciągły, nieprzestanny, był jego żywiołem; nie tylko bowiem całym ciałem kręcił się, przebierał nogami, machał rękoma, ale czoło nieustannie marszczył, zmrużał siwe małe oczki, brwi ścigał i nosem razem z wąsami to w jedną, to w drugą stronę ruszał. Włosy miał prawie zupełnie białe;

brwi zaś i wąsy czarne jak smoła, co tę zmienną, nieprzyjemną twarz jeszcze bardziej czyniło odrażającą.

Goście cisnęli się do niego, całowali go w ramiona, ujmowali za kolana lub tylko ściskali za rękę i lekko głową witali—w miarę własnej godności—z tego jednak widocznem było, iż sędzia w tém zebraniu był jedną z nienajpośledniejszych osób. Pytano go się troskliwie o zdrowie żony.

— Ah! mosanie! hrabianka, to zwykle delikatne zdrowie—chora i chora; ale tu teraz z domu jw. podkomórego (to mój bliski kuzyn) przysłano mi pigułki—cuda o nich opowiadają.

Jedynym z sędzią niewitającym się, był ów mój sąsiad. W krótkce zastawiono wieczerzę, przypadek znowu nas obok siebie posadził; miałem sposobność przypatrzeć mu się bliżej. Był to młody człowiek, znacznego dość wzrostu, kształtnie zbudowany, ubrany skromnie w buręj jakiejś kapocie. Długie ciemne włosy, rozdzielone miał na obie strony wysokiego czoła; na pierwszy rzut oka nic w jego powierzchowności nie odznaczało się, pilniej dopiero uważając, widać było w czarnych iskrzących źrenicach, czasem drgnięciu ust, silne odbicie wrażeń zewnętrznych, i nieustanne działanie myśli; ta gra nieruchomej i zimnej napozór fizjognomii była mi wymowniejszą, jak gdyby odpowiadał na wszystko co do koła niego humanymi słowami okrzykiwano.

Uczułem jakiś wyraźny ku niemu pociąg; przeciwnie on nie okazywał się skłonny do rozmowy, odpowiadał ucinkami i jednosyllabami. Pozostałem się sam na rozległym polu domystów. Kilka wy-

razów, które wprzód mówił do mnie o chorąg i pięknej żonie sędziego, nastreczyły mi obszerną treść do marzeń, tak iż wkrótce sobie z tego cały zbudowałem romans—pociągający, nieszczęśliwy na jawie, a zakazanemi roskoszami nasycony, romans pełen sprzeczności istniejącego stanu społeczeństwa, — bo w naszych czasach instytucje socjalne są osią około której obraca się wszystko—nieszczęście—luź chciałem powiedzieć szczęście, alem sobie przypomniał, że ogół tak o nim zwątpiły, iż śmieszną by było rzeczą wystawiać jego obraz nawet w powieści. W miejsce wyrazu szczęście, wstawiono dziś roskosz i zabawę.

Wieczera coraz huczniejsza kończyła się bez porządku, a nad rozmową panowały tylko okrzyki zajadłych łowców, naśladujące wystrzały broni, zwycięskie ujadania ogarów, jęki konających zajęcy, niedźwiedzi, lub przerażające wycia wilków. Czoło naszego towarzystwa przeniosło się do sypialnego pokoju gospodarza. Obok łóżka, zamiast kobierca, wisiła rospostarta na ścianie skóra olbrzymiego niedźwiedzia ze srebrzystym włosem, sięgająca od pułapu aż do podłogi. Gospodarz ze wszech stron nalegany prośbami, już może po setny raz opowiadał historję śmierci tego zwierzęcia; dla prawych jednak łowców, w podobnych historjach żaden szczegół nie jest zbytecznym, a szczegóły tych za każdym opowiadaniem coraz więcej przybywa.

— To nie żaden *mrowiennik*, mówił deputat przytłaczając palcem swą wiecznie gorejącą lulkę,—jak państwo widzicie była to bestja nie lada. Kiedy został zabity i przywalił mnie, leżałem zemdlony a dwóch

silnych chłopów ledwo go drągami zrucili na bok, byłbym się udusił. Toć już nie trzeba wam powiadać, że od młodości jedyna moja rokosz była bójka z *maruchami*, — ale jakoś liczba trzydzieści nigdy mi się nie szykuje. Dopóki miałem trzydziestu strzelców, dopóty ciągle bywały między niemi zwady i przypadki, od czasu jakem jednego z nich odprawił wszystko spokojnie. Kiedym miał lat trzydzieści, pierwszy raz oświadczyłem się o pannę podkomorzanekę i odmówili mi. — A oto trzydziesta jest niedźwiedzica, od której Bóg tylko niechciał, abym zginął. Patrzenie państwo, — mówiąc to odsunął rękaw i ukazał lewą rękę aż po łokieć pociętą, pooraną we wszystkie strony głębokimi bliznami, i dopiero spostrzegłem, iż mało jęj używał, zapewne dla braku władzy.

— Otóż tedy, mówił dalej, na Boże Narodzenie będzie temu trzy lata, przed samą *kucją* zrobiliśmy wycieczkę ze Ściepanem; znacie go państwo — to ten co teraz jeno siedzi na folwarku bo sobie tejsze zimy za wilkami jeżdżąc z prosięciem, całe nogi odmroził, stopy mu poupadały — był wtedy ze mną i Onufry — on jutro od grobli zarządzi obławnikami, choć to chłop ale dziarski strzelec, — lubię tego szelmę chama, jak własnego syna. Owóż tedy któryś z bojarów? (*) dał mi znać, że opóźniony mrowiennik od kilku dni szuka sobie zimowego legowiska blisko Ogińskiej grobli, pod ogromną dębową powałą. Zarazże skoro świt, śnieg w nocy Chwała Bogu nie padał, opatrzyliśmy pieńkami rusznicę i wychyliwszy po czarce

(*) Pewien rodzaj wolnych chłopów, okupników, zowie się bojarami.

starki, w drogę do lasu. Trop był większy, ba! jak dwie nogi chłopca zarazem; od ścieszki na groble ustawiam Ściepana, Onufrego od przesmyku do karczmy Mołodeczkańskiej, sam poprawiwszy podsypki idę prosto w las, a cicho i ostrożnie za tropem. Przyznam się państwu czułem coś niedobrego, bo serce mi drgało jak nigdy. Podążę do samej powały—nad nią pochylone jodły i brzozy zwieszały gałęzie a śwież lepiej niż w lecie zieloność ostaniała wędół; powała była przedemną jak chałupa śniegiem owalona z wiszącymi soplami, a z daleka otoczona jak płotem gęstym i omarżłemi krzakami i gałęziskami; paprocie w pas a na nich jak pierzyny leżał śnieg—zgoła ani dostąpić i nic nie widać w jamie pod powałą. Niechciałem ja płoszyć bestyi nie dojrawszy jej, mróz był tęgi, śnieg nie lepił się w gałki, musiałem łamać gałęzie i jodłowe szyszki ciskam w wędół: cmokam, gwizdzę i rzucam lodowe sopte, już byłem doprawdy rozgniewany, w tém sterczące korzenie powały i bliskie gałęzie poruszyły się i śniegowy deszcz spadł jak chmura, a w pośrodku ujrzałem czarną i potężną bestją. Nie był to Mosanie mrowiennik jak mi powiedzieli ale niedźwiedz jak koń! trochę mnie chłód przebiegł a trochę i radość, bo to panie nie żarty takie straszycło u nóg zwalić. Miejsce było ciasne, cofam się więc na ścieszkę a i jemu się znudziło przesadził parę krzaków, mruknął, wstał na zadnie łapy i prosto do mnie. Czekałem go o kroków jedenaście—wiadomo państwu, że nigdy dalej do niedźwiedzia nie strzelam — i to raz tylko pieńkiem i kwita. Spokojnie oparłem kolbę o ramię, zmierzyłem pod lewą łopatkę, wstrzymałem silnie

i w Imię Boże.... pstrykl...nie dało ognia! Możecie sobie wystawić jak mi się nagle zrobiło gorąco — tu bestja obces na mnie! — pocznę co tchu uciekać, wstrząsam w biegu panewkę, naciągam kurek, odwracam się, końcem lufy dotknąłem się kudłów, ściągam cyngiel — pstryk! — spaliło z panewki! Nie było już czasu odwrócić się, upadłem na wznak, niedźwiedz na mnie; otworzył paszczę czerwoną jak krew, kurzyło się z niej jak z pieca, — już miał mnie kłami przywitać — kiedy Najświętsza Panna Ostrobramska natchnęła mnie tą myślą — pakuję mu nagle rękę w gardło jak mogę najdalej i silnie chwytam za ozór. — Jak to Bóg łaskaw że u niedźwiedzia między kłami a trzonowemi zębami jest przedział bez zębów, ręka moja poszła mu w poprzek paszczy — gdyby nie to byłby mi kości pogruchotał — tak pożył tylko mięso ale kości nie naruszył. Krzyczałem i już byłem bez sił, kiedym nad sobą usłyszał dwa strzały. Sciepan i Onufry przybiegli i ukośnie z dwóch stron murchę na wskrós pieńkami przebili. Długo na tę rękę chorowałem i już z niej nie wielką mam pociechę; a oto z tej bestyi mam na pamiątkę skórę; od początku nosa do ogona trzyma półczwarta łokcia litewskiej miary — a co czy nie ładna sztuka? — Ale już teraz takie coraz radsze, dodał w końcu z westchnieniem zapalając zgasłą fajkę.

— Ten widać był straszniejszy, rzekł któryś ze słuchających, jak ów mrówiennik cośmy go przeszłego roku u pana sędziego na obławie ubili.

Niektórzy zaczęli się śmiać, spytałem się o powód.

— Bo to widzisz asan, odezwał się Pan Sędzia, to

śmieszne zdarzenie. Trzeba wiedzieć że ja tych chłopów, chamskie plemie, umiem trzymać w rygorze; otóż przeszłej jesieni jeden z ekonomów stał na linii z obławnikami dla porządku. Szelma marucha zwąchał proch, i przebiegły zamiast na strzelców uderzył na obławników, chciał się przebić przez linię, ekonom mu zastępuje i pa!—strzelił ale go tylko drasnął, niedźwiedź do niego, poczcziwy mój Bońkowski pada na ziemię, ale że był grubo odziany, marucha łapą zaczyna go porządnie traktować i drzeć na nim płaszcz. Chłopi stali o kilkanaście kroków, jakoż jeden przybiega i tęgim dębczakiem nuż okładać boki niedźwiedziowi; niedźwiedź zrywa się, puszcza ekonom a uderza na chłopą; chłop na ziemię owinąwszy głowę w kozuch woła: Bazyl ratuj! — Bazyl przyskakuje i znowu pałąk bestję po łbie—a oba mieli siekiery za pasem, dopiero kiedy niedźwiedź i Bazyla począł okładać, na ten krzyk przybiegł strzelec i trupem maruchę położył. Jak do mnie chamów przyprawdzili, pytam się dla czego niedźwiedzia siekierami nie ubili.

— Ba! siekieru jeha bić! odrzekł Bazyl, a szcoby Pan skazau skolib skoru popsowali?

— Widzi Asan, tak to mnie się chłopcy boją, kończył pan sędzia z dumą wśród powszechnego śmiechu, z naiwniej czy też szyderczej odpowiedzi wieśniaka.

Cały wieczór ześzedł nam na podobnych, prawie o samem myślistwie gawędach. Dziwną jest rzeczą iż nawet o kartach nikt nie spomniał. Udałem się do spoczynku z głową przepełnioną awanturami, które we śnie w olbrzymich i fantastycznych kształtach przedrzeźniały mi rzeczywistość. Ów młody mój

nieznajomy sąsiad w tyłu mi się postaciach do snów moich mieszał, iż obudziwszy się, niecierpliwie szukałem sposobności aby się kogo o nim wypytać.

II.

Nazajutrz dzień był najpiękniejszy w jaki się kiedykolwiek jesień przystroiła. Obława rozpoczęła się przeszło o półtóry mili od dworu deputata. Stałem już więcej godziny na stanowisku, słońce się wzniosło dość wysoko, a wołania osoczników, stukania w drzewa, nawoływania, odgłosy trąbki i strzały oddalały się coraz bardziej. Uroczysta cisza lasu ogarniała mnie do koła. Daleka wrzawa rozchodziła się w poważnym echu, na które tylko szum potężnych drzew odpowiadał i szelest suchych liści w których po kolana brnąłem. Nie wiem jakim sposobem się stało, iż szedłem zamysłony nie zważając sam w jaką stronę i jak długo. Otoczony tym tak silnie wrażliwym się widokiem dzikiej, dziewiczej natury, podziwiałem prawdziwie religijny zmysł praocjów naszych dla których odwieczne dęby były ołtarzami a lasy rodzinne elizejskimi polami, wśród których błąkały się dusze ich przodków. I w istocie obejrzawszy się do koła, spomniałem na wszystkie błyskotki zachodniej cywilizacji i spytałem się sam siebie, czy kiedykolwiek jej widok przywiódł mi na pamięć inną myśl jak o potędze materji, potędze pieniędzy dla których rozum się tak łamie? I czy istotnie ta sławiona cywilizacja warta jest zupełnego niszczenia śladów wol-

nej i wielkiej przyrody? I kiedy puściłem wodze marzeniom a w błędnej myśli pojęcia barbarzyństwa i duchowości tańczyły na przemiany z dobrodziejstwami kolei żelaznych i pieców hutniczych, a szum dębów i gruchanie grzywaczy grało do tego muzykę — nagle wstrzymałem się w sam czas, kiedy marzenia moje miały się zakończyć niespodzianą zimną kąpielą. Przedemną cicho płynął strumień czarnej wody. Wijące się krzewy przeglądały i pławiły w nim swe gałęzie a tajemnicze jakieś rośliny z jego głębi dziwne liście i kwiaty ukazywały. Strumień był tak szeroki, że o przeskoczeniu go ani myśleć nie mogłem. Przypomniała mi się obława od której czasami, ledwo słyszalne dolatały mnie odgłosy wystrzałów. Brnąc nad strumieniem przez grząskie wylewy i drąc się po zaroślach, natrafiłem na pewien rodzaj ścieżki dochodzącej do strumienia i poczynającą się na nowo z drugiej jego strony, tą więc ścieżką poszedłem bojąc się zabłąkania. Nie uszedłem kilkadziesiątu kroków, gdy blisko mnie dał się słyszyć wystrzał; mnóstwo ptaszków ze wszech stron zrywało się, po gałęziach skakały spłoszone wiewiórki, i chwijające się tylko gałęzie drogę napowietrznego biegu ich wskazywały, a na ścieżkę, prawie pod nogi moje upadł potężny głuszek śmiertelnie raniony; w tejże chwili gałęzie rozsunęły się i mój młody niezajomy wystąpił.

— Dzień dobry! i pan nie na obławie, rzekł oglądając swą zdobycz.

— Mimowolnie jakoś zabłąkałem się, — dzień tak piękny a las ten nadzwyczaj mi się podoba... daleko jesteśmy od obławy?

— Musiemy być daleko kiedy żaden głos nas nie dochodzi — a do najbliższej drogi więcej jak miła. Miarkuję z tego mimowolnego zabłąkania się iż nie jesteś zapalonym myśliwym. Południe nie daleko, idę do swej chaty — jeżeli łaska proszę za sobą, odpoczniemy, po południu pana odprowadzę na drogę.

— Skwapliwie przyjąłem to zaproszenie, raz iż istotnie byłem znużony, powtórnie wiedziony nadzieją zaspokojenia silnie obudzonej ciekawości. Wróciwszy się tąż samą ścieżką przyszliśmy do owego strumienia, przewodnik mój próbując kijem w jednym miejscu, rzekł:

— Nie najwygodniejsza tu przeprawa, ale nie obawiaj się, zupełnie bezpieczna.

Owa przeprawa, była w poprzek strumienia, pod wodą przeszło o łokieć leżąca gruba kłoda, ni by podwodna kładka, przechodząc ją, po kolana w wodzie iść trzeba było. Szedł naprzód śmiało ostrzegając mnie jednak.

— Ostrożnie bo strumień ten niepozorny jednak bardzo głęboki, a rośliny podwodne i poplątane korzenie czynią wpadnięcie niebezpiecznym.

Ścieżka po drugiej stronie raz była widoczniejszą to znów prawie ginęła między krzakami, i tylko przywykły mógł nie zmylić drogi. Szliśmy blisko godzinę, wreszcie las nagle rozjaśnił się. Stanęliśmy na polanku kilka morgów rozległym, na którym w środku zbudowana była chata, ogrodzona częstokołem.

Pies zaszczekał i przybiegł łasić się u nóg swego pana, w progu przywitał nas wieśniak odwiecznym od końca do końca Polski przyjęciem:

— Niech będzie Chrystus pochwalony!

Witający nas był prawdziwym typem litewskiego wieśniaka. Więcej jak średniego wzrostu, barczysty, ubrany w koszulę na spodnie zwieszoną szerokim rzemiennym pasem, na nogach miał łapcie z lipowego łyka. Głowa podgolona że czupryna jak czapeczka okrywała mu jej czubek, czoło pomarszczone, oczy siwe, wąs i broda przyszczyżone, twarz koścista oznaczająca więcej mocy i zręczności, ale i niedowierzania, jak otwartej i łatwej prostoty.

— No Daniło! rzekł mu mój przewodnik oddając zwierzynę, daj nam jeść co Bóg dał, tylko żywo. bez wszelkich zachodów.

Na podwórzu chałupy, przed domem z jednej strony była studnia z żurawiem, z drugiej mały ogródek w którym dogorywały jeszcze kwiaty słoneczników, astrów i prosa tureckiego. Dom z okrągłaków podzielony był na dwie połowy, z prawej strony mieszkał Daniło 60 letni wieśniak ze swą żoną i małym synem, po lewej stronie była siedziba mego przewodnika, z tyłu obórka dla parę sztuk bydła i dwóch małych koni.

Mieszkanie po lewej stronie opatrzone było kominem, prawa strona kurną chatą z którymi tak nie radzi rozstają się litewscy wieśniacy.

Nieznamy wszedłszy do izby prosił mnie aby się rozgościć i sam dał tego przykład, w drugiej izdebce (z dwóch się całe mieszkanie składało) wieszając nad łóżkiem strzelbę torbę i trąbkę. W całym pomieszkaniu drewniane ściany i belkowany pułap nie były bielone; w pierwszej izbie piec z zielonych kahli i kominek, druga sypialna ze skromnym łóżkiem była bez

pieca. Umeblowanie obu stacyjek proste, biedne nawet, ale czyste, podłoga wysypana piaskiem i potrząśnięta ajerem; gdym tak do koła się oglądał, gospodarz mój wyszedł na chwilę, spostrzegłem nad łóżkiem, w głowach, olejno malowany wielki portret przedstawiający młodą kobietę. Rysy jej twarzy odznaczały się niezwykłą regularnością; sute czarne włosy przystrojone wieńcem białych róż, oczy może nawet stosunkowo zbyt wielkie, uderzającego życia, ubiór jakiś fantazyjny, biały, a zamiast tła bogaty pejzaż zalany blaskiem słońca podwyższającego świećność kolorytu; twarz szczególnie zdawała mi się po mistrzowsku wykonana. Wszystko to może, dla tego że portret zawieszony był w cieniu śród tych ubogich ścian, miało jakąś przykrą cechę prawdy i smutku, jakby w niedoli spomnienie ubiegłego szczęścia i wesołości. Obok łóżka stał stolik, na nim kilka książek i zapisane papiery, wzrok mój mimowolnie jednak zwracał się do portretu, zajęty nim; nie posłyszałem że gospodarz kilka razy już wzywał do posiłku w pierwszej izbie zastawionego. Uważałem na wrażliwej jego twarzy, iż nie rad był temu wpatrywaniu się, nie śmiałem więc już pytać się kogo-by obraz wystawiał. W téjże chwili spostrzegłem stojące w kącie stalugi i paletę zawieszoną na nich.

— Pan zajmujesz się malarstwem? zapytałem.

— Kiedyś w wolnych chwilach tćm się rozrywałem, i muzyką także; mówiąc to wskazał mi skrzypce wiszące na ścianie. Przyjemne to są zabawki—ale tylko zabawki! bo one razem z poezją wywodzą nas wprawdzie z więzienia ciemnej i zimnej rzeczywistości ale prowadzą w krainy, jakie sobie tworzymy

sami — a nie takie jakie są i jakie być mogą, po tych wycieczkach boleśniesz powrót na ziemię.

— Więc coraz dłużej można z nimi gościć a ta ich pociecha wszystko wynagrodzi.

— Mają one jeszcze gorsze wady — w młodości pokłóca nas ze światem, a wtedy gdy najwięcej ich pociechy potrzebujemy, na starość odstępują. Albo i to, że prawie koniecznie wymagają słuchaczy i widzów. Sztuki są córkami towarzystwa — nie wystawię sobie mistrza nawet, któryby dla swego dzieła nie żądał — nie podziwu, ale przynajmniej spótcucia. Tylko Bóg tworzy cuda nie pytając się czy będą uwielbiane. Dla nas w samotności zupełnej sztuka staje się niepotrzebną.

— Grzechem jednakżeby było, abyś pan, odrzekłem pospolitym zwrotem, nie wiedząc co odpowiedzieć a niechcąc wchodzić w tkiwe rozprawy estetyczne, abyś pan zamykał się w samotności.

— Nie my to, mówił smutnie, zamykamy się w samotności ale samotność nas obejmuje. Ja wiem panie, że to jest roszkonna ale powolna trucizna. Samotność ma ten sam w pływ na nas co brak powietrza i światła na rośliny: rosna szybko, bujają ale wątłe i bez koloru, umierają bez owocu, przedwcześnie — jest to egoizm. Jednakże cóż czynić — silniejsze to od nas samych.

— Jakkolwiek odrzekłem, krótka nasza znajomość nie upoważnia mnie do dawania panu rad, sam jednak przyznajesz że to jest dla niego trucizną, nie godzi się i dla siebie i dla towarzystwa tak żyć, trzeba koniecznie wejść pośród ludzi a pogodzimy się z nimi.

— Dziękuję, odparł z szyderczym uśmiechem, przecież nie jestem zupełnym pustelnikiem; widziałeś mnie pan, iż odwiedzam nawet sąsiadów; rzadko wprawdzie wizyty odbieram bo i droga do mnie nienajwygodniejsza, powozem trudno by się dostać, a piesi którzyby mnie radzi odwiedzali rzadko mają czas do tego.

— Pan także nie z tutejszych stron być musisz, widzę to po akcencie.

— Podróżowałem wiele a tym sposobem akcent się zaciera—akcent to prowincjonalny, niepotrzebny ubiór mowy; podróżując człowiek pozbywa się wiele niepotrzebnych obciążających rzeczy. Czy pierwszy raz jesteś w Litwie?

— Pierwszy raz od kilku tygodni.

— To jest cudowna kraina, odrzekł z zapałem.

Spojrzałem na niego i uderzyła mnie w nim jakaś dziwna zmiana; błyszczące jego oczy jeszcze bardziej się zaiskrzyły, rumieniec się zmienił; widać było bolesną pracę wspomnień czy też przelotu myśli.

— Jeżeli kto zechce zostać samotnym, rzekł prawie niezważając czy go słucham, a niechce opuścić rodzinną ziemi, kto już wzgardził zupełnie światem a żyć pragnie, bo tyle ma czci dla godności natury człowieka, iż nie chce się plamić samobójstwem, ten tylko na Litwie może znaleźć spokojny i swobodny zakątek gdzie mu się ludzie nie będą naprzykrzać. Tu w pośród tej przyrody, pośród tego ludu znajdzie przedmioty do rozmyślań, zdolne do zaludnienia najsmutniejszej pustyni duszy. Wy nieumieciecie ani chciecie ocenić ani znać Litwy.

W żyjącej historii naszej, Litwa jest jednym bie-

gunem naszego ciała, wy jesteście drugim. Tam siła czucia u was siła myśli, tam przeważa serce u was głowa; z Litwy powstawali wielcy poeci słowa i czynu, u was filozofowie naszego życia historycznego. Przebiegnij kolej naszych dziejów a te ci dostarczą dowodów.

Jakże nierozsądne, niedołążne, śmieszne są przywidzenia owych prowincjonalistów, wynoszących zalety pojedynczych szmatów ziemi nad inne; podobnie jak gdyby kto przekładał wewnętrzną potrzebę ręki od nogi, jakby do ogólnego życia nie były konieczne wszystkie członki stanowiące jedynie harmonję i całość.....

Dziwnie jest iż niby z obrotem ziemi śród przestrzeni, duch czasu niewidzialnie unosi się nad nią i takąż samą koleją w swym obrocie zakreśla.

Oświata ze wschodu odbywa swą pielgrzymkę ku zachodowi—kraj nasz jest w środku starego świata. To koło już pewną część drogi zakreśliło i droga ta widoczna, jaką duch czasu przebiegł.....Ktoby chciał nas poznać jakimi byliśmy przed stu laty niech jedzie na Litwę, tu dawne cnoty i dawne przesady jeszcze w całej sile i życiu. To co u was żyje tylko we wspomnieniu, tu istnieje w rzeczywistości.

Od czasu odebrania chrztu świętego spał chłop litewski snem odrętwienia, gdzie indziej chrzest święty łączył się z czynem miłości bliźniego, tutaj stało się zupełnie przeciwnie. Od czasów chrześcijaństwa na Litwie, poczęły się przywileje kasty, — wydarcie ziemi, którą posiadali od wieków. — Należy więc ten chrzest dany im na szyderstwo, na urągowisko chrze-

ścjańskiej idei, dobrowolnie wcielić w życie, jeżeli nie chcemy przedłużyć kłótwy Kaina, jeżeli nie chcemy aby nas zapozwano przed sądy humańskie, wszakże oni tylko sprawiedliwości żądają.

Wyrazy młodego gospodarza zastygły, przestał mówić i zwiesił głowę na piersi—spojrzałem niedaleko nas stał stary Danił. Oczy jego pojętne przemawiały do nas z miłością:

— Dusza moja rozumie was bracia moi, obycie tak wszyscy czuli.

Ale gdym powstał, znowu wyraz jego twarzy zmienił się w zimny szydlerczy pokorny, od młodości na nim wyciśniony.

— Panicze! rzekł do nas, niedaleko stąd było słyhać krzyki i hałasy; obława wraca, czyby nam nie pójść? — może się uda jakiego wołka położyć nad wieczorem?

Towarzysz mój ocknął się ze swego zamyślenia, a że okazałem chęć łowów, udaliśmy się do kniei. Przebyliśmy i ów strumień i z ścieszki, trafiłszy na znacznieszą dróżkę wiodącą do Mołodeczańskiej grobli, na której chciałem oczekiwać strzelców, coraz zbliżających się do nas. Przewodnik mój świadomy najmniejszych szczegółów miejscowości prowadził mnie śród gęstwiny lasu, prosto i szybko. Las stawał się rzadszym, nawoływania polujących coraz wyraźniejsze, wtem usłyszeliśmy strzał i wnet po nim drugi, a natychmiast przerażający krzyk i wołanie o ratunek człowieka w najwyższym przestachu, a później niby w jakim biegu, trzask łamanych zarośli i zawadających gałęzi. Pędzimy przeto co nam siły starczą z niebespieczeństwem powybijania sobie oczu, ku miej-

scu skąd pochodził głos wzywający o pomoc — a wypadłszy wreszcie na małe pole rżyskiem okryte, dziwny nas uderzył widok.

Pan sędzia z dymiącą się jeszcze dubeltówką w rękę, wrzeszcząc w niebogłosey uciekał w poprzek zagonów, jego czapka ceglastero koloru konwulsyjnie mu na głowie skakała, poły szamerowanej kapoty wiewały jak skrzydła. Tuż za nim pędziła duża czarna krowa rozhukana, ze łbem spuszczoneym ku ziemi z zadartym ogonem; — już, już tylko co mu miała zadać raz rogami. Widząc to niemiłe położenie sędziego, zmierzylem fuzję do rozjuszonej szwajcarki i chciałem ją potraktować dwoma nabojami grankulek, gdy towarzysz mój odtrącając lufę strzelby zawołał:

— Wstydź się strzelać do krowy! — widzisz i tak już ranna.

Gdy to mówił zrzucił z siebie kapotę, podbiegł i zrećnie zarzucił kapotę rękawami na rogi krowy; trząsnęła łbem do góry ale uwolnić go nie zdołała. Sędzia potknął się i upadł jak długi, rozpędzone zwierze przebiegło po nim ale bieg zwolniło, a towarzysz mój nie czekając dłużej chwycił krowę za ogon, zatrzymał ją, później oswoiwszy głosem przytrzymał za rogi i w moment, widąc z natury łagodną przywrócił do posłuszeństwa.

Sędzia leżał w bruzdzie między zagonami zemdłony. Obywatele, strzelcy, gajowi, chłopci, zbiegali się ze wszech stron. Zwolna począł sędzia ruszać brwiami i czołem, później wąsami, wreszcie odemknął cokolwiek jedno oko ale natychmiast je zamknął, skrzywił połowę twarzy, otworzył drugie oko, westchnął

i z pomocą służących chciał powstać, ale schwyciwszy się rękoma za oba przeciwne sobie bieguny pleców, gdzie go krowa nadeptała, krzyknął z bólu i bliskim był powtórnego zemdlenia.

W czasie powszechnego, jawnego ubolewania i pokątnych śmiechów, przyrządzono na prędce nosze z gałęzi i na nich złożono sędziego, aby go donieść do najbliższego miejsca gdzie stały powozy.

— Ah! okropnie zostałem zmordowany, zбитy, strатовany! Najświętsza Panno Ostrobramska abym tego życiem nie przypłacił! aj. aj!

— Ale po co też było panu sędziemu do téj krowy strzelać, odezwał się ktoś z ubolewających.

— Aj! aj! nie miałem strzelać kiedy do mnie obces biegła, w gęstwinie sądziłem że to łoś a może żubr. Aaj! aj! wolno chamy, wytrzęsiecie ze mnie duszę, aj!

— At! zwyczajnie sobie krowa z cielęciem, to zła, sędzia skradałeś się do niej w krzakach z czerwoną czapką, a wiadomo że bydło tego koloru nie lubi—postrzelites ją pan śrótem i począłeś uciekać —ot i cała historja!

— Aj! to nie cała historja, bo koniec jęj jeszcze spoczywa w ręku Boga wszechmogącego; ja to zapewne życiem przypłacę—gdyby nie ten młody człowiek. Aj! chamy! dowiem ja się czyje to bydło i który to pastuch je pasł—dam ja mu 300 kijów szelmie!—żeby nie ten młody szlacheta — toby mnie już na Bożym świecie nie było—...aj! aj! byłby mnie rozjuszony byk rogami do świętej ziemi przygwoździł, aj! wybawco mój, gdzie jesteś?

— Któż to taki ocalił pana sędziego?

— A to ten dziwak....ten filozof...Pan Jan....aj! gdzie on jest, niech mu podziękuję....jemu winienem życie....chodź tu asan, sędzia cię woła...aj!...

Pan Jan szedł z tyłu za orszakiem, rozmawiał ze strzelcami i śmiejąc się, trawą obcierał krew z rany na łopatce biednej ryczącej bohaterki tój sceny. Kilkokrotne wzywanie zmusiło go do przyjęcia osobiście podziękowań od sędziego, którego już, przyszedłszy na miejsce składano do wygodnej i obszernej bryki.

— Aj! aj! nic z tego nie będzie,..na próżno się asan wymawiasz, musisz z nami jechać; żonka moja na śmierćby się gniewała, żebym cię nie przywiózł, ona sama musi podziękować temu, co jej mężowi uratował życie.... ona mnie tak kocha!...aj! aj!....zapewne ta wściekła bestja wasanu i kapotę podarła?—No nie frasuj się, ja ci i na to dam parę rubli....Nie wymówisz się; kiedyś kochani obywatele sąsiedzi obiecali mnie odprowadzić i odwiedzić, toć asan.... Szymon! ty łajdaku, wolno, nietrzęś, bo ja ci dam!

Przez cały ciąg zaprosin sędziego, pan Jan wpatrywał się w niego z jakimś wyrazem dzikiego sztyderstwa, w którym czasami błysk głębokiej nienawiści, to znów boleśnego politowania dawały się widzieć. Nic nie odpowiadał a jednak łatwo zgadnąć było można, iż walczy sam ze sobą. Wreszcie westchnął nagle i siadając razem ze mną do jednej kałamaszki, rzekł:

— Pojadę!

Za wielką bryką sędziego i naszą kałamaszką udał się cały szereg rozmaitych powozów, gości mniej zapalonych myśliwych, którzy wiedząc o głównych

wypadkach obławy, nie ciekawi szczegółów, spieszyli się do domów lub z grzeczności odprowadzali sędziego. Deputat jeszcze w najlepsze uwijał się gdzieś daleko śród kniei ze strzelcami istotnie czynnymi, i ten o całym wydarzeniu nie wiedział.

Noc już zapadła kiedyśmy stanęli przed dworem sędziego. Przed potężny murowany, równie jak i dom cały, zajazd, wypadła służba ze światłem. Ujadania psów, wołania woźnic, turkot zajeżdżających pod brukowany zajazd powozów, odurzyły mnie na chwilę, iż nie miałem czasu uważać na mego towarzysza. Gdym się zabierał do wysiadania, ten wstrzymał mnie za rękę i głosem pełnym wzruszenia odezwał się:

— Znamy się tak krótko, iż nie wiem w jakich wyrazach i w imię czego prosić pana o jedną łaskę; ale mam przecucie że nie nadużyjesz tego, co ci powiem i nie odmówisz mi, inaczej musiałbym się wrócić, uciekać ztąd. Skoro tylko wejdziemy staraj się koniecznie pod jakimbądź pozorem zbliżyć do żony sędziego i powiedz jej, że Władysław jest tutaj; chce jeszcze raz widzieć ją, niech mu przebaczy tę pierwszą i ostatnią słabość.

Co w takim przypadku począć sam nie wiedziałem, a wypadło albo:

Wręcz odmówić; — ale w jego głosie tyle było uczucia, romansowa awantura w której od razu stawałem się powiernikiem tak była ponętna, iż nie miałem serca odmówić; albo:

Mógłbym iść donieść mężowi o wszystkim, ale nie byłem ani przyjacielem ani nieprzyjacielem sę-

dziego, a tylko w obu tych razach o podobnych rzeczach mężów się zwykło ostrzegać.

Pozostawało więc zadosyć uczynić żądaniu pana Jana, co też w końcu przedsięwzięłem.

Po całym domu, służący biegali, krzatali się, wołali:

— Pana naszego rannego z obławy przywieźli!

Jakiś rezydent opowiadał już kobietom i domownikom, że sędzia stoczył walkę z rozjuszoną żubrem i ubił go własną ręką oszczepem. Wszyscy się temu dziwili, albowiem powszechnie było wiadomą, iż sędzia ucieka przed kozami i trykami a oszczepu podnieść nie jest w stanie.

Pani sędzina zajmowała osobne pokoje z jednej strony domu. Od przebiegającej pokojówki łatwo dowiedziałem się gdzie przebywa, i po krótkim naleganiu prowadziła mnie po ścieżce wystanej dywanem, przez kilka pokoi słabo oświetlonych, do buduaru chorej. Dziewczyna wprowadzająca wbiegła pierwaj oznajmić wizytę swojej pani; wszedłszy od razu z ciemności do światła, jakkolwiek przytłumionego lampy z mlecznym szkłem, zaledwo co mogłem rozzeznać i dopiero po chwili kiedy pokojówka roznieciła światło lampy, ujrzałem ją na tle ciemnym jak obraz, który mi się nigdy w pamięci nie zatrze. Siedziała w fotelu z wysokimi poręczami, wystanym zielonym aksamitem; owinięta była w ciemnego koloru mantyllę oszytą podwójnie białym, łabędzim puchem. Na szelest jaki zrobiłem odwróciła ku wejściu głowę. Każdy z grzecznych czytelników oddawna się już zapewne domyślił, iż to był wzór portretu, który uwiel-

białem w pustelniczéj siedzibie pana Jana czy Władysława, bo sam niewiedziałem jak go nazwać.

Przypomniał mi się ów portret, mający za tło niebo i kwiaty i zieloność drzew, a tu w téj ciemnej, dziwnej jakiejś atmosferze pachnideł zwykle otaczających chorych, zdala dolatującej wrzawy gości, w ubiorze żałobnym wszystko oddychało śmiercią, powolna a dręcząca choroba zmieniła jej rysy twarzy; ten doskonały owal przedłużył się i stracił foremność; kształtność nosa i delikatne linje ust stały się kończyste, ale gdyby nawet wszystkie rysy co do jednego choroba zatarła, jeszczebym ją poznał po oczach wielkich i niezwykłego blasku, a pełnych myśli i uczucia. W jej spojrzeniu uderzył mnie pokrewny jakiś wyraz ożywiający czasami oczy Władysława, jakby jedno uczucia, jedna dusza z nich przemawiała.

W drugim spojrzeniu rozeznawałem już na jej śmiertelnie białych licach owe złowrogie małe i okrągłe rumieńce, lekką jak cień obwódkę w około oczu i ów spokojny smutek, żegnający wszystko, rozlany na czole. Piękność, młodość, nieubłagana a powolna śmierć już witała—i smutno mi się zrobiło.

Wpatrując się w nią milczałem dłużej może niż wypadało a im dłużej milczałem, tem trudniej mi było spełnić moje poselstwo. Wreszcie aby pokojówka nie była zbyt cichym świadkiem, przemówiłem po francuzku jakies, niepamiętam już, pospolite uniewinnienie się, przeprosiny; a na końcu wypowiedziałem nakazaną formułę mego młodego towarzysza.

Władysław! powtórzyła po polsku z zadziwieniem, jakby chciała rozpocząć czy dalej prowadzić rolę

maskowania się, lecz siły jój były do tego za słabe, zbladła nagle i strasznie, lekko krzyknęła i zemdlła.

Pokojówka niezbyt zmieszana, widać przywykła do tych oznak słabości, poczęła z moją pomocą cucić swoją panią. W tem gwarny orszak zbliżył się, drzwi głównego wchodu otworzyły się na roścież i sędzia w białej szlafmocy na głowie, ze swą wiecznie ruchliwą twarzą, w lisiem futrze, podobnych butach, utrzymywany przez dwóch silnych pachotków i Władysława, wtoczył się do budoaru swjej żony. Za nim kilku gości poufałych niosło świece zapalone. Komiczny ten orszak nieznośnie zrobił wrażenie. Władysław był blady, usta mu drżały, oczy nieporuszone utkwiał w zemdloną, widziałem, iż boi się oddychać.

— Aj! aj! cóż to moja duszka, zawołał sędzia, zemdlła? aj! aj! dajcie jój soli wachać aj! otóż chwała Bogu przychodzi do siebie. Nie lękaj się niczego już prawie zdrów jestem—kiedy się oglądam aj! to przekłete zwierzę. Hej Jerzy! zaraz biegnij do Boćkowskiego niechaj natychmiast wszystkiemu naszemu bydłu rogi upiłuje; a to aj aj! skaranie Boskie.... jeszcze z tego może być kiedy okropne nieszczęście!—Najświętsza Panna Ostrobramska przecież mnie uratowała i ten oto młody mnie ocalił....duszko moja kochana nie bój się...jakie to te hrabiowskie dzieci czułe są, przecież chwała Bogu nie zginąłem!

Zemdlona otworzyła oczy i spojrzenie jój spotkało wzrok Władysława, a twarz jój wyrażała taką radość łagodną, wdzięczność i szczęście, iż zadrżałem. Rozumiałem iż anioł śmierci daje jój ostatnie pocałowa-

nie. W oczach Władysława błyszczały łzy, ale pozostał nieruchomy i blady.

Sędzia długo jeszcze opowiadał żonie swój okropny wypadek ze wściekłym bykiem. Władysław wyszedł niepostrzeżony; kiedy proszono gości do wieczerzy, już go we dworze nie było. Nazajutrz skoro świt i ja wyjechałem.

III.

Przez kilka dni niepogoda jesienna nie dozwalała mi odwiedzić ani Władysława ani sędziego. Przyjaciel u którego bawiłem wyjechał do miasta powiatowego na jakąś sprawę, pozostawszy sam nie miałem się nawet wypytać kogo o zajmujące mnie szczegóły poznanych osób. Jednego ranka zajechał pan deputat, przyjąłem go więc tem szczerzej im więcej mi był pożądanym.

— Zgadnij też asan, rzekł wchodząc i poprawiając drewnianą fajeczkę, po co tu przyjechałem?

— Bez wątpienia odwiedzić dobrych przyjaciół, sąsiada którego niema w domu?

— Ale oprócz tego?

— Zapewne urządzić jakie łowy?

— I nie to, chociażby godziło się, bo mi dali znać że w Ogińszczyźnie widziano znowu parę łosi a możeby się i odyniec znalazł. Bo to panie od Izabellina zesłego tygodnia wielkie były łowy, zwierzsploszony tu przeszedł, ale tam jaśnie wielmożne państwo i hrabiowie! gdzie tam biednemu jak ja szlachcicowi, za wysokie progi na nasze nogi!

— Jeżeli nie polowanie sprowadziło pana deputata to już dali Bóg nie zgadnę.

— Ja też to zawczasu wiedziałem! — Owóż to sędzia, dobre, pocziwe człeczysko! przecież odwiedzaliście go po tój obławie, cha! cha! ma on swoje dziwactwa, postawił potężny krzyż za to że uciekł od krowy!...cha! cha! ale bogaty, nie ma co mówić, i niezły sąsiad.

— Miałem go szczęście poznać.

— I żonę jego, hrabiankę, podobno także.

— Widziałem ją, chora!

— Ba! gorzej jak chora, umierająca, lada moment skończy. — Owóż ona miała tam do asana jakiś interes, jakiś list czy dokument, chciała pana prosić abys zawiózł do jej kuzyna, co go znasz.

— Jestem na usługi sędziego.

— Bo to, nie obrażaj się, ale sędzia nawet zapomniał twego nazwiska więc nie chciał pisać a mnie obligował—wypada też abys mu asan złożył swoje kondelencją.

— Ale przecież sędzina jeszcze żyje?

— At! takie życie, mówię wasanu że lada godzinę się skończy.

— Więc mam go odwiedzić, a kiedyż sobie życzy?

— Im rychlej tём lepiej... jedźmy zaraz by nie było za późno...

— Więc już tak źle z sędziną?

— Wczoraj był ksiądz z panem Bogiem.

— A więc jedźmy.

Wsiadłszy na bryczkę, deputat począł jakąś długą historję o myślistwie, to znów wywiadywał się

o łowy w naszych prowincjach, wreszcie zapytałem go:

— Ale, ale, prosiłbym pana... kto to jest ten pan Jan, którego poznałem na obławie?

— Czy ten co uratował sędziego od krowy, ten młody, błady dziwak?

— Mnie by się przeciwnie zdawało iż to dosyć ukształcony człowiek.

— Ba! żeby był mądry jak wasan mówisz, nie siedziałby sobie gdzieś tam na pustkowie gdzie majątku nie robi, i nie trwoniłby na darmo drogich groszy.

— Więc to jest marnotrawca?

— A! albo co inszego! szlacheta sobie jakiś i kwita, a może nawet i nie szlachcic, czort jego wie? Złapał oto widać Bóg wie skąd trochę grosza, ale cóż z tego kiedy z nim obejść się nie umie.

— On tutejszy?

— Bron Boże! rok temu dopiero przybył Bóg wie skąd. Może to nawet, z przeproszeniem pana; Mazur.

— Nie gniewam się wcale. Mówisz pan że nie umie użyć pieniędzy?

— A bo i prawda. Jak tu przyjechał czy tam przyszedł, kupił sobie od chorążego, naszego dobrego sąsiada to pustkowie śród kniei, gdzie się biesy ledwo dostać mogą; ja włóczę się całe życie po polowaniu a tam ledwo raz byłem.

— Więc on tam ma gospodarstwo.

— Jakie tam gospodarstwo! —zwykle po chamsku, kawał roli i basta! —Panu chorążemu potrzeba było grosza, on zjawił się, dobrze zapłacił i kupił ten grunt z całym jednym chłopskim siemionstwem, —

znam nawet tego chłopca, zowie się *Daniło*. Harda to sztuka choć stary jak grzyb. Otóż on mu tę rolę sprawia.

— A czemże się sam pan Jan trudni.

— A Bóg jego święty wie!—Ot siedzi w swém pustkowiu, czasem jak wyjdzie idzie między chłopów, tu w okolicach, to go wszyscy jednodworcy, chlebo-pascy i bojary znają.—On z niemi za pan brat i chłopi by za nim w ogień poszli, z tego widno że w nim podejrzane jakieś urodzenie.

— Ale on i u państwa bywa?

— Bywałci u nas dawniej częściej, ale jak zaczął androny prawić, kazania dawać, nauczyli go mores, i nie jeden drzwi mu pokazał. Ale że dobry z niego strzelec, czasem i wesoły, to go i przyjmują. Widać też, że mu coś dolega, bo często smutny i widzieli go raz w kościele płaczącego—więc go i przez litość przyjmujemy i pozwalamy żyć po swojemu. Z resztą nie ma co mówić, dobry dość człowiek, pieniędzmi lubi temu i owemu wygodzić, czasem nawet dosyć grubo. Ale cóż z tem robić kiedy głupi. Ale dla czego się tak asan o niego wypytujesz?

— Poznałem go przypadkiem, a jak pan wiesz, podróżni zwykle ciekawi.

— A tak, ja to rozumiem.

— Co znaczy panie deputacie ten wielki czerwony krzyż na polu?

— A to go sędzia postawił na pamiątkę swemu owczarzowi, co go tu wilcy na tem miejscu pokaleczyli.

— Więc już tu zaczyna się grunt sędziego.

— Ż tej strony granica nie sięga tak daleko; ale

sędzia to bardzo bogobojny człowiek, zobaczysz tu tych krzyżów daleko więcej; powiadali mi że on już ich wystawił sto czterdzieści siedm. Pomór na bydło, on stawia krzyż; spaliła się stodoła, postawił krzyż; na pamiątkę śmierci wszystkich sąsiadów popostawiał krzyże. A toć że na około dworu, jak na mogiłkach las krzyżów.

— Musi być bardzo sprawiedliwy, poczciwy człowiek?

— O! to godny obywatel, bogaty; każdy go szanuje. Nie całyć to jego dziedziczny majątek, ale go się dorobił. Po rodzicach wziął także kawałek grosza, a rodzeństwo jakoś wykwitował.

— Jako wykwitował?

— Oto widzisz asan, sędzia trzyma się téj zasady, że ziarko do ziarka będzie miarka, i dla tego gdzie może co zarobić tam nie pogardzi groszem,— otóż on tak po groszu spłacił rodzeństwo a majątek cały przygarnął i we dwoje go przyrobił. Zabawnie o nim opowiadają. On się zna na koniach, i uważałeś asan jakie ma dziarskie bachmaty. Rodzony jego brat nie bardzo się ma dobrze, bo chodzi dzierżawami, przyjechał tu przeszłego roku i powiada że chce od niego nabyć parę podjezdaków. Jest to przykład jak czasem i zbytnie nabożeństwo może zaszkodzić. Sędzia miał parę szkap starych, dychawicznych, ale wypasionych, postanowił je zbyć kiedy mu się w samą porę brat trafia. Jak to asanu wiadomo, na koniach trochę okpić to i nie wielki grzech; dalej więc w handel. Wybornie godzi się z bratem, i kiedy już mają liczyć na stole grosze, sędzia idzie do swego pokoju, kłęk przed obrazem i modli się głośno:

— Daruj mi panie Boże! zem brata oszukał!
A brat tymczasem po cichu przyszedł za nim i słuca.

— Hola panie sędzio, zawołał, jeszcze mnie nie oszukał, bo nie zgarnąłeś pieniędzy, i zerwali kupno. Cośmy się też z tego wszyscy naśmieli.

— Jak uważałem sędzia dość wystawnie żyje?

— Teraz to tak, dawniej było bardzo skromno; dopiero od śmierci przeszłej żony, od czasu jak się z grafianką ożenił, bo trzeba asanu wiedzieć że ta jego terazniejsza żona to z grafowskiego domu. O! te konkury nie mało go kosztowały. Ale jak się też ożenił zaraz postawił krzyż.

— Żona jego nie z tego powiatu?

— Z Białorusi; ładaaby to była kobiecina gdyby była zdrowa i tłuściejsza. Różnie to tam ludzie gadali, ale trudno wszystkiemu wierzyć; zresztą kawał drogi od nas, czterdzieści mil, aż w powiecie Lucyńskim.

— Powiadają że jest dumną?

— At! dumna i niedumna—ja tam tego nie widziałem; grzeczna, miła, tylko że nigdy nie wesółą; to nieprzyjemnie, i wiecznie w tych przeklętych książkach; to ją zgubiło. Tam obok nich na Białorusi kupił jakieś dobra jakiś graf niemiecki, i sam się na gospodarstwie w naszych stronach nie znał, więc przysłał jakiegoś młodego pisarza czy ekonoma, aby mu te dobra urządził; miał to być zawołany elegant ten ekonom. Były to bardzo znaczne dobra, kiedy za samo urządzenie dóbr i fabryk owemu ekonomowi zapłacił tysiąc dukatów. Ekonom ten był młody, przystojny, umiał po francuzku, więc pozwolili mu bywać

u hrabstwa, i hrabianka się w nim szalenie pokochała.—Oj! zaszło tam wiele korowodów; dziecko zepsute zbytkiem i pobłażaniem, koniecznie chciała pójść za ekonomą, a rodzice niebogaci ale dumni jak przystoi na takie urodzenie, musieli zamknąć ekonomczukowi drzwi przed nosem. Skończył on swoją czynność i wyjechał—a w tem trafił się sędzia i za niego wydali. Panna chorowała i żał się Boże, to już takie słabe zdrowie, ani jednego dnia nie była zdrowa, rok cały nie żarty. W domu istny szpital, oj! wycierpiał biedny sędzia krzyż Boski!

Rozmowa nasza zmieniła kierunek, deputat wpadł na ulubiony przedmiot myślistwa, z którego już żadną miarą nie dał się sprowadzić. Zajechaliśmy przede dwór, kiedy mi zapalony łowiec dwudziestą siódmą z rzędu wyprawę na niedźwiedzia opowiadał.

Po prawdziwym smutku domowników, obojętnych na wszystko, i po nieruchomych postaciach, poznać można było niepytając się, że ich pani,—matka, jak ją zwali, już nie żyła.

Pokoje które zamieszkiwała przybierano żałobnie, przymierzano suknie śmiertelne zmarłej, ustawiano katafalk.

Poszliśmy szukać sędziego; jakiś wędrowny Niemiec, malarz się zjawił, sędzia więc nie chciał opuścić zdarzonej sposobności.

W gabinecie malarz siedział przed obrazem na stelugach, długim na trzy, wysokim na dwa łokcie,—przed nim stał sędzia w teatralnej postawie,—z podniesionym oszczepem w ręku. Obraz miał wystawiać walkę sędziego z rozjuszonym żubrem.

W sali jadalnej zastawione było sute śniadanie;

wódki, portery, win różne gatunki poczynają wywie-
 rać skutek na przybywających coraz liczniej gości.
 Rozmowy stawały się coraz weselsze i jaskrawsze.
 Sędzia z podwojoną wszędzie biegłą żywością; to do-
 glądał strojenia żałobnego żony, to zachęcał do za-
 bawy gości, to na chwilę wpadał i chwyciwszy za
 oszczep stawał przed Niemcem.

Sędzia, wedle twierdzenia dobrych sąsiadów, nie
 miał jeszcze sześćdziesięciu lat skończonych, a w oko-
 ło w sąsiedztwie nie brakło panien, były i wdowy, nie-
 które dobre partje. Przedmiot ten dawał powód do
 wielu dowcipnych ucinków i żartów, przed którymi
 wstydliwie zasłaniał się sędzia lekkim smutkiem, na-
 kształt puklerza.

Zmarła, ubrana balowo spoczywała na łożku pa-
 radnie przystrojonym, trumna jeszcze nie była goto-
 wą. Żałobne świece już się paliły, a chłopci, kobiety
 z dziećmi, wszyscy jej poddani, kolejno tłoczyli się
 z płaczem, aby ją jeszcze raz obaczyć. Przejmujący
 to jest widok litewskich wieśniaków kiedy ostatni
 raz żegnają zmarłego. W bolesnej litanii wymownym
 i poetycznym nieraz żalem wyliczają zalety i cnoty te-
 go, który się z niemi rozstał,—tu ustaje przymus i trwo-
 ga; przed żyjącym schylali nieraz czoła aż do ziemi,
 ale zmarłemu nie powiedzą pochlebstwa.—jeżeli roz-
 wodzą żale, to prawdziwe. — Żonę sędziego żegnali
 jakby ostatnią opiekunkę i ostatnią zastonę od nędzy
 i ucisku.

— Wychodzącego spotkał mnie sędzia zaczerwienio-
 ny, z Bóg wie jakim wyrazem twarzy, i pociągnął za
 rękę do buduaru nieboszczki. Otworzywszy kantorek
 dobył z niego grubą kopertę z kilku listami; koper-

ta była zapieczętowana, lecz pieczętka świeżo złamana; napis zwierzchni:

„Władysławowi.“

— Widzisz asan, oto przed śmiercią żona moja, Panie świeć nad jej duszą, kazała mi oddać asanu te listy,—kazała ci powiedzieć, abys je oddał Władysławowi i prosił go, aby ci także dał do przeczytania, żebyś się czego nauczył. — Ciekawy byłem co to za tajemnice, i Boże przebacz, sam rospieczętowałem, ale to dzieciństwo, androny, baje,—z tego się nic nie nauczysz; to są tylko jej miłostki ale przedślubne, niewinne, proszę źle nie myśleć—dzieciństwo,—czemu ona z tem przedemną robiła sekret,—na takie listy jabym pozwolił;—to te książki wszystkiego narobiły.—To kuzyn asana ten Władysław?

— Kuzyn.

— A gdzie on teraz jest?

— Zapewne gdzie daleko, może w Krakowie albo w Warszawie, nie wiem, wracam w tamte strony i spełnię ostatnią wolę żony pańskiej.

— Bardzo będę asanu wdzięczny, — bo to wolę nieboszczyków trzeba szanować, aby nie tracić na kapitałach. Chodźże teraz asan, pokażę ci jaki ładny krzyż wystawię na pamiątkę mej żony. Będzie cały żółty, promienie zielone a gałki po końcach niebieskie,—a co, czy nie piękny?

IV.

Tegoż dnia wróciłem do siebie, nazajutrz dopiero mogłem się udać do pustkowie Władysława. Droga

mi się wydała nadzwyczajnie długą. Przyszedłem znużony około południa.

Na ławie przed chatą siedział stary Daniło i łzy mu z oczu płynęły. Połowa chaty zamieszкана przez Władysława była opuszczoną. Poczciwy wieśniak i żona jego łkając opowiedzieli mi, że dobroczyńca ich bardzo rano pożegnał się z nimi i wyszedł; powiedział im, że idzie daleko i na zawsze opuszcza te strony.

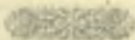
W tej samej izbie gdzie kilka dni pierwiej z nim siedziałem, przejrzałem listy jakie mu miałem wręczyć. Było ich kilka, oprócz jednego wszystkie adresowane przez niego do kochanki—przed jej ślubem;—ostatni był list zmarłej świeżo pisany. Oto jest w całości:

«Rok cały Władysławie mieszkałeś tak blisko i ja o tём nie wiedziałam,—czy tak godziło się? Cały ten długi rok męki mojej! — Przybrałeś obce imię, wykwinny sposób życia na biedny stan zamieniłeś, odziałeś się siermięgą a o mnie nie zdołałeś zapomnieć, byłeś nieszczęśliwym, wyczytałam to z twoich oczu. Mnie nierozsądną pocieszała ta myśl, że gdzieś daleko zapomniałeś i zostałeś szczęśliwy. Czyż ja temu winna, że się w tym stanie mniemaniej wyższości urodziła?—Przecież kiedym ci obiecywała usunąć zawady naszego szczęścia, kiedym już wymogła pozwolenie rodziców moich, któż zgrzeszył dumą? Tyś odrzucił ofiary, nie chciałeś jak mówisz łaski, niechciałeś znosić pogardy, a sameś nami pogardził.—Gdybyś wyświadczył łaskę o którą błagałam,—żyłabym dotąd i ty także;—błogosławilibyśmy oboje godzinę poznania naszego, — tak tylko ja jedna ją błogosławię,—od niej

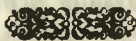
poczęło się moje konanie, ostatnia tylko myśl zgon
mój zatrzyma,—myśl, że ty na wieki utraciłeś spokoj-
ność, wiarę i miłość ku ludziom naszego rodu.—Ale
w imię które ci tak drogie, zaklinam cię, przestań
ich nienawidzić, bo nie ich serce ale rozum tego
winą.

Przebacz im śmierć moją, bo nie wiedzą co
czynią.

J. B. Dziekoński.



W tych dniach wyszedł pierwszy poszyt dzieła p. t. *Nowe lub niedokładnie opisane gatunki skamieniałości Tatrowych*; odkrył i opisał Ludwik Zejszner. Cena poszytu ozdobionego 4 tablicami in 4to, wynosi złp. 12, nabyć można w księgarni Klukowskiego przy ulicy Miodowej.



SAMUEL KSIĄŻE KORECKI.

Ze wszystkich wojowników co zasłynęli w dziejach Zygmunta III. Samuel Korecki, nie tyle przeważnemi usługami dla kraju, jak raczej osobistą odwagą i walecznością, a szczególnie przygodami swego życia, staje we mgle przeszłości, jako postać poetyczna, różna od bohaterów, co zbyt długo przewlekłe panowanie niedołęznego Wazy, na przemiany ozdabiali, i silnem je ramieniem wsparli.

Ze krwi Olgerdów (*) siostrzeniec Jana Karola Chodkiewicza, przetarty w szkołach i podróżach za-

*) Olgerdi sanguine... princeps, mówi nagrobek Samuela Koreckiego.

granicznych, pod Stanisławem Żółkiewskim «*Marso we założył początki*» jak wyraża Niesiecki. (*)

W bojach odznaczał się odwagą, a szczególnie olbrzymią siłą: żaden jeździec w pojedynczym harcu nie dotrzymał mu pola: Samuel z kopiją w ręku każdego wysadził z siodła, upadłego przybijał do ziemi, albo co częściej było, przebitego na wskroś wroga zrzucał daleko potrząśnięciem swęj kopii. (**)

Ale te dowody męstwa i siły, krom uwielbienia współtowarzyszów broni, nie nadały mu prawa do tak rozgłośnej sławy jaką później pozyskał, sławy którą zaćmiewał imiona większe nad siebie, dostojniejsze zasługą. Gdy pamięć wielkich wodzów jak Zamojskiego, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, i Koniecpolskiego, same dzieje tylko zachowały, Samuela Koreckiego nie tylko dzieje, ale i pieśni śpiewane w całym narodzie, upromieniły wspomnieniem.

Piotr Gorczyn gdy pisał na szczęśny jego powrót powitanie (r. 1618) w uniesieniu radości tak go maluje:

«Mąż to on wtóry,
Co Iwa zwłókl z skóry.
Co bił ogromne wieprze, byki, i smoki,
I skrzepl mu olbrzym, gdy go wziął za boki.

Poślubienie Katarzyny córki Jeremiego Mohiły Hospodara Multańskiego, wywołało i sławę Koreckiego, i zuchwałe czyny, i śmierć traiczną. Czyny zuchwałe, bo on do boju wywołał potęgę Turecką. Z nad-

*) Herbarza tom 2. str. 600. Ed. 1738.

**) Drzeworyt na czele pieśni o Samuelu Koreckim umieszczony, wystawia go jak na wskroś przebija kopiją Turka.

wornémi tylko chorągwiemi swemi, i dwóch swoich szwagrów, potrafił ją rozbić, w dwudziestu bitwach zawsze zwycięzca, przeszło sto tysięcy Turków, Tatarów i Wołochów trupem usłał: i stał się postrachem dla Muzułmanów większym, niż cała Polska.

Niedoleżny nawet Zygmunt III, co ani znał ludzi, ani ich umiał ocenić, w podziwieniu nasłuchując o czynach Samuela, słysząc pieśni o nim śpiewane, wyrzekł: «gdyby takich Koreckich więcej miała Polska, nigdyby tak częstych najazdów od Turków i Tatarów nie cierpiała.»

Ożenieniem swoim pomnożył Samuel z możnemi domami swe związki: trzy siostry bowiem rodzone żony, jedna za Michała księcia Wiśniowieckiego, druga za Stefana Potockiego, trzecia za Jana Przerębskiego wydane były.

Jeremi Mohiła wypędzony z gospodarstwa od Turków, schronił się do Polski, gdzie zabezpieczając los synowi, znaczne na Rusi włości nabywa, i wzywa pomocy zięciów. Ci ujmują się za nim, i przedsiębiorą mocą go przeciw porcie Ottomańskiej na stolicę przywrócić. Niezrażają niebezpieczeństwa tak zuchwałego zamysłu; Samuel na czele garści zbrojnych Polaków, bez dołożenia się króla i Rptej, wpadł na Wołoszczyznę, zbił Turków i hospodara przywrócił. (*) W kilka miesięcy umiera Jeremi. Turcy żonę jego i syna Piotra co objął po nim władzę, wycisnąwszy poprzednio haracz, wypędzają z gospodarstwa. Zięciowie po raz drugi wypowiadają wojnę Turcji, i szczęśliwego zwycięzcę, Samuela nieustra-

(*) Fr. Siarczyński. Obraz panowania Zygmunta III. t. 1. gwiaz

szonemu sercu, lubo młodszego, na czele hufców zebranych stawiają hetmanem. Wpada Korecki, łamie potęgę Otomańską w XX bitwach, zdobywa szturmem zamek po zamku, gród po grodzie warowny, i gdy książę Wiśniowiecki współtowarzysz jego zwycięstw trudami zwątlony umiera, wchodzi do Jass stolicy.

Tu go otaczają Turcy z przemagającą siłą, z potężną artylerją. We trzy tysiące, nie mając ani jednego działka, pozbawiony zapasu prochu i kul, od soboty do środy (r. 1617) stawia opór, wręcz się ścina, i odpiera chmurę sześćdziesięciu tysięcy.

Dwaj baszowie *Skinger i Ibrahim* nie mogąc przemocą nic dokazać, użyli zdrady: wysłali doń poselstwo zaręczając przywrócić Mohiłom gospodarstwo Wołoskie, byle im się tylko poddał.

Polak będący w tém poselstwie, zaklinał go aby oręż złożył. «Mężu serdeczny (rzekł do wojownika) miłuj swoje zdrowie: straciłeś mężnych towarzyszków, nie trać sam żywota: włos ci z głowy nie spadnie, ani uronisz swojej nieśmiertelnej cnoty.»

Korecki spojrział na swe chorągwie: już tylko do 800 miał towarzyszków, tabor warowny ciężkie działa rozbiły a Kozacy unikając jassyr, uchodzili przebijając się przez chmury zdziwionego pogaństwa; zsiadł więc z konia, rzucił na ziemię szablę, i głowę smutnie pochylił: pierwsze go bowiem czekały więzy. Przywiedziono go do baszy: tu po raz ostatni usłyszał jak zabrzmiały Ussarskie bębny, gdy te dzielne rotę brał w jassyr Muzułman.

Z radosnym tryumfem wprowadzono Koreckiego do Konstantynopola. Wybiegły chmury ludu i żołnierstwa, sam car Turecki i baszowie spieszyli oglądać tego

przed którego silném ramieniem cała Turcja drżała. Sułtan zapytał go, z czyjego rozkazu państwo jego napadł?

„Z niczyjego, (odrzekł dumnie Korecki) niekazał mi król ani Rplta, nie było też ich chorągwi; sam z własnej woli, a nie z czyjego rozkazu wydałem ci wojnę, i mściłem się za to, żeś wyzuł z włości Piotra Hospodara: „—,wiele wojska przez ciebie straciłem!“ wyrzekł sułtan. A pomimo tak gorzkiego wspomnienia, umiejący cenić bohaterstwo ofiarował mu wolność i najwyższe zaszczyty, jeżeli przyjmie mahomekańską wiarę. Wzgardził tą łaską Korecki, więc jako brańca wtrącono go do zamku nad Bosforem leżącego. Rok blisko wytrzymał ciężką niewolę, gdy Sieniawski podczaszy koronny, posłał mu na pomoc wiernego Greczyna. Ten potrafił między straż się wcisnąć, i we flaszy od wina przeniósł brańcowi powróż i pilnik żelazny. Mając pieniądze Korecki nadesłane od żony, potrafił straż winem spoić, a wybrawszy noc ciemną, przerznął trzy kraty, danym powrozem spuścił się, i żeby tym łatwiej uszedł pogoni, przebrany, ukryty, w samym Konstantynopolu dni kilka bawił, dopóki, pod imieniem kupca niedostał się na okręt. Przybył do Sycylii, ztąd do Neapolu, nakoniec stanął w Rzymie 1618 roku. W drodze napadnięci od korsarzy, gdy osada okrętowa struchlała z przestachu, i już się poddać chciała, Korecki odwagą potrafił ją natchnąć i odpędzić napastników.

W Rzymie papież Paweł V mile i ze czcią go przyjął. Dopełniając ślubu jaki zrobił w więzieniu odwiedził Loret, i wrócił szczęśliwie do ojczyzny. Za ledwie ukazał się w Krakowie, lud go z okrzy-

kami powitał; gdzie tylko stąpił gromady ciekawe zabiegały mu drogę. (*) W tedy to zabrzmiała pieśń ku jego sławie, melodia do niej tak się stała ulubioną w narodzie, że więcej jak wiek cały znano ją i powtarzano, a nawet wiele pieśni później układano na tęż nutę. Drukowaną była w kroju półarkuszowym, gockiem i czcionkami, bez wyrażenia miejsca i roku, pod napisem:

«PIEŚŃ O ZACNYM KSIĄŻĘCIU
SAMUELU KORECKIM.»

Gotowała się wyprawa dla zasłonięcia granic i wprowadzenia na gospodarstwo z ramienia Polski Hospodara Graziana. Wyprawa pamiętna w dziejach smutną klęską naszego rycerstwa i śmiercią dzielnego hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Na polach Cecory, położył on głowę uwieńczoną bluszczem wiekopomnej sławy. Zwycięzca pod *Kluzynem*, którego imię zapadła północ z trwogą szanowała, w sędziwych latach, siwizną okryty, padł ofiarą intryg dworu Zygmunta III i niesforności żołnierstwa. Smutny to dramat, obłany krwią rycerstwa i łzami całego narodu. My tu wspomniemy tylko to, co Koreckiego dotyczy.

Na odgłos że Żółkiewski zbiera pod swą buławę zastępy rycerskie, Samuel uzbroiwszy 200 Hussarzy i 200 Kozaków, (**) przybywa sam na ich czele do

(*) Poean. Piotra Gorczyzna 1618 r.

(**) Bitwy znamienite tьми czasy na różnych miejscach, mężnych Polaków z nieprzyjaciół krzyża świętego w roku terażniejszym 1620, przez Marcina Paszkowskiego opisane 4 b. m. (1621 r.).

Spis wojska Polskiego podany przez tego pisarza znajdzie czytelnik w przypisach.

obozu hetmana, pod którego przewodem rozpoczął *taniec marsowy*. Weszły zebrane szyki w dawne na polach Cecory okopy Jana Zamojskiego, odparły mężnie naciskające chmary Tatarów i Turków, gdy w nocy niespodziany popłoch, jakby kara boża, wnosi do obozu trwogę i zamieszanie. Ci nawet co dzielnie wśród tylu bojów szukali zwycięstwa lub śmierci, teraz w nagłym odwrocie szukają ratunku. Daremnie sędziwy hetman wraz z innemi wodzami stara się ład przywrócić, daremnie ostrze swój szabli tępi na karkach spłoszonych: jeden odgłos *przestrachu*, jedna myśl przebycia *Prutu*, zajęła serca strwożone i umysły upadłe. Między tymi, uniesiony popłochem ogólnym był i ten mąż niestrwożony, co na czele 800 rycerstwa stawiał czoło pod Jassami sześćdziesiąt tysięcy pogaństwa!—co i teraz w oczach hetmana, codziennie na polach Cecory mężnie staczał harce!—Samuel *po raz pierwszy i po raz ostatni* unikał boju i niestawniej szukał ochrony. Ale zaledwie rzucił się w nurty Prutu, wstyd i hańba stanęły przed oczyma, że opuścił sędziwego hetmana dawnym ogniem pod niecił serce. Wraca do obozu, natychmiast staje w namiocie wodza, a gdy usłyszał czynione mu kłamliwie zarzuty nieostrożności i popłochu sprawionego, popędliwy Korecki łączy swój głos z niechętnych wyrzutami. Spojrzał nań spokojnym okiem sędziwy Żółkiewski i te mu tylko odrzekł słowa: „*Ja tu stoje a woda ze mnie nie ciecze.*“ (*) Zamilkł wstydem i prawdą tych słów rażony Korecki; odtąd nieodstąpił hetmana, i wśród powszechnej klęski, po zabiciu wielkiego

(*) Rękopism księcia Jabłonowskiego 1713 r.

wodza, gdy siwizną ubieloną głowę jego na kopii obnoszono w radosnym tryumfie po obozie tureckim, walcząc do ostatka, wraz z Koniecpolskim, Farensbachem i innemi wzięty w niewolę, pognany został do Konstantynopola.

Ujrzawszy z dala szczyty meczetów Stambułu znajome już sobie, okryty siermięgą, w gronie smutnych towarzyszy, Korecki nie upadł na duchu, a krzepiąc go i w ich sercach, wchodząc w mury wielkiego miasta zapełnione ciekawym ludem, przygrywał na kobzie marsza, jakby szedł w tryumfie do zwyciężonego grodu.

Osadzony w więzieniu w *Czarněj-wieży* z kilku towarzyszami i Farensbachem, nie jedną chwilę miał za-trutą przez tegoż, który wszczynał niemal ciągle z nim kłótnie, popędliwego będąc i szorstkiego obojęcia. Po zwycięstwie pod *Chocimem*, które zmyło klęskę Cescorską, Korecki łudził się słodką nadzieją, że wolność uzyska, i w tym celu pisał list do księcia Zbarazkiego, który był wyznaczony na poselstwo do Stambułu. W nim ubolewając nad wczesnym zgonem wuja swego, hetmana Chodkiewicza, nagli Zbarazkiego o prędkie przybycie do Konstantynopola. (*) Dywan tymczasem straszego sobie jeńca postanowił zgładzić, — stryżek przeznaczony został Koreckiemu. Jak wieści niosły Hussejn Wezyr głównie nań nastawał, dając za powód, że pokój z Polską zawarty, będzie miał większą rękojmię, gdy główny wiechrzyciel dawniejszych napadów sprzątnięty zostanie. (**)

(*) W przypisach list ten cały zamieszczam.

(**) S. Twardowski. *Przeważna Legacya do Turek księcia Zbarazkiego r. 1639—40.*

Korecki, pragnący swobody, w niecierpliwem uniesieniu nieostrożnie przed Turkami co w wieży bywali z pogrozkami występował, że skoro tylko wolność otrzyma, najazdem Wołoszczyzny pomstę przyniesie.

Dowiedział się o wydanym wyroku: mógł policzyć godziny przeznaczone życia. Czas był krótki, przepakuje straż i sprowadza sobie kapłana, przed nim spowiedzią oczyściwszy sumienie, spokojnie oczekiwał chwili niecofioniej, rozmyślając aby nie sam tylko umierał.

Uderzyła godzina naznaczona; wysłani mordercy już ze stryczkiem oczekiwali swęj ofiary. Z dolnej wieży wyciągniono na górę Koreckiego: zaledwie rzucił okiem, ujrzał przez zręcznego oprawcę rzucony na głowę swoją postronek, co jak gadzina w długich splotach się wijąc, miał mu dech swoim uściskiem w piersiach na zawsze przydławić. Choć ciało prześląkłe wilgocią i zimnem lochu, siła w długich więzach omdlona, na ten widok zadrzał: — on dziecię szabli, miałby tak nikczemną śmiercią ginąć? W jednej chwili wraca mu lat młodzieńczych chybkosc, odwaga i siła, jednym skokiem unika pętlicy stryczka, rzuca się na morderców, wyrwa nóż i rozpoczyna nierówną walkę. Żga i płata naprzemiany swoich oprawców, dwunastu kładzie trupem, wywija nożem, depta nogami, chwyta i kąsa zębem.

I pierwszy zastęp katów we krwi się nurza. Krzyk i wrzawa napełnia wieżę, — nowi mordercy uzbrojeni w żelazne prety niedają Koreckiemu odetchnienia. Wtedy naparty, ściśniony, zbity tą żelazną bronią, z pogruchotaną głową, mając złamane kości w pra-

wój ręce, wypuścił nóż z dłoni, a wycieńczony z siły upadł i skonał. Wtedy dopiero stryczek na trupa zarzucono, aby wyrok był spełniony.

Tak skończył Samuel Korecki r. 1662, w rok po sławnym nad Turkami zwycięztwie pod Chocimem. Ciało jego zrzucone z wysokości wieży i w dole piaskiem przyrzucone, Włodek wykupił i uniósł skrycie. Zamknięte w worze smołą oblanym, przywiezione do Polski, i w *Koreu* w kościele OO. Franciszkanów, w ojcystym gnieździe Koreckich pochowanem zostało.

Był to mąż postaci rostej, odwagi i siły niezwykczajnej, w rycerskiem rzemiośle wyćwiczon należycie, do trudów i pracy nazwyczajony. Dzielnie jeździł na koniu, umiejętnie władał szablą, strzelbą, łukiem i kopiją. Giętki w ruchach, zręczny w biegu i skoku, posiadał wszystkie przymioty wprawnego harcownika. W sypialnej komnacie w pogotowiu świetna polerowna zbroja i szyszak, tarcza ogromna i pan-cerz wisały na kołku, (*) zawsze strojny w przybory wojenne stał rumak gotowy. Lubił nauki, nie-brakło mu zdrowej rady, ale wszystko tłumila żywość wrodzona i popędliwość ufna tylko w siłę a szablę.

Samuel z Skrzypny Twardowski w jednym z poematów swoich nazwał trafnie Koreckiego: «*Piorunem Tureckim*. Jakoż za prawdę nie było straszniejszego dla Muzułmanów imienia wojownika nad Koreckiego, podobnie jak dla Tatarów Stefana Chmieleckiego, którym matki Tataruki dzieci swoje w Krymie straszły.

(*) Poan. p. Gorczyzna r. 1618.

Żona Katarzyna Mohilanka, w pierwszej wyprawie r. 1617 do Multan towarzysząca jego trudów, wraz z nim dzielą niewolę. Trudy i zgryzoty śmierć jej w następnym roku przyspieszyły.

Piotr Gorczyn jeden ze znamienitszych poetów współczesnych, pisząc *Poean* (*) na szczęśliwy Koreckiego powrót z więzów Turka, *dyalogiem* opłakiwał śmierć małżonki ukochanego przez siebie bohatera. (**) Jedyńa córka z tego małżeństwa Anna, wydana za Jędrzeja Leszczyńskiego wojewodę Bełzkiego, umarła w r. 1639 mając lat dwadzieścia jeden.

W roku 1651 na synowcu Koreckiego, Karolu Samuelu, wygasł ród Koreckich, wiele pięknych wspomnień w dziejach naszych zajmujący.

Mamy trzy wydania pieśni o Samuelu wszystkie gockim drukiem w kroju ćwiartkowym. Pierwsze już wspomniane, za życia Koreckiego wydane, drugie pod napisem:

«Pieśń o zacnym księżęciu Samuelu Koreckim.» Kart dwie, ozdobiona drzeworytem jak rycerz w zbroi, kopiją na wylot przeszywa Turka w turbanie. Pieśń w tym wydaniu ogłoszona po jego śmierci, różny ma początek i koniec. Gdy w pierwszej cieszą się z jego powrotu, tu opłakują zgon wojownika, prosząc Boga aby go przyjął do chwały królestwa swe-

(*) *Poean*, to jest wdzięczne pienie Kamoen Sarmatskich na szczęśliwe zwrócenie J. O. Pana Jegomości pana Samuela księżęcia na Korcu przez Piotra Gorczyzna uczynione dnia 7 lipca w r. 1618 4to.

(**) Żałosnego a męznego z światem pożegnania Jejomości J. O. panięj Katarzyny księżny Koreckiej: i t. d. wizerunek, z swemi osobliwemi przy żałobie pociechami, djalogiem wystawiony przez Piotra Gorczyzna w r. p. 1618' w Krakowie Bazyli Skalski drukował 4to.

go. (*) Trzecie wydanie jest powtórzeniem drugiego w zupełności, z tą tylko różnicą, że nie ma drzeworytu. Melodja do tych pieśni jak wspomniałem była wielce upowszechnioną w narodzie. Do trzydziestu mamy pieśni, w których na czele czytamy:

«*Nóta jako o księciu Koreckim.*»

Dziwić się musi historyk, zgłębiwszy pomniki współczesne, co wywołało tak wielką sławę Koreckiemu, że imię jego cześć i podziw obudzało, że śpiewało rycerstwo pieśni chwale jego poświęcone, że znalazły rozgłos w całym narodzie. Nie ród za prawdę ksiązęcy posłużył mu do tego, nie przeważne usługi dla Rptój, bo bez jej zezwolenia, nie w jej interesie walczył, i raz tylko pod buławą Żółkiewskiego stanął w wyprawie Cecorskiej.

Myśl to wielka choć zuchwała upromieniła sławą jego postać, jego imię, że wystąpił jako prywatny obywatel, i wyzwiał na rękę całą potęgę państwa Tureckiego, a w pierwszym zapędzie zdeptał ją zwycięstwami i dopiął celu osadziwszy na gospodarstwie Jeremiego Mohiłę. A w tej wyprawie rozwinął zdolności hetmańskie, z osobistą walecznością, której nikt zrównać nie zdołał. I za prawdę godną podziwu była myśl czynem sprawdzona, łamania się prywatnego męża z udziałem państwem, którego grózną potęgę szanowały sąsiednie królestwa, a dalsze odsunione od granicznych kopców muzułmańskich drzały przed nią nieraz. Wyprawy Koreckiego, które wiodły zapał młodzieńczy, i myśl nowa, niesłychana, jaką tylko wywołać jeniusz młodości może, postawione obok niedołężności tronu Zygmunta III, mu-

(*) Zmiany te znajdzie czytelnik w przypisach.

stały jak meteor światła błyskawicy polotem roz-
 świecić ciemny, niedolę przyszłości przemienia; mi-
 śały w tym momencie narady wojowniczo i zawaso-
 dalebnie, zaleśo swoje odbicie, swój rozgłos, pos-
 daw, i poklask — które, chociaż chwilowo, przyluminy
 rozleciały stawy wielkich hetmanów, co zwyciężskiem
 ramieniem wielkie Rzeczypospolitej czyniły usługi.

K. W. Wójcik

PRZYPISY.

II.

Z przywiezionego pisemka, wierszem, Marcina Paszko-
 wskiego, załączam wypis:

«Liczba wojska naszego, i wzmianka pobitych od nie-
 przyjaciół Krzyża świętego. Czego się Panie Boże pożał.

I. Pana Hetmana Koronnego	}	Usarzów konnych	200
Sam zabity.		Węgierskiej piechoty	200
		Niemieckiej piechoty	100
II. Hetmana polnego.	}	Konnych	200
Sam w więzieniu.		Piechoty	100
III. Pana Starosty Kamienieckiego	}	Usarzów konnych	150
		Kozaków	600
IV. Książęcia Koreckiego.	}	Usarzów	200
Sam nie wiedzieć gdzie. 1)		Kozaków	200

Do przeniesienia 1980

		Z przeniesienia	1980
V.	P. Wojewódzka Braclawskiego	Usarzów	200
	Sam uszedł.	Kozaków	80
VI.	P. Wojewody Podolskiego	Kozaków	200
	Sam utonął.		
VII.	P. Starosty Chełmskiego	Kozaków	200
	Sam w więzieniu.		
VIII.	P. Tyskiewicza:	Kwarcianych Usarzów	100
	Sam w więzieniu.		
IX.	P. Kazanowskiego	Us. Kwar. konnych	200
	Sam nie wiedzieć gdzie.		
X.	P. Wrocławskiego	Konnych	200
	Sam zabity.		
XI.	P. Strzyszcowskiego	Konnych	100
	Sam w więzieniu.		
XII.	P. Skokowieckiego	Konnych	100
	Sam w więzieniu.		
XIII.	P. Malinowskiego	Rajtarów	200
	Sam zabity.		
XIV.	P. Koniuszego stawilo się.	{ Kozaków	200
		{ Piechoty	600
XV.	P. Starosty Winnickiego st. się.	Konnych	200
XVI.	P. Strażnikowych stawilo się.	Konnych	100
XVII.	P. Halickiego P. Strusa	Konnych	200
XVIII.	P. Lewikowskiego	Konnych	200
XIX.	P. Ralinowskiego uszło	Konnych	100
XX.	P. Krzemienieckiego	Konnych	100
XXI.	P. Koszyckiego	Konnych	200
	Sam zabity.		
XXII.	P. Piaseckiego	Kozaków konnych	200
XXIII.	P. Jagodyńskiego	Konnych	200
XXIV.	P. Wojtynskiego	Konnych	200
XXV.	P. Ujazdowskiego	{ Konnych	200
		{ Piechoty	100
XXVI.	P. Rogawskiego nad półtora ty-		
	siąca Lisowczyków będąc uszedł samo 50		1500
XXVII.	P. Barszcza		270
	Uszedł ranny z kozakami.		
XXVIII.	P. Chmielowskiego	Konnych	200
	Sam uszedł ranny.		
XXIX.	P. Wrzeszcza	Usarzów	200
	Samego zabito.		
XXX.	P. Potulickiego		100
	Sam uszedł.		
XXXI.	Hospodarskich z Wołoszą		500
	Wpoły uszło.		
XXXII.	Kostczyńskich kozaków (Kostki) z Woluntarjuszami		200
	W poły uszło.		

Razem wojska pieszego i konnego 9,230

III.

LIST KSIĘCIA KORECKIEGO

DO P. KONIUSZEGO KORONNEGO.

Oświecone Miłościwe Książę.

Wszystkich tych ciężkości w utrapieniach moich, które mi Pan Bóg temi czasy nawiedzić raczył, śmierć sławnej pamięci nieboszczyka wuja mego Wojewody Wileńskiego *) świat mój z śmiercią jego na wagę puścili byli, w czym bowiem niemal zwątpił jako ten o którego się tak gorąco starać nikt nie mógł nad niego o wolności mojej. Dopiero usłyszawszy, że W. X. M. jesteś tu Posłem Wielkim do Porty: omnino revixi, mając wielką nadzieję w dawnej miłości i łasce W. X. M. przeciwko mnie, że się o mię tak starać będziesz, jakobym ja własnej dostąpiwszy wolności, P. Bogu dziękować i W. X. M. pokim żyw acceptum beneficium odslugować mógł. Dzień odednia nie tylko my, ale y wszystkie Konstantynopol, jakoż od Szrodopościąwyglądamy W. X. M. Lecz nierychły przyjazd W. X. a nieboszczyka M. Sultan Osmana uporny przeciw radzie wszystkich swych do tej Mechy (Mekki) wyjazd, barzo nas był potwrożył. Ale inaczej te wszystkie rzeczy odmienił Pan Bóg. Die 17 Majj, Janczarowie i Szpagowie, z inszymi wojennymi Cesarza tego ludźmi zbuntowawszy się Osmana pojмали. Sultan Mustaphę na państwo wprowadzili. Die 18 Majj. Dilauer Baszę, Kulerakę, Dussy Baszę rozsiekali. Die 20 Mensis hujus Sultan Osman nieboszczyk w grobie przodków swych odpoczywa. 20 Majj, Mustaphę Mansalem uczyniono. Został Wezyrem Dawen Basza. Za pierwszym byciem p. Szuliszewskiego u niego z tym się deklarował, że nierozzerwany pokój między państwa Cesarza z koroną mieć chce, i zaraz do Chana posłano, i do Kantymira pod gardłem im zakazując, żeby w żadne państwa rzeczypospolitej nie wpadali, i najmniejszej nie czynili szkody, czymby się naruszony raz już pokój naruszyć mógł, y w tym

*) Jana Karola Chodkiewicza co umarł na wyprawie chocimskiej w obozie 1621. r.

pana Suliszewskiego upewnił, że za przyjazdem wielkiego Posła nas oswobodzi. Co W. X. M. z listu p. Suliszewskiego, szerzej zrozumiawszy, rozumiem że jeśliby jakie w tej niespodziewanej mutacji wiadomości adversa urosła W. X. M. opinja, o przyjechaniu sam do Konstantynopola, tedy taką wzięwszy wiadomość, nie tylko w pokoju wybierzesz się w tę drogę, ale i sam się co prędzej pokwapić będziesz raczył, z wielką da Pan Bóg hoc minus, quo Republicae fongeris causa, z sławą naszą i pożytkiem Rzeczypospolitej odprawić będziesz raczył. Namowiwszy się z Jego M. P. Koniecpolskim, mianowicie kiedy W. X. M. o wszystkim statum rerum wybaczysz, wszystko to łącno i prędko, z przybycia W. X. M. sprawić się może gdyż na tym rzecz wszystka zawisła. My W. X. M. wyglądamy, kładąc się i wstając Pana Boga prosim, żeby nam W. X. M. prędko w dobrym zdrowiu do Konstantynopola ku dobremu ojczyźnie i oswobodzeniu nas przynieść raczył. Zalecam się łasce W. X. M. etc.

W Konstantynopolu 30 Majj, Anno 1622.

Samuel Korecki.

IV.

Jakieśmy wspomnieli drugie wydanie pieśni o Koreckim różni się od pierwszego. Różnica ta polega głównie na zakończeniu; dwie ostatnie strofy, w pieśni po śmierci Koreckiego wydanej, mówią o jego zgonie, kiedy w pierwotnym wydaniu, takowych niema.

Pierwsza strofa jest odmienna:

«Dobrzeście znali wszyscy Koreckiego
Rycerza, książe (księcia) bardzo serdecznego,
Ten męstwem swoim słynąć nie przestanie,
W Chrystusie panie.

Dwie ostatnie strofy, dodane później:

«Przez co Podole od Tatar złupione,
Ze Koreckiemu nie dali obronę,
Któremu Boże, racz grzechy odpuścić,
Zacność nagrodzić.

Ciebie Wszchemocny nasz Panie prosimy,
I jednostajnie ręce swe wznosimy,
Przyjmij do chwały królestwa twojego
Książę Koreckiego.

Amen.



senną i w zachodnio-południowej stronie. Dwa
 i zachodniej stronie nie najdalej pomiedzy sobą
 i razem wydzieliły w górę skały warstwowe
 i jako pasmo ma właściwy charakter pochodzący
 od góry skały przeważnie jednak nad brzośnią
 Opatrzcie się na mapie od najdalej na północ
 wysuniętych i następnie powróćcie do strony zachodniej
 południowej. Wydzielony jest pasmo małe
 i tak. Najwięcej na północ wysuniętych w całym
 pasmie Karpatach o górnym i dolnym pasmie szczytu
 oddziela je od południowych i od
 się ze wschodu na zachód pasmo szczytu ma długim

REUT OKA

*na budowę geologiczną Tatrow i wzniesień
 od nich równoodległych, tudzież porówna-
 nie ich skał warstwowych z alpejskimi.*

przez

L. Zejsznera.

(Dokończenie)



Skały krystaliczne czyli plutoniczne i metamor-
 ficzne nie zajmują w ogólności tak rozległych prze-
 strzeni w Karpatach, jak warstwowe; nierównie zna-
 komiciej rozwinęły w stronie południowej, aniżeli
 w północnej. W wąskich, równoodległych pasmach
 przedzielonych skałami warstwowymi, ciągną się
 ze wschodu na zachód. W ogólności co do masy
 przeważają łupki metamorficzne nad plutonicznemi;
 pierwsze w południowej stronie znakomicie rozwi-
 jąją się, drugie w pasmach ku północy bardziej po-

sunionych i w zachodnio-południowej stronie. Dwa te rodzaje skał łączą się najściślej pomiędzy sobą, i razem wydzwigiły w górę skały warstwowe.

Każde pasmo ma właściwy charakter pochodzący od gatunku skał i przeważanie jednych nad drugimi. Opisując je rozpoczniemy od najbardziej na północ wysuniętego, następnie przejdę do coraz bardziej południowych.

Tatry. Najwięcej na północ wysunięte, w całym pasmie Karpat ogromne, dziko poszarpane szczyty, odróżniają je od wszystkich otaczających; ciągną się ze wschodu na zachód, pasem sześć mil długim a $1\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ mili szerokim. W przeważającej ilości składają to pasmo granity i gneizy; łupek mikowy i talkowy tworzą wśród nich pojedyncze smugi, albo góry. Pokrótkce podajemy charakter każdej skały w szczególności, wchodzącej do ich budowy.

a) *Granit tatrowy* nieco odmienny od zwyczajnego, przez właściwe ułożenie blaszek miki na płaszczyznach mniej więcej równoodległych, przezco powstaje budowa do łupkowej zbliżająca się, i stąd pochodzi nazwa tej odmiany, granit gneizowy. Biały feldspat i bezkolorowy kwarc przeważają co do ilości, nad tombakową miką. Domieszanych minerałów nie ma prawie żadnych, prócz nieco pospolitszych cienkich żyłek zielonego Epidotu; Granat zwyczajny, w jednym tylko punkcie, w dolinie *Fölka* w 24 ściany krystalizowany znajduje się. Granit ma trzy oddziały, pokazujące się mianowicie w ścianach i turniach sterczących; niekiedy bierze jeden z nich przewagę, i wtedy zdaje się, jakoby się dzielił w warstwy; przykład tego najcelniejszy znajdujemy w górze Koście-

lec przy Stawach Gąsienicowych, gdzie wielka płaszczyzna tworzy równią pochyłą. Żyły w Tatrach w ogólności nie są liczne, i te bardzo ubogie w metale. Złożem ich głównie jest biały kwarc, w którym rozsiany jest siarczyk miedzi i żelaza; z niego powstają Malachit i miedź lazuruwa; rzadko bywa żłoto rodzime. Nierównie liczniejsze są żyły gruboziarnistego granitu przebijające zwyczajny, odróżniający się wielkością feldspatu mającego czerwony, czasem szarawy kolor, i srebrzystą miką zmieniającą się w talk.

b) *Gneiz*, pospolicie zwyczajny, w którym mika przeważa; w innych przeważa feldspat, a wtedy ginie łupkowość i przechodzi w granit. Czasem wydzielają się porfirowato wielkie białe kryształy, i powstaje gneiz porfirowy. Obcych minerałów nie ma żadnych. Żyły rzadkie, składają się z białego kwarcu z rozsianiami: Panabazem i siarczykiem miedzi i żelaza, czasem dołącza się Węglan żelaza. Dziewiąta Bania na górze Ornak, w dolinie Kościeliskiej jest najcenniejszą żyłą.

c) *Łupek talkowy* składa się z jasnozielonego lub żółtawego talku i ziarn soczewkowatych, bezkolorowego kwarcu; jest grubołupkowym. Najbogatsza żyła, czy pokład w Tatrach, na której odbywały się obszerne roboty górnicze, znajduje się w tej skale; składa się z białego kwarcu i siarczanu baryty z rozsianym Panabazem. Skała ta tworzy znaczną górę Pyszna, sterczącą nad doliną Kościeliską.

d) *Łupek mikowy*, jest to zwyczajna mieszanina miki z kwarcem, w której pierwszy minerał przeważa,

sprawiający wydatną łupkowatość; nie ma domieszanych minerałów.

Wymienione skały tworzą najwyższe, dzikie poszarpane szczyty; jakby piramidy jedna koło drugiej ustawiona; w ogólności we wschodniej części przeważają granity, w zachodniej gneiz; dwie te skały tak nieznacznie w siebie przechodzą, że granice pomiędzy nimi nie można prowadzić. Przy Stawach Gąsienicowych dzielą się; pas wapienny odgranicza małą grupę gneizu od głównego granitowego, i otacza go ze wszech stron; dalej na zachód przeważają gneizy, z tych podnosi się znacznie wzniesiona grupa granitowa, składająca kilka szczytów stromych zwanych Rohacze nad wierzchy gneizowe; w końcu południowo-zachodnim pasma mała smuga łupku mikowego, odgranicza skały krystaliczne od wapieni. Łupki talkowe otacza ze wszech stron gneiz, a w Rohaczach cienka smuga tego łupku tworzy pokład w granicie.

Hole Turczańskie. Na tejże samej linii co Tatry, prawie sześć mil dalej na zachód, holami wapiennymi Liptowskiemi połączone ciągną się granitowe hole Turczańskie, na tejże samej linii, co Tatry ze wschodu na zachód; przeszło trzy mil długie a $\frac{1}{2}$ mili szerokie; pomiędzy Orawą a Wagiem, czyli pomiędzy wioskami Parnicą i Kralowianami, a Strecznem. Pasma to składa się li z granitu; w samym środku jest przerwa; skały plutoniczne zastępują czerwone piaskowce i wapienie liasowe, pod któremi dobywa się granit pokazujący się w głębokich parowach. Granit jest ziarnisty; zwyczajny biały, często jasnozielonawy, a rzadko czerwony feldspat, bez kolorowy kwarc i tom-

bakowa mika składają jego mieszaninę; oddziały ma niewydatne. Prócz zielonego Epidotu nie ma innych domieszanych minerałów. Żyły kwarcowe nie bardzo wyraźnie odkryte w dolinie Belskiej przy Terhowej są tylko znane. Granity tego pasma wznoszą się w potężnych wysoko nad warstwowo skały, są również poszarpane jak w Tatrach, chociaż się nie tak wysoko podnoszą.

Niżne Tatry.

Mają wprost odmienną budowę od Tatrów; skały metamorficzne przeważają w części wschodniej, plutoniczne w zachodniej; ciągną się prawie równym, wysoko wyniesionym grzbietem, mającym przeszło 6 mil długości, od $\frac{1}{2}$ do $1\frac{1}{2}$ mili szerokości. Nieco więcej na zachód wysunęły się od Tatrów, i stanowią granice pomiędzy Spiżem i Liptowem, a hrabstwami Gemerskiem i Zwoleńskim. Skały plutoniczne i metamorficzne wchodzące do budowy Niżnych Tatrów są następujące:

a) *Granit zwyczajny* pospolicie gruboziarnisty, rzadko ziarnisty; składa się głównie z białego, czasem zielonawego i czerwonego feldspatu, bez kolorowego kwarcu i czarnej miki. Epidot bywa w cienkich żyłkach domieszany; oddziałów nie można dostrzec, albowiem rzadko sterczy skalisto. Żyły dosyć liczne, mianowicie w stronie zachodniej, ciągną się z północy na południe, składają się głównie z białego kwarcu, lub ziarnistego podwójnego węglanu wapna i niedokwasu l. żelaza, z rozszaniem siarczkiem antymonu i złotem rodzimym. Najgłówniejsza kopalnia jest Magórka, przy Niemieckiej Lipczy.

b) *Gneiz zwyczajny*; składowe minerały tak są drobnoziarniste, a czarna mika przeważa, że nadaje wyraźnie łupkową budowę tej skale, i dlatego powszechnie uważano go za łupek mikowy. Liczne żyły zawierają rudy miedziane, jako to: Panabaz i siarczyk miedzi i żelaza (Jaraba).

c) *Gneiz amfibolowy*; jestto mieszanina prawie równa co do ilości zielonego, często jasnozielonego, blaszkowego amfibolu z białym feldspatem; budowę pospolicie ma grubołopkową, rzadko łupkową; domieszanych minerałów nie ma; zawiera pokłady wodoru żelaza powyżej Małuzyny, przy Hodrusi.

d) *Łupek mikowy*; mika pospolicie ciemnozielonawa przeważa nad kwarcem, ma budowę wydatnie łupkową.

e) *Łupek talkowy*; składa się z bardzo wielu odmian, w których talk albo kwarc przeważają, i od tego zawisła mniejsza albo większa łupkowatość. Talk miewa różne kolory zielone, od ciemnego do jasnego; czasem jest żółtym, a nawet białym; zwyczajnie bywa w płatkach rozrzucony, rzadziej w ziarnach; kwarc biały bywa w kształtach soczewkowatych; niekiedy domieszywa się mika, rzadziej feldspat porfirowato rozsiany (Wielki piec Pohorelli).

b) *Łupek talkowy* zawiera znaczniejsze pokłady skały feldspatowej, składającej się z wielkich kryształów białego i jasnoszarego feldspatu. Do mieszanych minerałów, ani pokładów metalicznych nie ma; prócz białego kwarcu pomieszanego z chlorytem ciemnozielonym, łuszczkowatym.

g) *Marmur drobnoziarnowy ciemnoszary*, czasem czarniawy, dzieli się w łupki. Odmiany białe mają grubsze ziarno, i dzielą w grubsze warstwy.

Góra Czertowa Swadba dzieli pasmo to na dwie części; we wschodniej panują same łupki, w zachodniej plutoniczne skały, jakoto granity i gneizy. Granit tworzy najwyższe szczyty pomiędzy górami Czertową Swadwą a Praszywą; z niego składa się cały bok północny; południowy zaś z gneizu, począwszy od doliny Jara-by aż pod Praszywę. Łupkowa, czyli wschodnia połowa składa się w przeważającej ilości z łupku talkowego, tu i owdzie zmieniającego się na łupek mikowy (Kralowój Holi szczyt), tudzież z gneizu zwyczajnego i amfibolowego. Przy wiosce Pohorella ciągnie się wąska smuga marmuru szarawo białego, zaś przy wielkim piecu Pohorelskim, żółtawatego.

Pasma Szpaněj Doliny. Za oddzielne pasmo uważać trzeba wąską smugę skał metamorficznych, ciągnących się z północnego wschodu, ku południowemu zachodowi hora 9, w którym są owe bogate, starożytnie kopalnie Szpaněj Doliny. Pasma to poczyna się przy górze Praszywa, a kończy się za wioską Harmaniec; około 2 mile długie, a ćwierć szerokie; składa się głównie z konglomeratów metamorficznych, mających czasem budowę krystaliczną, albo mechanicznie zlepionych. Jest to mieszanina ziarn kwarcu ze stwardniałym marglem czerwonym, biorącym niekiedy przewagę i znaczniejsze pokłady tworzącym. Margiel pospolicie zmienia się w talk, i otrzymuje kolor zielony. Ułamki kwarcu i talku składają mieszaninę grubo ziarnistą, tworzą wyraźny konglomerat, czasem dołączają się do niego ziarna białego blaszkowatego feldspatu; jeżeli się ziarna zmniejszają, a talk bierze przewagę, przemienia się nieznacznie w łupek talkowy. Wśród tych naprzemian ułożonych

skał z sobą jak najściślej połączonych, ciągną się liczne pokłady równo odległe metaliczne, albo się przecinają; składają się z węglanu żelaza, albo z białego kwarcu z rozszaniem: siarczkiem miedzi i żelaza i Panabazem; niekiedy dwa te minerały wypełniają pokłady, mające 3 do 4 sążni grubości (Szpana Dolina, Stare Hory). W końcu wschodnim pasma, pokazuje się granit i łupek mikowy.

Pasma Spisko-Gemersko-Zwoleńskie. Jest to najdłuższe, a zarazem najniższe pasmo, przeważają w nim łupki metamorficzne, a wśród nich pokazują się jakby małe punkciki skały plutoniczne, albo jako krótsze pasma. Jest to właściwie zbiór kilku pasm, w rozmaitych czasach wzniesionych, mających rozmaite kierunki. Do budowy jego wchodzące skały dobyły się nie od razu, a pasma krzyżują się pomiędzy sobą. Zewnętrzne zarysy w różnych stronach, nadają mu odmienne skały; tworzą albo proste nieco wyższe grzbiety, albo są lekko pogięte; pierwsze składają skały plutoniczne, drugie metamorficzne; pomiędzy pierwszymi ciągną się obszerniejsze doliny, w drugich są ciasne parowy.

Pasma to ma w ogólności kierunek ze wschodu na zachód; około 15 mil długie; mniej, więcej 3 mile szerokie; rozciąga się pomiędzy górą Branisko, leżącą na granicy Spiża i hrabstwa Szaryskiego, a miasteczkiem Bańska Bystrica w hrabstwie Zwoleńskim. Skały wchodzące do jego budowy są następujące:

A. Skały metamorficzne.

a) *Łupek talkowy* najbardziej rozwinięta skała, ma zarazem największą różnorodność odmian; główna po-

pochodzi od przewagi jednego, albo drugiego minerału składowego; od grubołupekowego, przechodzi w cienkołupekowe odmiany, i często składa się ze samego talku: jeżeli kwarc bierze górę, wtedy zmienia się w konglomerat. Często od najwydatniejszej budowy krystalicznej przechodzi w skałę, na którą siła mechaniczna widocznie wpływała.

b) *Filal iłowy stwardniały*, jest to zwyczajny łupek iłowy twardy, często z mocnym blaskiem jedwabnym, czarnego albo czerwonego koloru; pierwsze odmiany są zupełnie podobne do filadu, drugie do łupków marglowych, tylko się z kwasem nie burzą; czasem na oddziałach pokazuje się mika. Czarne odmiany są cienkołupekowe, czerwone pospolicie grubołupekowe. Obcych domieszanych minerałów nie ma. Dwie te odmiany przechodzą bardzo często w łupek talkowy.

c) *Konglomerat talkowy* składa się z ułamków mniej więcej zaokrąglonych, białego kwarcu, przechodzących od wielkości ziarna grochu do orzecha włoskiego, często bywają jeszcze większe, złączone talkiem zielonym albo żółtym. Dzieli się w grube warstwy.

d) *Konglomerat marglowy* zupełnie podobny do poprzedzającego; talk zastępuje łupek czarny lub czerwony. Dwie te skały łączą się między sobą najściślej; granic pomiędzy niemi prowadzić nie podobna. (Góra Knolla przy Wielkim Hnilcu).

e) *Łupek mikowy* składa się z miki i kwarcu, z tych pierwszy minerał przeważa i miewa różne kolory przechodzące w szary lub żółty, rzadziej bywa czerwonym. Od ilości miki zawisła wydatniejsza

albo uryta łupkowatość. Kryształy czarnego Turmalinu bywają niekiedy domieszane.

f) Marmur biały wyraźnie ziarnisty, podobny do karyjskiego: Jelszawa, Szczytnik.

B. Skały plutoniczne.

g) *Granit* powszechnie gruboziarnisty; feldspat biały, rzadko żółtawy albo czerwony, nagromadza się znacznie aniżeli kwarc i rzadkie blaszki miki. Prawie we wszystkich punktach, gdzie się tylko pokazuje jest odmiennym, i tak pod Aranidką, jest zwyczajna odmiana gruboziarnistego granitu; przy Wielkim Hnilcu i Rewucy ma grube ziarna feldspat, jest bardzo zwietrzały, co sprawia, że cała skała rozpada się w gruz. Przy Smolniku szary talk, zastępujący blaszki miki.

h) *Gneiz zwyczajny* składa się z mieszaniny potrójnej granitu, w której mika przeważa, i stąd pochodzi jego budowa warstwowa, albo łupkowa: powszechnie wydzielają się wielkie kryształy białego, czasem czerwonego feldspatu, które przy znakomitszym nagromadzeniu przemieniają się w gneiz porfirowy; często trudno od granitu odróżnić go; w niego bowiem zwykły przechodzi (Rewuca).

i) *Gneiz amfibolowy*, jest to mieszanina białego feldspatu i ciemno-zielonego amfibolu, dzieli się w grube warstwy. Skała ta będąc zwietrzałą, trudną jest do poznania, części składowe bowiem zupełnie się zmieniają (Murany), nawet kolor mają odmienny.

k) *Gabbro* składa się z kilku odmian; z tych pospolitsze są ziarnista, wpółziarnista i jednostajna. Odmia-

na i mająca wydatną budowę krystaliczną, składa się z ciemnozielonego blaszkowego Dyalazu i białego, niewyraźno-blaszkowego Saussurytu; dzieli się w cienkie łupki; tworzy rozciągłą górę Langenberg przy Dobszynie. Bardziej przeważa odmiana jednostajna, czasem przechodzi w niewyraźnie ziarnistą, a niekiedy włóknistą bywa; kolor ma powszechnie ciemnozielony, często pokazują się różne jaśniejsze: na oddziałach wydziela się miejscami nied. 2 żelaza jednostajny. W niektórych miejscach zamienia się w konglomerat; (Kotterbach, droga z Gelnicy do Jakłowiec) wielkie ułamki 2 do 3 stóp mające w średnicy łupku talkowego, na biało przepalone zlepią gabbro jednostajny. Jestto dowód, że skała ta płynną będąc, dobyteła się na wierzch, i zgruchotane ułamki łupku talkowego zlepiła.

1) *Serpentyn zwyczajny* jednostajny, czasem nieco krystaliczny; ma różne ciemnozielone, prawie czarne kolory, przechodzące w jasnozielone i żółte; czasem bywa czerwonym. Skała ta zawiera liczne domieszczone minerały, a mianowicie: biały Amiant w cienkich żyłkach, Granat, Dialaz. Zwykle nie ma wydatnych oddziałów; czasem dzieli się w cienkie płatki, do łupków podobne; powszechnie jest w masach niemających oddziałów.

Pokłady metaliczne stanowiące dzwignią bogactwa mineralnego Węgier, zawierają skały metamorficzne; one wpłynęły głównie na ich budowę krystaliczną. Gdziekolwiek pokłady metaliczne stykają się z konglomeratami margłowemi albo łupkami czerwonymi lub czarnymi, skały te statecznie zostają wy-

datnie krystalicznemi; filad czerwony albo czarny zmienia kolor w zielony i zostaje talkiem, a cała skała zostaje łupkiem talkowym. Pokłady metaliczne mają za złoże biały kwarc, albo węglan żelaza, który zastępuje Ankeryt, w nióm mniej lub więcej nagromadzone są liczne siarczki, a w mniejszej ilości niedokwasy metaliczne. Pomiedzy siarczkami najpospolitszemi są: siarek podwójny miedzi i żelaza, i Panabas; nierównie rzadszemi: siarek żelaza, antymonu, Cynober, tudzież arseniczki kobaltu i niklu. Mineraty te rozkładając się, dają początek różnym ukwaszonym minerałom, najpospolitszemi z tych są: Malachit i miedz lazurowa, nierównie rzadszemi: Libetenit, Euchroit, arsenian kobaltu, niedokwas żółty antymonu. Pospolicie w towarzystwie węglanu żelaza grubszego albo drobniejszego ziarna, występuje niedokwas 2 żelaza. Żelazo magnetyczne w jedném miejscu tworzy (Roznawa) potężny pokład. Tak węglan, jako i niedokwas żelaza bardzo często zmieniają się w wodan.

Pokłady metaliczne najobficiej nagromadziły się w wschodniej części pasma, przy grzbiecie gabbrowym i również są obfite po obudwóch jej stronach; niektóre żyły w nimi się nawet znajdują przy Dobszynie; odleglejsze punkta od tej plutonicznej skały, nierównie są uboższe w pokłady metaliczne, i mniej obfitemi. Największe bogactwo metaliczne znajduje się przy Igło, Kotterbachu, Słowince na północnej pochyłości; przy Dobszynie, Wielkim Hnilcu, Swedlarze, Gelnicy na południowej pochyłości; dalej na południe mało jest pokładów; z tego czyni wyjątek okolica Roznawy i Smolnika; dalej zaś na zachód bardzo mało jest pokładów metalle zawierających.

Rozkład skał w tém pasmie jest następujący: łupki zupełnie przeważają w części zachodniej, odmienne co do charakteru od wschodnich: w pierwszej części występują łupki talkowe, przemieniające się w mikowy, z wydatną budową krystaliczną; w drugiej zaś przeważają konglomeraty i łupki do marglowych podobne, rzadziej pokazują się łupki talkowe krystaliczne, i te powszechnie bywają w pobliżności pokładów metalicznych. Wśród łupków metamorficznych, jakby ze szczeliny dzwignął się Gabbro i tworzy pas około 3 mile długi, rozciągający się pomiędzy Dobszyną a Jakłowcami; nadto jako pojedyncza wyspa dobył się, w południowej stronie niedaleko Beli, na drodze z Jakłowiec do Koszyc. Na obydwóch końcach dobył się w kilku punktach Serpentyń przy Dobszynie i Jakłowcach. Dwa pasma gneizowe, prawie 2 mile długie, ciągną się z północy na południe; pierwsze leży na samym końcu wschodnim, jestto pasmo Braniska dochodzące do Huty Rolowy; drugie pasmo Kohuta, od doliny Dobszyńskiej ciągnie się aż pod Ochtynę. Granicy pomiędzy łupkami a gneizem trudno jest dostrzedz, jednakże przejść nie można uważać i to dowodzi, że się dobyły w stanie stałym, po wystąpieniu poprzednim na wierzch skał metamorficznych; nie można także granicy dostrzegać pomiędzy Trachitem góry Wepor, wznoszącej się nad Lubietową z pośrodku łupków talkowych. Dalej na południe i zachód odgraniczają wapienie Trachity, zawierające owe bogate kopalnie złota w Kremnicy i Bańskiej Szczawnicy (Schemnitz). Wśród łupków talkowych dobywają małe wyspy granitu, jakoto: pod Aranitką, przy Wielkim Hnilcu i pod Rewucą, gdzie

pokłady granitu trzy razy na przemian układają się z gneizmem. To ściśle połączenie dwóch tych skał dowodzi, że mają jednakowy początek, czyli, że gneiz jest granitem, w którym przeważa mika. Przy Smolniku odmiana granitu takowa pokazuje się.

Pomiędzy wymienionemi podługowatemi, równoodległemi pasmami, dobywają się jeszcze małe wyspy skał plutonicznych. I tak pomiędzy Holami Liptowskiemi a Niznemi Tatrami, w dwóch miejscach wydzwignął się granit zwyczajny; przy Rosenbergu i w dolinie Lubochni, będący najwyższym szczytem Fatrów. Pomiędzy Niznemi Tatrami, a pasmem Spisko-Gemersko-Zwoleńskim przebił się Dyoryt w dwóch miejscach nad Hronem: przy wioskach Prybój, niedaleko Lipczy Sławiańskiej, i w dolinie Hnuśnej; w Lunteroterowej dolinie przy Telgardzie zaś, migdałowiec czerwony z białym Apofilitem i zielonym Steatytem, będący ogniwem czerwonego porfiru.

Pasma porfirowe pomiędzy Małuzyną a Czwartkiem, ciągnie się również ze wschodu na zachód wąskim pasem, zaledwie 2000 stóp szerokim, pomiędzy Właściwemi a Niznemi Tatrami, a dalej na wschód pomiędzy pasmem Spisko-Gemersko-Zwoleńskim. Z czerwonej porfiru masy jednostajnej feldspatowej (czerwonej, rzadko czarnej) wydzielają się kryształy feldspatu; miejscami bardzo obficie nagromadziły się, jako wielkie, białe tabliczki; te odmiany mają właściwą fizjognomią. Czasem przemienia się w migdałowiec; z masy zasadowej jednostajnej zielonej wydzielają się kulki, wielkości grochu białego, węglanu wapna. (Sw. Andrzej na Spizu, Horka). Mineratów domieszanych, a mianowicie kwarcu nie zawiera; oddziały ma niewyra-

żne i nieliczne. Pasma porfirowe poczyna się w środku wysokich hol wapiennych przy Małużynie, ciągnie się na wschód aż do Czwartku; prawie w połowie długości przebija aż do końca piaskowiec krédowy? Na wapieniach nie widać żadnej widocznej zmiany, tylko piaskowce ściślej połączyły z porfirem; mocno są przepalone i stwardniały, a kolor szary w czerwony zmieniły; do tego stopnia są podzielone różnicznymi oddziałaniami w krawędziaste ułamki, że nieco większego ułamku nie można odbić. Skąła niewydatna stojąca w środku pomiędzy zielonym porfirem a dyorytem, wystąpiła wśród wapieni liasowych i czerwonych margli, tworzących w nim podrzędny pokład jako potężna żyła, w dwóch bliskich siebie punktach, na południe od Hranownicy.

W końcu północno-wschodnim Tatrów, po za małą grupą gór, z wapienia amonitowego złożonej, Pieninami nazwanej, przy Szczawnicy i Szlachtowej, położonej w pośrodku piaskowca fukoidowego, tworzy trachit wysoko sterczące góry, przecina go jako grubsze żyły, lub wydobył się w potężnych massach. Jestto odmiana złożona z wyraźnych kryształów brunatno-czarnego amfibolu i szarawego, blaszkowego feldspatu. Kilka mil dalej na południe, przy Wielkim Szaryszu stercząca góra skłąda się także z podobnegoż trachitu; są to bezwątpienia najdalej na północ wysunięte erupcje trachitów, wielkiego pasma z tej skąły złożonego pomiędzy Preszowem a Tokajem rozciągniętego, noszącego w końcu południowym, nazwę Hegyalla.

Budowa warstw skął osadowych. Skąły warstwowych osadzające się z wód, mają poziomo warstwy ułożone. W całych Karpatach utraciły swe pierwsze

położenie i nachylają się pod znacznym kątem, i tym sposobem jak najściślej wyznaczają się granice Karpat. Na północnych pochyłościach tej części Karpat, którą opisujemy, panują same warstwowe skały; na niektórych tylko punktach dobyły się plutoniczne; na południowych zaś nierównie większe zajmują przestrzenie skały plutoniczne i metamorficzne, najściślej z sobą złączone, a ciągnące się w podłużnych pasach, albo występujące jako pojedyncze wyspy. W części zachodniej skały plutoniczne nawet biorą zupełnie przewagę, i dlatego dwóch tych części Karpat zupełnie odmienna fizyognomia. Warstwowe skały z piaskowca karpatowego (fukoidowe i krédowe) złożone, mają długie, lekko pocięte grzbiety; góry składające się z granitów, wysoko nad otaczające skały wzniesione, są poszarpane, albo długie zupełnie proste tworzą grzbiety. Skały metamorficzne mają podłużne grzbiety, często głęboko nacinane, albo się składają ze stykających ostrokągowatych wirchów. (Nowa Wieś.)

Łańcuch Karpat, tak jak Alpów nie został od jednego razu dzwignionym, ale w różnych czasach różne jego części powznosiły się. Jestto zbiór krzyżujących się między sobą pasm.

Ta część Karpat, o której mówimy, składa się z wielu równoodległych grzbietów, ze samego piaskowca fukoidowego złożonych, 10—20 mil szeroki pas tworzących; warstwy onego statecznie pochylają się na południe, wyjątkowo tylko na północ, co pochodzi od zbyt dużego i nagłego wyniesienia, a następnie przełamania się warstw. W stronie południowej ciągnie się w śród niego pokład wapienia ammonitowego, który zastępują margle zawierające fukoidy.

Hole Liptowskie pomiędzy Tatrami a holami Turczańskimi zawarte, mają wprost odmienny kierunek południowo zachodni 9—10; warstwy pochylają się na północ, stykając z poprzednimi tworzą prawie kąt prosty; z nimi równoodległe są grzbiety na północ rozciągnięte; tenże kierunek ma dolina rzeki Orawy, pomiędzy Trzcianą a Zamkiem Orawskim. Małe pasma Szpanej Doliny złożone ze skał metamorficznych, ma tenże sam kierunek pomiędzy wioskami Ballasz a Harmaniec. W holach Liptowskich dzwigiły się już dawniejsze skały od piaskowca fukoidowego, tj: wapień liasowy, dolomit nummulitowy i piaskowiec fukoidowy; w pasmach dalej na północ leżących sam tylko piaskowiec i podrzędne w nim pokłady tworzący wapień ammonitowy; nigdzie tutaj nie widać wznoszących skał, same tylko wzniesione występują; wyjątek z tego czyni pasmo Szpanej Doliny, gdzie konglomerat i łupki metamorficzne dobyły się z pośrodku czerwonych piaskowców i wapieni liasowych; ostatnia skała w pojedynczych płatach jest na nich rozrzuconą. Czyli skały metamorficzne nadały holom Liptowskim kierunek nie można twierdzić. Kierunek tych pasm jest z północnego wschodu ku południowemu zachodowi 9—10 i odpowiada jedynastemu wzniesieniu Elie de Beaumont. Czyli czas jego wzniesienia jest tenże sam w Karpatach, nie ma na to dowodu, albowiem młodszych osadów z poziomymi warstwami brakuje; tylko piaskowce fukoidowe stykające się z podobnymi dawniej wzniesionymi, a ku południowi schylonami natrafiamy. Kierunek tego pasma przeciąga się dalej na wschód do Tatrów, wszystkie bowiem warstwy wapienia liasowego i dolomitu nummulitowego nie pochylają wprost na północ, lecz na pół-

nocny zachód. Pasma mające ten kierunek w ogólności nie są liczne, ani wydatne.

Wzniesienie Tatrów. Pasma mające kierunek ze wschodu na zachód nierównie są wyższe, i bardziej odznaczające się od poprzednich. W pasmach na południe od Tatrów rozpostartych dobyły się skały wznoszące, a na nich leży szereg wzniesionych czyli warstwowych, począwszy od czerwonego piaskowca do fukoidowego: na północ za Tatrami kierunek ten znajdujemy w Bieskidach w niektórych grzbietach, składających się z piaskowców fukoidowych. Na tejże samej linii co Tatry, nieco dalej na zachód wysunione, ciągną się także Hole Turczańskie ze wschodu na zachód; z Tatrami zaś równoodległe są Niżne Tatry, pasmo Spisko-Gemersko-Zwoleńskie i pasmo porfirowe Małużyńsko-Czwartkowe. Wymienione łańcuchy najwyraźniej dowodzą, że pasma złożone ze skał krystalicznych dobyły się ze szczelin równoodległych, i że pokrywające warstwowe skały zostały dźwignione, w czasie osadzenia trzeciorzędowych formacji. We Właściwych i Niżnych Tatrach, tudzież w paśmie Spisko-Gemersko-Zwoleńskim, w trzech od siebie równoodległych łańcuchach, warstwowe skały powtarzają jedno i toż samo następstwo. W ogólnych rysach mamy każdego charakterystykę, a tym sposobem wykażemy główne ich własności. W Tatrach właściwych granity i gneizy i z nimi połączone łupki metamorficzne najwyżej się podniosły, (przeszło 8000 stóp nad poziom morza) ze wszystkich gór w całej opisaniej przestrzeni; na krystalicznych spoczywają z równoodległymi od siebie warstwami, z pochyłem północnym: czerwony piaskowiec, wapień liasowy, do-

lomit nummulitowy i piaskowiec fukoidowy? Ostatnia skała załamana się wzdłuż całego wyniesienia Tatrów, od wioski Zar do Zuberca; z niej składają się wszystkie góry na północ położone, dawniej wzniesione, mające kierunek południowo-zachodni. Wznoszące granity tatrowe nie tylko przełamały warstwy piaskowca, ale nadto wydzwigły szereg pod nim leżących skał osadowych, i tak dzwigły góry piaskowca fukoidowego, zostawiając im ich południowy pochył, pomiędzy stopami Tatrów a równoodległą z nimi doliną Dunajca, rozciągającą się pomiędzy Piekielnikiem a Czorsztynem. Góry w tym paśmie zawarte, spadają jak równia pochyła ku północy, do w mowie będącej doliny.

W samym paśmie Tatrów są fenomena geologiczne, zasługujące jak najmocniej na uwagę, albowiem wykazują niedwójznacznie nowy czas wzniesienia granitu. Prawie w połowie długości łańcucha skał krystalicznych przy górze Swinnica, sterczącej nad Stawami Gąsienicowemi kończą się granity ze wschodu ciągnące; wązki pas wapienia liasowego wraz z czerwonym piaskowcem odcina gneizy, przechodzące miejscami w granit, które tworzą szereg wirchów pomiędzy górami Bieskid Stawów Gąsienicowych, a Kondratową zawarty; wapień odcinający ciągnie się nieprzerwanie w wielkiej podłużnej dolinie tatrowej Wiercicha, aż do połączenia się z wapieniem, leżącym na północnej pochyłości całego pasma przy górze Gewant. Tym sposobem opisany łańcuch gneizowy otaczają ze wszystkich stron wapień, a gneiz i granit leżą na wapieniu i tenże wapień pokrywa go na całej tej przestrzeni, a warstwy jego zapadają pod 45°

na północ. Czyli pas gneizowy dobył się wraz z głównym łańcuchem, trudno oznaczyć; tyle tylko pewnego, że musiał wyjść z równoodległej szczeliny, i przebił wapienie, podobnie jak dwa pojedyncze szczyty: Czerwony Wirch i Małotęczniak; pierwszy gneizowy, drugi granitowy, przebiły wapienną masę gór zwaną Wielki Uplaz.

Pasma główne skał plutonicznych i metamorficznych ciągnie się dalej bez przerwy na zachód aż pod Żuberec.

Budowa hol Turczańskich jest zupełnie do Tatrów podobna; granity dźwigiły też same cztery pokłady osadowych skał na północnej pochyłości, i nadały im pochył północny; na granicy tego wzniesienia załamują się piaskowce fukoidowe, tworząc kąt wskazujący. Granit tego pasma nie tworzy ciągłego grzbieca, w środku jest przerwa pomiędzy dwiema jego masami, zastępują go liasowe wapienie i czerwony piaskowiec. Dobył się na wierzch i tutaj granit, lecz widać go tylko pod wapieniem w głębokich rozpadlinach, przy samym grzbiecie, ciągnącym się naprzeciw doliny Wratnej, przy wiosce Terhowej. Pokład dolomitu nummulitowego bardzo trudno w tym pasmie poznać, albowiem bardzo rzadko gdzie rozsiane są w nim Nummality. Dolomit zastępuje konglomerat biały z zaokrąglonych ułamków drobnoziarnowego wapienia. W tym pasmie spostrzegamy podwójne wzniesienie; nie dobyły się tutaj po dwakroć skały wznoszące, tylko powtarza się wzniesienie skał warstwowych. W pierwszym wzniesieniu pomiędzy Terhową a otworem wąskiej doliny Wratnej, leżą na sobie piaskowiec fukoidowy, dolomit nummulitowy i wapień li-

sowy; za niemi toż samo następstwo ma miejsce; nadto pokazuje się jeszcze spodni piaskowiec, dolomitu zaś nummulitowego brakuje, i dwie ostatnie skały tworzą grzbiet pasma i pokrywają granit, który się nie dożył na wierzch.

Niżne Tatry. I tego pasma budowa bardzo jest prostą; taż sama co Właściwych Tatrów. Na całej rozciągłości, szereg skał warstwowych, począwszy od piaskowca fukoidowego aż do czerwonego rozciągają się od końca wschodniego do zachodniego, z północnym pochyłem. W wschodniej części stykają się ich piaskowce fukoidowe z granitami i gneizami Tatrów, w zachodniej z wapieniami liasowymi hol Lip-towskich. W końcu zachodnim przy Magórcze kopalni złota, wśród granitu są kliny czerwonego piaskowca, które przy wzniesieniu przez tę skałę kry-staliczną, przywalone zostały.

Pasma Spisko-Gemersko-Zwoleńskie najdłuższe, ma najwięcej różnaitości w swęj budowie. W końcu wschodnim gneizy góry Braniska pokrywają czerwony piaskowiec i wapień liasowy na północ pochy-lone, stykają się z piaskowcami krédowemi, mają-cemi prawie poziome warstwy; w okolicach Włacho-wa konglomeraty metamorficzne będące przedłuże-niami pasma granitowego stykają się z tymże pia-skowcem na krótkiej przestrzeni; nieco dalej na wschód przedziela go wapień liasowy z warstwami na północ pochyłonemi, leżący na konglomeratach czer-wonych, łupkach talkowych aż do granicy hrabstwa Gemerskiego, przy wiosce Zawadka w dolinie Hronu, gdzie go oddziela język gneizu, wysuwający się z Niżnych Tatrów i łączący się łupkami metamorficzne-

mi; szerokość jego prawie dwie mile wynosi. Przy Breznie aż do Bańskiej Bystrycy na łupkach i konglomeratach talkowych, leży prawie zupełny szereg skał warstwowych tatrowych, tj: czerwony piaskowiec, wapień liasowy, a przy Sławiańskiej Lipczy dolomit nummulitowy; piaskowca fukoidowego już tutaj nie masz, jako i dalej na południe ku wielkiej równinie węgierskiej. Wymienione skały wchodzące do budowy tej części pasma, pochylają się na północ z warstwami równoodległymi i stykają w końcu zachodnim z metamorficznymi konglomeratami pasma Szpanej Doliny, a dalej z gneizami Niżnych Tatrów aż do połączenia się ich wapieni przy górze Kralowa Hola z podobnemiż wapieniami na północnej pochyłości onych leżąciami. Wyjątek z tego czyni okolica przy wymienionej wiosce Zawadka, gdzie na wapieniu liasowym leżą ility i piaskowce, zawierające skamieniałości średnich ogniwoformacji trzeciorzędowej, mające warstwy na północ pochylone; i równoodległe z wapieniami liasowymi pod nimi leżąciami; tożsamo powtarza się przy Hrabusicach, gdzie warstwy konglomeratów, bardzo młodego wieku, leżą na wapieniu mającym warstwy z niemi równoodległe, na północ schylone pod znaczniejszym kątem.

Z tego wynika, że te trzy równoodległe pasma, mające jednakowy kierunek i też same warstwowe skały, wzniosły się po osadzeniu młodszych osadów trzeciorzędowych; a że kierunek ze wschodu na zachód, odpowiada dwónastemu systematowi wzniesienia El. Beadumont, wszelkie jest prawdopodobieństwo, że te najwyższe pasma karpackie odpowiadają gło-

wnemu pasmu alpejskiemu, a mianowicie pasmu Mont-blanc. W Bieskidach są grzbiety mające tenże kierunek, co Tatry; a w ich pobliżności znajdujące się pokłady soli, przywalały piaskowce fukoidowe. Grzbiet podłużny po nad Wieliczką rozciągający się, na którym wioski Biskupice, Siercza, Babiny leżą, składa się z warstw piaskowca fukoidowego z warstwami na południe schylonemi, przywala warstwy pokładu soli wielickiego, także na południe schyłone. Tak piaskowce fukoidowe, jako i pokłady soli pokrywa pokład gliny (Loess). Liczne nadto w środku Bieskidów, po za wysokimi grzbietami dobywające się źródła słone, a mianowicie przy Babięj górze, Luboniu, należą według wszelkiego prawdopodobieństwa do osadów trzeciorzędowych. Dowodzi to, że morze osadzające te młode osady, zapuszczało swe odnogi w środek Bieskidów, i że po ich osadzeniu dopiero te góry terazniejszy kształt nabrały. Że w Bieskidach są bardzo nowe wzniesienia, potwierdza ta okoliczność, że liczne grzbiety pokrywa równocześnie wzniesiona glina (Loess), zawierająca kości wielkich zwierząt czworonożnych i ślimaków lądowych; z czego wynika, że to wzniesienie należy do najpóźniejszych. Również bardzo nowym jest nizkie, a długie pasmo porfirowe, pomiędzy Małuzyną a Czwartkiem rozciągające się ze wschodu na zachód, odpowiadające wzniesieniom tatrowym; w części zachodniej dobyło się z pośrodku wapienia liasowego, w części wschodniej przebija piaskowiec krédowej formacji?

Pasma gabbrowe przebijające część łupkowego pasma Spisko-Gemersko-Zwoleńskiego pomiędzy Dobszyną a Gelnicą, również ciągnie się ze wscho-

du na zachód. Wnosząc z kierunku wypada obydwu zaliczyć do wzniesień Tatrowych, aczkolwiek na to nie masz bliższych dowodów. Inaczej byłyby podwójne wzniesienia z kierunkiem ze wschodu na zachód.

Czwarta linia wzniesień przecina poprzednią pod kątem prostym, rozciąga się z północy na południe. Ten kierunek mają Fatry w dolinie Lubochni, stanowiące zachodnią granicę Liptowa, granit dzwiga w nich czerwony piaskowiec i wapień liasowy. Tenże kierunek mają gneizowe hole Branisko i Kohut, leżące w pasmie Spisko-Gemersko-Zwoleńskim. Pasma Braniska odgranicza główne pasmo i styka się z piaskowcami kredowymi na wschodniej i północnej stronie, w zachodniej z konglomeratami metamorficznymi; jest około 2 mil długie, a pół szerokie. Hole Kohuta ciągną się długim grzbietem wśród łupków metamorficznych, pomiędzy Szczytnikiem a doliną Dobrzyńską. Tenże kierunek ma pasmo trachitowe Wepor nad Lubietową, gdzie trachit wydobył się z poródka łupków metamorficznych.

Czasu wzniesienia pasm mających kierunek z północy na południe niemożna w Karpatach oznaczyć, ponieważ w ich pobliżności nie masz innych skał młodszych od wapienia liasowego. Co do kierunku odpowiada 10. Elie de Beaumont, czyli korsykańskiemu i sardyńskiemu.

D O D A T E K.

W konglomeracie stanowiącym ogniwo piaskowca fukoidowego w górze Garbatki przy Kossicach i Ba-

binach, odkryłem nieznanę dotąd gatunki. Wraz z najpospolitszym *Belemnites bipartitus*, znajdują się nierównie rzadsze *B. pistilliformis*, Blainville; *B. dilatatus*, Bl; *B. Orbignianus*, Duval; *Eugeniocrinites caryophyllatus*, *Terebratula concinna*. W Libertowie zaś w podobnymże konglomeracie *T. concinna*, *T. substriata*. Schloth; *Pentacrinites basaltiformis*, Goldf., Są to kształty z pokładu zwanego *Neocomien* przez francuzkich Geologów i jurassowe; a zatem powtarza się tożsamo, cośmy poznali w wapieniu ammonitowym przy Szaflarach i Rogoźniku.

Redakcja Dz. Lit. ukończywszy druk powyższego artykułu, za miłą poczytuje obowiązek złożyć najszczerze czcigodnemu autorowi podziękowanie, że tą nader znakomitą pracą Swoją pismo nasze ozdobił.



jęta dążność, jakieś nie opisane pragnienie, jakaś tęsknota za czemś, czego mu bardziej niż pokarmu, bardziej niż powietrza potrzeba. Patrzy, słucha w około siebie, i oto spostrzega, słyszy, jak cały świat bieży mimo niego i woła: «szczęścia! szczęścia!» Ha otóż mam cię, czarodziejskie słowo. Tak, wiem, wiem teraz czego mi potrzeba. Sokolim wzrokiem, orlą myślą sięgam w około siebie, a i oko i myśl gubią się w przestrzeni, bo w około świat rozległy, piękny, i bracia moi *znajdują w nim szczęście*... Tak, szczęście!... O! jakże wielkiem stworzeniem jest człowiek... on tylko może pojmovać szczęście, on tylko może być szczęśliwym... I ja nim być chcę, muszę, będę!... A więc dalej!... Ale gdzież?... Tłum pędzi, ale we wszystkie strony. On pyta—, lecz każdy mija go, niezatrzymując się wcale. Rzadko kto wskaże przed siebie ręką, lub rzuci mu w przelocie «tędy», i biegnie dalej. Inni nie chcą go nawet słyszyć i oglądają się z obawą, aby ich drogą nie poszedł. Ten chce być, ten mieć, ów słyszyć, tamten być słyszany. Ten pędzi na wzgórze, z którego wielu go będzie widzieć. Jeszcze dwa susy, a będzie szczęśliwym. Oh! biada,— potknął się na czyjś nodze, upadł i nadwreżył karku. Tam szerokimi kroki dąży ktoś ze zwojem papieru,—jeszcze krok, a stanie u księgarza, który go nieśmiertelnym uczyni. Niestety! księgarz nie chce drukować wielkiego dzieła; nieśmiertelność uwiędła jeszcze przed narodzeniem. Owdzie zlekka posuwa się młodzieniec, poprawia chustkę, tai uśmiech znaczący. Ale otóż zgubił rękawiczkę. Biedny! o pół godziny spóźnił szczęście... A pierwszy walc! ach! stracony!—Jednakże są i tacy, którzy dobiegli mety jaką sobie założyli.

Ale cóż to?, niektórzy z nich oglądają się po za siebie i zdają się żałować drogi, którą przebyli, a największa część tak niemiłosiernie poziewa, że aż oczy bolą patrzeć. Lecz ci wszyscy nikną z oczu, bo nowy tłum naciska. Prędkiej! prędkiej!— Niewiesz jaką obrać drogę? O wierz mi, biegnij pierwszą lepszą; to wszystko jedno. Biegnij a rażno, nie bój się zmęczenia. Droga do szczęścia posiada tę wielką zaletę, że ochładza. Znałem takich, co po zbyt chyżym biegu, złodowacieli zupełnie.

O gdyby raz przecie, (bo ani wątpić, że do tego przyjdzie), Francuz jaki wynalazł rodzaj dagierotypu czy Kamery obskury, za pomocą której możnaby myśli ludzkie w chwili, kiedy się właśnie rodzą, kiedy się jeszcze nie przemieniają w ustach, schwycić, przytwierdzić do papieru! Ileż to pięknych obrazków zebrałbym sobie, stanąwszy na tej drodze, po której ludzie do szczęścia spieszą. Z tych obrazków możnaby skreślić śliczny parawan, a u spodu, po prawej ręce dodać: = O.—O cóżbym dał za taki parwan!

Pamiętam, że będąc dzieckiem, posłyszawszy o szczęściu, wyobrażałem sobie, że ono musi jeździć na drewnianym koniku. Ale nie. — Nieco później, widziałem prawie wyraźnie, że grało w piłkę. Nie.—Później... później już nie wiem w ilu mi się objawiało postaciach. Wiem tylko, że chodząc do szkół, czytywałem pod ławką romanse, a litując się nad prozą ćwiczeń łacińskich, lub krzywiąc się z niesmaku jaki we mnie obudzała geometryja, znalazłem na dnie paret romanów,—nie to wprawdzie czegom szukał, ale przynajmniej wiadomość o tem. Powziąłem nieomylnie przekonanie, że szczęście mogło tylko istnieć przed

wieki, teraz zaś, chyba tylko,—ale i to bardzo rzadko,—w wielkich lasach, górach, ot tak naprzykład we Włoszech jeszcze, albo może gdzie na jakiej dzi-kiiej wyspie, na pustyni. Tak, na wyspie, na pustyni!—O, bo trzeba wiedzieć, że Paweł i Wirginja, Atala i t. p., nie padły także na suchą rolę. Jednakże, Bóg wie jakim przypadkiem, uwiędły wkrótce po wzejściu, a wprzód jeszcze zapadły się poczernione zamki, i tłumy walczące na turniejach, i smętne dziewice w bieli, przychylnie powiewające chustką z wieży ku proszącym u bramy o wejście kochankom, których mimo plastrów na oku i stroju barda, jako wybawicieli swoich od razu poznały. (*)—Potem..... i jeszcze potem... Ale nie,—tego wam nie powiem. Raczej pójdź zemną kochany czytelniku na stronę, i pogadajmy—jeśli się godzi—nieco rozsądniej. Powiedz mi, choćby do ucha, czy też znasz niedorzeczniejszą abstrakcją nad «szczęście?» Tylko bądź szczery, proszę. Przyznasz to sam, — ale mówmy ciszej... — przyznasz to sam, że niewłaściwie wcale szanownym dzieciom Ewy, nie można im jednakże odmówić porządnej dozy owczej natury. Wiesz przecie, że kiedy jedno z tych naiw-

(*) Daruj mój czytelniku, ale rozgadawszy się nie mogę przemilczeć okoliczności, która maie nasamprzód z moich romantycznych snów trzeźwić zaczęła, sprawiwszy na mnie podobne wrażenie, jak kiedy komu osa na nosie usiądzie. Wyczytałem raz przypadkiem w jakiejś wcale nie romantycznej książce, że rycerze średnich wieków, podobno dla niewstrzeżliwego życia, wydawali woń rażąco nieprzyjemną, której najwyszukańsze nawet pachnidła zagłuszyć nie były w stanie. Do jakiego stopnia to jest prawdą, nie mogę rozstrzygać. Jakim zaś sposobem wiadomość ta mogła tak źle wpływając na moje ówczesne uposobienie, trzeba chyba psychologom do rozwiązania zostawić. Być może, że w tym sensu nie było; ale cóż robić, mimowolnie się stało.

nych zwierzątek stanie i tupnie nogą, całe stado staje i tupie podobnie. Kiedy jedno z nich, rozgrzane zapałem, skoczy, choćby w ogień lub wodę, inne skaczą także, nie pytając gdzie i na co. Otóż mój czytelniku i my... tylko się nie marszcz... my mamy rozum powiadasz, — to prawda, tém gorzej dla nas; gdyż pomimo tego i my, robimy tak samo. Każde rozumne pojęcie, — wszakże znasz logikę? — musi się składać z pewnych cech, mających w ostatniej instancji, jakąś rzeczywistość, stałą wartość; a jeśli pojęcie to, ma znaleźć w życiu moralném jakiegokolwiek znaczenie, jeśli co większa, chcemy je nawet za cel życia naszego postawić, powinnyby też przecie, mieć jakąś rozumową zasadę. Powiedz mi teraz, gdzie jest taka cecha, gdzie taka zasada w pojęciu «szczęście?» — Ah! mój miły czytelniku, daruj, że nadużywam twój cierpliwości, ale uważ tylko sam. Jeśli już gwałtem chcesz w niczém coś wynaleść, okaże się, że mówiąc o szczęściu, rozumiemy pod tém coś, z czémby nam dobrze było, coby nam sprawiało przyjemność, radość, rozkosz, i t. d. — Zgoda, to masz niby ową cechę, o którą chodziło. Zapytajże teraz ludzi, którzy chcą szczęścia, z czémby im dobrze było, coby im sprawiało przyjemność, radość, i t. d. Przynajmniej 99 na stu odpowie (albo i nie odpowie, ale pomyśli), że — spoczynek, używanie długie, trwałe. Ale mówiłeś sam, że mamy rozum. Otóż ten rozum powiada, że kiedy obdarzeni jesteśmy życiem, toć (nie wdając się w dalsze wywody jego celu) nasamprzód zapewne na to, abyśmy właśnie żyli. A czy widziałeś kiedy życie w spoczynku? Każdy ruch jest życiem, każde życie ruchem.

W spoczynku nie ma ruchu, nie ma więc i życia. A ty mówiłeś, że mamy rozum! Prawdziwie, gdyby to nie stało nawet w gramatykach i kalendarzach, może by mnie wzięta kiedy ochota powątpiewać o tém. — A co do owej trwałości, pomyśl tylko mój czytelniku, aby ją osiągnąć, musielibyśmy naprzód zatrzymać w biegu na zawsze koła naszego umysłu, naszych chęci, naszych uczuć. I cóż, jak sądzisz, wynikłoby z tej krystalizacji ducha? — A gdyby kto nawet, pozwalam, przyszedł do tej doskonałości, — musiałby znowu zatrzymać świat, czas i tok rzeczy, na jednym miejscu, albo przynajmniej nadać wszystkiemu w około siebie ruch jednostajny, jednostronny. Pozwalam, że i to leży w jego możliwości. Ale gdyby jemu służyło to prawo, musiałoby służyć i innym. A wszakże nie się tak często nieprzytrafia jak to, że ludzie szukają szczęścia w kierunkach zupełnie przeciwnych. Pomyśl sam co by też z tego wypadło? A ty mówiłeś że mamy rozum?

Jabym radził mój czytelniku, — ale nie sądzę proszę, abym chciał prawić morały, broń Boże! a jakże jabym mógł wpaść na ten pomysł; ja sobie to tylko mówię tak nawiasem, bo przecież pewny jestem, że mnie nikt nie usłucha, — jabym radził, wyrzucić z mowy naszej wyraz «szczęście» jako nie tylko nieużyteczny, ale nawet arcy szkodliwy, bo jak błędny ogień prowadzi nas tylko na bagno, z którego rzadko komu i to tylko z nadwreżonemi członkami wydobyć się uda. Radziłbym dalej, zamiast «chcę być szczęśliwym» — mówić: «ja chcę żyć.» Zdaje mi się, że tym sposobem łatwiej zaspokoilibyśmy ową tęsknotę, niepojęte dążenie, które się w nas budzi, a względem którego mylimy się sądząc, że ma za cel stereotypowe owo pojęcie szczę-

ścia. Patrz tylko sam, ilebyśmy na tém zyskali. Mnóż jak chcesz abstrakcje, a zawsze ci wypadnie, że istotą a zarazem i celem życia, jest jak największa ilość uczuć i działań. O różnicy *przyjemnego* a *nieprzyjemnego*, nie ma tu wcale mowy. Jedno i drugie, byle tylko wielkie, pomnaża zarówno nasze życie.

Na pierwsze zgodzisz się łatwo, bo wszakże i bez tego każdy wzdycha tylko za tém, co jest «przyjemne.» Ale pójdźmy dalej. Ból nie jest przyjemnym, nieprawdaż? A jednak zastanów się nieco, a przekonasz się, że najmocniejsze, najroskoszniejsze, najbardziej żywotne uczucia, czy to umysłowe czy zmysłowe, środkują między bólem a wrażeniem «przyjemnego.» A ja ci mówię jeszcze, że i cierpienie samo, ma swoją pociągającą stronę... Czogoż tak trzęsiesz głową?... Tak, i cierpienie nawet, tylko musi być wtedy wielkiem, albo przynajmniej nie zbyt małym. Widziałeś kiedy człowieka, który wiele cierpiał? Powiedz, czy nie postrzegłeś w jego oku, na jego czole, nic takiego, czego byś mu mimowoli niepozazdrościł? Czy nie miałeś sam w życiu ani jednego nieprzyjemnego wrażenia, któreby na imię cierpienia zasługiwało? A jeśli tak, powiedz mi jeszcze, jeśliś mu tylko nie uległ, czy nie uczyniło cię większym, godniejszym samego siebie, we własnych oczach? Powiedz więc, czy należy obawiać się życia, dla tego, że na jego drodze napotkać przyjdzie wiele cierpień? A iluż to ludzi, dążąc cały swój wiek do szczęścia, niemogą w końcu powiedzieć — że żyli? Właśnie dla tego, że im niedorzeczne pojęcie szczęścia przewróciło głowę i obawiali się cierpieć. — O wierzaj mi, tylko małe nieprzyjemności mogą się

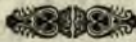
prawdziwie dać we znaki i nie pozostawić po sobie nic, co by nas zadowalało, nic, co by choć we wspomnieniu miało jakąś wartość dla życia. Ale prawdziwe cierpienia przeciwnie. Co do mnie, gdybym się przypadkiem dostał do piekła, jestem pewny żehy mnie nie dręczono ogniem bez końca. Ale za to wiem, że codziennie musiałbym się budzić na szmer rozmowy kilku moich wierzycieli. Choćemu oddać wizytę, (jeśli, o czem nie wątpię, w piekle oddają się wizyty), pękłyby się rękawiczki, lub plamił kapelusz. Choćemu pić kawę, co raz wpadałyby w nią np. muchy, i t. d. Czy uwierzysz, że niedługo zdołałbym wytrzymać w takim piekle.—Ale wróćmy się do przedmiotu... Poczekaj, zaraz skończę. Wystaw sobie mój czytelniku, że ktoś usłuchał mojej rady... powiadam, wystaw sobie tylko... Otóż, ktoś usłuchał mojej rady, i porzucił «szczęście» dla życia. Czy sądzisz, że straciłby na tém? Bynajmniej. Nie szukając umyślnie cierpień, nie obawiałyby się ich bynajmniej jak szatan święconej wody, i nie tamowałyby sobie przez to życia. A co by w niem bezwarunkowo rokosznego napotkał, nie zmieniłoby się przecież dla tego. Mówię: jeśliby spotkał w życiu coś bozwarunkowo rokosznego, — bo jestem tego przekonania, że w istocie tak być może. Nie wierz bynajmniej, co tam Göthe prawi, że niema chwili w rzeczywistém życiu, do którejby się chciało powiedzieć: *«Verweile doch! du bist so schön!»* (*)

Może ich być, wierzaj mi, dość wiele nawet. Ale tylko strzeż się powiedzieć do nich: «zostań» — bo to

1) Zatrzymaj się, jesteś tak piękna!

napróżno, i właśnie dla tego ludzie szukający szczęścia, nie są szczęśliwi, że jeśli dożyją takiej chwili, zaślepieni wołają: «*Verweile! du bist so schön!*» i psują samochcąc, niewczesnym żądaniem trwałości, to, do czego jedynie dążą. A wszakże łatwiej byłoby uniknąć tego, gdybyśmy jak powiedziałem, chcieli «żyć» a zapomnieli o wyrazie «szczęście». A gdyby dzieci nasze, napadłszy na ten wyraz, w jakiej starej książce, zapytały nas się o niego, powiedzielibyśmy im, że pochodzi z Chińskiego, i znaczy — *głupstwo*.

Chciałbym ci jeszcze mój czytelniku co powiedzieć, ale spojrziałem w koło siebie, i widzę... zgadnij co? Oto wszystko, co mnie otacza, zaczęło straszliwie ziewać. Moje książki, mój stolik, moje krzesło nawet ziewa, a co najprzykreszejsza, i ten niecnota kałamarz. A pióro, spostrzegłszy to, uśmiecha się ze znaczeniem do piaseczniczki. Czas więc podobno, bym skończył.



a cześć panteizmu tego stanowiłi cześć ziemskich
 i ubóstwienie rozłożenia ich do bogactwa
 tego nieba. Bóstwa, które według mniemania owe-
 go, wcieliło się w przyrodzenie, czyli które świat
 cały duchem swym ożywiło, było do bogactwa
 czyli samo jedno w sobie, rozchodziło się nieza-
 wem w licznym potamstwie, i za pośrednictwem to-
 go swego, czyli przez niższych od siebie bogów i
 duchów, rozchodziło światem. Nader rozmaite były
 cześć bogu owego i bogów, co pochodziło z tego, że
 różnie spótkując ze Słowianami i Litwinami narody,
 wzajemnie wpływały na ich o cześć bogów pojęcia,
 i znawu obywateli mniemali ich wpływowi. Ten ten,

O MITOLOGJI POLAKÓW I LITWINÓW.

i wzamian za udzielone oddałi szczególne inaxe.
 Z tego owe rozmaitość w techniczności bogactwa
 Słowiańskiego i Litewskiego; z tego wielka gmatwa-
 nina w nich, którą teraz nader trudno rozgmatwać.
 W słowiańsko-pogańskiej mitologii w ogóle, a w pol-
 sko-pogańskiej w szczególności, są cząstki celtyckie,

Wszystkich narodów pogańskich pojęcia religijne
 przez stopnie przechodziły, w jednym kole obracały
 się, lecz koło to coraz rozciąglejszy, coraz kształ-
 tniejszy, coraz sztuczniejszy, miało zakres, i nako-
 niec stanęło na najwyższym szczycie, potoczywszy
 się do czci przyrodzenia z grubizmu oczyszczonego.
 Naprzód ubóstwiano ziemskie twory, następnie czczo-
 no ciała niebieskie, a czczono je nie jako ciała,
 lecz jako bóstwa, postać ludzką mające, czyli isto-
 ty wcielone w przedmioty przyrodzenia, po ziemi
 i niebie rozłożone. Wynikiem więc religii owej był
 panteizm natury, w której przemieszkiwało bóstwo,

a cechę panteizmu tego stanowiła cześć ziemskich płodów, i ubóstwienie rozplenieniu ich dopomagającego nieba. Bóstwo, które według mniemania owego, wcieliło się w przyrodzenie, czyli które świat cały duchem swym ożywiło, będąc naprzód jedyne, czyli samo jedno w sobie, rozrodziło się niezabawem w licznem potomstwie, i za pośrednictwem rodu swego, czyli przez niższych od siebie bogów i duchów, rządziło światem. Nader rozmaitą była cześć boga owego i bogów, co pochodziło ztąd, że różne spółkując ze Słowianami i Litwinami narody, wzajemnie wpływały na ich o czci bogów pojęcia, i znowu ulegały mniemań ich wpływowi. Ten temu, a ten temu udzielał szczegółów o czci religijnej, i wzamian za udzielone odbierał szczegóły insze. Ztąd owa rozmaitość w techniczności bogosłowania Słowiańskiego i Litewskiego; ztąd wielka gmatwanina w niem, którą teraz nader trudno rozgmatwać. W słowiańsko-pogańskiej mitologii w ogóle, a w polsko-pogańskiej w szczególe, są cząstki celtyckiego, litewskiego, niemieckiego bogosłowania: nawzajem w litewskim i niemieckim jest słowiańskiego nie mało, a w celtyckim nieco. Wykażemy to, lecz wprzód należy wziąć na uwagę koleje, przez które polsko i litewsko-pogańskie wyobrażenia przechodziły.

Człowiek żyjąc w towarzystwie pierwotnej, lepszą oświatą nie wykształcony, czeił za bóstwa otaczające go twory, hołd im oddając, już dla tego, że krasą swą i wdziękiem nęciły go ku sobie i uszanowanie nakazywały, już dla tego, że jako lekarstwa niosły mu wewnętrzną swą mocą, ulgę w cier-

pieniach, już nakoniec dla tego, że jako szkodliwe i straszne wzbudzały w nim bojaźń. Cześć ta oddawana przyrodzeniu, jest pierwszym pomysłem religijnych wyobrażeń u każdego ludu, na stopniu oświaty najniższym stojącego. Wszedł czasem z ciasnego kręgu tych wyobrażeń człowiek, od ziemi sięgnął ku niebu, i znowu spuścił się na ziemię. Czciąc zaczął żywioły, rozszerzywszy przezto zakres swych mniemań religijnych. W pieśniach i klechdach ludu Polskiego mamy wiele wspomnień o czci twórców przyrodzenia, lecz ztąd możemy pośredni tylko wziąć dowód na to, że przyrodę ubóstwiano w czasach odległej starożytności. U Długosza także są czci tej wzmianki, lecz i to świadectwo można uważać za nie bardzo dawne. W źródłach giermańskich, pierwotne dzieje nadłabańskich Słowian i Litwinów wyświecających, jest nie mało dowodów na to, że oni przedmioty przyrodzenia ubóstwiali. Zkąd nieochybny już wypada wniosek, że przodkowie Polaków i Litwinów byli czcicielami przyrody. Dowody te polegają częścią na kronikach i inszych pomnikach, częścią na nazwiskach miejsc i rozlicznych przedmiotów. Jeżeli w pieśniach, klechdach, zabobonie ludu, wyczytujemy o cenieniu wyżej nad inne tej lub owej rośliny, tego lub owego zwierzęcia, wnosimy, że tę rzecz ubóstwiał on niegdyś: w miarę zaś jak przedmiot ten lub ów, w pomniku tym lub owym często wspominany jest, odnosimy byt jego do tego lub owego czasu.

Czczono za bóstwa lasy i pojedyncze drzewa, mianowicie zielone i owocowe, krzewy, zioła it. p. Dowód na to stawia ów święty bór wycięty przez Niemców, bia-

ły bór, i rozliczne miejsca lasami zwane. Dowodem téj czci jest ów dąb poświęcony najwyższemu z bogów, z którego drzewa robiono wyobrażenia bóstw, jak to o posągu Wita na Rugii wyspie, Sakso opowiada. Dowodem nakoniec jest ów orzech czczony na Pomorzu, wierzba, jesion, lipa, głóg, ziele, dzięgiel, émiel. Czczono ptastwo, a mianowicie sowę, wrone. (*) Czczono zwierzęta czworonożne, jakoto: jelenia, lisa, konia, wilka, tura, czyli byka, to jest wołu. O czci gadów nie masz żadnego śladu; chociaż nazwisko węża, mają najstarsze pomniki języka. Cześć przyrodzenia potwierdzają zmianki o przebywaniu, modleniu się i grzebaniu zmarłych po lasach, wspomnienia ofiar czynionych z bydła, ptastwa, ziemiopłodów, nakoniec wyobrażenia zwierząt czworonożnych i ptaków, umieszczane na świątyniach.

Przedmioty te przyrodzenia czcili nie tylko Słowianie i Litwini, ale i Niemcy ci, którzy w bliskiej niegdyś ze Słowianami i Litwinami zostawali styczności, a mianowicie Gotowie i Anglosaksonowie. U Litwinów dzik cześć odbierał głównie. Powiada Tacyt, że Estyfowie mieli wyobrażenie dzika za święte, a Dytmar zapewnia, że u Lutyków pokazywał się często wyskakujący z morza dzik z białym kłem, co było przepowiednią bliskiej wojny.

Licniejszy szereg dowodów mamy na cześć ciał niebieskich, tudzież żywiołów. Podług mniemania nadłabańskich Słowian większa była moc światła księżycowego niż słonecznego, bo nie tylko przyrodzenie, lecz nawet charakter ludzi zmieniało. — Zkąd

(*) I dzisiaj jeszcze są wrony i różne zwierzęta cześć odbierające.

(Przyp. red. Au. Wi.)

wypada ten wniosek, że ci Słowianie większe mieli dla księżycy niż słońca uszanowanie. Ja atoli sędzę, że mniemanie to kronikarza albo jest mylne, albo wykazuje, że wielka zaszła z czasem zmiana w wyobrażeniach nadłabańskich Słowian, o czci ciał niebieskich. Bo nie ulega wątpliwości, że oni swiet czyli światło, to jest światłość dzienną czyli słońce, głównie czcili, i że pierwotnym, a wszystkim ludom wspólnym obyczajem, za najwyższego boga je uważali. Ztąd też wysoce rozwinięta cześć Świetowida u nadłabańskich Słowian miejsce miała, która przez Litwinów szczególnie utrzymywała się długo, aż wreszcie przeszła w cześć Peruna. Na innem miejscu pisząc krytykę na dzieło p. Narbuta, obszernie się nad tem zastanowimy.

Z żywiołów cześć boską odbierających, zasługuje naprzód na uwagę ziemia. Czcili ją Szlązacy za bóstwo w IX wieku. Sterczące na niej góry, rozlegające się pola, a nawet wyspy, również cześć odbierały: czytamy więc o świętych górach, ostrowach, polach i t. p.

Drugim żywiołem woda była, bieżąca czyli rzeki, i stojąca czyli jeziora i stawy. Była rzeka święta, płynęła w kraju Sasów rzeka Milda, która swem nazwiskiem Milidę czyli Wenus litewską przypomina; było jezioro u nadłabańskich Słowian przyszłość przewidujące. Trzy rzeki nazwane od Boga, płynęły i płyną w dawniej i terażniejszej Polsce: Boh w dawnym województwie brackławskim, Bożek na Podolu wyższem, Bóg odgraniczający dziś królestwo Polskie od Wołynia. O czci trzeciego żywiołu czyli powietrza mówią, Długosz, Kromer, i Błazowski, a lubo są to

XV i XVI wieku pisarze, nie można jednakże wątpić o tém, ażeby żywiołowi temu nie miano u nas cześć wyrządzać w czasach najdawniejszych. Czwarty nakoniec żywioł, czyli ogień, odbierał cześć bardzo dawno. Mówi o nim pomnik giermańskich dziejów z VIII wieku, który i mitologiją ludów Słowiańskich nie w jednym objaśnia względzie.

Z grubych i ciemnych, do kształtnych i jasnych postępując wyobrażeń, skupiło się nakoniec słowiańskie pogaństwo w wyższych umysłowych pojęciach. Któż oznaczy czas, kiedy ta zmiana w wyobrażeniu ludzi nastąpiła? Daremne usiłowania. To wszakże pewno, że już w VI wieku po Chrystusie, jak z Prokopiusza widać, mieli Słowianie zakarpaccy znajomość jedynego Boga, którego czcząc ubóstwiali także niższego rzędu boskie istoty. Dorozumiewać się godzi, że toż samo było przed Karpatami, i że Polanie w jednym - że czasie oddawali cześć przyrodzeniu i jednemu Bogu. Od ziemi bowiem w górę spojrzawszy, dostrzegli, że w nadpowietrznym przestworze jest coś błogiego, co przyrodzenie oświeca, kieruje niem i rządzi. Istność tę nazwali Bogiem, bo była błogą czyli sprawiała szczęśliwość ziemskim tworom: nazywali ją też światem czyli światłem, to jest istotą przyrodzeniu i ludziom przyświecającą. Obadwa wyrazy są starodawne, w zabytkach i bowiem mowy najdawniejszych, i w pierwszych pomnikach historycznych znajdują się: są też obadwa u Helmolda, lecz pokalane w myśli i słowie. Że niegdyś wyraz Bóg był potocznym, objawiają to nazwiska ubóstwianych przedmiotów przyrodzenia i żywiołów. Później rzadko używano go, a natomiast nazywano bóstwa od gło-

wnych przymiotów, chcąc obrazowo wyrazić myśl o Bogu i jego zatrudnieniach. Prawi Helmold o białym i czarnym Bogu, przez co daje świadectwo o dwiistości bóstwa u nadłabańskich Słowian za swego czasu jeszcze istniejącej, co reszta Słowian już była dawno puściła w niepamięć. Nad Łabą utrzymywało się to wyobrażenie przez Litwinów, stawszy się jedną z przeszkód do pojmowania chrześcijaństwa we właściwej mu czystości. Prawi tenże Helmold, a spółczesny mu Sakso gramatyk, i z tegoż, to jest z XII wieku, pochodzące akta urzędowe mówią, o Świętym widzie, a z tego co podają jawnem jest, jakim sposobem dawne pogańskie wyobrażenia zamieniały się z czasem na chrześcijańskie. Jedną z Niemcami składając rzeszę nadłabańscy Słowianie i Litwini, przywykli do niemieckich wyobrażeń. Wojnę oddychała Niemców religia, i od wojny miało swe nazwisko najwyższe ich bóstwo, Wuotanem nazywając się. Słowianie też nadłabańscy i Litwini, przywiązawszy wyobrażenie o wojnie do najwyższej istności, mianowali ją słowiańsko-narodowym wyrazem, nazwawszy Witem czyli zwycięzcą. Wit słowiański przeto, jest dosłownem tłumaczeniem niemieckiego Wuotana, i oznacza władzące światem, czyli dzienną światłością kierujące bóstwo. Jest ono w ich mniemaniu światła zwycięzcą, czyli Świetowidem. Rzeczownik svjet miał przymiotnik svjetj, który wymawiano prosto lub nosowo, szepluniejaco lub syczaco, dając go rzekom, jeziorom, miejscom religijną cześć odbierającym. Dla tego też nowo nawróceni nadłabańscy Słowianie Świetowidem nazywali i bożyszcze swe najwyższe, i męża świętego, pod którego godłem najpierwszy chrze-

ściański kościół wystawiono na wyspie Rugii. Krótko mówiąc, świętego Wita też Świętymwidem, Światowidem, mianowali pogańskie wyobrażenia z chrześcijańskimi mieszącąc.

Pojęcie najwyższego bóstwa pod godłem i nazwą Światowida, nie upowszechniło się u wszystkich Słowian. Krążyło u nadłabańskich, u reszty przebywało w gościnie, lub, jak miemam, nie było znane wcale. Natomiast mieli wszyscy Słowianie Peruna, lub, jak go Niemcy po swojemu nazwali, Donara. Czcili go wspólnie z Światowidem nadłabańscy, i ci Niemcy, którzy w styczności ze Słowianami byli. Czcili Litwini, mając go po Zniczu za jedno z najwyższych bóstw.

Z ciał niebieskich słońce zwracało na siebie szczególniejszą uwagę pogan. Kiedy przychodzili do uznawania jedynego Boga, był ów planeta wyobrazicielem istoty, przedstawiającej im najwyższe bóstwo. Krótko mówiąc, ogień uznali oni być najwyższym z bogów. U ludów mających na kapłaństwie oparte rządy, odbierał ten żywioł najwyższą cześć, wraz z ciałami niebieskimi: u tych które miały insze rządy, był tylko godłem siły, lub znakiem blasku najwyższego bóstwa. U Litwinów przeto w Zażicu, czyli, jak go oni nazywali w Zniczu, a u Słowian w Perunie, tkwiła tajemniczość wszechwładnego Boga.

Wspólnie z Litwinem czcili Słowianin słońce, równie jak insze niebieskie ciała: gdy postąpił w oświecenie, i wznosił myśl ku jednemu Bogu, uznał być owym Bogiem tego, który kieruje słońcem, i objawia się ludziom jako wynik ognia, czyli światłość. Zastanowiło go bowiem, że pod czas burzy ciemność zakrywa światłości oblicze, a z wierzchołka niebios

wypadający grom rozpędza noc błyskawicą, przyrodzenie zaś przeraża zniszczeniem. Wniósł więc Słowianin, że jest ktoś silniejszy nad światłość, i uznał go być wyższym Bogiem. Od błyskawicy nazwał go Jesse, to jest jasnym czyli jasnym, od rzucanych gromów Perunem czyli piorunem mianował go. Najdawniejsze pomniki historyczne mają obiedwie te nazwy, które że są słowiańskie, tego dowodzić nie potrzeba. Dziś lubo poszły one w zapomnienie, jednakże cień, przywiązywanych niegdyś do przymiotu najwyższego Boga wyobrażeń, pozostał dotąd w mowie tatrzańskich goral, którzy pioruna nazywają pociskiem Boga, czyli strzałą.

Nie ustąpił w tej mierze Słowianinowi Litwin: i on powziął myśl, że ten co stworzył słońce, wyższym być musi od stworzenia, lecz nie wiedział w czemby oprócz ognia jestestwo jego zamknąć, i jakiby najwyższy przymiot nadać wszech władnej jego istocie należało. W padł więc w zamęt myśli, w nim pograżył religijne swe mniemania, i odstrychnął przez to od Słowiańskiej, aż dotąd zgodną z nią, mitologię swoją. Sprobujemy, ażali się nam nie uda odgmatwać tego zamętu, lecz wprzód wypada nam powiedzieć, jak Słowianie myśl pojętą o Bogu, sprawcy pioruna, rozwijali, i jak godzili z nią to mniemanie, że jeden jest tylko Bóg, ale jest rozrodzony w bóstwach niższego rzędu.

Odkąd już najwyższemu i nikomu niepodległemu bóstwem uznał być sprawcę gromu, a przypuścił że on najwyższemu będąc zajęty sprawami, kieruje światem przez Bogów z krwi swojej zrodzonych, wtedy przyjął z powołaniem swym zgodnie, że się

plemię najwyższego bóstwa wojną, i zatrudnieniami rolnictwu odpowiedniami, zajmuje głównie. Przeto najbliższym Perunowi, był, według jego mniemania, Bóg wojny. Miał ten Bóg obok rycerskich rozliczne insze zatrudnienia i rozmaite nazwy, które porządkiem wymienimy. Długosz nazywa go Ładonem czyli Marsem, i pierwsze po Jowiszu naznacza mu miejsce. Był to Bóg dwoistej płci, jako niemiecki Freir, i z tej przyczyny Długosz mężczyznę go, a Miechowita kobietą mianuje. Nazwa jego męzkie i żeńskie ma zakończenie. U Germanów Wuotan pierwsze, a Donar drugie zajmował miejsce: przeciwnie u Słowian, a więc i u Polaków, Jesse czyli piorun przodkował, a za nim szedł Łado, odpowiadający niemieckiemu Wuotanowi.

Różne powody skłaniają mnie do tego, ażebym zmianowanych w germańskich pomnikach Jowisza i Donara za słowiańskie poczytał bóstwa. A na-przód zastanawia mnie, że żaden pomnik czysto-niemieckie pogaństwo przedstawiający, Jowisza nie wymienił. Zastanawia, że gdziekolwiek zetknęli się ze Słowianami Niemcy, tam i cześć swą miał Donar; a nawzajem że Wuotan, czyli, jak go oni swoim przewali wyrazem, Wit, u tych tylko Słowian był w poszanowaniu, którzy sąsiadowali z ludami niemieckimi. Jest Donar w mniemaniu Niemców rolnikiem, ma sobie poświęcone dębowe gaje i wysokie góry, jest wiekiem starszy od Wuotana, rozmierza narodom ziemię, nie stacza wojen, lecz ustawiczne bójkę wie dzie z olbrzymami, tkwi na ustach ludowi, który się nań zaklina, tkwi mu na myśli, bo zostawił u niego miłe po sobie wspomnienie.

Jest Wit czyli Wuotan w mniemaniu Słowian rycerzem, i ma sobie poświęcone konie, tudzież sprzęt rycerski. Wuotan, mówi p. Uhland, który się nad tą rzeczą głęboko zastanawiał, przebywał tylko z królami, do ich pałaców, na ich obrady uczęszczał: Donar, obcował z ludem, i zabawy jego dzielił. Tamten był posępny i surowy, ten wesoły i łagodny, zniżał się do ludu, i miał u niego zupełne swe zachowanie. Nie raz pracował z nim na roli, i zabawiał go pociesznemi dykteryjkami, a kiedy się bardzo rozweselił, pozwalał mu nawet pociągnąć się żartem za brodę. Tamten był pełen siły i mocy, ten stosunkowo do Wuotana słaby, a nawet potulny, konno po rycersku nie jeździł, lecz albo się kółkami powoził, albo chodził pieszo. Był to starzec krzepki, Dziadem od Słowian, a Saturnem od kronikarzy po łacinie piszących nazywany. Miał niemieckim obyczajem obok siebie niewiastę, niewiadomo czy żonę, czy kochankę. Ta w pieśniach słowiańskiego ludu nazywaną jest Łado, i już osobno, już obok Dziada, bądź jako młoda lub nawet jako stara baba, z przydomkiem dobrej gospodyni, bądź jako dziewczica jest wymieniana. Na co bacząc, tudzież pomnąc na to, że wyobrazenie ludu nie mogło utworzyć i obok siebie stawić dwóch najwyższych a równych sobie bogów, wniósłbym, że przez zamianę powstałi obadwa, i około siebie stanęli. Peruna swego dali Słowianie Niemcom, którzy go przezwali Donarem, i otoczyli godłami, wystawiającemi jego słowiańskie pochodzenie. Wuotana swojego udzielili Niemcy Słowianom, którzy, nazwawszy go Witem, obce ze wszech miar przywiązali do nie-

go wyobrażenia. Wszakże nie insi Niemcy, i nie insi Słowianie, tylko ci, którzy z sobą spółkowali, czcili te bóstwa wzajemnie: odległe od siebie mieszkający, jedni i drudzy, mieli inszych Bogów, o Donarze i Wicie czyli Wuotanie nic nie wiedząc. Nie jest to jedyny przykład takiej bóstw zamiany. Toż samo bowiem stało się z polskiem Żywie, ruskiem Siewą, czyli jak ją Wacerad zowie Cererą, która wyszła u Niemców na Izydę, słowiańskie miano Ziza zatrzymawszy. Czčili ją Swewowie, i gdziekolwiek są ślady ich pobytu, tam są i ślady bóstwa tego. Czci jej na północy pozostał ślad w nazwie miejsc i rzek, a na południu w świadectwie pisarzy starożytnych. Nowym to dowodem jest, czemu daremnie przeczy Grimm, wzajemnej Słowian i Swewów, w czasach już najdawniejszych zażyłości.

Rozwinąwszy myśl, jaką Słowianie o powstaniu najwyższego boga i jego stosunku do niższych bóstw mieli, rozwińmy tę, która w tej mierze u Litwinów krążyła.

Z naturą rzeczy zgodnie uznał Litwin światłość słońca być wysokiem ognia; ogień więc stał się dlań najwyższem bóstwem: również zgodnie z prawdą uznał Słowianin błyskawicę i grom być wyższej wynikiem siły, i siłę tę zaczął czcić najwięcej. W tém właśnie jest wyższość naszej myśli, że nie w materyalizmie utkwiliśmy pierwotne bóstwo, jak litewska mitologia, ogień ubóstwiająca, lecz że materyalizm, uznaliśmy być tylko godłem bóstwa, czyli, że grom i błyskawicę nie za Boga, ale za znak jego przyjęliśmy a bóstwu że przyznaliśmy istotę myślą człowieka nie pojętą, niezmierną, nikomu nie podległą, nie ulegającą lo-

sowi, zgola nad rozum ludzki wyzsza i zadnego nad soba nie uznajaca pana. Prokopiusz wyraźnie opisal najwyzsze slowianskie bostwo, i zgodnem jest z jego podaniem cale nasze poganstwo. Swiezo tez, czescia poodkrywane, czescia z katu oczyszczone, zrodla litewsko-slowianskiej mitologii, prawdziwosc tego com rzekl stwierdzaja najdobitniej, a cale poganstwo Litwy poswiadcza tego ducha. Jeden z rękopisów Rumiańcowskiego Muzeum w Petersburgu, na początku XVI wieku wylany na papier, mówi, że poganie modlą się do ognia, nazywając go Swarożicem. Słowa te rzucają światło na rękopis Hipaciejowski, który opowiada, że panującego sobie niegdyś Feosta czyli Wulkana, nazwali Egipcyanie Swarogiem, a jego syna, który oznaczał słońce, Daż-bogiem. Objaśniają też słowa Dytmara, który głosi, że najpierwszy z bogów czczonych w Radagaście u Lutyków nazywał się Zwarasici. Ten Swarożic, jest to ów Zwarasic, ów Swarog, bóstwo ognia, któremu pierwsze miejsce w świątyni naznaczyli Lutykowie, jak tylekroć mówiliśmy, lud litewskiego szczepu. Jest on według wykładu Szaffarzyka światą bogiem, czyli Światowitem, lub jak my wykładamy, światą zażytem czyli Zniczem, to jest bóstwem świat ogrzewającym, a oraz ogniem swoim zniszczyć go gotowem. Jest on, nadłabańskich wyjąwszy, niesłychaną u innych Słowian istotą, coś obcego coś Słowiańskiego w nazwisku swem mającą, wskazującą na to, że jeszcze za Dytmara czasu był Swarożic w idei swej bóstwem tylko u Słowian zlitewszczonych, gdy przeciwnie u innych zszedł na żywioł, i oznaczał planetę. Oczywiście, że owe dwa ruskie źródła o poganach mó-

więc, nie Słowian, lecz obce przez to, litewskie jak mniemam, rozumieją ludy.

Był czas, kiedy wspólnie z Litwą czcili słowiańszczyzna ogień za bóstwo, lecz czas ten runął dla nas w odmęcie wieków, a przechował się dla Litwy, aż do upadku jej pogaństwa: co upoważnia do wniosku, że wszelkie zmianki w źródłach piśmiennych, o wysokiej czci ognia i związek z nim mających ciał niebieskich, litewskiej, a niesłowiańskiej przynależą się mitologii.

W czci tej myśl swą utkiwszy Litwa, nie mogła logicznie bóstw swych jestestwa rozwijać, nie mogła naturalnym porządkiem rzeczy rozplądnić bogów, bo ogień niszczy a nie tworzy. Poszło więc jej pogaństwo drogą nadnaturalną, naśladowało mitologie obce, przyjmowało w siebie cudzoziemskie bóstwa, po to jedynie, ażeby one istniały w niem bez żadnej konieczności.

Wszakże uważać należy i na to, że wielki szereg litewskich bóstw zmniejszy się, jeżeli przyznamy iż ich rozliczne nazwiska nie tak osobnych bogów, jak raczej istotę owego jedynego boga wyrażają: to jest istotę wyobrażoną według pojęć greckiej, rzymskiej, niemieckiej, słowiańskiej, mitologii, gdy litewsko-narodowa myśl, ciasny zakres mając, rozwinięciu pojęć nie sprzyjała. Jednakże mitologia Litwinów, pełna zewnątrz obcyzny wewnątrz jest czystą, niepokalaną, a charakter i duch jej łączy się ściśle z pierwotną myślą, którą miał narod o czci ognia, i teokratyczno-świecko-lennym rządzie. Polega na panteizmie, przedstawiającym przyrodzenie wcielone w jedno bóstwo,

a charakter panteizmu tego jest parsyzm, dwoistość, białego i czarnego, czyli dobrego i złego boga, przypuszczający, uzasadniony nie na pojęciu ziemskiej przyrody, owianej duchem obywatelskości, jak u Słowian; lecz oparty na zagłębieniu się w przyrodzeniu niebieskiem, a otoczony duchem lenności teokratyczno-świeckiej.

Wacław Aleksander Maciejowski.



-88-

przejdzie się za marne utrzymywanie życia, którego
 umiera na jakimś podhasu, w jakiejś chwili, za-
 i takich nie wielu kochać; — najniebezpieczniejszą część
 na własną rękę przynajmniej: są to ludzie nadawcy
 dla ich za tym lub owym człowiekiem, ale sami
 uxor; — a mało ludzi widzieć możesz, którzy nie ra-
 wie przez kogoś wywołano, taki z niego dobry
 na człowieka, który daby się zabić za jakąś pra-
 jest dobre co ich starsi bracia wynajdą. Spokasz
 idą tylko za niemi i spierają się i dowodzą, że to
 na ci ostatni bawę się w wysięgi ducha, pierwsi
 są ludzie zwyyczajni i są ludzie nadawcy.

osłoda wielkie marzenia, wielkie pojęcia związku towarzyskiego, może nie mające nigdy urzeczywistnić się.—Nieszczęśliwe ofiary kończą życie ślęcząc nad wypłowiałymi kartami stariej historii, a często ostatnie westchnienie, ostatnia łza na twarzy umierającego, któż zgadnie czy wypłynęła z uczucia głodu, czy z uwielbień—wielkości minionych bohaterów.

Ten co bliżej wpatrywał się w rzeczywistość i natrafił na samą ujemną stronę ludzi, musi zawołać z Dantem: «kto na świat wchodzi żegna się z nadzieją,» szczęśliwy jeśli jak Dante znajdzie sobie Virgiliusza mentorem, któryby mu wściekłe szatanów biesiady objaśniał i od wpadnięcia w matnie zasłaniał; szczęśliwy jeśli przy końcu tej pielgrzymki znajdzie sobie Beatriczę, któraby go na niezgłębiony ocean błękitu, w kraj muzyki wydawany szmerem anielskich skrzydeł wprowadziła,—lecz takiego Virgiliusza i takiej Beatryczy nie łatwo znaleźć, bo przyjaciel Virgiliusz wepchnie cię na dno Erebu a ziemską Beatricze nie lubi z aniołami tańcować, i często na wysokościach tak ci młynka wywinie, że ani postrzeżesz, jak wpadnie na wielki wieczór oświecony lampami przy odgłosie muzyki Labitzkiego.

Otóż do tego prowadzę, że świat niezadawalnia ludzi marzących o doskonałości.

Rodzaj ludzi nadzwyczajnych ma wiele dobrego w sobie, tylko jest powszechne o nich zdanie, że są przesadzeni,—i to wielka prawda; ale oni temu niewinni, i raczej wypadaloby złożyć winę na złego ogrodnika, któremu imię *los*, że znalazł właściwego dla nich gruntu. Kto wie, możeby na jakiej innej gwiazdzie przyjęły się i wydały czarujące owoce,—

na naszym planecie za zimno i przeto marzną, lub za gorąco, i dla tego więdną; w istocie zbyt wielką robi pomyłkę ten niegodziwy ogrodnik. Otóż owi nadzwyczajni, przesadzeni, często umierają z głodu, nie mając przyjaciela ani kochanki, — i cóż im łagodzi straszliwy ciężar życia?... ja bym odpowiedział: marzenie. O święta kraino marzeń, kto raz wpłynie na twój ocean, już mu nie wracać do rzeczywistości: — na wielkiej górze twoje brylantowe pałace, a ktoby z tamtąd chciał zejść do ludzi, to się rozbije, połamie sobie nogi, nie będzie umiał tańcować jak mu zagrają. Nie kochanku! baw się sam ze sobą, albo z ludźmi, ale nigdy tam i tu: — siedź z daleka zamknięty, pisz książki, wydawaj rozkazy, to będą ciekawi cię zobaczyć, ale nie wychodź ze swojej tajemniczej kryjówki, bo zaraz wszystkie wrony otworzą dzioby i jednogłośnie zawołają: «oryginał, oryginał!» O jednym z takich oryginałów, mógłbym wiele powiedzieć; już on umarł, więc choćbym go ogadał, to cóż mi zrobił? — lecz ponieważ dałem mu słowo, że tajemnicy jego nie wydam, dotrzymać muszę, i rad nie rad wstrzymuję się od opowiedzenia najważniejszych wypadków. Zostawił on po sobie pamiętniki, pod napisem: «Pamiętnik doktora» ale o tém potem.

Był to uczeń uniwersytetu, mieszkał w Warszawie i przyjaźnił się ze mną, — nazwisko choćbym wymienił, to cóż stąd, kiedy to było dziecię źle urodzone, a zatem nie mógł się nazywać; — był ujmującej powierzchowności, ale co się jednemu podoba, drugiemu może się nie podobać, — mnie np. podoba się młodzieniec z wyrazem ognistym, z namię-

tnym wzrokiem, z cerą bladą,—a komu innemu podo-
ba się chłopiec rumieniutki, z małemi oczkami, z u-
śmieszkiem, z zawinionemi włosami w nadobne pu-
kle, głupiuteńki aż miło,—to zupełnie od gustu za-
leży.

Podług mnie, mój przyjaciel był bardzo piękny,
a miał podobieństwo, do kogoby powiedzieć, — coś
nakształt Ludwika Lamberta, którego Balzac opi-
sał, i tam ciekawych odsyłam. Co się zaś ty-
czy jego bijografii, w kilku wierszach pomieści się
cała historia:—był naprzód w konwikcie Pijarskim,
i któryś z zamożnych księży widząc w nim bujne
zdolności do nauk, oddał go do szkół wyższych,—
następnie poznałem go w uniwersytecie jako najle-
pszego ucznia na wydziale historii i sztuk pięknych,
chodził także na administrację, ale ekonomja poli-
tyczna nie wiele go zajmowała.

Professor L..... takie o nim pewnego razu do swe-
go kolegi powiedział zdanie: «ten uczeń zwiastuje zna-
komitego w przyszłości historyka, zapatruje się na
dzieje z własnego stanowiska, i wiele rzeczy zawi-
łych najdokładniej tłumaczy,—sądzę, że będzie z nie-
go filozof, chociaż brzydzi się wszelką nomenklaturą
i abstrakcją; chwala Bogu, że u nas ludzie więcej są
mądrzy aniżeli uczeni.» Zdanie to ma swoją powagę,
i przeto nie mam nic więcej dodać ani ująć o moim
kochanym szlafkamracie.

Co się tyczy dziejów jego serca, szeroko by o tem
rosprawiać, gdyż był jak to mówią, strasznie *kochli-
wy*; lecz pod tym względem, nawet jego kochanka nie
mogłaby nic powiedzieć, gdyż co najpewniej, że nic
niedowiedziała się od niego. Skryty, milczący, a jeśli

kiedy więcej mówił jak zwykle, to przyszedłszy do domu skarżył się przedemną sam na siebie, i żałował jakby grzechu śmiertelnego, że się ze swoim widzeniem rzeczy, przed ludźmi wygadał; a kiedy w rzeczach obojętnych tak postępował, cóż dopiero w uczuciu.—Warjacisko, — mówił mi o nim pan Ksawery, — sam nie wie czego chce; — nieraz łączy mu w oczach stoją, a kiedy go zapytam — „co ci jest?...“ ściska mi rękę, rozjaśnia twarz i mówi o rzeczach tak zwyczajnych, że ani domyślić się mogę co znacząły dwie łzy, błyszczące w jego czarnych oczach.

Jednego razu dostrzegłem na jego stoliku leżący zwój papierów zapisanych, a na wierzchu pierwszego arkusza niewyraźny tytuł:

Jak ja uważam towarzystwo ludzi.

Chciałem dalej przeczytać, ale mi wyrwał z ręki i schował. — Coś tak ciekawy mój Olesiu! jest to bazgranie bez sensu, ty lepiej wszystko widzisz, nie wiele byś skorzystał, a jeśli kiedy.... tu się zatrzymał — wtedy weźmiesz w spadku po dobrym przyjacielu..... to mówiąc uścisnął mnie serdecznie i wyszedł. Inną razą przychodzę do domu, drzwi zamknięte, słyszę głośną rozmowę, płacz, nareszcie jakby coś ciężkiego upadło na ziemię; uderzam z całej siły we drzwi, — i spostrzegam go omdlałego na ziemi; — jakaś kobieta biednie odziana wybiegła z pokoju, nie przyszło mi na myśl zapytać się jej o zaszły wypadek; — rzuciłem się aby go otrzeźwić, — kiedy otworzył oczy i odetchnął, pierwsze jego słowa były: — Po cóż żeś mnie do życia przywrócił?... i płakał tak gwałtownie, że aż bicie serca przytłumiło mu łkanie; — więcej ani jedno słowo z ust jego niewypadło.

Wiem, że się kochał, ale w kim?... jest mi obcym;—mówił mi że o nie ziemskiej miłości, tylko z Bogiem rozmawia; niektórzy mieli posądzenia, wnioski, jak to zwyczajnie ludzie,—uczniowie, koledzy, chcieli wybadać go z tej strony, ale nadaremnie.

Tylko jednego razu chodząc zenną nad brzegiem Wisły, wymówił się w tych słowach: ach! ty jój nieznasz, jest to anioł cierpiący, gdybyś z nią mówił, ile w niej pokory i wzniosłości, ile rezygnacyi w każdym słowie, ona jest doskonałością człowieka, wzniosła bez namiętności, szczęśliwa w cierpieniu szczęściem własnych myśli, i wywyższeniem się nad nikczemność ludzi; zdaje mi się, kiedy ją widzę, że przejrzę tę mglistą postać, i że jakieś światło nieziemskie promienieje od niej. Moj kochany! któż ona—przerwałam mu—któż ona, powiedz mi?.. Co ci po nazwisku—odpowiedział,—nie kocham jój dla nazwiska, lecz dla piękności i wzniosłości jój duszy.

— Obyś się tylko nie zawiódł.

Po tym dniu, smutny wypadek rozdzielił nas od siebie,—a kiedyśmy się po 2 latach zobaczyli, przypomniał mi naszą rozmowę, i spuszczać głowę na piersi powiedział do mnie:—Nieomyliłeś się mój Olesiu! zawiódłem się; już niewiem komu teraz wierzyć, gdzie znaleźć prawdę i cnotę.

— Cnotę znajdziesz w sobie samym, a prawda jest jedna tylko, że wszyscy kłamią, i to już tak spowszedniało, że kłamstwo rośnie na sercach, jak pokrzywa, jak oset na mogiłach, a że ci ten pokarm nie do smaku, to dowodzi, że nie należysz do zwierząt, które oset lubią, nim się karmią, i szczęśliwi aż do grobowej deski, cieszą się że im dobrze.

— O ja tak nie sędzę—ty nie masz wiary, wãtpisz o wszystkiem, mo¿e ja za wiele wymagam od ludzi, lecz ty za surowo ich sãdzisz. Sã w œwiecie ludzie i do-
brzy, tylko nieszczęœciem niespotkalimy ich dotãd; ja nawet wiem tajemnicę, jakim sposobem mo¿na się stać szczęœliwym.—I czemu¿ nim nie jesteœ?—Prze-
ciwnie jestem bardzo szczęœliwy.—Ach! zmiłuj się, daj-
¿e mi tak zbawiennã receptę.—Znajdziesz jã w pamie-
tnikach doktora.

— Niezmiernie ci będe obowiãzany; ale cõz znaczą twoje łzy, które ci się kręcã w oczach, czyli to tak¿e nale¿y do lekarstwa.—Bezwãtpienia, tego płynu musisz wiele domieszać do gor¿kich zielek œwiata, a jak spełnisz czarę umartwieñ, to potẽm będzie on słu¿ył na ten u¿ytek co kropla rosy, w którẽj przymacie zobaczysz błękit niebieski.

— Ju¿ to ja tego nie rozumiem, ile mo¿noœci strzedz się będe u¿ytkować z twojẽj rady. Wolę swój sposób ludzki, oko za oko, zãb za zãb, œmiech za œmiech, sztylet za sztylet, to ju¿ mój systemat, którego niezmienię, bo ja nie jestem œwiety, ¿ebym się dawał piãgã przerzynać dla ich satysfakcyi.—Do-
brze to jest tak mõwić, z tẽm wszystkiem, za podo-
bniejsze do wykonania moje zasady uwa¿am.—Jak wi-
dę strasznieœ zawzięty, zmiłuj się pofolguj œwiatu, boœ gotõw Europę zawujować.—Szczerze rozeœmiał się ze mnie.

W rok potẽm dowiedziałem się, ¿e jest œmier-
telnie słaby i ¿e pragnie widzieć się ze mnã. Było to
jakoœ przed wieczõrem;—udałem się do szpitala Ewan-
gielickiego, zapytałem gdzie tu numer trzydziesty
piãty?...

Na pierwszém pięttrze—odpowiedział mi odzwier-
ny,—dopiero co stamtąd wyszedł ksiądz spowiednik.
Może pan dobrodziej jakiś kuzyn, to ja pańskiemu
kuzynowi posługiwałem.

Dobrze, dobrze mój kochany,—rzuciłem mu kilka
sztuk drobnych pieniędzy i pobiegłem czem prędzej
na górę.

Leżał na łożku blady, rysy twarzy zmienione,
ciemne długie włosy rozrzucone na poduszce, okry-
ty kołdrą wełnianą, usta i cera trupia, w oczach
tylko dawny blask pozostał. Nad łożkiem wisił
obrazek fantastyczny, przedstawiający jekiegoś cza-
rownika nad globem pochylonego; góry rzeki i mia-
sta nie nazwiskami, lecz figurami rozmaitych zwierząt
były pooznaczone; czarownik trzymał w ręku szkło
przez które spoglądał, a z daleka we mgle nie doj-
rzana postać uciekającego anioła, a w bliskości
śmiejący się szatan, — pod tym obrazem wisił
krzyż.

Kiedy wszedłem, uniósł głowę i z trudnością
podniósł do góry wyschlą rękę.

— Jak się masz?—wymówił cichym głosem.

Słowa zamarty mi w ustach, boleść ścisnęła mi
serce; dostrzegł to i silił się na uśmiech.

— Bądź spokojny, ja sobie niemam nic do za-
rzucenia.—Cóż tam słyhać na świecie,—nikt mnie
tu nie odwiedza, tylko się ktoś co dzień dowiaduje
o mojem zdrowiu, niech mu Bóg nadgrodzi. Pracuj-
esz że?... po chwili odpoczynku zapytał.

— Jak zawsze,—odpowiedziałem.

— A nie masz co ze sobą, może mi przyczy-
tasz?.....

- Nie, ale mogę ci coś powiedzieć.
 — O! dobrze, dobrze.
 — Mój drogi; twoje słowa nie daremnie rzuciłeś!
 zmieniłem się od tego czasu, słuchaj:

Szatan niebiosów nie stworzy,
 Nie zmieni upadłe plemię,
 Lecz niebo odmieni ziemię,
 Nie duch szatański, lecz Boży.
 Duch, który nie zna szyderstwa,
 Ani ucisku zniszczenia,
 Ni przeciw prawdzie bluźnierstwa,
 Ni przeciw Bogu zwątpienia.

— O mój kochany Olesiu! co za szkoda że przy grobie dopiero spotykamy się na jednej drodze;— nie przestawaj, idź dalej, coraz dalej,—są roskosze na tém wzniesieniu ducha, kochaj ludzi i śpiewaj swoje pieśni,—nasz lud tak wiele ma poezji w sobie, tylko pamiętaj na to wielkie słowo pomiędzy naszym ludem żyjące: Miej Boga w sercu! Wielka ta prawda odróżnia nas od reszty świata.

Ogień palił się na kominku, prosił żeby mu poprawić poduszkę pod głowę.

— Jakże dawno nie widziałem cię, uściskaj mnie, a teraz jeśli chcesz poznać moje tajemnice, otwórz to pudełko, wyjmij papiery i przeczytaj mi co ja też tam napisałem:

Otworzyłem i wyjąłem paczkę owiazaną wstążką białą, przy której liście robionych kwiatów wieszaly się wypłowiałe,—widać jakaś pośmiertna pamiątka. Przybliżyłem krzesło do łóżka i zacząłem czytać rękopism: «Moja Matko! pierwsze karty tobie poświęcam.....»

Spojrzałem na niego, boleść wykrzywiła mu usta, zaczął mocno kastać, — kiedy przyszedł do siebie, przerywanym wymówił głosem:—opuść, opuść, tam są chwile większej wagi.

Na dwudziestej stronnicy było napisane:

«Jeżeli chcesz być szczęśliwym, nie wymagaj nic od ludzi,—przeciwnie, oddaj im wszystko, —oddaj im uczucie nie żądając uczucia, oddaj im życie nie pragnąc żadnej nagrody;—stań się twórcą, wszystko oddawaj a nic nie bierz, bo więcej posiadasz aniżeli świat dać może w głębinie twojego ducha.»

— Wszak to jest prawda?... Olesiu.

— Wielka prawda!—oowiedziałem.

Przerzuciwszy kilka kart dalej, natrafiłem na rozdział pod napisem: *Moja miłość*, i zacząłem znów czytać:

«Nikt wiedzieć nie będzie o mojej dla ciebie miłości, ty nawet sama wiedzieć nie będziesz, bo wiem że mnie kochać nie możesz. To pismo jest tylko moją własnością, moim przyjacielem, któremu powierzam tajemnice serca. Obym cię mógł widzieć tak wzniosłą do końca życia, obym mógł podziwiać twoją piękność jak obraz w świątyni, do którego oprócz kolorów i tęczy, łączy się duch święty błogostawionego życia.....“

Chory w tém miejscu nie mógł zwyciężyć burzy jaka w nim zawrzała,—podaj mi to—zawołał—koniec niepotrzebny,—i z temi słowy rzucił rękopis na ogień.

Płomień buchnął i oświecił bladą twarz konającego, który passując się ze śmiercią, przyciskając w je-

dnem rękę do piersi krzyż, drugą ściskając moją rękę—skonał.

Upadłem na kolana przy łożu zmarłego, i gorące łzy kroplami spadały z mych oczu.—O Wszecchobecny! gdzież, na jakąż gwiazdę szczęśliwą prowadzisz swego anioła?.. — Marjo! twoi śpiewacy czyliż uderzą w struny złotej arfy na jego powitanie?.... Chrystusie! zawieszisz—że koło wiecznego światła nad głową męczennika?.... Z płaczu zbudził mnie głos stróża szpitalnego, który przybliżając się do łóżka, zapytał.

— Jakżeż zdrowie pana?...

Umarł—odpowiedziałem zalewając się łzami.

W tej chwili wbiegła młoda kobieta, i okiem pełnym rozpaczony wpatrując się w oblicze zmarłego, wymówiła boleśnie:—i tyś umarł mój święty! i tyś umarł! poszedłeś bez pożegnania, a może nawet z nienawiścią ku mnie.....

— O nie pani!—ten człowiek w całym swoim życiu nieznał uczucia nienawiści,— za to mu pani uwiesz wieniec natrumnę.

— A gdzie są kwiaty godne jego skroni?!...

— Poświęć pani jego pamięci kilka łez, kilka westchnień nad cichą, biedną mogiłą.

Mixtal 1845 r.

JAN OTTENBURG

Urodził się w Kłodzku w Cieszkach r. 1412.
miał katolicką wiarę - wywołanych w Pradze 18
Kwietnia 1440 r., pierwszym drukarzem w Magdeburgu
r. 1446.

Wiedząc jak Niemcy chcieli sobie przyjąć
uczyć Kopernika, dała już tej sprawie wiarę
sędziwą, sama nie mogła, niepodobna nawet wy
należć pt. wódz. wątpiła, że Kopernik z tego Pol
skiego narodu pochodzi. Wielka i bogata, miała 11

doły ręk do piersi kocha, drąga sciskając swoją rękę — skusi.

Upadłam na kolana przy ścianie zmarłego, i gorące łzy kroplami spadały z mych oczu. — O Wesołobogin! gdzieś na jasnej gwiazdę szczęśliwą prowadzasz swego anioła. — Marzył twój śpiowający ciałem, uderzył w strony złośliwej orki na jego paritade. — Chybaś się ławiesz — to kogo wieszczę światła nad głowę moją cępnika? — Z płaczem abudał mój głos strona śród łalnego, który przybliżył się do końca — zapisał.

— Jakże zdrowie pana?

Umarł — odnieś w ten świat, zachowując się razem.

W tej chwili wbiegła młoda kobieta, i jakiemś pełnym rozpędu wpatrując się w oblicze zmarłego, wymówiła boleśnie: — O umarł mój świąty! i ty umarł — posiadł bez poświęcenia, a może nawet z nienowocizną ku mnie...

— O die pan! — ten człowiek w całym świecie ty — cini niemal strona kłopotliwa. — za to ona — jał wój — jent wrono — nutrując.

— A gdzieś są kwiaty gośno jego strona...

— Powieś pan jego pamięci kilka list, kilka wycieczek nad pachy, ścieżkę mogiła.

marz 1945 r.

JAN GUTENBERG.

Urodził się w Kutnej-Górze w Czechach r. 1412, został bakałarzem nauk wyzwolonych w Pradze 18 listopada 1445 r., pierwszym drukarzem w Moguncji roku 1450.

Niedawno jak Niemcy chcieli sobie przywłaszczyć Kopernika, dziś już tej naszej własności zaprzeczyć nam nie mogą, niepodobna nawet wyznać powodów wątpliwości, że Kopernik z łona Polskiego narodu pochodzi. Wielka i bogata ziemia li-

cznej rodziny Słowian, jak troskliwa matka, upomina się znów o swoją własność. Mówię tu o wynalazcy druku, o Janie Gutenbergu. Znany czeski uczony pan K. Winarzycki umieścił w czeskim piśmie *Kwiaty*, (nr. 132—133, r. 1845) następującą o tym mężu wiadomość:

Dziwny nieład panuje dotąd w życiopisach *Jana Gutenberga*. Urodzenie jego Niemcy kładą między r. 1393—1400. Moguncja i Strasburg od dawna sprzeczały się o kolebkę i pierwotność jego imienia, oba miasta dowolnie go sobie przywłaszczały; niektórzy robili z niego kawalera *zum Jungen*, inni znowu nazywali go *zum Sorgentloch* lub *Sulgetloch*. Autor dawnych Kutnobojskich wspomnień Korzynek, Jana Gutenberga połączył w jedną osobę z Faustem; Sebastjan Franken jeszcze dawniej zrobił z niego trzy osoby: Jana Gensfleisch pierwszego drukarza w Moguncyi r. 1440. Jana Gutenberga strasburskiego — *von und zu Strassburg* — i kawalera Gutemberga w Moguncyi roku 1450.

Moguńczycy śmiało obchodzą drukarski jubileusz w swoim mieście każdego czterdziestego roku, chociaż nie mają żadnego dowodu, ażeby Gutenberg w roku 1440 znajdował się w Moguncji, i aby tam robił pierwsze próby sztuki drukarskiej.

Czas abyśmy wykryli kłamstwa i błędy, które sąsiedzi nasi przez najmylniejsze kutyteczne rozbiory rzeczywiście prawdą być mienią.

Ostatnią uroczystość wynalezienia druku przypomniał nam p. Jarosław Wertjatko, opierając na czeskim, niemal trzysto-letniem podaniu, że *Jan Gutenberg* urodził się w Kutnej-Górze. Jednakowoż wie-

dziony Korzyńkiem i Hybnerem, pomieszał w jedną osobę mogunckiego złotnika Fausta z drukarzem Gutenbergiem, przytączywszy doń znakomitego lecz o całe stulecie późniejszego czarnoksiężnika Fausta.

Przez dodanie romantycznych barw zyskała powiastka, lecz to zatarto prawdziwe staroczeskie świadectwo o czeskiej rodowości sławnego mistrza. Powiastka z czeskiego pisma *Wlastemil*, przeszła do wielu pism niemieckich. Panowie Hohler, Hanka, Glückselig, Peszyca i inni ostrożnie odróżniali romantyczny dodatek od starodawnego podania; lecz niemieckie czasopisma, historyczne objaśnienia p. Wertjatki przyjmowały zarówno z powiastką, jako myth pochodzący z czeskiego patryjotyzmu.

Znany genewczyk Dr. de Carro, nadzwyczaj zamiłowany w rzeczach czeskich, w rozmowie ze mną oświadczył życzenie, abym napisał dla jego karlsbadzkiego nowobrocznika wyjaśnienie w tym tak ciekawym i ważnym przedmiocie. Na jego żądanie wszedłem do tego labiryntu, lecz w przód musiałem zaopatrzyć się w nie. Podały mi ją dyplomata, tyczące się życia Gutenbergów, i umieszczone w dziele: *Geschichte der Erfindung der Buchdruckerkunst. Von J. Wetter*, i inne pomocnicze dzieła, za których łaskawe udzielenie dziękuję szanownym przyjaciółom pp. Hance, Józ. Jungmanowi, Palackiemu i Szafarzykowi w Pradze, radcy Hal i kupcowi Kóżyoczce w Młodziej-Bolestawie. Wnioski z moich badań udzielał kochanym rodakom, szczególnie Górnikom i Prażanom, na dzień pamiętny 18 listopada, w którym Jan Gutenberg, pod łacinińskim imieniem Joannes de Montibus Cutnis, przed 400 laty, został

bakałarzem wyzwolonych nauk w uniwersytecie Prag-
skim.

W r. 1411 ludność Moguncji powstała przeciwko dawnym szlacheckim rodzinom nadużywającym władzy. W skutek tego powstania najznakomitsi patricjuszowie Moguncji, Fürstenberg, *Gensfleisch*, zum Gelthus, Molsberger, zum Humbrecht, zum Jungen i inni przesiedlili się ze swemi rodzinami do sąsiednich mniej więcej oddalonych krajów. W tymże czasie z Moguncji wyszli także rodzice Jana Gutenberga *Frielo Gensfleisch* z córką swoją Elizą, z nazwiska *zu Gudenberg*, i mogli powrócić dopiero po ugodzie (Sune und Rachtung) arcybiskupa kurfirszta Konrada, wydanej we wtorek po niedzieli *letare* (IV w poście) r. 1430. Do téj ugody należeli mianowicie: Hermann Fürstenberg z nadmienieniem, że *wiewol der inlendig ist*; dalej zaś Henne Hirtzen, *Hennchen* zum *Gudenberg*, Otto zuer Eiche, Heinze Reysen a Petr *Gensfleisch*, z wyraźnym dodatkiem: „die yt zund nit inlendig sind... die by den Alten zu dirre Zeit nit gewest sind, nit mechtig sind.“ Słowa te stosują się do wszystkich pięciu wyżej wzmiankowanych, tudzież także do *Jasia Hennchen* zum *Gudenberg* — i są dowodem, że urodzony później wynalazca druku, w czasie powstania w r. 1411 *u starych rodziców w Moguncyi nie był*, że w r. 1430 jeszcze w posiadłościach *arcybiskupa Kurfirszta nie mieszkał*, i że *nakoniec w środopociu r. 1430 nie był pełnoletnim*.

Więc mylnie twierdzą niemieccy pisarze, że wtedy Gutenberg przemieszkiwał w Eltwilli ze swemi rodzicami. Eltwilla, siedliśko arcybiskupa Adolfa, leżała w ziemi arcybiskupiej, o półtorej mili od Moguncji

W r. 1434 mieszkał tam starszy brat Gutenbergów, Frielo Gensfleisch, później kanonik moguncki. *Niepełnoletność Gutenberga* w r. 1430 udowadnia jeszcze zapis w mogunckich miejskich księgach, od 11 czerwca 1430 r. (u Wettera str. 38), w którym to zapisie owdowiała matka Else zu Gudenberg synowi swemu Jasiowi (Hengin) udzielała przypadające na niego z dziedzictwa dochody.

W obydwóch dyplomatach z r. 1430 imiona wskazujące niepełnoletność, Hennchen Jaś i Hengin Janek, również każą domyślać się, że był nie pełnoletnim w tym czasie. W protokołach strasburskich r. 1439 już zapisany *Hans* Gutenberg.

Samodzielnie wystąpił Jan Gutenberg 15 marca r. 1434 w Strasburgu przeciwko mogunckiemu pisarzowi Niklasowi, którego kazał aresztować z przyczyny nieopłaconych czynszów, lecz wkrótce za wstawieniem się rady strasburskiej bez opłacenia został wypuszczonym. W tym roku, w niedzielę po ś. Urbanie oznajmił, że przestaje na zapłaceniu rocznego czynszu XII zamiast XIV złotych, jak świadczy nie tylko zapis w miejskich księgach Moguncji, lecz także księga długów rodziny *zum Jungen* w Frankforcie.

Dwa te samodzielne wystąpienia Getenberga oznaczają niewątpliwy *początek jego pełnoletności*. Jeżeli zważymy, że w nadreńskich krainach, skończony 21 rok życia dawał prawo do pełnoletności i samodzielnego używania imienia, śmiało z wyżej wspomnianych dyplomatów możemy wnioskować, że Jan Gutenberg na wiosnę r. 1434, dwudziesty drugi rok życia liczył, a więc ani wcześniej od r. 1412 ani później nieurodził się.

Gdyby jego urodzenie przypadło między r. 1393—1400, jak Niemcy dowolnie utrzymują, wtedy w akcie ugody przez arcybiskupa Konrada r. 1430 niebyłby policzony do niepełno-letnich; za 30—37 letniego zaś syna, matka niezawierałaby ugody 11 czerwca 1430.

Podług autentycznych dyplomatów oznaczony rok urodzenia Gutenberga, 1412, nastrocza sam przez się dowód, że *nasz Mistrz w Moguncyi nieurodził się*; albowiem po zaburzeniach r. 1411, rodzice jego nie śmieli powrócić do miasta, z którego byli wygnani. Takim sposobem nasze twierdzenie jak najlepiej objaśnia znaczenie wyrazów: „*die by den Alten zu dirre Zeit nigewest sind*,” (t. j. r. 1411, kiedy było powstanie). Dzieci są zazwyczaj przy rodzicach, *nasz Gutenberg w r. 1411 nie mógł być u swoich rodziców, albowiem wtedy jeszcze nie był na świecie!* Zbytecznie i napróżno także rozprawiali Niemcy o domu w Moguncji, gdzie się Gutenberg urodził; jedni, pokazywali szyld „*zum guten Berg*“ (chcielibyśmy wiedzieć, jak też wymalowano na szyldzie tę *dobrą górę?*); drudzy jego kolebkę widzieli w domu *zum Gensfleisch*. Prócz tego nowa marmurowa tablica świadczy, że tamże w r. 1393 znakomity Jan Gutenberg na świat przyszedł. Tak więc marmur kłamie kwoli gospodarza domu, aby jego dom miał większe *practium affectionis*.

Przydomek Gutenberg nie mało kłopotów narobił Niemcom. Jedni wyprowadzali go z Moguncji od domowego szyldu *zum guten Berg* (pod dobrą górą), inni od części tak nazwanego pola pod Moguncją, inni znów od mniemanego predikatu jego matki tak zwanej Else zu Gudenberg, o pochodzeniu której rozprawiły dwie strony. Reńsko-Kolońska kronika, wydru-

kowana w r. 1499 nazywa Gutenberga mieszczaninem Mogunckim, lecz ze Strasburga (Argentina) pochodzącym. Imię łacińskie *Argentina* mylnie tłumaczono przez Strasburg, chociaż wszystkie górnicze miasta w Czechach, w dziełach łacińskich także *Argentina* nazywano. W protokołach Strasburskich o sprzeczce Gutenberga z dziedzicami Dritzehna od r. 1439, nazywano wystuchanych świadków nietylko *panami* lecz i mieszczanami; — Gutenberga pochodzącego z szlacheckiego Mogunckiego rodu, poprostu nazwano tam tylko *Hintersoss*, t. j. najemnik. Oczywisty dowód, że w Strasburgu nie był obywatelem rodzinnym, i że przyszedł tam skądinąd.

W r. 1434 poszukiwał swego dziedzictwa na mogunckim pisarzu; więc niema nie dziwnego, że niektórzy, chociaż mylnie, domyślali się, że się urodził w Moguncji. Napis na wspomnianych zeznaniach świadków z r. 1439 brzmi: *Diess ist die wohrheit, die Jerge Dritzehn geseit hat wider Johann von Mentze genant Gutenberg.* Sam początek tych protokołów napisano w nieobecności Gutenberga. Dalej zaś nigdzie *von Mentze* nie pisze się, lecz prawie wszędzie tylko *Johann Gutenberg*, po kilka zaś razy, jakoto w celnych registrach z r. 1443, *Hans Gutenberg*; potem w wyroku senatu z 12 grudnia 1439 r. jeszcze raz *Gutenberger*. Protestacją swoją przeciwko mogunckiemu pisarzowi r. 1434 tak zaczął: „Ich Johann Gensfleisch der Junge genant Gutenberg.“ — Starając się o odebranie należytych mu pieniędzy, zatrzymywanych w Moguncji, zapewne podpisałby się *von Mentze*, gdyby się w Moguncji urodził. W tym liście znajdujemy jego chrzestne imię *Johann*, przydomek *Gensfle*

isch, co było znakiem jego młodości, którym od swego stryja *Henne Gensfleisch der Alde* odróżniał się w wyrazie *der Junge*. Dodatek: *genannt Gutenberg* wskazuje miejsce jego urodzenia, skąd przyszedł do Strasburga. Tłómaczenie potwierdzają wszystkie znane formy jego imienia, tudzież w wyroku senatu strasburskiego: *Gutenberg*, u Trithema *Guttenberger*, w Norymberskiej łacińskiej kronice *Gutembergerus*. — Bergolanus pisał go *Gutenbergius*, Ivo Witigis: *Gutenbergensis*, Fryderyk Faust: *Johann von Gutenberg*, Vogten: *Gutenbergicus*.

Te formy imienia niedają się zastosować do żadnego domowego szyldu, ani nawet do części pola pod Moguncją, raczój odnoszą się do czeskiego górniczego miasta: *Kutna-Góra* (po czesku *Kutna-Hora*) po niemiecku *Kuttenberg*, inaczój: *Gutenberg*, *Gutemberg*, po łacinie *Cuttenberga*, *Gutemberga*, *Mons Cuttna*, *Montes Cuttnae* i *Guttnae*.

Podług tegoż rodzinnego miejsca, w księdze dziekańskiej, przy fakultecie filozoficznym w pragskim uniwersytecie od r. 1382 — 1579 (*Monumenta historica Univers. Prag. I.*) blisko 36 bakalarzy i magistrów nauk wyzwolonych, podpisywało się albo de Monte (z Góry), de Montibus (z Gór t. j. Kutnych), de Montibus Cuthnis, Guttnis i Kutnis, lub tylko *Montanus* (górnny), *Montanensis* (Górnik), *Cuthenus*, *Cuttenbergenus*, *Gutembergenus* a *Gotembergenus*. W tejsze księdze od r. 1548 — 1556 stoi jedyny i ten sam magister *Georgius Guttembergenus*, inaczój *Cuttenbergenus* a *Sudetis* i *Goorgius Polenta Cuttembergens (is)*. Z Góry Kutnej pochodzili i również podług niej podpisywali się czescy autorowie: Marcin Kuthen (1539), Jerzy Kuten (1570), Bartolómeusz *Kutnohorsky* (1619). Przydomki

czeskie: *Kutnohorsky, Hornik* (Górnik) i *Horsky* (Górski) rozlegają się we wszystkich kątach ziemi czeskiej. I tak: *wszystkie formy imienne mistrza Gutenberga są w Czechach domowe i należą do rzędu tych imion, które świadczą o pochodzeniu lub o miejscu urodzenia swego imiennika, i w XIV i XV wieku powszechnie były w użyciu.*

Doktor Falkenstein w swojej *Geschichte der Buchdruckerkunst* wysmiewa Crügera, a za naszych dni Wertjatka i Peszyca za to, że Kutną-Górę oznaczali za miejsce urodzenia Gutenberga, i posądza ich o przesadzony patriotyzm. Jednakowoż takie zdanie dawno objawili nietylko Czesi: magister Kodocill z Tulechowa (1576), bezimienny autor łacińskiego epigramatu na Kutną-Górę, Korzinek (1671), Bechowski (1697), Hibner (1692 do 1759), jubilarny kaznodzieja Pretlik (1740), lecz także Niemcy: *Georg Beatus* w swojej *Böhmische Chronika* (Leipzig 1616), *Mauritius Vogten* w dziele: *Das itzt lebende Königreich Böhmen* (Frankfurt und Leipzig 1712, str. 105) i Jan Heinsius w dziele: *Historisch geographischer Atlas*. (Leipzig 1746, VI. str. 1153). Sąsiedzi nasi żądają od nas, czego sami okazać nie są w stanie, a mianowicie listy chrztu Gutenbergów z Góry Kutnej.

Gdyby po spaleniu tego miasta w r. 1422 i 1424 tamtejsze metryki zachowały się, ciężko byłoby tam znaleźć imię Gutenberga lub datę jego urodzenia i chrztu: Każdy Jan r. 1412 tam urodzony mógł się podpisywać Gutenberg albo Gutenberger, któż wie, pod jakim imieniem znany był jego ojciec w Kutnej-Górze? Niemcy do jego nazwiska przyczepiają predykaty: zum Gensfleisch, zum Jungen Gutenberg i Sorgenloch. Jeżeli to były szyldy domowe w Moguncji, kto wie, czy

także w Kutnej-Górze nie podpisywał się podług mogunckich szyldów?

Z tém wszystkiem wierzymy i bez listy chrztu, że Andreas de Marienwerder, Bertholdus de Heidelberg, Friedericus de Mogentia, Arnoldus de Zoltwedel, Edwidus de Abo, Engwaldus de Ryga, Enwigislo de Upsalia, Joannes Constantia, Laurentius Berlin i tysiąc innych którzy pobierali nauki w Pragskim uniwersytecie,— podpisywali się podług tego skąd pochodzili, tak samo jak Czesi Jan z Husince, Jan Przybram i Jan Rokycana. Takie przydomki same przez się świadczą o miejscu urodzenia swych imienników.

Wyprowadziwszy z dyplomatów współczesnych dowód, że Gutenberg nieurodził się ani w Moguncji, ani w Strasburgu, spostrzegamy w niewątpliwych i w znaczeniu zawsze zgodnych formach imiennych: Gutenberg Gutemberg, Gutenberger, Guttenger, Gutenbergerus, Gutenbergensis, Gutenbergius i Gutenbergicus, nawet ze strony Niemców ważne świadectwa, że znakomity *Jan Gutenberg urodził się w tém górném czeskiém mieście, które Czesi nazywają Kutną-Górą Niemcy zaś Gutenberg, i że podług zwyczaju swego wieku stamtąd przyjął swój osobny przydomek*. Zdania tego dotąd będziemy się trzymali, dopóki D. Falkenstein lub inny uczony nasz sąsiad, nie poprze lepszymi dowodami z wiarogodnych dyplomatów, że *Jan Gutenberg urodził się w Moguncji (podług Falkensteina) r. 1394, podług innych między 1393—1400*. Im się nie uda dokazać tego podług listu ugody r. 1430.

Lecz *jakim że sposobem rodzice Gutenberga przyszli do Kutnej-Góry?* Dzieje i dyplomata wskazują nam tego ślady. Wiadomo jest w ogóle, że od wieku Otakara

i za panowania Henryka Korytańskiego i królów z domu Luxemburskiego, mnóstwo rzemieślników, sztukmistrzów, górników i innego ludu rzuciło się z Niemiec do Czech. Do Pragskiego uniwersytetu uczęszczała wielka część niemieckiej młodzieży. Dawna dziekańska księga tego uniwersytetu mieści ośm *Mogunczyków*, którzy od r. 1370—1387 odebrali akademickie stopnie w Pradze.

Jeden z pomiędzy nich Fridericus de Moguntia (1379) mógł być dziadem Gutenbergów, który ożeniwszy się w swoim kraju podpisywał się Frielo (Friedrich) zu Laden. (1)

Imię i doba czasu zgadzają się z sobą, stan zaś szlacheckiej rodziny wymagał wyższego ukształcenia. Tegoż samego Friela dziad, *Frielo Gensfleisch*, radca moguncki, stronnik arcybiskupa Henryka, wskazany będąc na wygnanie przez cesarza Ludwika, 27 lutego 1332 r., nigdzie bezpieczniejszego schronienia nie mógł znaleźć, jak w Czechach u sprzymierzeńca papieża przeciwko cesarzawi, u króla Jana. Większa część obywateli w Kutnej-Górze w 14 wieku była niemiecka; w r. 1338 Korzynek przytacza siedm magistrów Czechów i siedm Niemców. Starszy syn wygnanego Friela podpisywał się *Petr Gensfleisch*, i później był budowniczym i burmistrzem w Moguncji, lecz młodszy syn Friela *Klas* (Niklas) przyjął imię *von Gutenberg*, córka zaś Klara, matka mistrza Jana Guttenberga, nazywała się nawet po śmierci swego małżon-

(1) Rozgałęzione rodziny w wieku XIV i XV często zmieniały swoje imiona, zwyczajnie podpisywali się podług pobytu lub swego miejsca urodzenia.

ka Friela Gensfleisch—*Else zu Gudenberg*. Przydomek *Gutenberger*, von i zu *Gudenberg* (1) lepiej nie mogą być wytlómaczone, jak przez *Kutnogórski z Kutnej-Góry* i w *Kutnej-Górze*. Takie predykaty same z siebie dają świadectwo. Idealistom lepiej może się podobać niemiecki wykład domowego szyldu w Moguncji „*zum guten Berge*,” nam się zdaje zupełnie niedorzecznym.

Imieniem *Gutenberger* albo *Gutenberg*, w Moguncji oznaczano swego sąsiada, pochodzącego z *Kutnej-Góry*; dom zaś jego nazywał się podług niego: *zum Gutenberger*, albo *zum Gutenberg*, t. j.—u *Kutnogórskiego*.

Niemiecy pisarze dotychczas nie zgodzili się, z jakiego rodu pochodziła matka *Gutenberga*, *Else zu Gutenberg*; jedni, a razem z nimi przezorny *Welter*, myślą, że pochodziła z pokolenia von *Gutenbergow*, byłych dziedzicznych komorników mogunckich dawniej nazywanych *de Turri* (2). *P. Dahl* zaprzecza, że niby ród jej nie miał styczności z komornikami mogunckimi. Spór ten rozstrzyga dyplomata z 6 listopada 1401 r. świadcząc, że „*Johann Gensfleisch von Mentze der Junge*“ od *Adofa* hrabiego *Nasauskiego* przyjął te same lenności, których używał ojciec jego *Klas von Gudenberg* (drugi syn *Friela Gensfleisch*). Dziedzic wyżej wspomnionych męskich lenno-

(1) Litera *D* i *T* mylić nas nie mogą; Niemcy długo rozprawiali o tém, czy mają pisać *Deutsch* i *Brod*, albo *Teutsch Brot*. Imię Czeskiéj *Kutnej-Góry* wyprowadzili od kutte (mniechowska suknia), którą niby mnié; przykrył srebro w dzień z ziemi wyrosłe; inni od srebrnego dobytku (*gut*), w który te góry obfitowały. Czesi nazywają je *Kutną - Górą* dla tego, że mając trzy garby tworzy z natury *kąty* (*kuty*). Niemiecki więc przekład byłby—*Ekkenberg*.

(2) *De Turri* znaczy z *Wieży*. Rzecz godna uwagi, że panowie *Wieźnikowie* także mieli dom w *Kutnych-Górach*.

ści, Johann Gensfleisch von Mentze, uznany jest za stryja Jana Gutenberga, co zupełnie potwierdza, że był rodzonym bratem *Elsy zu Gudenberg* córki *Klasa von Gudenberg*, matki Jana Gutenberga naszego mistrza. — Więc matka jego pochodziła z *młodszej* i mogliśmy powiedzieć, z *czesko-kutnohorskiej gałęzi rodziny Gensfleischów*. Niedalekowidzący pisarze przyczepili naszemu mistrzowi przydomek jego krewnych ze strony matki, nazywając go jednak kawalerem *zum Jungen* albo *zum Sorgenloch*, — ostatni ten przydomek później przyjęli synowie jego stryja.

Jakiś stosunek do górnictwa wskazują także przydomki przyjaciół Gutenberga: *zum Gelthus* (Gelthaus), *Bechtermünze* i predikat właściciela domu *zum Gensfleisch* od r. 1432—1443 Piotra *von Silberberg*. Strazburczycy mylnie tłómaczyli wyraz kroniki reńsko-kolońskiej „*Argentina oriundus*“ przez Strasburg, nie wiedząc że w aktach łacińskich XV i XVI wieku (srebrne) górnicze miasta w Czechach, także nazywano *Argentina*. My zaś to wyrażenie, zgodnie ze wszystkimi wyżej przytoczonymi dowodami, śmiało stosujemy do Kutnej-Góry, i utrzymujemy, że *Jan Gutenberg* pochodzi z *Kutnej-Góry*. Owszem urodzenie jego w Czechach przypisujemy przypadkowi. Bez wątpienia urodziłby się w Monguncji, gdyby rodzice jego r. 1411 nie byli stamtąd wygnani. Jego matka szukała schronienia tam, gdzie jej ojciec i dziad przynajmniej na niejaki czas przebywali.

O *wychowaniu Jana Gutenberga* nic nie wiemy w Niemczech. My zaś podług dziejów tamtego wieku poważamy się na domysł, że Gutenberg z swojemi rodzicami znajdował się w Kutnej-Górze, jeżeli nie przed

spaleniem jej przez Żizkę, przynajmniej przed połączeniem się Góry z Pragą w maju 1421 r.—Ojciec jego, waleczny wojak i gorliwy katolik, służył, podobnie jak inni kutnogórscy wojacy, na początku husyckiej walki, pod cesarzem Zygmuntem, i niezawodnie musiał zginąć w krwawej bitwie. Owdowiła Else z Kutnej-Góry (zu Gudenberg) nie mogąc, przed objawieniem sprzymierzenia przez arcybiskupa Konrada, powrócić do Moguncji, dopiero w r. 1430 toczyła sprawę za niepełnoletniego syna. Sam zaś po raz pierwszy ukazał się w Niemczech, w Strasburgu, w r. 1434, wystąpiwszy tam przeciwko pisarzowi mogunckiemu. Tamże w r. 1437 *Ennel von der isernen Thür* (eisernen Thüre) pozwała go do sądu duchownego, z przyczyny przyręczonego jej małżeństwa.

Niemcy bez dowodów wydają ją za szlachciankę Strasburską, my zaś podług wiarogodnych badań uważamy ją za rodzoną Prażankę, pochodzącą z domu *żelaznych drzwi* (zum eisernen Thüre).

Od roku 1437 Jan Gutenberg w klasztorze Arbogastów w Strasburgu trudnił się *szlifowaniem kamieni, robieniem zwierciadeł* i wygotowaniem drobnych rzeczy z *ołowiu*, które robił na sprzedaż w czasie uroczystej pielgrzymki do Akwisgramu, w r. 1440.

Za wniesieniem umówionej części pieniędzy przystąpili z nim do spółki mieszczanie Strasburscy Andres Drytzehn, Hans Riffe i Andres Heilmann, których, na własne ich żądanie, nauczał tak w wyżej wspomnianych, jak *we wszystkich znanych mu tajemnych umiejętnościach albo awanturach*. W Grudniu 1438 r. umarł pierwszy jego wspólnik Andres Drytzehn. Jego dzieci wdzierali się do spółki Gutenberga, lecz

kiedy im odmówiono, wytoczyli prawne poszukiwanie przeciwko niemu. Senat strasburski wyrokiem swoim 12 Grudnia 1439 r. postanowił, aby Gutenberg 15 guldenów zapłacił dziedzicom Drytzeha, ci zaś, aby dalszego poszukiwania zupełnie zaniechali. Wygotowawszy szlifowany i ciosany swój towar, Gutenberg w r. 1440 udał się na świąteczne uroczystości do Akwisgramu; lecz znowu się wrócił do Strasburga, jak świadczą o tem dochowane dotąd zapisy jego długów od 2 Stycznia 1441 r. i 15 Grudnia 1442 r. W tamtejszych celnych rejestrach także jest wzmianka, że *Hans Gutenberg* świętojerskie cło od wina sam zapłacił w r. 1443, roku zaś 1444 zapłaciła *Ennel Gutenbergin*, dawniej nazywana *Ennel von der isernen Thüre*. Te współczesne akta udowadniają, że Jan Gutenberg w r. 1440 znajdował się w Strasburgu i przez niejaki czas był na świętach w Akwisgramie; a więc w r. 1443 nie mógł wynaleść w Moguncji sztuki drukarskiej, albowiem wtedy jeszcze go wcale tam nie było. Dopiero w r. 1443 skończył się termin umowy Gutenberga z wyżej wspomnionemi mieszczaniami Strasburskiemi. Od wiosny 1444 r. w Niemczech znikają już wszelkie po nim ślady, aż nakoniec w październiku 1448 r. jest o nim wzmianka w Moguncji. Ci, którzy znajdowali go tam w r. 1443 pomięszali go z jego stryjem *Henne Gensfleisch*, który tegoż roku wynajął w Moguncji dom *zum Jungen* i gdzie dopiero w r. 1450 Jan Gutenberg zaczął urządzać drukarnię. Nieobecność Gutenberga w Niemczech począwszy od wiosny 1444 r. aż do jesieni r. 1448 zmusza nas szukać go gdzieindziej. My znajdujemy go r. 1445 w Pradze. W łacińskiej dziekańskiej księdze (lib. decan. fac. philos. Ob. Monum.

univer. Prag. II. str. 26) dziekan nauk wyzwolonych Marcin z Lauczie przytoczył do dwudziestu akademików (*) którzy 17 kwietnia r. 1445 zdawali ścisły egzamen; w liczbie ich stoi także *Joannes de Montibus Kutnis*, t. j. *Jan z Kutnej-Góry, Johann von Gutenberg*. Tenże 18 listopada 1445 roku pod magistrem Janem z Przybramy otrzymał stopień *bakalarza nauk wyzwolonych*.

Tu następuje się ciekawe pytanie: czy *Pragski bakalarz nauk wyzwolonych z r. 1445 jest jedna i ta sama osoba z znakomitym Janem Gutenbergiem!* Wszelkie okoliczności osób, miejsce i czas to potwierdzają.

Ślady sztuki drukarskiej ukazują się już w najdawniejszych czasach. Jeszcze w roku 1080 przed Nar. Chr. Chińczycy mieli pewny rodzaj druku. Według Cicerona (natur. deor. II. 20.) i Kwintiliana (Justit. orat. 12.) Rzymianie także mieli z masy zrobione czcionki. Włoski akademik Vincenzo Requeno poznał na niektórych rękopismach z X-go wieku, że litery jakby ręką wytłoczone były na pergaminie. W XIV wieku Niemcy wytłaczali karty do grania i t. d.

W Czechach znajdziemy jeszcze większe źródło sztuki drukarskiej.

(*) Egzaminatorami Gutenberga byli: dziekan *Martinus de Laucicia*, i magistrowie: *Johannes de Przi Bram*, *Mauritius de Benesow*, *Joannes de Hilprunna*, a *Joannes de Czaslavia*. Imiona egzaminowanych: *Thomas de Cladrub*, *Joan. de Hernoberg*, *Wortwinus de Oxenfurt*, *Wenc de Teplu*, *Daniel de Sobieslavia*, *Nicolaus de Slavetin*, *Henricus de Cola*, *Nicol. de Nova Domo*, *Wenc. de Wrben*, *Joan de Munerstat*, *Stanisl. de Welivara*, *Wenc. de Mnysek*, *Wenc. de Huplecz*, *Wenc. de Telez*, *Vitus de Kopitlen*, *Aegidius*, *Joannes de Montibus Kutnis*, *Joan. de Praga Doleatoris*, *Martinus de Choczna*, *Hermanus de Steinbach de Molhussen*. To są same przydomki od miejsc rodzinnych.

Szlifowanie kamieni, robienie zwierciadeł i odciskanie (prasowanie) ołowiu, w Strasburgu r. 1438 przez Jana Gutenberga potajemnie wykonywane i za opłatą kilku mieszczanom udzielone, oddawna znane były w Czechach. Jeszcze w XII wieku Czesi wykładali szlifowanymi kamieniami mury kościołów i groby świętych.

W Czechach oddawna także kwitnęło rzeźbiarstwo, lano i wybijano metale.

W grobie Opata Sarawskiego Sylwestra († 1160) znaleziono jego wizerunek z ołowiu.

W Kutnej Górze wybijano srebrne i złote pieniądze piękniejszym stępem, aniżeli gdziekolwiek w środkowej i północnej Europie.

Narzędzie do wybijania pieniędzy zupełnie podobne jest do prasy drukarskiej. W Pradze i w Kutnej Górze przed Gutenbergiem wylewano dzwony z napisami i obrazkami.

Tylko urodzony i wychowany w Kutnej Górze i naukowo wykształcony w Pradze r. 1445 *Joannes de Montibus Kutnis*, mógł mieć największą sposobność poznania wszystkich umiejętności, których Gutenberg potrzebował dla swojej nowej sztuki drukarskiej.

Zgodność czasu, imion, przydomków, miejsca urodzenia, zamieszkania i wychowania, wymaga, abyśmy pod łacińskiem jednoznaczącem imieniem *bakalarza* rozumieli Jana Gutenberga, który w Strasburgskim sądowym wyroku napisany jest: *Gutenberger*, u Fausta zaś Aschaffenburgskiego—*Johann von Guttenberg*.

P. Winorzycy obszernie zastanowiwszy się nad pierwotnie drukowanymi książkami, czyni następujący wniosek:

«Z tego krótkiego przeglądu daje się widzieć, że przed końcem XV. wieku żaden drukarz niemiecki nie przyszedł ani do Czech, ani do Morawji, ani do Szląska; dalej, że prawie wszyscy najstarsi z imienia znani drukarze byli bakalarzami nauk wyzwolonych a do tego wyłącznie Czechami, prócz jednego Morawianina, który jednak dawniej także przebywał w Pradze. Osobny kształt liter w dawniejszych czeskich książkach z pewnością udowadnia niezależność czeskiego druku od niemieckiego.

Gdy przypomniemy sobie najdawniejsze czeskie druki od r. 1417, 1421, 1425, 1441, i 1459, nakoniec mistrza Antonisza księgarza staropragaskiego († 1422) i mistrza Pawła Żydka z Pragi, który pierwszą deskotłocznię, drukarską deskę opisał i uczył się w Pradze, gdzie także bakalarz *Joannes de Montibus Kutnis* tj. Jan z Kutnej Góry—Gutenberg odbywał nauki, nakoniec gdy wspomniemy pierwszych drukarzy Pfystra i Pannasza nie pochodzących z Moguncji, — nie obawiamy się ani cudzoziemców, ani naszych przewrotnych ziomków, tylko śmiało objawiamy nasze dobrze udowodnione zdanie, że początki deskowego drukarstwa w Czechach, sięgają aż za rok 1417.

Do tego stosuje się dawne świadectwo czeskiego kronikarza *Marcina Kuthena* (1522—1564) przechowane przez *Mitisa Nimburskiego*.

«Jeżeli Czesi nie byli wynalazcami druku, przynajmniej przyczynili się do tego; a Jan Gutenberg, urodzony w Kutnej Górze (1412) i wychowany w Pradze (1445), bez wątpienia początki te poznał w Czechach, wprzód nim odszedł do Moguncji, gdzie wspólnie

z Janem Faustem i Piotrem Schöfferem (1450) wynalazł składane litery.»

P. Winorzycki kończąc swój artykuł mówi: «Niemając zamiaru czegobądź bezprawnie odbierać Niemcom, myślę, że naszą powinnością jest zachowywać to, co od nas inni przywłaszczyli sobie. W mojem badaniu nabyłem to pocieszające przekonanie, że nasi sławni przodkowie nie troszczyli się tylko o pospolite powszednie potrzeby, lecz także goriwie brali się do przedmiotów szlachetniejszych, albowiem w nich objawiły się: dążenie i siły nieskończonego ducha...»

Powyższy artykuł nadesłany nam przez pana Piotra Dubrowskiego, jest skróceniem obszerniej rozprawy, na autentycznych dowodach opierającej się, i bezwarunkowo ze wszystkich o rodowości Gutenberga dowodzeń, na zupełną wiarę zasługującej.

Przyp: Red:

— Dziesięć złp. na niewidzianą;—jeszcze, krewa! oho! szczęśliwy! Ale jak tu gorąco!—W istocie pokój, raczej alkierzyk, w którym zebrali się szanowni zwolennicy elbika, był nader szczupły. Na powalany stół dopalały się w dwóch butelkach łojowe świeczki, niepewne, ciemno-żółte rzucając światło na spocone twarze grających, z których jedni stali, drudzy siedzieli na kulawych zydlach lub wywróconych beczkach przypartych do wilgotnej i brudnej ściany. Rozmaity ubiór poniterów; łysiny i czupryny; wygasłe bez życia spojrzenia; tryumfujący bankier; potłuczone i całe butelki; — wszystko zaś otoczone gęstą atmosferą dymu fajczanego, tworzyło obraz godny flamandzkiej szkoły. Na najwyższej beczce siedział bankier, mógł mieć lat czterdzieści,—małe, zyzowate, ciemno-piwe oczy, z pośrodku których wyskakiwał nos długi, garbaty, gęste, kędzierzawe włosy, zarost mocny i częste podnoszenie lewego ramienia, zdradzały, że nie z północnego szczepu pochodzi. Miał na sobie poplamiony, długi surdut granatowy, jasno-niebieską chustkę na szyi, i oliwkową kamizelkę, zapiętą aż pod brodę. Wyschłymi palcami zręcznie tassował pobrudzone karty,—był to gospodarz i właściciel kawiarni, co wązką sionką łączyła się z tym alkierzem;—nazywali go Jakóblem, a bliżej znajomi poniterowie Jakóbkim z pieszczoty.

Tuż przy nim siedział emeryt kancelista, pan Drewko, bardzo umiarkowany poniter, stawiał tylko po groszu na zwyczajną kartę, a po trzy na figurę. Dziobata owalna twarz jego i jasno-bure oczy wyrażały doskonały spokój i milczenie duszy. Łysina starannie resztkami włosów przykryta, kołnierzyki wzorowej białości się-

gające do uszów, i czerwona chustka od nosa rozpo-
 starta na zydłu z obawy poplamienia ubioru, otóż dal-
 sza barwa pana Drewki, który w ogóle nadzwyczaj był
 podobny do starego, wysłużonego pióra, oskrobanego
 z atramentu i świeżo zatemporowanego.

Daléj zajmował miejsce jakiś poczciwy, czerwo-
 nych policzków obywatel, w podszytym czarnemi ba-
 ranami tołubie. Daléj jakieś cztery nikczemne figu-
 ry, lubiące często zaglądać pod stół do butelek. Za
 niémi stał oparty jedną ręką o krawędź stołu a dru-
 gą trzymając fajkę, wysoki w średnim wieku mężczy-
 zna. Twarz jego znacznie odmienna była od poprzedza-
 jących. Czoło wysokie otaczały gęste, szpakowate wło-
 sy, w szarych oczach, teraz nieco odurzonych, prze-
 bijał się jakiś wyraz szlachetniejszy, a zawiesziste wą-
 sy często przygłaskiwał ręką. Ubrany był w wy-
 tarty szaraczkowy surdut; w dziurce od guzika widać
 było wstążeczkę; nazywano go kapitanem, bankier
 zaś często mówił z pieśczo: a ty łajdaku kapitanie!
 Z drugiey strony bankiera siedział na zydłu, okry-
 ty płaszczem, jakiś młody człowiek, ale długie cie-
 mne włosy spuszczone na czoło i niebieskie oku-
 lary niedozwalały dokładnie rozpoznać jego twarzy.
 Gra szła daléj: pan Drewko postawił grosz i poprze-
 stał na jednej karcie, inni rozmaicie stawiali. Kapi-
 tan długo szukał po kieszeni, nareszcie wyjął dwa
 złote, dociągnął się i skrewił.

„Jakóbkku! czy pozwolisz mi na słowo postawić
 dwa złote, bo już nie mam ani grosza“ zapytał po chwili
 bankiera. „Na co masz w długi wchodzić“ odpowie-

dział bankier, i nachyliwszy się przez stół poszepnął mu coś do ucha.

— Cha! zgoda, odrzekł kapitan, potem zdjawszy z palca złotą ślubną obrączkę, postawił na nową kartę 10. złp.—*Va.* Jeszcze karty!

— U mnie w pół do dwunastój; rzekł bankier z uśmiechem odsłaniając karty.

— A u mnie tylko ^{ście}, poszepnął kapitan, i obrączka potoczyła się do bankiera.

Młody poniter w okularach obojętnie odrzucił swoją przegraną, ale uważniej zaczął się przypatrywać ciągowi gry.

— Szczęśliwie dzisiaj kochany nasz pan Jakób dobrodziej ciągnie,—wyrwał się pan Drewko, poprawiając kołnierzyków, i odsunął trzy grosze bankierowi, potem dodał jakby na pociechę: »nieszczęście w karty, szczęście w miłości, jak mawiał nieboszczyk referendarz.“

— Dalej, dalej panowie, wołał Jakóbek. Cóż to nie grasz kapitanie? co u diabła, możesz się jeszcze odegrać, wszakże masz — i przechyliwszy się przez stół, znów mu coś cicho poszepnął do ucha.

— „Cha! cóż robić? odpowiedział kapitan i wy dobył z zanadru krzyż na takiej samej wstążeczce, jaką miał w dziurce od guzika.

— No!—zawołał bankier.—Ale nagle kapitan zdrzął i skwapliwie krzyż schował.

— Nie—nie,—krzyknął ochryplym głosem. Za nic w życiu—ile dasz na ten surdut?

— Surdut?—surdut przyjmuję w dwudziestu złotych,—odpowiedział śmiejąc się bankier.

— Jakże pan dobrodziej pójdiesz do domu, zaga-

dnął Drewko, chyba że pan masz płaszcz!— ale jak mawiał nieboszczyk referendarz: «kto nie ryzykuje ten i nie zyskuje.»

— Karty Jakóbk! jeszcze, dosyć! wołał kapitan.

Poniter w niebieskich okularach nie spuszczał oka z kapitana i z bankiera, na pierwszego spoglądał z wyrazem prawie-litości, na drugiego, który się właśnie dociągał, z wielką uwagą.

— U mnie w pół do 12tej, zawołał Jakóbek.

— A u mnie 11^{ta} tylko.

— Dawaj surdnt, dobrze ci tak—wymówił bankier i już na nowo chciał tasować karty, gdy nagle poniter w okularach silném uderzeniem, żyda z beczki na ziemię powalił, a podnosząc trzy karty, zawołał: „Tak to wygrałeś oszuście“ i pokazał 8, 9 i 10. Ale szanowne zgromadzenie, prócz załknionego pana Drewki, dość obojętnie przyjęło to odkrycie.

— Co to? jak wpan śmiesz?—wołał rozjuszony Jakóbek,—czy wpan widziałeś; ja pojedę do kommissarza, że tu breweryje wyrabiasz.—Ale w tém kto zapukał mocno do drzwi.

— „Cicho! to patrol,—poszeptał Jakóbek,—no, no kapitanu, nie gniewaj się, i pan niech się nie gniewa; masz stary obrączkę i dziesięć złotych.

— „Otwórzcie, na miłość Boga otwórzcie, tu musi być mój ojciec.“

— „E, to nie patrol;—ale ktoby to taki? Jakóbek poszedł podedrzwi; Drewko zbladł; kapitan drżał, przypatrując się z zadziwieniem nieznanemu w okularach.

— „Otwórzcie!“—Kapitan jeszcze mocniej zadrzał.

— A czego chcesz? ktoś ty taki?—zapytał Jakóbek.

— Otwórz natychmiast! Drzwi otworzono: jakaś wysmukła dziewczyna otulona wytartą chustką, wbiegła prędko, a błędne spojrzenie rzucając w około: «Ojcie!—zawołała z płaczem,—matka umiera!»

I padła na ręce kapitana.

II.

Malarz — śmierć umie dobrze farb do-
bierać.

Werner.

Północ przeciągle wybiła na zamkowym zegarze; śnieg brzęczał po szybach, to osiadając na nich, to rozlewając się w wilgotne plamy, na których drżąc, brudno odbijało się światło gromnicy, trzymanej przez starą kobietę nad łożem umierającej.

— Czy Helena prędko powróci?

— Powróci, zaraz powróci, nie męcz się pani,—odpowiedziała staruszka, szepcząc pacierze.

— A mąż? mój Boże! mąż mój! biedna Helena! — I chwilę było cicho, tylko wiatr świszczał pod dachem, a spaczona komoda i stolik trzaskały niekiedy.

— Córkę, córkę mi prędej przyprowadźcie, wołała chora, Helenę mi przyprowadźcie, niech ją raz ostadni pobłogosławię.

Drzwi się odchyliły i wszedł kapitan z błędnym spojrzeniem, z twarzą obojętną, za nim nieznamy w okularach prowadził Helenę.

Kapitan postąpił ku łożu, wziął martwą żony rękę, i z początku zdawał się wpatrywać z tą niemą rospaczą, co sama siebie obwinia, w coraz to bledsze jej oczy. Potem czy skutkiem zbytecznej zgryzoty, czy skutkiem ponczu u Jakóbka, i jemu oczy blednąć zaczęły,—ale do snu. Helena uklękła w nogach łóżka, zasłaniając twarz rękami.—Nieznajomy zdjąwszy płaszcz i okulary zbliżył się także: — „może jeszcze będzie jaki ratunek“ poszepnął i wziął chorą za rękę.

„Boże!... Boże! parzy mnie, któż mnie tak sparzył?... ktoś ty taki?... daj mi pokój — miej litość nademną.“

— Uspokój się kochana żono, rzekł jakby zbudzony kapitan,— uspokój się, to doktor!

— Matko, droga matko!...zawołała zanosząc się od płaczu Helena.

— Uspokój się pani! odezwał się nieznajomy.

— Cha! niemogę, niemogę uspokoić się; bo ty niedługo i córkę moję ratować będziesz napróżno, ostatecznie pożegnanie ty jej oddasz. Ciebie słyhać karawanem zdaleka, a ja chcę życia, życia mi dajcie, na rok tylko. — Boże! matce dla córki daj jeszcze żyć, matka, matka cię błaga.—Boże! zlituj się!—A matka przeczuwa co się stanie z jej dziecięciem, bo to ciało z jej ciała, kość z jej kości;— panie, panie, ratuj!—I umierającej wystąpiło kilka sinoczerwonych plam na wyschłą, żółtą twarz.

Nieznajomy doktor kazał stariej wyjąć jedną poduszkę z pod głowy biedaczki a sam wybiegł co tchu po lekarstwo.

Konająca mruzczała z ciężkością jakieś niezrozumiałe słowa, gwałtem chcąc martwe spojrzenie zwrócić na córkę.

Niezdługo doktor powrócił, nalał w szklanke lekarstwa i podał do picia konającej, która chwilowo zamknęła oczy, potem łagodniejszym głosem cokolwiek przytomniej mówić zaczęła: „Panie! wybacz, nie wiem com mówiła, ale przestraszyłeś mnie mocno;— panie! zdajesz się być dobrym, w twoich oczach widzę litość i współczucie. Panie! niezapominaj o tém biedném dziecku, które zostaje teraz bez opieki, bez żadnej opieki. Ty niewiesz panie co nędza! — ty niewiesz do czego ona doprowadza, — tu spojrzenie jej chciało się zwrócić na męża, który podparłszy się ręką o stół, chrapał aż miło!... — Panie! przyrzekasz mi, że się będziesz opiekował a przynajmniej niezapomnisz o tój biedaczce, — choć przyrzeczenie wielkie zaciągasz, obowiązek święty, ale panie! poczciwy człowiek niewzdraga się, kiedy go prosi matka konająca. Przyrzekasz mi? — „Przyrzekam!“ odrzekł uroczyście doktor.

Chora chciała wyciągnąć rękę do niego i spojrzała na córkę. Doktor zrozumiał, kazał córce uklęknąć tuż przy poduszce, chora wzięła rękę jego i położyła na głowie sieroty, szepcąc, zapewne błogosławieństwo. — Nagle, głowa cokolwiek podniesiona, opadła jak kamień na piersi, westchnienie ciężko wysunęło się, sztywna ręka już zmarłej została w dłoni doktora.

Śnieg z większą gwałtownością zabrzęczał w okno, wiatr z piskiem uchyliwszy drzwi, zwolna przeciągnął przez izbę, jak gdyby duch śmierci przelatywał widomie.

III.

Piękne są rogi bawole, i wołe
 Piękne żubra, jelenia, co jak wiatr ucieka;
 Lecz najpiękniejsze na tym podole
 Są niezawodnie rogi człowieka.

Z jakiejś komedyi.

— Skądże ten zły humor pana?

— Racz mi pani przebaczyć, doznałem parę dni temu: wzruszenia przykrego, bolesnego nawet. Nieszczęśliwa matka zostawiła córkę sierotę.

— A serce pana zajęte zapewne dzisiaj obrazem owej nieszczęśliwej młodej, ładnej panienci w żałobie.— Eugiejusz uśmiechnął się i poprawiając okulary bez myśli dodał: „Wy kobiety zawsze tylko o tém sercu.“

— Odmawiacie nam wszystkiego, odpowiedziała młoda kobieta, bawiąc się okładkami Matyldy ale tej najpiękniejszej części duszy nigdy nam nie wydrzecie, bo ona naszym tylko udziałem, naszą własnością.

— Któżby go wam odmawiał, ależ przyznasz pani, że i my nie jesteśmy zupełnie jój pozbawieni.

Adela westchnęła kilka razy.—Niestety! poszepnęła, czemuż to serce nie biło i nie bije spokojniej, czemuż największe jego szczęście, cel jego, *uczucie*, tylu łzami okupić trzeba?!

— Jakto Adelo płaczesz?—Eugienjusz zbliżył się do niej z współczuciem, nie ledwie ze łzami, bo teraz pani Adela była śliczna. Z ciemnych jój oczu wysączyło się kilka łez, głowę oparła na ręce, którą zakryły

sploty płowych włosów, cała białość jej szyi i ramion najwydatniej się rysowała.— „Zaklinam cię, powtórzyl Eugienjusz, uspokój się, uspokój, zdaje mi się że męża głos słyszę. — Adela zeskoczyła nagle z kanapy. Niewspominaj mi o nim, zawołała, czyż ta zimna istota zdolna mnie pojąć, ocenić?; on zatruwa życie moje, on po moich najpiękniejszych marzeniach tak okropnie mnie zbudził. — Cóż mi po tej Warszawie, jabym stokroć wołała w naszej cichej i spokojnej wsi; co mi po człowieku, którego niekocham, którego niemożę kochać, z którym mnie młodą dziewczynę połączono.— O ty niewiesz ile ja cierpię!

I marzycielka ze łzami uchwyciwszy Eugienjusza za rękę, przytuliła głowę do jego piersi, a na w pół przymkniętych różowych ustach, konało jeszcze słowo: „cierpię.“ Eugiejusz złożył gorący pocałunek na czole ładnego stworzenia, gdy nagle stąpanie ciężkie i jednotonne dało się słyszyć w przedpokoju. — Adela, szybko odskakując, usiadła na kanapie, Eugienjusz tuż przy niej w krzesło i wzięwszy ją za rękę, czekał.— Drzwi się otworzyły.

— Pani masz lekką gorączkę, powiedział zwolna, bo też pani zawsze w domu przesiadujesz. Trzeba odbywać przejażdżki, niezapominać o swoim zdrowiu.

— E—cóż? bagatela, lekka migrena i gorączka, panowie zawsze przesadzacie nasze słabości, odpowiedziała Adela, kiwając głową otyłemu jegomości, który z uszanowaniem skłoniwszy się doktorowi, zaintonował:

— Ale pan, jak się nazywa, konsyljarz słuszną ma rację, widać gorączkę, takie rumieńce, jak się nazywa, gwałtowne na twarzy;— trzeba się ochraniać.

— Pani właśnie grzeszy zbyt czynnem ochranianiem się, chociaż teraz zima, w zamkniętym jednak po-
wozie najzdrowszy i najprzyjemniejszy spacer.—Zre-
szta piękna pogoda, dodał Eugeniusz, pokazując na
okno. Nagle szybko podniósł się z krzesła i zaczął pa-
trzyć przez szyby na ulicę.—Ulicą włókł się karawan
o jednym koniu, na nim stała czarna, drewniana tru-
mna, za trumną szedł wysoki mężczyzna w szaraczko-
wym surducie, i młoda zapłakana dziewczyna w ubo-
giej żałobie.—Pan Sebastjan (mąż) także zbliżył się
do okna.

— Jakiś pogrzeb, mości dobrodzieju, jak się na-
zywa, ubogi. Adela wstała także i spojrzała.

— Cóż pana ten pogrzeb tak zajmuje? zapytała,—
czy to ta zmarła? Ach zapewne to jej córeczka, ta pan-
na, co idzie za trumną, przedmiotem jego współczu-
cia?

— Ach!—odparł nieco prędko Eugeniusz —nieo-
bracaj pani w żart lub przycinek tego, co jej szczerze
powiedziałem, widzisz pani, że jeden koń ciągnie biedny
karawan, trzeba mieć szacunek dla uboższego pogrzebu.

— Co pan mówisz? zawołała Adela, panie dokto-
rze! przecież ja nie szydę.

— Pan doktor jak się nazywa, co mówi? powtó-
rzył pan Sebastjan.

Eugeniusz popatrzył jeszcze chwilę przez okno,
potem z szyderczym uśmiechem oddawszy ukłon Adeli
i jej mężowi, wyszedł.

— Czy zakochał się w tej sierocie? precedziła
przez zęby Adela.

— Czy jak się nazywa, zakochał się? mąż powtó-
rzył głośno.

IV.

I w Paryżu

Z owsa nie zrobią ryżu.

(Znane przysłowie)

— Buon giorno, servo,— jak się masz kochany Gienciu! siadajże z łaski swojej—Józef! cygar! No— cóż tam słyhać u twoich ładnych pacjentek? *Bravo! bravo!* jest czego powinszować, tak młody a już tyle *renomy*, ale *à propos*, widziałeś wczoraj operę u nas?

— Słyszałem wczorajszą operę.

— Jakże? nie szczególna — wszak prawda? Już w twoim Berlinie i Wiedniu lepsze masz opery. Cóż dopiero wielka opera w Paryżu, a cóż dopiero w Italii, w Milanie, w Firencyi, Neapolu, Tryeście; cóż to za efekt, co za biegłość w maszyneryi, jaka gracia!

— A muzyka? zapytał Eugeniusz.

— Ach, boska! te uwertury, te arje, te fjorytury zwłaszcza ta wystawa, te prześliczne śpiewaczki.

— Które opery słyszałeś w Paryżu?

— Robert i inne, których w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, bo to tyle się widziało i słyszało od czasu wojażu, ale mam zapisane, mam w moim puilaresie—Józef! mój biały puilares...

— Daj pokój! to potem— a w Medjolanie?

— Tu już nie jestem w stanie dać ci odpowiedzi dokładnej, bo choć bywałem na każdej operze, ale bywałem z Signoriną Bjanką, biedna Bjanka!—byliśmy tak sobą zajęci.

— Cóż to za Bjanka? — cóż się z nią stało?

— Biedna! poszła za mąż, poszła za nietęgiego *tenora*. Nieszczęśliwy mój charakter posepny i niedocieczony skłonił ją do tego kroku. O! biedna Bjan-ka! jakżeż mnie namiętnie kochała, *con furore*, po włosku. Z jakże miłym uśmiechem przyjmowała zawsze odemnie pakę *confetti* lub *zuccherini* czekoladowych. O! kiedy ją odwoziłem do domu, zawsze mi tak cz ule rzucała spojrzenie, wymawiając słodkie *la ringrazio* lub *grazia* tylko. Co za piękny kraj, ta Italia!—Te duże góry, te miasta starożytne, a ja wszędzie byłem, wszystko widziałem.—Żałuj, żałuj, Gięnciu kochany, żeś nie był w tym raj.

— I jakaż korzyść z tego widzenia?

— Jakto? korzyść?...materjalna żadna, owszem straciłem na same suknie z jakie 9,000 fr. podczas mojego dwuletniego pobytu za granicą.

— W jakimże więc celu jeździłeś, wybacz, że zapytam się śmiało?

— Otóż zapytanie! w jakimże się celu podróżuje? aby podróżować.—Któż co ma sposobność podróżowania może nie być w Italii, nieśłyszyc opery, nie-widzié Romy, Napoli, Herkulanum, Pompei, Wezuwiusza, Wenecji i Włoszek, Włoszek!—Pewno nigdy niejadłeś pomarańcz świeżo z drzewa zerwanych, chyba w pomarańczarni, ale co to? — Ja usypiałem w cieniu gajów pomarańczowych — a cyprysy, morwy, mi-gdały, a pod temi drzewami kobieta z czarném spoj-rzeniem. Ach! Italjo.

— Bardzo to dobrze wszystko. Ale ja niemam już dłużej czasu. Jakże twoje zdrowie?

— Zawsze w stanie normalnym.

— Cóż więc za interes miałeś do mnie, bo muszę się spieszyć?

— Mała bagatelka, mam cię prosić o pomoc w pewnym interesiku. Ale, ale:— dawno też byłeś u mojej siostry? Prosiła ciebie właśnie i dziwi ją, że zapominasz o swoich dobrych znajomych. Naczelnik, raczej szwagier, słaby jest podobno; niezapomnijże odwiedzić ich w tych dniach.

— Dobrze! ale do rzeczy, mój Alfredzie! bo nie mam chwili czasu do stracenia.

— Oto widzisz!... ale kto to?—zapytał Alfred służącego, który odpowiedział: «proszę jaśnie pana, przyszedł już pan Jakób.»

Cokolwiek zmieszał się Alfred.

— Dobrze, dobrze, — niech będzie łaskaw poczekać chwilkę, za pięć minut służę mu. Słuchaj więc, kochany Gięnciu, rzekł po chwili, człowiek który właśnie przyszedł, jest kotwicą interesu, który miałem do ciebie. Zgrałem się wczoraj w karty, a to na nieszczęście do szeląga. Do mamy pisać niechęć, bo tydzień temu przysłała mi pieniędzy, chciałem cię więc prosić, czybyś nie podpisał czasem zaręczenia na moim rewersie, — summa mała — 2000 złp. Bądź przekonany drogi Gięnciu, że wdzięczność, wdzięczność prawdziwa, jest moją cechą wrodzoną, familijną nawet.

— Przekonany aż nadto dobrze, odparł nieco szyderczo Eugениusz, — właśnie stanęła mu na myśli piękna blondyna, czarnych oczu, z Matyldą Sue w rękę. Twarz Alfreda przypominała rysy siostry. Chętnie, gdzież atrament i pióro?

— Ach! byłem pewny serca twojego, drogi Gięnciu

ciu. Tutaj jest atrament a tu pióro. Ale zatrzymaj się, zawołam tego co mi pożycza, poczciwy człowiek jak na żyda, on tu czeka właśnie. — Panie Jakóbie! niech pan będzie łaskaw popatygować się do nas.

Drzwi uchylono nieśmiało i wszedł w ukłonach znajomy nam Jakóbek, bankier *elbitowy*. Eugenijusz poznał go natychmiast, i pan Jakób zmięszał się, ale wytworny ubiór młodego doktora i wyraz twarzy zupełnie obojętny, zapewnił go, że to niemoże być ów niegrzeczny poniter.

— Niechże pan siada, panie Jakóbie! — poprosił Alfred.

— Zbytek łaski jaśnie pana!

— Co się tycze owój małej przysługi, którą jesteś tak dobry mi wyświadczyć, jużesmy z panem konsyljarzem całą rzecz *zaaranżowali*. — Pan konsyljarz zaręcza za mnie.

— Bardzo dobrze jaśnie panie! — Jakób wy dobył ogromny, brudno czerwony puilares, wyliczył papierami żadaną sumnę, odtrąciwszy procent; — potem obejrzał pilnie rewers, starannie go złożył i schował. — Po chwili, jakby mu coś bardzo korzystnego przypomniało się, zapytał beczelnie:

— Proszę jaśnie pana, cóż ów nasz drugi interes! czy jaśnie pan chce, żeby dzisiaj tę rzecz załatwić?

— Dobrze, dobrze, odrzekł Alfred niedbale i z uśmiechem, spoglądając na bankowe papiery leżące na stole, — potem nachyliwszy się do ucha Eugeniusza, szeptał dosyć długo. — Czoło słuchającego nieraz się marszczyło, na twarz występowała naprzemian bladeść i rumieńce, — nagle, jakby inną powodowana myślą, przybrała obojętny wyraz.

— Więc Jakóbie zgoda! Dzisiajszego wieczora czekamy, zawołał wesoło, odsuwając Jakóbkowi bilet stu złotowy.

— Słowo honoru będzie niezawodnie, odrzekł uradowany lichwiarz, podnosząc lewe ramie, i w tysięcznych ukłona wynosząc się za drzwi.

V.

Któż w twoję duszę o dziewczę młode,
Wlał tój melodji niebleskie skarby,
Smutnej, wesołej? Od twojej woli
Zależy zmieniać jej dźwięczne farby.
Malować czoło moje w pogodę
Albo je smutkiem sępić powoli,
Od twojej woli, o dziewcze młode,
O czarodziejko! od twojej woli.

L.

Wiatr smutno jęczał, krople deszczu spływały zwolna po szybach, jednotonnie uderzając o rynnę; w izdebce było cicho. Dwa łóżka lakierowane stały przy sobie, jedno okryte tylko prześcieradłem, jakoś dziwnie pusto, smutno wyglądało, na drugim spał wysoki mężczyzna w szaraczkowym surducie... Bliżej okna dopalała się świeca na klawikordzie, przy którym siedziała zamyślona Helena, oparłszy jedną rękę o wyszczerbione klawisze, na drugiej spoczywało blade dziewczyny czoło.

Oczy jej utkwione nieruchomo w światło, nieopisanego były koloru: to prawie czarne, to znowu szafirowe, a tyle duszy, tyle życia było w tém spojrzeniu, że zdawało się za każdą zmianą myśli, inną właściwą

barwę przybierać. Zresztą twarz jej bardziej pełna niż szczupła nie w sobie nie miała uderzającego, prócz czarownego uśmiechu, który bielutkie zęby pokazywał.

Wpatrzywszy się jednak głębiej w te zwyczajne rysy, widać było myśl, wybitnie na nich wyrażoną; na tem nie wysokiem czole widać było ślady wyższych marzeń. Dziewczyna podniosłszy głowę i rzuciwszy spojrzeniem po ścianach, uczuła się teraz tak samotną, tak opuszczoną, że młoda i ognista jej dusza zapragnęła jakiegoś podziału, którego nieme dumanie zaspokoić niemogło, jakiejś bliższej ulgi w smutku, i jakiegoś uczucia, coby współ — dźwięczyło z żalem po śmierci matki. Żywa jej wyobraźnia była gotową nadać formę myślom, — i blada twarz nieznanomego doktora narysowała się wybitnie w jej pamięci, a ciche przecucie szeptało, że on nie zapomni o prośbie matki na łożu śmiertelnem. Dusza dziewczyny błędziła daleko, daleko, gdy wszedł cichuteńko, na palcach, pan Drewko, sąsiad z 3go piętra.

— Padam do nóżek, do nóżek padam łaskawej panie Helenie dobrodziejce, pan kapitan spoczywa, mości dobrodzieju! — Helena kiwnęła głową, niezważając co mówi emeryt.

— Do nóżek padam i pokornie przepraszam, że śmiem błagać o trochę ognia do świecy, bo mi zapątek zabrakło, mówił dalej Drewko, kłaniając się niziuteńko, i pomuskując łysinę. Ten deszcz, mości dobrodzieju, panno Heleno dobrodziejko, ten deszcz zmoczył mnie, — drzewo drogie, ale myślę sobie, trzeba choć raz bał zrobić, — kupiłem dwie wiązki i napalę w piecu. Mój Boże! co za szkoda, że pan Zdzisław już tu nie mie-

szka, zawsze miałem drzewo od niego na podarunek; cóż to panna słaba, co?

Helena drgnęła cokolwiek, pierwój wszystkie władze jęj duszy natężyły się na uzupełnienie obrazu nieznanomego doktora, teraz imię *Zdzisław*, jakby dopominając się o swoje prawa, uporządkowało pomieszczone jęj myśli.

— Dobry wieczór! panie *Drewko*!—powiedziała prędko, — dobry wieczór, zamyśliłam się cokolwiek, przepraszam.

— Całuję nóżki panny dobrodziejki,— i *Drewko* w ukłonach wycisnął trzy nadzwyczaj głośne pocałowania na ręce Heleny.

— Więc mi wolno świecę zapalić?—zapytał z uszanowaniem, poprawiając kołnierzyków.

— A i owszem, ale pan coś wspomniałeś o panu *Zdzisławie*, — nieśmiało odezwała się dziewczyna.

— Cha, cha! o panu *prezesowiczu Zdzisławie*, mówiłem mości dobrodzieju, jaka szkoda, że tu nie mieszka, on choć troche żartobliwy, ale tak był dobry i dla mnie, i dla panny matki nieboszczki, świeć Panie nad jęj duszą. — Powiedziawszy prawdę, bo na cóż ją w bawełnę obwijać, szkoda że go niema w Warszawie;—ale korzystając z łaskawego pozwolenia, zapalam świecę i ślicznie dziękuję. — Pan *Drewko* pocałowawszy znów głośno Helenę w rękę, w ukłonach wyszedł.

Teraz dziewczyna zaczęła znowu marzyć o wyblądłej twarzy, dużych oczach i długich włosach *Zdzisława*, który był nieboszczki jęj matki dobroczyńcą, wspierając ją szlachetnie i delikatnie. Przypomniała sobie figle które płatał panu *Drewko*; uśmiech nigdy

nie schodzący mu z ust, i owę przyjaźń, jakby rodzeństwa, która ich łączyła. To uczyniło obraz jego zupełnie odmiennym, jednak również wybitnym jak obraz nieznanego. Dusza dziewczyny wachając się w wyborze, w głębokiem utonęła dumaniu, gdy znówu drzwi skrzypnęły i weszła niska figura w płaszczu.

— Dobry wieczor! zapiszczał głos przenikliwy. Na dźwięk tego głosu, jakaś niewytłomaczona zgroza przejęła Helenę, a gdy zrzucił płaszcz, biedaczka, drząc, poznała Jakóbka.

— Cóż to panna ogłuchła dzisiaj?... ojca nie ma w domu?

— Jest, ale śpi, odpowiedziała bojaźliwie.

— To go panna obudź, powiedz, że ja przyszedłem.

— Daj pan ojcu odpocząć, on tak zmartwiony.

— Pięknie mi zmartwiony, spił się dziś u mnie jak *sztok*, jeszcze mi winien za 5 szklanek ponczu. Ale kiedy panna niechcesz, ja sam obudzę:—wstawaj, stary Łotrze, mam do ciebie interes.

— Kto tam, kto tam?—wołał zbudzony,—czy to ty Helciu? powiedz matce, że jeszcze wcześniej, niech śpi.—(Na wspomnienie matki, Helena łzami się zalała).

— A to głupi stary! zawołał Jakóbek, jemu się jeszcze o żonie marzy.—Dziękuj Bogu że umarła i wstawaj prędzej, bo to ja, twój przyjaciel, Jakób.

— Co? mój przyjaciel, *sacre—dieu*, wołał rozmazany kapitan,—precz natychmiast,—i położył się na drugi bok.

Z początku zląkł się Jakóbek, ale potem zawołał bezczelnie.

— No, no—nie bredź, tylko zbudz się!— i silnego dał mu kułaka.

— Jezus Marja! co pan robisz? zawołała Helena.

— Co robie? budzę go, zobaczysz panna, on zaraz wstanie.—Chodź, chodź stary, będzie dziś u mnie prawdziwy huzarski poncz, pokredytuję ci z jakie sześć szklanek, utniemy przytém elbika. Jak Boga kocham, słowo honoru, będziesz się dobrze bawił.

Na wspomnienie ponczu i *elbika*, kapitan przetarł oczy, a na powtórzenie przez Jakóbka tych czarodziejskich wyrazów, wyskoczył z łóżka, wsadził czapkę na uszy i już był gotów do wyjścia.

— Ojczel! nie zostawiaj mnie samej, zawołała Helena, całując go w rękę.—Ja się boję, służącej nie ma, nie wróci tak prędko, nie odchodź mój ojczel!

— Zaraz przyjdę, odpowiedział obojętnie kapitan.

— Zaraz przyjdzie, powtórzył z uśmiechem Jakóbek, — jeszcze się nacieszycie.—Wyszli.

Wiatr dął, i deszcz jednotonnie uderzał o rynnę. Helena usiadła znowu przy klawikordzie, ale jakiś przestрах wstrząsnął jej nerwy, jakieś udręczenie wpiło się w chorowitą wyobraźnię, a muzykalna dziewczyny dusza już nie mogła dłużej wytrzymać w tém niemém pasowaniu się;—*przejście* dosyć biegłe i wyrobione dźwięknęło na strunach nędznego klawikordu.

Nie mając sposobności, Helena nie mogła być bardzo ukształcona w muzyce; matka pokazała jej początki a nadzwyczajny talent, raczej gienialne przeczucie doprowadziło ją do pewnego tylko stopnia ukształcenia. Ciche *przejście* zabrzmiało, jak łyzy cicho spływające po jej licu, potem zaczynały dobierać się akordy,

potem nareszcie głos nie uczony, ale pełen wrodzonego uczucia i rzewności zaczął improwizować pieśń przypominającą cokolwiek znaną arję z Roberta, „*grace!*” Helena tę tylko słyszała opéré i wiele jéj była winna, poznała bowiem czém może być muzyka; ale téż wrażenie jakie na niéj wywarł Robert, mogło tylko odbić się w prawdziwie artystycznej duszy. I teraz obraz nieznanego i Zdzisława przedstawiał jéj się to w postaci *Bertrama*, to *Roberta*. Zdawało jéj się, że każdy z nich stał za fortepianem i słuchał drżącego śpiewu; że najmniejszy ton nie pochodzący z właściwego wrażenia, które na niéj wywarli, nie uchodzi ich uwagi,— że każdy o całą jéj muzykę, o całą jéj duszę, jakby o swoją własność dopominał się. Skończyła, zdawało jéj się, że oba coś szeptali, lękała się odwrócić z obawy, żeby ich nie zobaczyć, nareszcie odwróciła się, cień jéj potwornie rysował się na ścianie, zadrżała i zakrywszy oczy dłońmi, przytuliła twarz do klawikordu. I znów tylko wiatr i deszcz słyhać było, a z resztą cicho w stancyjce na 3ciem piętrze.

Na dole, w sieni tego samego domu, trzy jakieś osoby, otulone płaszczami, dosyć głośną i żwawą toczyły rozmowę.

— A więc, *caro mio*, dopiątem nareszcie celu moich usiłowań.—Pocziwy Jakób! Masz jeszcze u mnie 20 złp.—odezwał się jeden, owinięty czarną szeroką peleryną z białą podszewką.

— Dziękuję jaśnie panu,—odrzekł, kłaniając się, niski w szaraczkowym płaszczu.

— Wyobraź sobie, rzekł znowu pierwszy, widziałem ją u Augustjanów, — jestem znawcą jak wiesz dobrze, twarz jéj nadzwyczaj mi Biancią

przypominała, — oczy ciemne i włosy ciemne, — patrzę, ubiór nie szczególny, — może będzie można co zrobić, pomyślałem. Kochany Jakóbek, któremu opisałem dokładnie jej pomieszkowanie, bom widział jak wchodziła do tego domu, zaręcza mi, że życzenia moje mogą być ziszczone, tylko trzeba trochę brzęku. Dałbym daleko więcej, tak mnie *zafrapowała*. — Ale masz jeszcze u mnie 20 złp.

— Dziękuję jaśnie panu! to jaśnie panowie będą tak łaskawi poczekać, a ja przyjdę najdalej za kwadrans po panów.

— Czy sama tylko mieszka, Jakóbku?

— Nie, ma ojca, ale albo ja głupi jaśnie panie, odpowiedział Jakóbek, zakredytowałem dzisiaj staremu ponczu, leży już u mnie jak zabity, a wróci pewno jutro rano.

— Poczciwe Jakóbisko! jaki dyplomata, za tę sztukę masz jeszcze u mnie 20 złp.

— Dziękuję jaśnie panu.

— Ale pamiętaj, odezwał się trzeci, który dotąd milczał, pamiętaj, że jeżeli dziewczyna jest niechętna, niewinna, a ty będziesz chciał używać jakiego podstępku lub przemocy, ciężko możesz za to odpowiedzieć.

— Jakto jaśnie panie? — zapytał się wachając Jakóbek.

— Fi! kochany Gięnciu, odezwał się pierwszy, pasterskie idee wyprowadzasz na scenę, i jeszcze ty — doktor, — fi, — fi, — idź Jakóbku, idź.

— Ale proszę jaśnie pana... nu nu pójdę, niech panowie poczekają, ja zaraz powrócę.

Lichwiarz wszedł cichuteńko na górę i pukał

długo; potem słyhać było skrzypnięcie drzwi, krzyk— i cicho.

— Wiesz co Gięnciu, ozwał się pierwszy, w którym poznajemy Alfreda, wiesz co, ciekawy jestem co on będzie do niej mówił, chodźmy cichuteńko i słuchajmy pod drzwiami. Ale trzeciego (Eugeniusza) już nie było.—Wyprzedził, ha! zawołał Alfred, *per bacco*, doktorska krew gorąca, idźmy za nim.

Gdy wszedł na 3cie piętro, doktor stał już przy drzwiach, pilnie patrząc przez dziurkę od klucza. Alfred stanął za nim.

— Czego pan chcesz o tej godzinie? ojca nie ma w domu, — wołała przestraszona Helena.

— Nu, nu, zwolna, niech się tylko panna Helena nie gniewa, ja mam tylko mały interesik do panny Heleny. Jakóbek wyjął z kieszeni kilka papierów stu złotych i położył na stole. No, jak Boga kocham, zawołał z przymileniem, to wszystko do panny Heleny należy, a tylko o małą, bardzo małą rzecz chodzi. Jeden bogaty, ładny, prześliczny kawaler, tak pannę Helenę kocha, że pod słońcem więcej kochać nie można, słowo honoru, ja już mówiłem o nim pannie Helenie. To wszystko do panny Heleny należy, aby on tylko mógł pannę dzisiaj odwiedzić. Nic złego, jak Boga kocham!—Ojciec panny Heleny tyle ma długów co włosów na głowie a grosza ani zajrzeć, wezmą go jeszcze do kozy, tych dni niezawodnie do kozy. Teraz bieda, a cóż potem będzie za bieda, a śliczny kawaler.

— Wielki Boże! czego ty człowieku chcesz ode mnie? Idź precz, bo będę krzyczyć.

— No, no, nie gniewaj się panna Helena, bo i ja się będę gniewał.

— O ja biedna sierota! jakże mnie mógł ojciec samą zostawić.

— Co tam ojciec, pieniądze lepsze od ojca, no co? może przyjsć kawaler? a widziała go panna Helena, to ten brunet przystojny....

— Precz, precz natychmiast, bo będę krzyczyć, — ratujcie, Boże wielki!

— Cicho! — zawołał Jakóbek przyskakując do niej i chwytając za ręce. Nadzwyczaj zręcznie i żywo zatkał jej usta chustką. Dziewczyna padła na ziemię bez przytomności, ale w mgnieniu oka drzwi z trzaskiem otworzono i prędko wpadł Eugeniusz, za nim pomięszany Alfred, cedząc przez zęby: «komedje niespodziewane!»

— Precz stąd natychmiast, podły zbrodniarzu! krzyknął Doktor. Jakóbek drżał, ręce mu opadły, bełkotał niezrozumiale: Jak Boga Kocham elbik, elbik, ósemka, newka, dyska, — to on, to on!

— Precz natychmiast! powtórzył jeszcze gniewnie Eugeniusz, wypychając go za drzwi, i zbliżając się do omdlałej Heleny.

— Przebacz jaśnie oświetlony panie, przebacz, wołał żyd drząc za drzwiami, oddam wszystkie pieniądze a nie wydaj mnie pan, aj aj—ja biedny! — Nie mogąc dłużej pochamować oburzenia, Eugeniusz wypadł do sieni, porwał nieczemnika za kołnierz i zrzucił ze schodów. Stoczył się na drugie piętro, potem słyhać było stękanie i chód powolny.

— Wody! krzyknął wojowniczy doktor, grzecznie wypraszając za drzwi Alfreda. Podniósł Helenę z podłogi i zaniósł ją na łóżko.

Gdy Alfred wychodził, z sąsiednich drzwi 3go pię-

tra wypadł nagle do sieni pan Drewko, w flanelowym kaftaniku i kuczbajowych pantoflach, szcękając zębami.

— Co to?... ogień, ogień? A to kto? Jezu Chryste! mości dobrodzieju! dajcie mi pokój panowie, ja wam nic nie winien, jestem Baltazar Drewko, urzędnik panowie!—urzędnik 35 lat mości dobrodzieju! od 16^{go} roku życia panowie.

— Wody niedołego, wody prędej dawaj!

— Natychmiast jaśnie wielmożny referendarzu! nie mości dobrodzieju! choć pan jesteś — i nie jesteś, ale zaraz będzie woda.

Drewko przyniósł szklanę wody, Eugeniusz skropił nią skronie omdlałej; otworzyła oczy.

— Uspokój się dziecię moje, uspokój, my tu jesteśmy twoi przyjaciele.

— Ach! czyj to głos? Czy matka moja przysłała mi anioła stróża,—zawołała z wysileniem dziewczyna, przytulając głowę do piersi Eugeniusza.

Ten odsunąwszy ją z wolna, zapytał się:

— Jakże, lepiej ci moje dziecię?

— Ach! to ty paniel!... zawołała na wpół ze łzami i na wpół z uśmiechem, i jakiś ją dziwny przestach ogarnął. — Skąd on się mógł tak prędko zjawić, kto go zesłał na mój ratunek? pomyślała sobie spoglądając z tkliwem uwielbieniem na twarz Eugeniusza, który kazawszy Drewce nieruszać się z progu aż do przybycia ojca, a Helenie przyobiecawszy, że jutro dowie się o jej zdrowiu, wyszedł niedługo...

I znów w pokoju Heleny było cicho, biedna płacząc leżała na łóżku, a wyobrażenia jej tém bardziej rozdrażniona tworzyła tysiąc nadzwyczajnych domniemywań

o Eugeniuśzu; czasem zadrzała na wspomnienie Jakóbka, ale potem zupełnie odrętwienie nastąpiło. — Drewko w płaszczu i w szlafroku wartował za drzwiami; nagle wiatr zawył, rzęsisty deszcz zaczął bić w szyby.

Ta dzika harmonia obudziła echo w harmonijnej duszy dziewczyny; — porwała się z łóżka i usiadłszy przy klawikordzie, blada, z rozpuszczonemi włosami, zaczęła grać chór piekielny z Roberta, a potem, własne jej uczucia potrzebowały własnej formy, zaczęła improwizować, ale teraz jeden tylko wpływ na nią działał; — stąd muzyka jej była nadzwyczaj plastyczna, każdy ton możnaby nieledwie odrysować. Ona, jej to samej uczucia, — to piano, ten minor tęschny, a to szalone i dzikie *forte* nagle huczące, — to oddźwięk wspomnienia Eugeniuśza.

VI.

Tancerz. „Protegez vous la mazure madame?”

Tancerka. Avec plaisir, Monsieur.

Tancerz. Enchanté, charmé de votre bonté, Madame.

Tancerz. Co pani woli: mazura czy kontredansa?

Tancerka. Kontredansa.

Tancerz. Zgadzam się z panią zupełnie, bo i ja bardziej cenię kontredansa.

Dwa ustępy z treści *tańczących wieczorów*.

— Moja Delciu! — mówił zbliżając się do żony pan Sebastjan, — wartoby, jak się nazywa, już niedługo rozpocząć tańce, — młodzież i panny niecierpliwe.

— Tymczasem można się bawić w gry rozmaite,— odrzekła Adela, jeszcze przybędzie kilka osób,— jenerałowa.

— Tak jest, masz słuszną rację, można jak się nazywa bawić się w gry rozmaite.

Jakoż wkrótce sformowało się koło i zaczęto się bawić w *synonimy*.

Salon państwa Sebastjanów zawsze strojny, dzisiaj odznaczał się jeszcze większą świetnością. Nie bacząc na krzewy w doniczkach, z poza których miły światło — cień łagodził jarzący blask zyrandoli, (włoski pomysł Alfreda) nie bacząc mówię na to, jakże go stroiło grono dam młodziutkich, młodych i odmłodzonych; to grono młodzieży, staro młodej, młodo-stariej; grono mężów i wdowców. Młodzież, jak zwykle młodzież na tańczących wieczorach, jednobarwna, raczej bezbarwna, prócz różnego koloru kamizelek, też same komplementa i nadskakiwania, taż sama złą francuzczyną rozmowa i plotki o balu u Z..... lub resursie. Odznaczał się najwięcej między nią Alfred, alpejskim, jak nazywał, węzłem u chustki, i częstém, niezgrabném wplataniem włoskich wyrazów w rozmowę o czekoladzie w Wenecyi.

Mężowie także ci sami co zwykle, z wstążeczkami lub bez wstążeczek, z nosami czerwonymi lub żółtymi, czubiaści, łysi, a czasem i w perukach. Niektórzy z nich rozmawiali o winie, Hiszpanii i pigułkach Morissona, drudzy o biórze i o pogodzie. Między ostatnimi odznaczał się pan naczelnik Sebastjan, gospodarz domu, swoim ulubioném „*jak się nazywa*”—i dużym łańcuchem od zegarka. I kobiety nareszcie też same, młodziutkie, wszystkie ładne; młode, przystojne; odmłodzone,

nie straszyla. Odznaczała się pomiędzy niemi w całym zgromadzeniu Adela, bladą, wyrazistą twarzą i namiętnemi oczyma, w których jakieś niecierpliwe oczekiwanie błyskało; — nudziła ją widać rozmowa i przyjmowanie coraz nowych gości, często bowiem tłumiła chustką ziewanie i co chwila na drzwi spoglądała. Gdy weszła oczekiwana pani Wińska, jakąś niechęć, wstręt i przymus widać było na twarzy Adeli, nastroiwszy jednak usta do uśmiechu, postąpiła kilka kroków i grzecznie przyjęła gościa. Wińska mogła mieć lat 38 do 39, wyglądała jednak najwięcej na lat 30. Cera jej twarzy śniadawa, oczy czarne nadzwyczaj żywe i bystre, gęste czarne włosy miały połysk nadzwyczajny, skład ust jeszcze dość świeżych i całej twarzy tchnął jakąś dziwną śmiałością, jakby efronterją, — zresztą ułożenie dość zgrabne, ubiór bogaty i gustowny. Z równą grzecznością odpowiedział na przywitanie i mile uśmiechnąwszy się do Alfreda, usiadła przy Adeli na kanapie i zaczęła cichą prowadzić z nią rozmowę. — Adela przymuszała się widocznie do odpowiedzi, wkrótce jednak zadźwięczył fortepian i skrzypce, rozpoczęto walcem. Jakiś młody człowiek uwolnił ją od towarzystwa Wińskiej, której znowu wkrótce Alfred z gracją ofiarował rękę. Przewalcowawszy, Adela wybiegła nieznacznie do trzeciego pół-buduaru, pół saloniku, i przez kilka chwil przypatrywała się w zwierciadle własnym rysom, potem gorzki uśmiech usiadł na jej usteczkach, czoło zasępiło się, i nieledwie z płaczem na wpół głośno powiedziała: «jeszcze go niema!»

— Przeciwnie, jest! — odezwał się ktoś na progu. Zmięszana odwraca się.

— Zdzis... zawołała z zadziwieniem;—jakżeś mnie przestraszył!—Z grzecznym ukłonem zbliżył się do niej, przystojny, młody, najwięcej 24 letni mężczyzna. Chorowita twarz jego na pierwszy rzut nosiła na sobie piętno jakiegoś smutku, jakiegoś wycieńczenia, czy z ciągłej zgryzoty, czy z burzliwych zmysłowych namiętności; oczy szare, jakieś ciężkie miały spojrzenie,— ale uśmiech, który prawie nigdy z ust mu nieschodził, czynił wątpliwem pierwsze wrażenie; wpatrzywszy się bliżej, uśmiech tak był właściwy tym rysom, że zdawało się, jakby ten człowiek wyrażał wszystkie uczucia jedynie uśmiechem. Płowe włosy spadały mu aż na kołnierz od czarnego fraka, który dość zgrabnie rysował szczupłą kibić; — reszta ubioru skromna, tej samej barwy, dobrze odbijała się od nadzwyczaj białej bielizny; ruchy miał swobodne i zgrabne, czasem może naumyślnie cokolwiek sceniczne.

— Jest, jest, (powtórzył, kłaniając się Adeli) wprowadzie nie ów szczęśliwy oczekiwany, zapewne pan Sebastjan, który teraz na nieszczęście dobija się o płatkę najzapamiętałej.

— Zdzisław zawsze pełen żarcików, mimo to nadzwyczaj mi przyjemnie powitać tak rzadkiego gościa, i zarazem zapytać się, co słyhać w naszych stronach? zagadnęła Adela z miłym uśmiechem, ściskając za rękę przybylca.

— Na pierwsze *przyjemnie* odpowiadam ukłonem, co zaś do drugiego, piękna moja kuzynko, pszenica tania, młode panny za starych mężów wychodzą, i faraon okropnie się upowszechnia.

— Mój kuzynek zawsze tak odpowiada jakby po kolacyi.

— Trafne spostrzeżenie, kuzyneczko, bo jeżeli nie jak po kolacyi, to jak najszczerzy wielbiciel tego posiłku, który sędzę, będzie dzisiaj u was dokładnie urządzony.

— Dla dobra pana Zdzisława i moich gości starać się będę, żeby tego posiłku, zwłaszcza co do płynności, niebyło zanadto,—odrzekła z uśmiechem Adela.

— Zemszczę się kuzynko, zawołał trzpiot, i niby z uszanowaniem nachylając się do pocałowania ją w rękę, wyprostował się nagle, i na samych ustach lekki złożył pocałunek. Zarumieniła się trochę Adela, jakby obrażona, ale spojrzawszy na pokorną postawę i wieczny uśmiech trzpiota,—odgadłam więc, powiedziała, że mój kuzynek po kolacyi, i widzę, że zwyczaj całowania się po niej, tak czysto miejscowy, utrzymuje się w naszych stronach bardziej jeszcze udoskonalony, bo dawniej po większej części każda płeć pomiędzy sobą,— a teraz.....

— Teraz, ja chciałem to udoskonalenie upowszechnić, odrzekł Zdzisław, ale niebyłem w stanie przedrzeć grubéj ciemnoty, która niezawodnie jak mgła poranna ciąży na naszych barach i na naszych mózgach.

— Czy kuzynek nie pójdzie do sali przypatrzeć się mojemu towarzystwu?

— Pójdę pod warunkiem, że zaraz wyjdziemy, i że zaraz od samych drzwi zaczniemy walcować bez poprzedniego chodzenia, którego nienawidzę w tym tańcu.

— Dobrze—ale z poprzedniem chodzeniem.

— Cha! trudna! Na ukaranie za tę niechęć muszę powinszować mojej kuzynce. Prawdziwie niespodziewałem się, że znajdę w braciszku Alfredzie człowieka

tak ukształconego; pierwszy raz go widziałem po jego powrocie z Włoch, ale zaraz poznałem, jak się ukształcił:—z małych rzeczy poznajemy wielkie; tak badawczym wzrokiem spojrział na krój mojego fraka, zwłaszcza na kamizelkę, że inny więcej dandy, lub bardziej dbały, nie zniósłby tego spojrzenia, ja zaś pokorny zdałem się zupełnie na łaskawy sąd krytyka, tusząc sobie tembardziej, że będzie sąd łaskawy, bo frak ten i kamizelka robione w Wiedniu.

— Już będę z panem walcowała bez chodzenia, tylko daj pokój tym żartom.

— Daję pokój, powiedział Zdzisław prędko lecz z przyciskiem,—i bystro przeciągłym swoim wzrokiem spojrział w oczy Adeli.

Czoło kobiety zasępiło się, chwilowo zbladła i spuściła oczy; potem z uśmiechem nie podnosząc jeszcze spojrzenia, powiedziała z cicha: widzę, że pan Zdzisław coraz dowcipniejszy.

— Tylko grzeczność pani raczyła mnie obdarzyć tym zaszczytnym przymiotem, odrzekł obojętnie:—ale chodźmy walcować, dodał po chwili, przyjacielsko ścisnąc ją za rękę, i poprowadził do sali, gdzie przewalcowawszy zbliżył się do pana Sebastjana, zajętego rozmową z jakimś otyłym referendarzem.

— Pan naczelnik dobrodziej, coraz mi lepiej wygląda, słyszałem że pan Prysznica używałeś latem?

— Tak jest, używałem jak się nazywa Prysznica, ale pan panie Zdzisławie bleśszy.

— Bo nie używałem Prysznica, odrzekł trzpiot poważnie, ale w lecie wyprawię sobie za to bal.

— Radziłbym panu dwa razy, jak się nazywa dziennie.

— Obowiązany bardzo panu naczelnikowi dobrodziejowi, nie omieszkać korzystać z jego rady;—dwa razy dziennie.

— Cóż tam mama, mojej żony porabia?

— Mama żony pana naczelnika a moja ciocia kochana, dużo rybnych potraw używa, co ma jej służyć;—szyje także czepeczki dla wnuczka wkrótce spodziewanego.

— Cha, cha, cha! pan jak się nazywa, zawsze żartyżarty, jak się nazywa.

— Najświętsza prawda,—widziałem sam jak garniowała;—ale kto jest ten wysoki młody w okularach, co wszedł dopiero.

— To jest, jak się nazywa, doktor, wyleczył moją żonę z ciężkiej nerwowej, jak się nazywa—et—et—z ciężkiej słabości.

— A słyszałem, czy to on radził panu Prysznica?

— On, to jest—jak się nazywa.

— Widać dobry doktor.

— O bez wątpienia—jak się...

— Widać to, widać,—ale ja tu tak miłą zajętą rozmową, zapominam, że mazur się zaczyna,—a mam tancerkę. I Zdzisław ze zwykłym uśmiechem oddał się, podając jakiejś damie rękę do mazura.

— Miły bardzo i grzeczny chłopiec,—rzekł tłusty referendarz,—w którym biórze pracuje?...

— To jak się nazywa majętny chłopiec, obywatel z Sandomierskiego, kuzyn mojej żony; on tylko w Warszawie czasem bawi; zwykle na wsi—jak się...

— A zdatny panie?

— O ho ho! jak się nazywa—po francuzku mówi!... *expedite!*...

— Szkoda, byłby z niego panie dobry aplikant, bo to rzadko pomiędzy nimi, żeby po francuzku mówili, ale chodźmy naczelniku, na nas panie kolej do preferansa.

— Chodźmy jak się nazywa referendarzu — i poszli.

— Jak widzę pan rozgniewany — mówiła z cicha Adela do Eugeniusza stojącego przy niej, — czy się też godzi tak zapominać, nieodwiedzić od tak dawna — i łaza niepostrzeżona zakreśliła się w jej oku.

— Jakże pani możesz sądzić żebym mógł się gniewać lub zapominać — odrzekł Eugeniusz dosyć znacząco — i z pewnym rozrzewnieniem. — Czarowne spojrzenie było odpowiedzią Adeli, ale zmięszała się nieco spotkawszy badawczy wzrok Wińskiej i przy niej stojącego Zdzisława, który nagle zbliżywszy się do niej, rzekł ze zwykłym swoim uśmiechem.

— Darujesz pani, że może przerywam zajmującą rozmowę, ale przysłano mnie ze zleceniem, które muszę wypełnić. — Pani Wińska słysząc oddawna o panu doktorze, którego i ja po raz pierwszy mam honor oglądać, — pani Wińska, powtarzam, pragnie osobiście zabrać z nim znajomość, korzystając z miłej sposobności i prosząc łaskawą a szczególną dobrodziejkę moję o zaznajomienie, — przytém mam zaszczyt jej powiedzieć, że ją zamawiam do przyszłego mazurka.

— Kto to taki? zapytał Eugeniusz, spoglądając za odchodzącym Zdzisławem, — twarz ta wesoła, bardzo zajmująca, oczy bardzo ładne.

— To mój kuzyn, odrzekła Adela, — doskonały, przytém bardzo ukształcony chłopiec, tylko trzpiot i dziwak znakomity.

— Bardzo mi się podobał,—ale raczże mnie przedstawić tej Wińskiej, która mnie tak pragnie poznać, dodał Eugeniusz z cicha.— Adela z westchnieniem zbliżyła się z nim do Wińskiej, której Alfred wychwalał matille włoskie,—i zaprezentowała go z jakąś bojaźnią i pomięszaniem.

— Pan z których stron? zapytała Wińska Eugeniusza, po znanych formułach przedwstępnych.

— Z Lubelskiego — odrzekł zapytany.

— O! znam bardzo dobrze wszystkie familje tameczne.—Papa pański czy żyje i gdzie mieszka?..

— Ojciec mój, łaskawa pani, po wyjściu z wojska mieszkał pod Krasnym-stawem.

— Ach znam, zdaje się pułkownik.

— Nie, pani,— porucznik.

— A—a, bardzo mi przyjemnie—w istocie nie—to ja nieznam papy, znam pułkownika, rzekła Wińska z ukrytym uśmiechem. To pewno brat — ale papy nie znam.

— Bardzo wierzę, odparł Eugeniusz—i po kilku obojętnych słowach wrócił na dawne miejsce.—Adela wyszła z sali,—Zdzisław który był świadkiem poprzedniej rekomendacyi, bystro spojrział na Eugeniusza, potem wzięwszy dwa spodki galarety, którą właśnie obnoszono, zbliżył się do niego:

— Nim zaczną znowu tańczyć, rzekł z uśmiechem, niech mi będzie wolno uścisnąć twoją rękę, i samemu przedstawić się, wykraczam wprawdzie przeciw prawidłom etykiety, sądzę atoli że nie jesteś pedantem w tym względzie, tymczasem uwolnij mnie od jednego spodka i przyznaj, że przewyborna galareta. Z uśmiechem

podał mu rękę Eugeniusz, uścisk był szczery i gorący. Potem wskazując na miejsce przy sobie:

— Daruj, że pierwszy raz widząc cię, śmiem się zapytać, kto jest ta Wińska?... Nie bawię jeszcze roku w Warszawie, mało bywam w tak zwanych towarzystwach,—klasa nazywana niższą więcéj mnie zajmuje, studjuję ją nawet. Ale wracając do tój Wińskiej, kobieta ta ma w sobie coś tak wygadanego, coś w oczach tak wytartego, że wprost ujemne wywarła na mnie wrażenie, — a wrażenie rzadko mnie myli.

— Proszę, z doktora wrażenny, odpowiedział Zdzisław; obowiąskiem moim zadosyć uczynić jego ciekawości.— Wińska, Wińska, nazwijmy ją, żeby niewiedziano o kim mówimy, wroną. *Wrona* więc jest to wielki mechanik,—głowa jakich mało,—sławnie układa lisa w sztossa,—przytém przewybornie łudzi niewinne dziewczyny i młode mężatki;—dziwi mnie, gniewa nawet, że u Adeli ten brudny wiecheć znajdować się może;—ale Adela tak kocha swego brata Alfreda, który musi mieć z wroną interesiki, przytém może inne okoliczności, o których przecię wątpię,—powodują biedaczkę do tego.

— Jakie okoliczności?—zapytał prędko Eugeniusz.

— Jeżeli są jakie, odparł Zdzisław, sądzę że niepotrzebujesz wymienienia tychże, — bo —niech nigdy w życiu już się nie roześmieję, jeżeli w komedyi tu odgrywanéj, ważnéj nie zajmujesz roli.

— Nie rozumiem, odrzekł Eugeniusz, z zadziwieniem spoglądając na śmiejącą twarz sąsiada,—W tój chwili wbiegł służący i poszepnął kilka słów, ale tak, że i Zdzisław usłyszał.

Obadwaj wyszli natychmiast. Zabawa nieprzeszawała, — błyszczące i znużone oczęta tancerzek tak dziwnie spoglądały na spocone twarze tancerzy, dźwięk muzyki tak łęchtiał ucho, tak pobudzał do tańca, taka miła woń i ciepło właściwe tańczącym wieczorom wszędzie się rozchodziło, takie się jakieś upojenie kołysało w powietrzu, że dusza, nieśmiertelna dusza, najniezawodniej wtedy zasnęła, odstępując ciału, zwłaszcza nogom, zaszczytu życia.

Także wist i preferans nieprzeszawał w drugim salonie; — wonne powietrze drżało od ciągłych wykrzykników: «trzeba było panu *atutować* — jakże mogłeś niegrać w *karo*? — przez pana wpadłem, jakżeś pan pomagał?...»

— To tylko jedna scena III aktu wielkiego dramatu, mówił z uśmiechem Zdzisław do zasmuconego Eugenisza, wchodząc z nim razem; dramatu, którego pierwsze dwa akta opowiem ci kiedykolwiek, a teraz posłuchaj rozmowy mojej z wroną.

— Daj już tutaj pokój żartom, ten biedak zostawił sierotę nieszczęśliwą.

— To najmniejsza, ciocia moja, matka Adeli, kobieta nietylko stworzona do pielęgowania wychowanie, ale mająca passję do tego, z jak największą chęcią, za szczęście poczyta sobie mieć ją u siebie; będzie nam dziewczynę tak karmić wiejskimi przysmaczkami, że młoda artystka upasie się jak ponczek. Miałem już ten plan od dawna, tylko od twojej woli zależy wykonanie.

— Dobrze by to było, ale skądże ty znasz tak dobrze Helenę?

— E, to dawne dzieje, mieszkałem w tym samym

domu, byłbym niezawodnie u nich jutro, bo dzisiaj dopiero przyjechałem, posłuchaj teraz mojej rozmowy z Wińską, proszę cię usiądź blisko mnie.

— Niewierzysz pani, jak przykrego zdarzenia, właśnie z doktorem byłem świadkiem, rzekł z uśmiechem zbliżając się do Wińskiej.

Pewien nieszczęśliwy były wojskowy, zdaje mi się, że tego samego nazwiska co nieboszczyk półkownik, mąż pani, człowiek, który jak to mówią zalewał sprawę, z nędzy, tchnięty został paroksyzmem appoplexyi i pewno już nie żyje, bo krew pod lancetem wychodzić nie chciała; lubię bardzo appoplexją tchniętych, lubię słuchać ostatnich słów tych biedaków, w nich po większej części mieści się historia całego przeszłego ich życia.

Ten nieborak (tutaj Zdzisław podniósł głos) miał jeszcze dosyć siły do wyrzeczenia ochrypłym głosem: «Emilia złodziej!»

Wińska, drząc, chciała coś odpowiedzieć, ale cała jej efronterja daremnie się siliła na zniesienie wzroku Zdzisława, który mówił dalej.

Przyzna pani, że to dziwna zagadka, i powiedzawszy te dwa słowa, zdaje się jakby mu coś ulżyło, jakby mu nieco znośniejsza była śmierć tak nikczemna, przygotowana zapewne przez tę nikczemniejszą jeszcze Emilię złodzieja.—Potém zdołał położyć rękę na piersi,—odpięliśmy surdut, na piersiach było coś twardego,—patrzemy, krzyż wojskowy na niebieskiej wstążeczce, lepiej mu tam było niż na surducie, który pachniał spirytualnemi wyziewami;—pod tym krzyżem serce było jeszcze zwolna. Otóż poetyczna strona appoplektycznego nieszczęśliwego kapitana;—ale

teraz kto jest ten złodziej, ta Emilia? Rzecz ciekawa, zawołał Zdzisław tak głośno, że na około coraz większe grono osob ścieśniać się zaczęło, zajęte opowiadaniem. Wińska drząc wstała z kanapy, potem znów usiadła. Zdzisław, jakby niezważając na to, jeszcze raz powtórzył: kto jest ten złodziej, ta Emilia? muszę dojść. Wińska znowu podniosła się i nieledwie co tchu pobiegła do Adeli, pożegnała ją i wyszła. Grzeczny Zdzisław odprowadził ją do przedpokoju i żegnając się z uszanowaniem, jeszcze raz powtórzył: Emilia złodziej! Prawda że to ciekawe i interesujące?—Wińska zbiegła co prędzej ze schodów do powozu.

— A co doktorze, zapytał wróciwszy, to się baba kręci? Opowiedziałeś Adeli o tych biedakach? Opowiedz jej to zaraz; niech napisze do matki i ja się przypiszę, bądź u mnie jutro a najlepiej we czwartek, opowiem ci dramacik ciekawy, którego ty zaledwie parę scen znasz;—lecz teraz czas już na mnie,—do widzenia. Pożegnaj odemnie moję kuzyneczkę prześliczną, powiedz jej, że ją tak zawsze kocham, jak wtedy kiedy jeszcze byłem w szkołach a ona miała tę starą francuzkę guwernantkę, pannę Latour— ale ręczę, że jej tego nie powiesz, nawet nie wypada tobie.

Dobranoc perło doktorów!

W krótkce po odejściu Zdzisława wyszedł i doktor, i inni goście rozjeżdzać się zaczęli, a po sutęj kolacyi zostało tylko z całego wieczora pełno świec niedopalonych, ciastek i kości niedogryzionych. Zajmująca była rozmowa pana Sebestjana z piękną swoją żoną, przed udaniem się na spoczynek.

- Dobrześmy się, jak się nazywa, bawili.
- Dobrze.
- Kolacja była, jak się nazywa, wysmienita.
- Dobra była.
- Dobra noc kochanko, jak się nazywa.
- Dobra noc!

VII.

*La donna è come la castagna,
Bella di fuori e dentro ha la magagna.*

Przysłowie Włoskie

Dopóty dzban wodę nosi, dopóki ma się
ucho nie urwie.

Przysłowie Polskie.

— Garść piasku i krzyż rzuciłem na mogiłę biedaka.—

— Doktor bardzo patrzy mi na poetę! rzucenie krzyża nadzwyczaj efektowne i estetyczne;—a Helena? zapytał Zdzisław.

— Już jest u pani Adeli.

—Możesz powiedzieć, u Adeli, wolno ci, ale à propos, czy stary DREWKO nie płakał przy jej wyjeździe?

— I owszem, ze łzami pocałował ją trzy razy w rękę, —wiesz; że mnie szczerze rozrzewniła nie-ma boleść biednej sieroty.

— Wierzę! nie dziwnego! Ale coraz bardziej widzę, że serce wcale nie medyczne, oto ja, to na doktora

dopiero. Czy moja kuzynka tak cię usentymentowała?—Ale ona przytém dziedziczy coś z włoskiego charakteru Alfreda, jest zazdrosna i namiętna, mogła sądzić, jak mówiłeś jój z zapalem o sierocie.

— O czém? Zdzisławie!

— O niczém, mój panie, bo twierdżę, że za nadto przekonaną jest o wyłącznym affekcie dla siebie; z resztą tak śliczne i dobre stworzenie jak Adela, nie może się obawiać rywalki,—były dowody pewne. Jest temu półtora roku, piękna Polka bawiła u wód w X. bawił tam także młody doktor, Polak, zajmującą twarz i romansowego usposobienia, mówiono coś o ożenieniu, ale papa pięknej Polki, który już w Bogu spoczywa, oparł się temu. Polka wróciwszy do kraju poszła za mąż, za grubego naczelnika *jak się nazywa*, młody doktor także zjawił się w Warszawie i nie przestał zajmować się zdrowiem dawniej pacjentki, która w pół roku po ślubie wyjechała na wieś do matki;—ale pewno musiała zwiedzać piękne okolice po drodze, bo 25^{cio} milową podróż sześć tygodni odbywała—, a pan naczelnik *jak się nazywa* podpisywał referata tymczasem; a wrona nasza wietrząc gdzie żer, rozpuściła skrzydła i w swoim gnieździe karmi niemowlę i ściąga złotko i bywa u ładnej pacjentki, trzymając w szponach jój honor. Doktorze! nieostrożnie; nie trzeba było biegać w tedy po ubogich zakładach i darmo leczyć nędżę, ale pielegnować tę śliczną biedaczkę, która zaufała wronie, co się w białe piórka odziała. Ale chcesz, to ją wydrę jutro z jój szponów, mam sposób. A co? czy nie prawda to wszystko co powiedziałem.

— Przenikliwość muszę pochwalić, a szczerości

jako prostak wierzę;—ale niewiedziałem, że u wrony. — Dziękuję za pochwałę, za to co powiedziałem ręczę, a tymczasem—popij to *intermezzo* i posłuchaj *scenarium* dramaciku, który ci obiecałem opowiedzieć.—Pierwszy więc akt mego dramaciku kochany konsyliarzu ma miejsce w dużym domu, na nowym świecie, na pierwszym piętrze,—wchodzące osoby: pan pułkownik Wiński, jego żona i służący Jakób.—Wiński, starej daty *homo*, ożenił się z młodą i piękną herbową ale nie bogatą kobietą. Młoda żona chce co dzień nowych strojów, co dwa dni balów, co trzy dni nowego gościa, któryby urozmaicał suche *dobra noc* zgrzybiałego starca,—i cóż dziwnego, stary skąpi, żona grozi, grozi rozwodem,—stary choć ubóstwiał żonkę, martwy jak skała,—ale nagle ni zład ni zowąd umiera,—pewno ze starości; żona nawet nie chciała zezwolić na otwieranie zwłok ukochanych, które całkowicie pochowane zostały w katakombach, ze wszystkimi oznakami znakomitego stopnia nieboszczyka.—Na pogrzebie żona gorzkimi zalewała się łzami, ale o ileż łzy jej były bolesniejsze kiedy w szkatule za ledwo 10,000 złp. znalazła, a pensji spodziewać się nie mogła.—Na dokończenie tego mało znaczącego aktu, dodać nam wypada, że w wigilję śmierci lokaj Jakób faworyt pani, zaniósł chłopcu z apteki naprzeciw mieszkania będącej, 15 dukatów w złocie, zawiniętych w welinowy papier, — aptekarz dowiedział się o tych pieniądzach, sądząc że chłopak ukradł, wygnął go. Wińska przez rozmaite wpływy wyrobiła mu jakieś zatrudnienie, bo to był przyjaciel jej lokaja faworyta Jakóba.

Rzecz drugiego aktu dzieje się na Krakowskiem

Przedmieściu, na pierwszym piętrze, i na Podwalu na drugim i na trzecim.—Osoby: Wińska, kapitan brat zmarłego jej męża, i służący Jakób, teraz podobno właściciel kawiarni czy szynku.

Kapitan dopiero co przybył do Warszawy spieniężywszy szczupłą swoją wioseczkę, chce wyedukować córkę swoją zapowiadającą wielkie zdolności muzyczne, i wyleczyć żonę, ciągle słabą i cierpiącą.—Dobry ten ojciec i mąż w parę dni po swoim przyjeździe, odbiera wonny list od swojej bratowej, zapraszający go na wieczór.—Przyjęty jak najlepiej i uraczony przewyborném winem (a był zwolennikiem tego szlachetnego napoju) bywa coraz częściej; przyjmują go zawsze coraz lepiej i raczą, coraz lepszym winem, robią mu nareszcie piękne oczy; pijany kapitan zapomina o kwękającej żonie i bywa jeszcze częściej, przystąpi nawet czasem do gry, którą często u pięknej bratowej zastać można było,—ale gra jak najszcześliwiej. Raz przypadkiem, niezawodnie przypadkiem, odurzony winem i pieszczotami, grał nieco hazardownie, i znaczną, bardzo znaczną przegrał sumę, tak, że nawet nie był w stanie zapłacić.—Pocziwa bratowa zaspokoila za niego ten dług—i pocieszając go i pieszcząc namawiała, żeby jej powierzył swój kapitał, a ona potrafi go ulokować na procent, który mu w pół roku w dwójnasób tę bagatelę powróci. Kapitan z chęcią przystaje i dziękuje nieledwie na klęczkach pocziwej swojej bratowej, która lubiąc brać rzeczy energicznie każe zaprzęgać do powozu, i każe mu natychmiast przywozić jakie tylko ma w domu pieniądze, ponieważ jegomość który kapitał pożyczyć chce, jutro odjechać może, a im prędzej tém lepiej. Kapitan jedzie, zabiera w pu-

ilares nie ledwie cały swój kapitał, który miał w papierach; służący Jakób wsadza go z uszanowaniem do powozu, przyjeżdża do bratowej, otwiera puilares—pusty!—Kto? co? jak? jakim sposobem, szukał chodził, biegał, używał policji, przyrzekał nagrody,—daremnie!

Wkrótce poczciwa bratowa stawiała się zimniejszą, dając za przyczynę szpakowate włosy kapitana, nareszcie zamknęła drzwi przed nosem.—Biedna rodzina na Podwalu przeniosła się z drugiego piętra na trzecie, kapitan nie mogąc już pić wina pił potem wódkę, żona i córka były w najokropniejszej nędzy; nająłem wtedy pomieszkanie, patrzyłem z bliska na straszną nędzę. — Kapitan przyjaźnił się z Jakóbkiem, z tym samym co dawniej buty mu czyścił, a jeżeli żona za szycie jakie lub za lekcje na fortepianie cokolwiek zarobiła wyłudzał wszystko na wódeczkę groźbami.—Wkrótce musiałem wyjechać na wieś.

Co zaś do trzeciego aktu, ten się tylko z dwóch scen składa: Osoby: Kapitan, Wińska, Ty, i ja,—pierwsza scena kończy się śmiercią pijaka, druga zaś jest moja rozmowa z wroną,—ale muszę popić wina bo się zmęczyłem.

— Brudy!—krzyknął Eugeniusz—jak mogła Adela.

— Jak mogła powierzyć jej twojego synka? Nie nadzwyczajnego odparł spokojnie Zdzisław:—jak ci powiedziałem, wrona czychała na żer — spojrzała na listę młodych mężatek—Adela panna ze wsi, młodzianka, prześliczna, wciąga do swego domu Alfreda, zgrywa, potem pożyczka mu pieniędzy, Alfred wywdzięczając się, wprowadza ją do domu siostry, której smutek i zgryzota nie uszły trafnego oka wrony, potrafiła ułudzić niedoświadczoną, wcisnąć się w jej zaufa-

nie i dowiedzieć o tajemnicy,—to tak naturalnie... Ale słyszysz, otóż pływam na puchach harmonji. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że mieszkanie w hotelu prócz wielu innych dogodności ma jeszcze i tę jedną dogodność, miłe sąsiedztwo. I tak obok mnie mieszkają, jakaś familia ze wsi, ale gdzieś tam z głębi,—a na górze jakiś stary kawaler z Podola. Familja bardzo ładnie fałszuje wyjątki z oper, a stary bardzo mile rozdziera uszy przedętym flotrowersem; ale słyszysz, stary przestał grać, cóż to za hałas?—W istocie na górze w pokoiku starego kawalera słyhać było szamotanie a potem krzyk—to nie dziewczyna.—Złodziej, złodziej, chwytać, łapać,—i nagły tupot po wschodach!—Wypadają, jakaś kobieta uciekała chromiąc i stukając butami. Służący Zdzisława schwytał ją natychmiast, ale gdy się z nim zaczęła szamotać, Zdzisław z Eugeniusem przytrzymali damę;—kawaler świecąc z drugiego piętra, w tunice tylko ubrany drżał od zimna i zgrozy—«a to okropne komedje» wołał.

— To dama z ogoloną brodą i wąsami, zawołał Zdzisław do Eugeniusza,—służącego wysłali, po stróża i budnika.

— Toś ty podły żydzie! — zawołał Eugeniusz patrząc złodziejowi w oczy i cofając się, no spodziewam się że ten raz kara cię nie ominie.

— Brr, jasnie oświetlony panie, ja chciałem zażartować.

— Piękny mi żart odezwał się kawaler,—pełną ma kieszeń wytrychów.—To ty Jakóbku, zawołał jeszcze raz Eugeniusz zatrząsłszy się od gniewu.

— To ten czcigodny mąż!—no wiesz co, tak podłej, tak małej kradzieży nie spodziewałem się po tobie.—

No aniołku, wyśpiewasz ty rozmaite rzeczy, rzekł Zdzisław:— a potem obracając się do kawalera, — radzę acanu dobrodziejowi wrócić do pokoju — bo chrypki acan dobrodziej dostaniesz, i nie będziesz mógł grać na flotrowersie;—odejdz z łaski swojej.—Kawaler podziękowawszy wrócił do siebie, mrużąc: djabła tam małej kradzieży, odebrałem dzisiaj 40,000 włośnie.

— Teraz mów żydzie! zawołał groźnie Zdzisław— czy pani Wińska wie o tém? mów, bo jak nie będziesz chciał to cię zmuszą.

— Nie wie, wie jasnie oświetlony panie!

— Ot masz kartkę z puilaresu, napisz ołówkiem do niej żeś capnięty; tylko prędko, tu idzie o twoją skórę, prędjiej, bo już budnik maszeruje.—Budnik i stróż uchwycili złodzieja, a Zdzisław z Eugeniuszem wrócili do pokoju.

— Niema złego coby na dobre nie wyszło, zdaje się nawet, że zdarzenia uprzedzają nasze chęci, zawołał Zdzisław;—teraz możesz śmiało wymagać zwrotu malca,—wrona będzie w strachu, będzie trzepotać skrzydłami o pieniądze,—a ja jutro zaniosę jęj tę kartkę;—baronek Staś pewno także drząc poprawi perukę—tymczasem zdrowie kawalera, co takie metamorfozy przyjmuje w swoje objęcia.—Ale jakże sławnie mój dramacik się rozwiązuje, zupełnie w nowym rodzaju.

— Nie jestem mściwy, zawołał Eugeniusz,—ale temu potworowi kazałbym żyłkę jedną po drugiej wyciągać.

— Zapomnij o tej bagateli i pogadajmy o czém weselszém.

— Muszę spieszyć się, — już późno, w pół do drugiej po północy, — do widzenia kochanie!

— Dobranoc, a prędkiej tam Helenę na świeże powietrze wyślijcie.

Dobranoc, moja perło doktorów!

Zdzisław po odejściu Eugeniusza, opuścił głowę na piersi, i tak nie zmieniając położenia przesiadzał do białego dnia prawie.

CZĘŚĆ DRUGA,

MIJA LAT DWA.

I cóż mą duszę tak pędzi ku niemu,
 Czemu kiedy go zobaczę
 'Tak smutno, tak rzewno sercu mojemu?
 F.

I.

Dzień był parny, chmury ciężały w powietrzu, szare, brudne. Była godzina może 6sta po południu. Nad błękitną wodą Sanu, która się z lekka marszczyła, stał na wzgórzu znacznie nad rzeką wyniesionóm, — pałacyk sędziny, dalej w malowniczym nieładzie ciągnęły się chaty i zabudowania zamożnej włości, całą zaś panoramę zakończył wiejski kościółek a przy nim smętarz z czarnymi krzyżami. Pałacyk otoczony był ogrodem; od strony wjazdu cztery kasztany ciemno odbijały od jasnej ściany ogrodu, pięły się po niej po-

woje, i kilka winorośli, dalej błyszczały malwy, słoneczniki, dalej gęste pasma agrestów i pożyczek poprzedzielane wysypanemi piaskiem ulicami, strzegły grusz, jabłoni, śliw, rzędami wystających z murawy. W środku ogrodu była altanka z otwartemi oknami, w altance stał fortepian, a przy nim siedziała wysmukła dziewczyna dużych mdlejących oczu, i ruchawej twarzy. Ubiór jój, czy z upodobania, czy z dziwactwa, składał się z wiejskiego gorsecika i spódniczki; ciemne włosy rozpuszczone w warkocze strojne były polnemi kwiatami.

Jakieś nachylenie głowy ku lewemu ramieniu pełne było wdzięku, palce jój z wprawnością przebiegały klawisze, wydobywając z nich fantazję z jakiejś wiejskiej pieśni. Naprzód dźwięczą te tony rzewne ale proste bez miękkości bez silenia się. To łyzy Marysi za Jasiem, co poszedł na wojenkę i nie wraca, nie wraca. Terez jeszcze większa rzewność, ale i większa prostota przebija się w nich.— Marysi już i wianeczka nie miło kłaść na głowę, nudno płasać z dziewczętami lub chodzić do boru po jagody, zawsze siedzi, дума nad rzeką, która jój łyzy wypija, i modremi oczyma patrzy w błękitne niebo. Teraz tony rzewne przechodzą w jakieś dzikie *forte*, czarownica znachodzi Marysię w tym dumaniu i woła ją do siebie mówiąc, że Jasio powróci. Prędkie i huczące przejścia i akordy, zioła warzą się, czarownica szepcze zaklęcia, — burza huczy, deszcz pada — cichy ton i pół-ton jakby przestrogi — Marysia drży i wierzba zagładając w okienko płacze nad nią srebrnemi łzami. Pieśń radości, mazurek; zjawia się Jasio, i tuląc dziewczynę woła ją za sobą; tony mdleją — mdleją — Marysia

idzie za Jasiem ku rzece,—wierzby i białe brzozy chylą się,—chylą płacząc swojej siostry. Nareszcie jakby chór pogrzebowy ale w pół smutny i w pół radośny. Topielec który przybrał postać Jana z jasnymi włosami, utopił Marysię;— fale wyjadają jej oczki i pluszczą, pluszczą, pieszcząc się z jej ciałem, a brzozy nadbrzeżne płaczą i płaczą,— płacze matuleńka nieboga i Jaś który powrócił z wojenki a tylko zeschnięty wianek został po Marysi—teschne przejście, niktące, niktące i akkord i koniec.

— *Bravissimo!* zawołał jakiś młody człowiek w florensowej bluzie stojący przed altaną,—piękna Italja powinna zazdrościć tego północnego kwiatu.

— Alfredzie, przerwał mu z uśmiechem drugi, w czarnym surducie z długimi włosami,—panna Helena zrobiła cię *fanatic oper la musica*.

— O Zdzisławie! ja nim byłem od dzieciństwa, a potem w Italji kiedy z Bjanką...

— Jadłeś pomarańcze, dodał z powagą Zdzisław.

— O zimna, zimna istoto, bez poezji, bez czucia, bez duszy, bez serca Alfredzie! ciebie nic nie wzruszy, ty się śmiejesz, kiedy ja...

— Siłę się na komplementa niezgrabnie dodał znów zimno Zdzisław wypuszczając kłąb dymu z cygara.

— Okrutny jesteś z tym uśmiechem, ale śmieję się śmieję się szczęśliwy! Twoje serce to głąz! na te niebieskie tony; ty się urodziłeś na doktora.

— Szkoda że nim nie jestem, wyleczyłbym cię z pewnej słabości, która cię teraz trapi, — jeszcze ziemniej dodał Zdzisław.

— Ale żarty na bok, zawołał Alfred spoglądając w okno w którym siedziała przy fortepianie zamysłona Helena, żarty na bok, ta pieśń jest arcy-dziełem—przypomina mi tak Italię, mimo że jest swojską, Alpy i Bjanke! ah! ta pieśń.

— Wcale nie zła, rzekł Zdzisław—widać wiele talentu, twórczości, ale do arcy-dzieła daleko.

Na te słowa, głowa grającej spadła na piersi i kilka łez potoczyło się po twarzy. Wszyscy ją chwalili, wynosili pod niebiosa jej talent, jeden tylko ów Zdzisław z uśmiechem zawsze słuchał jej natchnień, z żartami pochwalał; a jednak postać tego Zdzisława najczęściej stawała w jej marzeniach, a wrażenie jego ognistemi głoskami było w jej duszy wryte. Była to jakaś sympatja szczególniejsza do niego, jakieś uczucie smutku i osierocenia pchało jej duszę ku niemu,—spojrzała znowu na twarz jego, potem na smętarz i pomimo woli zaczęła grać koniec—chór żałobny swojej fantazyi.

— Słyszysz—słyszysz ten niebiański finał, ach!

— Słyszałem go już dwa razy—i pomimo że jest piękny, nie lubię go;— ale chodźmy, Eugeniusz idzie z twoją matką i siostrą, zbiera się na deszcz.

Ku altanie zbliżał się Eugeniusz z sędziwą, matką Alfreda, dosyć jeszcze miłą 50cioletnią matroną i Adelą, której blada piękna twarz tém piękniej odbijała przy żałobie. Pani Adela bowiem utraciła przed rokiem pocziwego naczelnika *jak się nazywa*; — wracając z bióra spadł ze schodów, dostał zapalenia mózgu, powtórzył w malignie po tysiąc razy *jak się nazywa* i skończył.—Adela pewno nie kłamanemi łzami zrosiła mogiłę pocziwego automata, który choć należał

do owęj rassy mężów szlafmyc, mężów pantoflów, mężów butów, godzien był przecież dla biernęj poczciwości, szacunku i pożałowania, — na dowód czego wdowa wdziała dwuletnią żałobę, po upływie którego to czasu ma oddać swoję rękę Eugeniuszowi.

Proszę państwa na podwieczorek, zawołała sędzina, Helciu! Alfredku!—i ty Zdzisiu, ty trzpiocie — chodźcie!

— Służymy,—służymy, odrzekł Zdzisław z uśmiechem,— ale ty Alfredzie nie powinienbyś jeść, kto żyje tylko w samęj krainie tonów i harmonii, tego ziemskie owoce i mięso nie posilą.

— Pani! rzekł Alfred zbliżając się do Heleny — ten człowiek obraża nas.—Helena zawstydzila się, to *nas* tak jęj się nie podobało z ust wypomadowanego entuzjasty,—tak ją obrażało, że nawet lekki szydzący uśmiech przekrzywił jęj usta.

— Bez wątpienia, — odrzekła na wpół-cicho, i wszyscy poszli do pałacyku.

Po podwieczorku, po wielu obojętnych odcieniach rozmowy, przyszła kolej na ów odwieczny temat, na uczucie, na miłość, której pełne zapału określenia dawała Adela, spoglądając w oczy swojego przyszłego. Uniesiona prawdą przedmiotu, przejęta sama prawdziwém, silném uczuciem, piękna wdowa zakończyła temi słowy: czyż może być na świecie taki człowiek, taki kamień, któryby powiedział, któryby powiedział z uśmiechem, uśmiechem dumy, niekochalem nigdy, albo nie czułem potrzeby kochania,—choć ta druga chęć szukania a nieznaiezienia, jest już niezawodnie dowodem oschłości serca? Czyż to nie ko-

medja to terazniejsze modne przetrwanie, czy ci dwudziestoletni *blasés* nie oszukują siebie sami na przód, oszukując świat, czyż można być przetrwanym uczuciem, niedoznawszy go? Niema takiego człowieka, coby nie tylko powiedział, ale ośmielił się powiedzieć z zimną krwią: nie kochałem!» Oczy Eugeniusza wpiły się w spojrzenie pani Adeli z wyrazem: «nie ma!» Alfred z tymże samym wyrazem spojrział na Helenę, która z pod oka spoglądała na Zdzisława obojętnie palącego cygaro, i Adela nawet, odwróciła na chwile oczy od swojego pięknego, przyglądając się kuzynkowi, i ciekawa była, co też powie. Zdzisław, hulaka Zdzisław, miał u swojej kuzynki opinię człowieka bez serca pod względem miłosnym. Nie słyszała go nigdy mówiącego o tym przedmiocie, ani o jakich jego stosunkach miłosnych, (prócz o takich, których rzeczywiście miłosnymi nazwać nie można). Jeszcze raz pomyślała Adela, co też ten hulaka powie.

Jakoż jakby na zawołanie, zmieniając tylko wyraz twarzy zwyczajnym uśmiechem.

— Dla czego nie, rzekł Zdzisław, ja pierwszy powiem z zimną krwią: *nie kochałem i nie kocham*.

Helena zarumieniła się, Adela nawet spuściła oczy, nie mogąc znieść szczerego, ale zarazem jakiegoś przykrego spojrzenia, które towarzyszyło tej odpowiedzi.

— Niepodobna, mój kuzynku, żartujesz chyba jak zwykle.

— Daję słowo.

— E! niepodobna, choć może na krótko, zawołali razem Alfred i Eugeniusz.

— I wy mnie nie wierzycie? daję słowo.

— Musiałeś, musiałeś, tylko niechcesz się przyznać, bo to choć gadulski a skryty, dodała ciocia.

— Jak ciocię kocham, prawdę powiedziałem.

— Może za granicą, jeżeli nie tu,—zgadnęła Adela.

— Ani za granicą, nigdzie, nigdzie i nigdy. Helena milczała.

— I pani także wierzy temu, że można nie kochać jak mówi Zdzisław,—zapytał Alfred Heleny z przymileniem.

Zapytana milczała.

— O niech mi panie i panowie wierzą że tak jest,—nie kochałem, odrzekł Zdzisław, ale nie powiem, żebym nie miał pragnąć tego uczucia dawniej, teraz już ani myślę o tém. Byłem marzycielem, jestem nim nawet pod niektórymi względami i do dziś dnia—marzyłem nie raz o miłości, idealizowałem ją — a wszelkie kobiety godne miłości, które napotykałem, tak były nizko względem tego ideału, tak blado wyglądały, że nigdy silniej nawet zająć mnie nie potrafiły. Wyrozumowałem więc sobie, że nie mogę kochać się, bo gdybym, przyzwyciężając się, zajmował się jaką kobietą, to jest udawał miłość, gdyby ona zakochała się we mnie, — czemuż bym jęj odpłacił? A za nadto znowu miękką mam tę stronę serca, ojcowską, braterską, przyjacielską, zwieście ją jak chcecie, żebym miał unieszczęśliwić stworzenie, które do mnie jak niemowlę wyciąga ręce—wołając miłości jak niemowle: papu! a tu papu dać nie można. Jasny macie dowód, bo gdzie się już rozumuje, tam uczucia nie ma ono niespodziewanie, nagle obejmuje całą duszę człowieka. Czemu mnie tak nagle nie uderzyło nigdy,

czemu tylko ten ideał jak wpił się w wyobraźnię, opuścić jej nie może? Z resztą nie przeczę, że czasem za piękną twarzą gonię przez kilka ulic, że z najgłębszą czcią jestem dla płci nadobnej, że lubię ją, o bardzo lubię! — Ale lubić to nie kochać, wrażenie zmysłowej piękności lub powabu duszy to nie miłość! Był czas kiedy szukałem wprost kobiety, która by mnie zajęła, nie znajdowałem; szukałem znowu..... szczęściem zapoznałem się z jednym maniakiem z miłości, który mnie odczytał od tego szukania. Było to we Włoszech, we Florencyi, musiałeś znać Alfredzie Xawerego * * * tego, co się malarstwem zajmował, ale tak tylko *en amateur*. Ten także znał ideał, gonił długo za nim, i zdawało mu się nareszcie że mógł powiedzieć: Znalazłem ją nakoniec! Kobieta, którą znalazł czy umarła, czy też porzuciła go. To tak silne wrażenie wywarło na nieszczęśliwym, że utworzył sobie z tego wypadku jakieś tajemniczne, straszne domysły, ubarwił je w jakąś straszną poezję, co w prawdzie w płynęło na jego talent malarski, bo wymalował obraz, który zrobił *furrore* we Florencyi, ale cóż z tego? Bziki plątały się po mózgu. Chcecie państwo to wam przeczytam jego opowiadanie, które niezawodnie spisałem jak najwierniej, jego słowami nieledwie, powtarzał mi je tyle razy. Jeżeli więc skłonicie powołnego ucha na moje czytanie, spotkacie się jeszcze ze znajomą osobą w końcu tego opowiadania.

— A prosimy, zawołali razem Eugenjusz, Alfred, Adela i Sędzina. Helena milczała ale cała jej dusza drżała z ciekawości, zdawało się jej, że to czytanie coś dla niej ważnego odkryje, przeczuwała, że po niem coś dziwnego nastąpi. Zdzisław zapaliwszy świeże

cygaro wyszedł a wkrótce przyniosłszy niewielki zeszyt, zaczął czytać:

«Teatr napełniony drzał od oklasków. Siedziałem w krześle, ziewając. Balet nudził mnie, nie widać nic malowniczego, nic estetycznego w tych sztucznych grupach, których *pozy* może dosyć wdzięczne podług mnie jednak nie mają najmniejszego wyższego powabu. Zresztą niewiem, może mnie *spleen* opanował, może znudziły ciągle szeptki za mną:—patrz Licia prześlicznie dzisiaj wygląda—Józia tęsza jak zwyczajnie—Mania strzela oczkami na Władzia — oj będzie coś z tego, będzie — i t. p. może też znudzenie podróżą, w wiliję bowiem przyjechałem do Warszawy, niewiem, dosyć, że byłem kompletnie znudzony. Dla zabicia o ile możności czasu, zwróciłem lornetę na łożę, poznawając mniej więcej znajome osoby, co krom ubioru mało się zmieniły. W jednej z pobocznych łoż 1go piętra, twarz młodej jakiejś kobiety zwróciła szczególniej moję uwagę. Prawdziwie w życiu nic piękniejszego nie widziałem, najregularniejsza twarz Greczynki lub Gruzinki, mogłaby się jeszcze ubiegać o pierwszeństwo z tą prawdziwie północną pięknoscią, z temi płowemi włosami, szafirowemi oczyma, z tém czołem alabastrowém, słowem z tym całym idealnym owalem piękności. I ona także nie spoglądała na scenę, rozmawiając z jakimś młodym wąsatym mężczyzną, którego rysy zdawały mi się znajome. Pierwszy raz w życiu pozazdrościłem, pozazdrościłem, że nie mogę być przy niej, żeby się napić temi niebiańskimi rysami, wryć je dokładnie w moję pamięci, potem przenieść na płótno. Było coś tak klassycznie posągowego w téj pięknej głowie, że ca-

ły zapal artysty zawrzała w mojej duszy, piękność tej kobiety musiała być prawdziwie wielką, kiedy tak silne od razu wywarła na mnie wrażenie, nie łatwo jestem wrażliwy. Mimo woli lornetę bardzo długo na nią zatrzymałem, odwróciła się po chwili, i oczy nasze spotkały się. Iskra elektryczna przebiegła mnie, zarumieniłem się i odwróciłem głowę. Kortyna zapadła, orkiestra ucichła.—Dla uniknięcia natłoku wysunąłem się co prędzej i myśląc o mojej nieznanym, szybko zbiegałem ze schodów. «Przepraszam» powiedział ktoś za mną,—oglądam się: moją piękność, której oczy znowu aż w głębi mojej duszy się odbiły, prowadził ów wąsaty mężczyzna. Spojrzeliśmy sobie bystro w oczy i poznaliśmy się. Był to Baron Wincenty F... mój szkolny a potem berliński kolega. W prawdzie znacznie pierwój skończył szkołę, aleśmy razem stali na pensyi. Powiedziałem mu, że się znacznie odmienił; odrzekł mi z uśmiechem że spoważniał przy żonie. Na wschodach nie miejsce wynurzeń się, powiedział mi swój adres, obiecałem go odwiedzić.—Zaszedł powóz, wsadziłem panię Wincentową, a odebrawszy podziękowanie najdzwięczniejszym głosem: oh! vous êtes bien bon, Monsieur! i przyrzekłszy mężulko wi, że go w tych dniach odwiedzę, poszedłem do domu. Całą noc nie mogłem zasnąć, ciągle stały mi w myśli szafirowe oczy. Jak tylko świt, wstałem, wypięłem cztery szklanki zimnej wody — szafirowe oczy tém bardziej mi głowę mąciły; wziąłem pędzle, rozpiąłem płótno ale zaledwom dał pierwsze zarzysy konturu, już je mazałem, już mi się zdawały niedokładne; nareszcie zdoławszy utworzyć jaką taką całość zacząłem malować. Po kilku chwilach palnąłem nogą w szta-

lugi, rozdarłem scyzorykiem płótno, rzuciłem pędzle, ani cieniu podobieństwa nie było.

Kilka dni przepędziłem w prawdziwie gorączkowym stanie, lękając się żeby mnie wyraźnie owa *Idee fixe* nie opanowała—tak bezustannie marzyłem o niej; zdawało mi się że owe ideały, owe pomniki sztuki, owe duchowe piękności Rafaela, ziemskie Tycyana, namiętne Spagnoletta, wszystko to nie mogło porównać się z tym żyjącym ideałem. Nie pojmowałem skądinąd jak Wincenty urzeczywistniony *bon vivant* mógł być mężem kobiety, której dusza przedstawiała mi się w formach zewnętrznej jej piękności. Gdyby ona moją była, modliłbym się do niej jak do jakiego obrazu dawnych mistrzów, jak do posągu dłuta Buonarotti. Czyż Wincenty godnym był posiadać takie arcydzieło? Słowem, Bóg wie o czém nie marzyła rozdrażniona i po raz pierwszy wyexaltowana do najwyższego stopnia wyobraźnia. Wybrałem się nareszcie z upragnioną wizytą,—mieszkała o parę wiorst od Warszawy w małym, letnim, eleganckim domku. Pan Wincenty przyjął mnie bardzo uprzejmie, żona była w ogrodzie; powiedział, że jest nieco cierpiąca jak zwykle. Z bijącym sercem poszedłem za szczęśliwym, nie zapomnę tej chwili. Zofja siedziała pod drzewem czytając książkę—długa czarna atlasowa suknia obejmowała wysmukłą kibić, czarną przepaską związane były włosy. Zdawało mi się, że widzę jeden z tych klasycznych obrazów Albrechta Durera; ale nie—nie było w niej nic Giermańskiego, było to coś więcej, był to typ tak właściwy, nawet nie miejscowy ale tak szczególniejszy, że tylko w krainie fantazji mógł znaleźć porównanie. Przedstawiam ci rzekł

Wincenty amatora, artystę, marzyciela o którym ci wspomniałem, nagadajcie się o poezji, niebie, farbach, muzyce; aby tylko nie długo, a ja za chwilę będę wam służył. O! bo moja żona wielka literatka, dodał, śmiejąc się. Zostałem sam z Zofią, która jakoś dosyć obojętnie przyjmowała żarty męża, cała moja łatwość wystowienia niewiem gdzie się podziała, byłem tak pomieszany, że czułem rumieniec występujący mi na twarz, ale jakoś i Zofia, zdawało mi się, nieśmiało na mnie spoglądała. Zdołałem przecie wyjąknąć: co pani za książkę czyta? Odpowiedziano mi z cicha, że Marję Malczewskiego. — Zadziwiła mnie nieco u kobiety jej wychowania i nawyknień polska książka. Musisz pani bardzo lubić Marję? zapytałem.

— Nietylko lubię, ale kocham ją odpowiedziała Zofia z jakimś wyrazem smutku, spuszczać oczy, od których niemogłem odkleić mego spojrzenia. Dalej zabrakło mi już materji do rozmowy; stałem z odkrytą głową jakby w niemém jakim zachwyceniu, odurzony, słońce paliło mi czoło; zaczęło się w głowie kręcić, tak, żeby nie drzewo, o które się oparłem, byłbym upadł niezawodnie, słabo mi się zrobiło.

— Co to panu? zapytała przybiegając do mnie, z troskliwością i niejakiem drzeniem. Zdaje mi się jak przez sen, żem jej rękę uchwycił, którą natychmiast wydarto. Teraz może rozśmiesza mnie tak drobiazgowe opowiadanie tych dzieciństw, wtedy było to dla mnie więcej niż szczęściem, jakiś płyn elektryczny przebiegł mi po żyłach, zemdlałem. Przyszedłszy do siebie ujrzałem się na kanapie w sypialnym pokoju, u okna była długa zielona firanka, Wincenty stał nademną, Zofii nie było. Wstałem i przeprosiwszy

za dziwny wypadek, który spowodził niespodzianą subjekcję, wymawiając się nadto cierpieniem, pożegnałem pana Barona i jego żonę. Uśmiech męża a długie, przeciągłe spojrzenie żony towarzyszyło mi przy wyjściu.

Przez kilka dni cierpiałem na okropny ból głowy, pocałowanie ręki Zofii paliło mi usta. Wyzdrowiawszy, ciągle więcej o niej zadumany poszedłem dla rozrywki do teatru. Los chciał, że znowu spotkałem się z nimi. Było już po zaczęciu sztuki, spojrzawszy po łóżach zobaczyłem ją z mężem, on pilnie patrzył na scenę, ona była zamysłona, udawałem że ich nie widzę, jednak cała moja dusza skupiała się w spojrzeniu, którem z boku spoglądałem. Zofja zoczywszy, mnie natychmiast odwróciła się do sceny.... (Prędko postępował mój malarz, dodał przerywając Zdzisław... Czytał dalej): W czasie antr aktu spotkałem się w bufecie z Wincentym, który się chłodził ponczem.

— Wiesz co nabawiłeś nas strachu powiedział mi obojętnie, żona moja i tak zawsze cierpiąca, jeszcze bardziej zachorowała na głowę, odwiedźże ją teraz i bywaj częściej u nas, bo jęj się nudzi, a mnie się nie chce ciągle jęj rozrywać.

Wszedłszy do łóży, widziałem zaledwo dostrzeżony błysk szczęścia w oczach Zofji. Nazajutrz odwiedziłem ich nieco śmielszy, potem bywałem częściej i coraz częściej, coraz bardziej zajęty jęj obrazem, i coraz bardziej zakochany. Daremnie, nie mogłem stłumić tęg namiejętności, która stała się dla mnie potrzebą. W tęg kobiecie tak przywdziały się w postać życia wszystkie moje marzenia, że im bliżej ją pozna-

wałem, t \acute{e} m w niej coraz bardziej poznawałem siebie, poznawałem to co moja dusza, wymarzyła i wypieściła. Wszystko, mówię teraz z rozwągą, wszystko wóczas zdolny byłem j \acute{e} j poświęcić, nawet bliższą znajomość i zaufanie Wincentego. Ale szczególne bo t \acute{e} ż to było i niedocieczone ich pożycie. On zawsze żartujący jakby szydery, ona zimna i obojętna, zdawało się jakby pogardała mężem. Wincenty nie zdawał się spostrzegać naszych stosunków, które teraz podniecone wzajemnością Zofii jaśniały coraz żywszą barwą szczęścia.

Pewnego tylko ranku, kiedy jeszcze leżałem w łóżku wpadł do mnie, szczególniejszy jakiś wyraz jakby dzikiego zadowolenia przemawiał z jego twarzy.

— Wiesz nowinę, zawołał obojętnie: żona moja zaczyna na prawdę dostawać pomieszania zmysłów, dawniej sądziłem że to żarty, ale teraz trzeba z nią wyjechać do wód za granicę — to słabość familijna! Wkrótce odszedł. Nacóż ten człowiek tak śpieszył się do mnie z t \acute{e} m doniesieniem? pomyślałem sobie — i jakiś dziwny żal i przestach mnie ogarnął. Nacóż mówił mi o okropnej chorobie żony w taki sposób jakby o klaczy, co nogę złamała? Dziwna! niemogłem pojąć ja gorzkiemi zalewałem się łzami.

Tego wieczora znowu spotkałem się z Zofiją w teatrze. W istocie ujrzałem w niej wielką zmianę, oczy j \acute{e} j, pewno od łez, jakimś odmiennym i fosforycznym blaskiem pały; — kiedy mię zoczyła uśmiech, ale ten tęschny przebiegł po j \acute{e} j zbladłych rysach. Nieśmiałem się zapytać spoglądając na nią z jakąś bojaźnią, i ona była milcząca, ale kiedy ją wsadzał do powozu szepnęła mi do ucha; «po jutrze o 10tej wieczorem!»

— Po dziesiątej idąc przez ogród, serce gwałtownie mi biło, w oknie gabinetu Zofii świeciło się tylko, okno z lekka było uchylone; przez lekką zieloną firankę wszystko mogłem widzieć. W tej samej czarnej sukni, w której ją pierwszy raz widziałem z rozpuszczonymi włosami, siedząc przy stoliku, czytała «Marję».

Światło lampy taki blady, zarazem tak piękny odblask rzucało na jej czoło..... a w powietrzu cisza; czasem tylko leciutki wiatr poruszył liśćmi drzew, ale to tak mile, jak by się całował z nimi. Zachwyconie pięknością nocy krótko trwało.—Zofjo! szepnąłem z cicha, i jakiś dreszcz przebiegł po mojem ciele, lampa zgąsta, okno się uchyliło, konwulsyjne objęcie przycisnęło mnie do siebie, usta gorączkowym płonące ogniem spoczęły na moich: «czy nikogo nie ma?» zapytałem po chwili — Niema odpowiedziała, i nagle śmiać się zaczęła. W tym cichym spazmatycznym śmiechu, było coś tak okropnego, że drżąc uwalniałem się powoli z jej objęcia. Po jutrze o 10tej poszepnęła mi z cicha, i jeszcze raz usta swoje związała z mojemi i czułem gorącą jej łzę na twarzy, i znowu zaczęła się śmiać. Wskoczyłem przez okno, okropna prawda jawnie stanęła mi przed oczy— obłąkana! powtarzałem. Obejrzawszy się zdawało mi się jeszcze widzieć bladą twarz jej w oknie i rozpuszczone włosy, a w oddaleniu konał śmiech okropny. Pędź! krzyknąłem na woźnicę.—Umysł mój pod wpływem bezsenności, gorączki i tylu różnorodnych a dziwacznych wrażeń prawie był pomieszany.

O 10tej pojutrze, stanąłem przed ogrodem, zdziwiła mnie zamknięta furtka ale w mgnieniu oka

przeskoczyłem parkan. Noc, pamiętam, wrześnieowa była prześliczna, księżyc tak jasną pełnią świecił, gwiazdy uśmiechały się długimi promieniami.

W domku wiele światła błyskało i znikało, chciałem się wrócić, ale ciekawość poprowadziła mnie przed okno gabinetu, które tak jak wczoraj było uchylone; jak wczoraj lampa paliła się na stole i Marja Malczeskiego w czarnej aksamitnej oprawie na toalecie, a na sofie leżała kobieta tylko wpół przykryta czarnym szalem. Włosy stanęły mi na głowie, zsiniały jej usta okrywała piana, oczy zamknięte i wpadłe w dół; ręka wisiała opuszczona w tak przykrém i bezwładném zgięciu, sine plamy po całym ciele. Trup! — Zofja trup! krzyknąłem, głowa zacięła, krew buchała nosem. Zacząłem kołatać, bić we drzwi, wszystkie światła nagle pogasły, długo nikt nie przychodził; nareszcie ktoś zbliżył się i z wolna odsunął zasuwkę, drzwi otworzyły się; — przedemną stał wysoki, chudy, żółtej pomarańczowej twarzy lokaj w ciemnej liberji, trzymał w ręku tę samą lampę co stała w gabinecie. Czy są państwo w domu? krzyknąłem.

Zmięszał się nieco i cofnął o kilka kroków. «Co za państwo? zapytał nareszcie.» Baron S. z żoną zawołałem wściekle. «E! jeszcze wczoraj wyjechali za granicę, odrzekł z uśmiechem fagas, poświecił mi lampą w oczy, potem zatrasnął drzwi pod nosem. Kołatałem, stukałem, daremnie, nikt się nie odzywał! Jakieś pomieszanie owładło mym umysłem, zdawało mi się że w każdym miejscu, na które oko zwrócę, leży trup Zofji z pianą na ustach i obwisłą ręką, a księżyc tak samo pogodnie świecił, i gwiazdy jasno spoglądały.

Przez miesiąc niewstałem z łózka, cały ten przeciąg czasu zdawał mi się jakimś snem długim i ciężkim, z którego nareszcie się obudziłem. Przyszedłem przecie zwolna do siebie, cała tajemnica stała mi w pamięci; jakaś dziwna tęsknota, dziwne powątpiewanie mnie ogarnęło; szukałem pociechy u dawnych przyjaciół, u farb i pędzla, ale nic innego ukształcić nie zdołałem prócz tej ostatniej tylko sceny, co jakby ognistemi głoskami wyryta w mój wyobraźni, zdawała się szeptać: maluj! maluj!

Ręka i pędzel dziwnie były posłuszne rozkazom myśli. W kilka dni obraz był ukończony, osłoniłem go czarną krepą jakby ostatniem pożegnaniem, pędzle rzuciłem w kąt, paletę w ogień, potem w świat, bawić się... Dusza głodna była rozrywki i zagłuszenia, nie mogąc doznać rozrywki, nie mogąc zagłuszyć tego, co w niej wrzało.

Na kawalerskim wieczorze u Wińskiej spotkałem się w parę lat po tém zdarzeniu z Wincentym, ciągnął bank w faraona. Choć dawne wrażenia jak sen przypominały się tylko, ale sen był ciężki i okropny. Wziąłem poniterkę i zawołałem: dama kierowa i król pikowy! Pan bankier zatrzęsł się na mój głos. A! pan, zawołał po chwili. Witam odrzekłem obojętnie — gdzieżeś pan tak długo bawił? Za granicą u wód z żoną, ona tam jeszcze została, kłania się panu.

— Dziękuję, możesz się pan odkłonić.— Król i dama wygrały, ręce zaczęły jakoś drzeć panu bankierowi, był nieuważny, roztargniony. Od *parola* do *lapy*, od *six* lewy do *douze* lewy, zbankowałem go tego wieczora; — przypominam sobie nawet że mu

pożyczył 30 dukatów na odegranie się w poniterce, a sam opłaciwszy kontrybucję Wińskiej poszedłem spać; spałem smacznie. Nazajutrz pan Wincenty wyjechał z Warszawy, niewiem co się z nim dzieje.

Ostatni to raz grałem w karty, od tego czasu Zo-fja zabroniła mi téj rozrywki, niszczącej zdrowie, i zły wpływ na umysł wywierającej.

Wyjechałem do wód, gdzie mam nadzieję zobaczyć ją jeszcze raz umarłą...

— Przypominam sobie to zdarzenie, we Włoszech znałem Ksawerego, zawołał Alfred.

— Jestto wprost z jego ust wyjęte, odrzekł Zdzisław z uśmiechem, nawet bziki przy końcu opowiadania zachowane.

Schował rękopis do kieszeni i wyszedł do ogrodu.

Nagle zaczęło się łyaskać i grzmieć, przesycone powietrze pragnęło ochłody, rześisty deszcz lunął. Sędzina żegnała się,— Adela drząc, uchwyciła Eugieniusza za rękę, Alfred rozwalając się na kanapie powiedział, ziewając, że mu to burzę w Apeninach przypomina. Helena podniosła zadumane czoło, a żywe jój spojrzenie zdawało się szukać kogós...

Burza troszeczką ucichła. Nagle w ogrodzie zadźwięczał fortepian, naprzód huczna i wprawna gamma—potém olbrzymi i tęschny Weber odezwał się.

— Jakieś nowe życie wstąpiło w Helenę, dusza jój zdrzała rozkosznie i boleśnie, ale ta dusza pojęła teraz i ukorzyła się przed drugą podobną sobie, przed swoją starszą siostrą; teraz Zdzisław stał się panem jój całej istoty. Niezważając na deszcz, zarzuciwszy chustkę na głowę, pobiegła do altany. Niepewnie w cieniu rysowała się postać Zdzisława przy forte-

pianie. Szczególnym wiedziona popędem Helena zbliżyła się nagle do niego, i przyciskając rękę jego do piersi,

— Jeszcze, jeszcze panie Zdzisławie! zawołała wysiłonym głosem. Zdzisław chciał z lekka rękę usunąć, i wstając od fortepianu,

— Pani mi pochlebiasz, rzekł obojętnie; taka bagatela.

— Miěj litość nademną, jeszcze! zawołała bardziej wysiłonym głosem i głowa jej oparła się na piersi Zdzisława, a długie warkocze w twarz go łechtaly— Teraz chciał gwałtem wydrzeć rękę i wybiedz z altany.

— Zabijeś mnie! — zawołała ledwo dosłyszczanym głosem, opuściła rękę i padła bez zmysłów na ziemię.

II.

Nie miejsce ale zbrodnia hańbi człowieka.
Napis na prochowni.

— Dalej łotry, prędzěj malować, prędzěj, już mrok nastaje, wołał dozorca do więźniów w szarych kurtkach, co z brzękiem kajdan chodząc koło barjery mazali ją jaskrawym kolorem. Było ich trzech, dwaj pierwsi ubrani byli w burki, w ciężkie okuci kajdany, trzeci, miał na sobie rodzaj szarėj litewki i nie miał kajdan. Twarz jego oliwkowata odznaczała się szramą na czole, krótko obstrzyżonemi kręconemi włosami i garbatym nosem. Dozorca dla niego znacznie grzeczniejszy, wołał tylko: Jakób, Jakób! nie

teń się, i uśmiechał się czasem. Więzień Jakób z wolna maczał pędzel, spoglądając na przechodzących. Dwaj pierwsi smarując barjerę gawędzili ze sobą.

Jeden z nich był podżyty, drugi mógł mieć najwięcej lat dwadzieścia cztery.

— A wy tu za co ojcze? zapytał młodszy starszego.

— Ot! długie gadanie.

— E! to dobry dozorca i żołnierska jakieś spokojne.

— Znam ci ja dobrze tego dozorcę, nie taki on dobry był w pułku.

— Co wy tam szeptacie? zawołał dozorca, malować prędzę!

— Już nie długo skończymy, odpowiedział lekliwie młodszy. Za co wy tutaj ojcze?—mówcie cicho, to nie usłyszysz.

— Ot widzisz, przywlekło się człeczysko znękanne, zbiedzone; doma ani rodzica ani matki, ani chałupy, poszedłem za karbowego do jednego pana nad Bugiem. Z początku zdawał się dobry, względny na człowieka, ale było to złe w cielone, kiedy się upił, to bił—i bił. Trudno, trza było znosić, aby do ś. Jana. Ale raz, kiedy siedział w karczmie i tak sobie dumał, o onej żołnierce, wchodzi jakiś żebrak o kuli, prosząc jałmużny, chciałem go poczęstować piwem ale patrzę, a tu coś z oczu choć nędznych jakoś żołniersko patrzyło. — A w którym półku bracie? zapytałem. Poznałisma się—biedne sierzancisko, kazałem dać górzalki—i gadu gadu, człek się rozochocił i wełbie zaczmurzało, zasnąłem na ławie — nazajutrz do świta, nie wstałem, ludzi nie zbudziłem.

Przepraszałem pana, lecz on jak na złość pijany tego dnia zbił mnie jeszcze rozmarzonego na leśne jabłko tak że ciężko zaniemogłem. Kiedym jakoś się naprawił poszedłem mu podziękować za służbę, rozgniewał się za to okropnie.

Mój Boże! pomyślałem sobie, czego ty tak jednych ludzi robisz nieszczęśliwych, a drugich szczęśliwych, a złych — ale mi już za nadto dokuczyło — wziąłem moją laseczkę nabijaną krzemieniami. Choć mu dam parę kietbas na plecy, to mnie popamięta, pomyślałem. Na nieszczęście, jak przechodził, trafiłem go nie w plecy ale w ciemię. Padł jak nieżywy. Szczerze mi się żał go zrobiło, ale cóż człowiek strzela a Bóg kule nosi. Ukarał też pan Bóg i mnie i jego. Potem on na wet wstawiał się za mną ale Wójt, który mnie nie nawidział... zresztą bierz djabli!

— Robić — robić, nielenić się, wołał dozorca, bo mu dozorca pokazał, jak się biedacy zagawędzili.

— A dyć, robimy, odrzekł stary żołnierz, — no, gadaj ty swoje.

— U mnie to krótko panie żołnierzu, odrzekł młodszy. Ja z pod Łęczycy, możecie przechodzili tamtędy — ożeniłem się na gody ze dworską, ale śliczną dziewuchą, Maryską, i świeżo na gospodarke wszedłem, ale ta psia dusa Marycha tak się ułożyła, że scera i dobra i pocziwa się zdawała. Raz wracałem z jarmarku, przyjechałem późno doma, drzwi zamknięte. Co do diaska? Słucham, — kołatał. Nareszcie mi Marychna otworzyła, i chciała mnie odciągnąć ode drzwi, ale księżyc jasno na komin świecił, zobaczyłem pisarza od gorzelni jak tam skulony chciał dać

drapaka, nalałem trochę w cuba, złapał za siekierę, rzucił za nim, ale tylko raniłem w łeb — przeklęty, ot i siedzę już 3ci rok, jak widzicie.

— Biada nam, biada bratku, rzekł stary żołnierz ciszéj ale trzaby choć raz tę biedę zakończyć. Człowiek tu gnije jak grzyb sparciały, słuchaj; a na którą ty sali?

— Ja na trzeciéj.

— Czy u was chodzą, po krupy wieczorem na górę?

— A dyć chodzą.

— Słuchaj wmieszaj się z drugimi i wleź w groch albo w otręby; ja tam przyjdę pewno, a dozorcę upoję, będę miał dziś gorzałkę. Słuchaj! lepiej potem w Wisłę skoczyć i już raz do trzysta djabłów pożegnać tę świętą ziemię, albo uciekać gdzie tylko oczy poniosą, aby tu nie gnąć.

— Dobrze mówicie ojce, ale ten nas słucha.

— E! ten żyd, co za złodziejstwo siedzi, niebój się, nie słyszy.

— I jeszcze ciszéj rozmawiać zaczęli.

Jakób niby to malując barjerę, uważnie przysłuchiwał się rozmowie, ale nagle odwrócił się prędko, kiwnął głową i dał znak rękę.

Jakaś dama, bruneta, w średnim wieku, przejeżdżała dorożką, także nie znacznie dała jakiś znak, ale to tak poufale, jakby jej atłasy były pokrewne, z tą szarą kurtą; potem nie znacznie upuściła rubla na bruk. Dozorca spostrzegł, uśmiechnął się, kiwnął głową, schował rubla i poklepał Jakóbka po ramieniu. W krótkce mrok dobry nastął, więźniowie wrócili do więzienia — Jakób szeptał coś dozorczy,

przez całą drogę, pokazując na dwóch kryminalistów. Dozorca znowu go poklepał po ramieniu i poszedł zdać raport swojej władzy.

Nazajutrz dwaj więźniowie zostali obciążeni jeszcze cięższymi kajdanami i wrzuceni do lochów za chęć ucieczki. Jakób zaś skazany na lat dwa, wysiedziawszy już kilka miesięcy, za dwa miesiące miał zostać uwolniony.

III.

Helas! que j'ai vu mourir de jeunes filles!...

Q'ue j'en ai vu mourir! L'une était rose
et blanche,

L'autre semblait ouïr un celeste accoörd,
L'autre faible, appuyait d'un bras son
front, qui penche,

Et comme en s'envolant l'oiseau courbe
la branche

Son âme avait brisé le corps.

Hugo.

Zachód błyszczał jaskrawo nad znanym pałacym, kwiaty i drzewa tak samo go otaczały, ale jesień zaczęła je chorowitą barwą odziewać. Cały krajobraz nietchnął tą swobodą co dawniej i w pałacyku inaczej.

W salonie sędzina z zapłakanymi oczyma rozmawiała coś cicho ze smutną i zadumaną Adelą; Alfred siedząc przed kominkiem ponuro głąskał wyżła leżącego mu w nogach; służący przesuwali się cicho, na palcach, jakby w obawie przebudzenia kogós i stawali przy drzwiach zieloném suknem osłoniętych, czekając, póki ich nie zawołają. Nagle podniosła się zasłona i wszedł Eugeniusz.

— Nie ma już żadnej nadziei; rzekł smutno, pa-

trząc na zegarek, tak trawiąca piersiowa choroba śmiercią musi się zakończyć, biedna sierota! Teraz uspokoiła się nieco, możecie panie pójść do niej, to ją rozweseli, nie długo już jęj zostaje do życia. Ale Zdzisław! żeby prędszej przyjechał, niech przynajmniej biedna skona swobodniej, tak go pragnie widzieć!

Sędzina zaczęła szlochać, Adela zakryła oczy chustką, Alfred posepnie spojrział na Eugenjusza, — który uspokoiwszy nieco kobiety, wprowadził je do pokoju choręj. Było w nim cicho i spokojnie, okno szczelnie zasłonięte nie przepuszczało ani promyka światła, lampa astralna stojąca na fortepianie, bladem, posepnem światłem świeciła. Na łóżku leżała chora, ale czyż to ta sama Helena? Gdzie zniknęła ta białość, te różowe usta na których igrał uśmiech czarowny? W zapadłej, bladłej twarzy, tylko oczy na wpeł przymknięte, fosforycznie błyszczące zdawały się życie obudzać, — włosy w nieładzie rozrucone opadały na wyschłe ramiona, obwisła ręka spoczywała nieruchomo na kołdrze. Za ich przyjściem chora poruszyła nieco głową i niby to uśmiech zakwiecił jęj rysy, ale ten uśmiech wysilony tym bardziej był przykry.

— Zbliście się! rzekła przytłumionym głosem, chwytając sędzinę za rękę, i chciała ją ponieść do ust, ale nie miała dosyć siły. Eugeniusz podniósł jęj głowę; jakaś myśl dziwna, jakby przypomnienie, poruszyło wyobraźnię biednej, długim spojrzeniem powlekła po Adeli, potem wzrok jęj jeszcze dłużej i boleśniej zatrzymał się na Eugeniuszu, i łza duża stoczyła się zwolna po wychudłej twarzy.

— Zbliście się! już ksiądz odszedł, ja wiem że nie długo żyć będę, jeszcze mi życia na kilka tylko tonów

wystarcza, i znów lekki uśmiech wysilił jej twarz; ale ten uśmiech zdawał się mówić: wy mnie nie rozumiecie! — Moja matko, rzekła, niech mnie tak pochowają na smentarzu, żeby mogiłę moję można było widzieć z ogrodu. Sędzina i Adela zaczęły płakać pomimo woli i Eugeniuszowi kilka łez stoczyło się po twarzy, chora jakby niezważając ciągnęła dalej:

— Niech siostry moje wiejskie choć raz w tydzień poleją róże polne na nię, niech na moim pogrzebie zaśpiewają wiejską pieśń żałobną, której noty tak słuchać lubiłam. Czy dobrze matko moja? Niech mnie pochowają w moim wiejskim ubiorze, niech same uplotą wianek z ruty, rozmarynu, ja umieram przytomnie, ja proszę o to. O! wypełń matko moja, tę ostatnią prośbę, niech to będzie ostatnie ze wszystkich dobrodziejstw, których od ciebie doznawałam.... a ty panie—tu chora zatrzymała się nieco, znów spojrzała dziwnie na Eugeniusza, tobie niech Bóg wynagrodzi całą opiekę nad biedną sierotą; do trzymałeś przyrzeczenia mojej matce — tu się chora zatrzymała — przebacz jeżeli wdzięczności godnej ciebie okazać nie mogłam — i nagle uchwyciła mu rękę, i miała dosyć siły przycisnąć ją do ust — potem wysilona zamknęła na chwilę oczy. Mężkie serce Eugeniusza skruszyło się zupełnie na widok tego powolnego i męczącego konania — usiadł i oparłszy głowę na rękę stojącej przy nim Adeli, gorzko płakał. Chora znów otworzyła oczy, zwracając je na Adelę, ale teraz wyraz jakiegoś wewnętrznego żalu mówił z tego wejrzenia — Adelo! siostry moja! ty go kochasz rzekła z wysileniem, bądźcie szczęśliwi, a ja prócz was nikogo niekochałam, prócz matki nikogo, i jeszcze głębszy wyraz żalu wywołał łzę z jej oczu. Usta powtórzały «nikogo, nikogo!....»

Nagle przytłumiony turkot powozu głucho zadudnił. Eugeniusz wyszedł, chora zadrżała i pierś jej gwałtowniej oddychać zaczęła, ale ten oddech był ciężki i połączony z cichém chrapaniem—«prędzej, prędzej,» szeptała, mój Boże! jeszcze chwilkę, moja matko rodzicielko! Czekaaj na mnie, zaraz — zaraz!

W uchylonych drzwiach pokazała się wywiędła twarz Zdzisława, który z Eugeniuszem zwolna wszedł do pokoju i stanął nad łóżkiem umierającej. Ciężkie jego spojrzenie spoczęło na niej tylko z litością i szczególniejszą! uśmiech, suchy uśmiech osiadł mu na ustach.

Chora podniosła się na łóżku, spojrzenie jej płonęło teraz ogniem, był to ostatni połysk. Czy słyszysz, zawołała chropawym głosem, te chóry piekielne co do koła grzmią, huczą; te chóry, które wydobywałeś z fortepianu, które są tobą? Zdzisław bystro spojrział na konającą.— A teraz słyszysz te ciche, ciche, cichsze anielskie tony, to ja! Zdzisław zbłedł jeszcze bardziej, i przystąpił bliżej do łóżka. — „A słyszysz ostatni śpiew duszy mojej, ten chór żałobny, ty go nie lubisz, bo on ci wyrzucał i wyrzucać będzie pogrzeb uczucia? Twarz jej powlokła się rumieńcem i uchwyciła rękę Zdzisława.

— Milcz przez Boga!—chwilę tylko milcz! Milcz pani — wymówił Zdzisław wrywając dłoń z jej ręki.

Wszyscy przytomni w drzeniu spoglądali na tę dziwną i okropną scenę, Eugeniuśz chciał Zdzisława wyprowadzić z pokoju—ale chora silnie trzymała jego rękę. Nagle podnosząc się.

„Już ton ostatni! zawołała donośnie. Fortepjan

jakby na dotknięcie tego głosu cicho dźwięknął, ale nagle struna pękła—ręka Heleny opadła, głowa zwiśla, padła na poduszkę, a ciężkie westchnienie po raz ostatni wyszło z piersi. Kobiety zaczęły głośno płakać, Alfred wpadł z drugiego pokoju.— Nie mówiłem powtarzał do siebie—nieszczęśliwa kobieta! to ja, to ja! i zapłakał.

Zdzisław stał ciągle przy łóżku z założonemi rękami, twarz jego wyrażała jakieś chciwe przysłuchiwanie się jakby ulubionój muzyce, oczy jego gonity jakby za meteorem, co w długim srebrnym pasie ciągnąc się, znika nareszcie.

— Zdzisławie! krzyknął Eugienjusz, trzясając go za rękę, Zdzisławie!

— Czekaj, czekaj, już, już ton ostatni! zawołał wysiłonym głosem—po chwili wzrok jego zwrócił się na trupa biednej, zadrżał—zatrząst się—sen, sen okropny, niknę, niknę gdzieś w przestrzeni, wołał—głowa mnie pali—Heleno, biedna Heleno! Tak, prawda, szatan to ja, bo zabiłem ciebie! Heleno! I padł na krzesło bez przytomności.

* * *

Nazajutrz wieczorem, przeciągły śpiew żałobny odbijały brzegi Sanu, świeża mogiła i świeży krzyż czarny wzniosł się na wiejskiem smentarzu.

W kilka tygodni; kiedy jesień ostatki zieloności zwarzyła wychodził prawie co dzień z pałacu Zdzisław błądy, z obwiązaną głową; zwolna szedł ku smentarzowi, tam siadał na świeżej mogile i ogrzewał się zbladłem jesienném słońcem, albo obrywał z mogiły suche kwiaty; i rozrzucając je dumął, dopóki służący, lub Eugienjusz nie przyszedł i nie wrócił z nim do pałacu, wtedy rozmawiał jak dawniej, wesoło z każdym.

Zdolności lékarskiej Eugienjusza, troskliwości Adeli i Sędziny winien był życie.

MIJA LAT DWA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Si finis bonus laudabile totum.

Obfity ogień buzował na kominku. Eugienjusz siedząc w ogromnym krześle i trzymając bębna z długimi jasnymi włosami na kolanach, przeglądał papiery, które mu podawał w ukłonach jakiś niski, łysy mężczyzna.

— O! przepisałem wszystko dokładnie, mości dobrodzieju—To mój fach jaśnie wielmożny referendarzu! bodaj cię! zawsze zapominam, ale pan tak podobny do nieboszczyka—jakże czy pan dobrodziej content?

— Owszém bardzo zadowolniony jestem panie Drewko, odrzekł Eugienjusz, jakże rozpatrzyłeś się pan już w swojej kwaterze? Podoba się panu wieś, nie żałujesz Warsza wy?

— Obejrzałem wszystko mości dobrodzieju, kościół mi się spodobał; widziałem dzisiaj rano na mszy panię sędzinę i panię referen..... i żonę pana dobrodzieja mojego. Cha—cha, proszę pana tabaczki—hollenderka—ale—ale, widziałem nagrobek nie-

boszczki panny Heleny. Mój Boże! człowiek znał to jeszcze małym dzieckiem — trzpiotowate bo to była ta Helcia — raz mi chustkę rozdarła — a pan Zdzisław.

— Co tam pleciesz stary? ofuknął Zdzisław, który siedział przy oknie i czytał gazety, paląc cygara.

— Chciałem powiedzieć panie prezesowiczu do brodzieju, że pan jeszcze gorsze figle mi płaćtales od, od nieboszczki Helci.

— Daj pokój zmarłym wspomnieniom mój stary, a przepisuj lepiej jak dawniej; bo przypominam sobie że nigdy kropki nad *i* nie kładłeś, dodał Zdzisław znacząco.

— Wolne żarty mości dobrodzieju, odrzekł nieco z fantazją urażony Drewko.

— Co mówisz? Cudownie pisze—rzekł Eugenjusz.

— Zbytek łaski pańskiej, i uradowany emeryt kancellista wyniósł się za drzwi.

— Poczciwy oryginał! rzekł Zdzisław.

— Jak wiesz, potrzeba mi było dobrego przepisywacza do uregulowania interesów gospodarczych mojej żony; spotkałem starego na ulicy;—przyjął obowiązek z jak największą radością, dowiedziawszy się zwłaszcza że jest kościół i elbig u ks. Wikarego.

— Gdzież żona tak długo bawi?

— Pojechała na kilka godzin z matką do nowo-zamężnych, do brata.

— A do Alfreda i jego belli—biedny! po wszystkich marzeniach o Bjankach, o okropnych kochaniach, o Alpach, Apeninach, ożenił się z tak piękną kobietą,

że aż strach wspomnieć o niej. Jezul jakąż brzydka! Słyszę, mają się kochać.

— Bardzo nawet.

— Ale ja ci teraz przeczytam nowinę o jednem małżeństwie.

Dnia x. b. m. odbył się u Refermatów obrząd zaślubin W. Jakóba N. obywatela tutejszego z W. Emilią W. Związkowi błogosławił i t. d. A co? spodziewam się, że para dobrana—Jakóbek, powozem, czterema końmi przejeżdża się z połowicą przez miasto; suto ma być u nich nadzwyczaj. Cóżbyś powiedział na ten związek?...

— Bardzobym wierzył, odparł Eugienjusz—ja też mam odrazę od tej kupy błota i brylantów, od stolicy. Pożegnałem Warszawę prawie na zawsze—na wsi z żoną, z tém dzieckiem będę żył spokojnie, a wszak i tu mam pole do badania. Lud nasz tak jest nie wyczerpany, tak ciekawy dla badacza, a rzeczywiście tak mało znany; że prędjiej może znamy niezłe zwyczaje Nowo-Zelandczyków niż dokładnie naszych spółobywateli.

W prawdzie teraz już lepiej znają, ale przed kilku laty za pewność można było podać.

— Tyś stworzony na poetę nie na doktora mój kochany, choć dzięki tobie, żyję — No! ależ niezarzucasz medycyny?

— Któżby ukochawszy raz naukę, poznavszy ją, mógł ją porzucić, nie, jak tam starałem się poznawać najdotkliwsze słabości fizyczne a zwłaszcza moralne; i dotykając najbiedniejszej klasy społeczeństwa, obmyślać lekarstwa na nie, choćby tylko obmyślać, tak i tu mam jeszcze obszerniejsze pole badań, marzeń i pomy-

słów — ale ty Zdzisławie, ty zawsze smutny choć niby wesoły, poważny człowieku ze śmiejącą twarzą i trzpiotowatém słowem, pracowity próżniaku, cóż ty, zagadko?

— Ja? zawołał Zdzisław i uśmiech znikł mu z ust, a rumieniec chwilowo wystąpił na chorowitą twarz. Ja? oddaliłem z mego serca wszystko tkliwe, wszystko słabe, z ostatnim śpiewem tego anioła zgasł nawet może ostatni zapał artysty. Na nudnej i piaszczystej płaszczyźnie mojego życia, znajdziesz tylko jedno wzgórze przykryte kwiatami wspomnienia, choć z tego wzgórza mogiła Heleny. A zresztą pusto, sztucznym śmiechem trzeba rozmyślającemu już tylko życiu, nadać pozór życia wrażeń udawać, sztuką nadrabiać, marną igraszką słów rozbudzić duszę, w której cisza doświadczenia. Dla kogóż wszystkie te ofiary, poświęcenia, jeżeli nie dla nauki największej i najtrudniejszej, nauki ludzi?

Cierpkie są jej zasady, a czém dalej postępujesz, tem więcej trudności do zwalczenia, tem ogrom i niekształtność jej rysuje się wydatniej. Ty badając ludzi kochasz ich, lub nienawidzisz ale unosisz się nad nimi jak artysta nad urokami pięknej sztuki a ja uczyłem i uczę się ludzi, zimno, z zastanowieniem jak nauki ścisłej. Ale kto raz zaczął się uczyć, niech uczy się ciągle, może kiedykolwiek zdołam nauczyć się ich i *nauczyć*. Oko młodzieńca zajaśniało niezwyčajnym blaskiem, czoło zmarszczyło się dumnie ale chwilowe to zapomnienie wynagrodził zwykłym swoim uśmiechem.....

Dalszy ciąg potem, potem!

Warszawa 1844 roku 8 Lutego.

Włodz. Wol.

O METODACH NAUCZANIA.

Wiek rozumujący był najniżej
tworzącym.

Brodziński.

Nigdy jeszcze umysł ludzki w żadnym wieku nie wydał, pod rozmaitemi kształtami i nazwaniami, tyle pism pedagogicznych, już to pod względem edukacji, już instrukcji, albo metody prostego nauczania, co wiek obecny: i nigdy też może nie utyskiwano więcej na wychowanie: jakby wykonanie było w stosunku odwrotnym z rozumowaniem, i praktyka nie mogła lub nie umiała pogodzić się z teorią: bo świat nie tą idzie koleją, w jaką umysł ludzki sili się go wepchnąć. Czy ciągłe w tym względzie szperanie jest koniecznym w rozwijaniu się ducha ludzkiego, który wymaga nowych środków na nowym swoim stanowisku, nowych żywiołów, świeżych soków do dalszego swojego postępu, wzrostu?—czy umysł ludzki, rozwijając się musi koniecznie upadać na działalności

i woli, i nie mogąc już zastosować dawnych, nowych musi szukać sposobów słabszej coraz woli, słabszej coraz naturze ludzkiej odpowiednich? Czy to poszukiwanie może nie jest wywołanem przez potrzebę, ale jest wypadkiem, jak wiele innych jego wymysłów, próżności pojedynczych osób, żądzą oryginalności, co znane, dawno już wyszukane sposoby, pod nowym kształtem, w nowej barwie, rzuca łaknącemu zawsze nowości umysłowi; i on jakby nowość pożera je, i zawsze łaknie? Bo ileż to produkcji myśli! baczny rozsądek widzi zawsze te same, w nowej tylko podane przyprawie, pod nowem nazwaniem, a łakomy umysł publiczności, żuje i chłonie, biorąc je za oryginalne, za nowe, i jakby wdzięczny za tę nową strawę, gienialnemi je obwołuje, nim je czas do katalogu zepchnie. To ciągłe łaknienie umysłu i te jego niby nasycania, sąż w naturze ducha ludzkiego, żeby on płodził dzieła, któreby stanowiły postęp ludzkości, i poronienia, któreby ten postęp tamowały?...

Może też żadna myśl nie jest straconą i każda pod pewnym względem jest nauką! Tak jest nie inaczej: Duch Boży przewodniczy wszystkiemu, wszędzie jest obecny. *„Albowiem (mówi Sty Paweł) gdy się oni jeszcze „nie narodzili byli, ani co dobrego lub złego uczynili, aby „się stało postanowienie Boże według wybrania..... „Nie „z uczynków, ale z tego który wzywa, rzeczono jój, że większy będzie służyć mniejszemu..... Albowiem mówi Pismo — żem cię na to wzbudził, abym okazał moc moję na tobie, i żeby było opowiadane imię moje po wszystkiej ziemi — (do Rzymian R. 9. §. 10, 11, 17.*

Ilekroć razy ludzkość występuje z kolei miłości

i bojaźni Boga, zawsze duch ludzki, z woli Ducha Bożego rodzi owe poronienia, i *większy służy mniejszemu*: i czerstwe jego porody już ludzkości nie przewodniczą: a fałszywe są nauką do upamiętania — *ażeby imie było jego opowiadane po wszystkiój ziemi*. Tak jest we wszystkim i tak jest w nauce wychowania.

„Czego natura nie dała, kowal nie ukuje.

„Co się łyse urodziło, łyse zginie.

„Czém skorupka za młodu nasiąknie, tém na starość trąci.

„Nałóg drugą jest naturą.

Te przysłowia były przedmiotem rozwagi całego mojego życia publicznego, mianowicie odkąd los zmusił mię być pedagogiem. Gdzie ich jest źródło? dla czego i jak weszły w przysłowie, i stały się jakby wiarą społeczną? Czy one wyszły z niecierpliwości nauczyciela, i znalazły echo w równie niecierpliwych, niewytrwałych, słowem, małej woli, i powtórzyły się we wszelkich pokoleniach i ludziach jako łatwy sposób uniewinniania się? czy istotnie leżą w naturze ludzkiej i są prawdą? Zdaje się podług ciągłego doświadczenia, że wyższe zdolności i talenta są szczególniejszym darem natury; przynajmniej dotąd człowiek nie poznał, jakimi sposoby w sobie lub w drugich je wzbudził, tylko dostrzegł w kim były, w kim ich nie było, i nikt ich też nie stworzył. Zdaje mu się tylko że je rozwijał, chociaż je natura rozwijała sama przez nasunięte środki, a człowiek zeswojami może jeszcze krzywić: a ta nauka jest tej natury, że się nie da powtórzyć przez jedne i też same indiwidua, bo się nie można odrodzić. Muszą więc one być wyższą łaską dla wyższych celów, bo jednak

są, a człowiek nie pojmuje jak są; i można twierdzić *a priori*, że nigdy tego nie pojmie, będzie on może to pojęcie w siebie wmawiał, ale w rezultacie nigdy nie okaże: powiedzieć bowiem że to jest objawienie ducha, lub jego stacja, nie jest to fakt wytłumaczyć, a bardziej zmusić ducha do objawienia się w tym lub owym—czyli nadać bystrość przenikania tam gdzie jój nie masz. Są rzeczy na które Opatrzność wieczną dla człowieka rzuciła zasłonę, zostawiając mu wolę kusić się, acz bezskutecznie, o jój zdarcie,—zostaje on ukarany jak za owoc w Raju—i ta kara tak jest w nim jak i grzech złożona, i on, mniemam, może jednego i drugiej uniknąć. Ale skłonności, ale przymioty serca, mająż być równie darem, hazardem! co i jak da się w człowieku zamienić w naturę? bo jednak człowiek zawsze usiłuje, o ile może i umie, a przynajmniej chce zrobić w pokoleniu nałóg ku dobremu jakie pojął. — Skąd to usiłowanie obok wiary w dwa pierwsze przysłowia? Widać, że mu sam Bóg tchnął w piersi to przekonanie: *rób coś powinien, a rozrządzę podług mojej woli i twoich zasług*. Idzie tylko o to, czyśmy środki nasze ku temu pojęli, i czy możemy znaleźć w naszej woli siłę skierowania ich do pożądanego celu? Ile może na to wpływać nasza własna indywidualność? Bo tu nie mówimy o indywidualnościach wyższego przeznaczenia, ale o miernościach z jakich się świat pospolity składa.

Bóg powołał człowieka do społeczeństwa przez wzajemny pociąg, przez uczucie bojaźni, instynkt słabości, i dłuższą niemoc; bo on tylko przy połączonych siłach mógł skutecznie walczyć z naturą, i nowe z tego połączenia wynikłe zaspokajać potrzeby.

Zespolenie takie wszystkich sił, jest jego stanem politycznym. Lecz nie dość było wszystkie siły zespolić, wkrótce on uczuł potrzeby woli skierowania tych sił ku jednemu celowi. Z takiego skierowania wszystkiej woli powstał jego stan cywilny, powstały stosunki czyli prawa polityczne i cywilne, które coraz bardziej stan jego wikłając, życie zrobiły sztuką, i musiała koniecznie powstać nauka téj sztuki, czyli pedagogika. Nie dość było urządzić stosunki, nauczyć się ich, ale ułożyć się w nie, wdroić w ich zachowywanie i wykonanie; gdyby nasza wola indywidualna nie dążyła inaczéj i nim ją rozum nakłoni do woli powszechnéj, już ją nałóg wychowania tam skierował. Czy taka machinalność leży w człowieku obok wskazanego mu przez najwyższą siłę postępu? Nie masz prawie człowieka, któryby nie pojmował potrzeby prawa i konieczności ulegania mu, i niemasz któregooby pierwszym popędem nie było wyłamać się lub przynajmniej lekceważyć, bo jego osobista wola nie była do tego ułożona przez wychowanie, i nim ją rozum lub jego własny lub samego prawa do posłuszeństwa powoła, jest w nim opozycya tém silniejsza, im jego osobisty interes jest większy, siły w nim dzielniejsze, i wola mniej była w nim zła-godzona. Zachodzi przeto pytanie, kiedy ludzkość niepokoi się w swoich stosunkach, czy te stosunki stają się istotnie dla niej zaciasne, w miarę jéj roz-przestrzenia się, jéj postępu; czy ona przez zaniedbane wychowanie, nie umie wdrazać się; niewie jak swoje indywidualne wole zrobić nałogiem dla stosunków. Inaczéj, czy rozum powinien tylko dążyć za sztuką, i naukę życia co chwila do niéj układać, czy

on sztuką życia może i powinien kierować, wdrażając je w stosunki przez siebie urządzone. Wszystko w naturze ulega stałym odwiecznym zasadom, jak by sam Bóg w swojej mądrości wprzód postanowił zasady, podług nich świat stworzył, i podług nich rządzi i utrzymuje, bo wszystko im ulega. Samaż tylko ludzkość mieć by ich stałych nie miała? i dla tego opatrzona jedynie czułością aby cierpiała więcéj? — Rozum nasz, ta w nas iskra Boża, ta potęga władania nad wszystkiém co nas otacza, był-żeby tylko posługaczem woli, którą namiętności chucie, żądze unoszą, i nie mógł odkryć stałych zasad ludzkości i podług nich uregulować jéj wolą? — Jestże to przeznaczeniem ludzkości, ciągle potykać się, upadać, cierpieć po drodze swojego życia? Czy człowiek ma tylko siłę do stanowienia, a niema, albo w nim przy stworzeniu złożonej, albo po stworzeniu zewnątrz mu danej do wykonania, do ulegania temu co sam stanowił dla swego dobra, albo może te siły w swojej nauce zaniedbywał? Są to pytania, może ze wszystkich tyczących się dobra ludzkości, najgodniejsze filozofii, najwznioślejszém do ich rozwiązania dążeniem rozumu. Dla mnie przynajmniej, acz nie filozofa, były one zawsze celem mojego rozważania, były jedynym przedmiotem mojej myśli; rozbieierałem je w sobie o ile mój charakter, moje zdolności i położenie towarzyskie dozwalały. Może ich rozwiązanie jest moją utopią; takie pojęcie dobra ludzkości ideałem tylko! Ale ideały muszą być wolą samego Boga, służące za wzór do wyrabiania charakteru, i wreszcie Bóg sam zsyła na ziemię rozmaite typy, podług jakich człowiek swoje ideały wyrabia; gdyż on nie tworzy,

tylko naśladuje byłe; aniby przyszedł do ideałów, gdyby Bóg, kiedy niekiedy, nie zsyłał na ziemię rozmaitej doskonałości typów, podług których człowiek w swoim świecie umysłowym formuje swoje ideały, i na nich się wykształca, a formując je uprzytamnia niejako dla siebie te typy, które już Bóg odwołał i zostawił znowu człowieka jego własnym siłom, aby mu było tak lub owak podług jegoż zasług. Ideały nasze są tylko kopią tych oryginałów, jakie Bóg zsyłał, i póty tylko mogą być nauką, póki tamtych z pamięci nie spuścimy, póki naszych kopij nie weźmiemy za własne twory; bo w ten czas jako nasze cześć przestajemy.

Jeżeli ludzkość ma cel dla siebie naznaczony, musi przeto mieć w swojej intelligencyi złożone środki do jego osiągnięcia inne znowu wskazane jej przez objawienie po stworzeniu, do kierowania tamtych, aby przez nieświadome użycie pierwszych niebłąkała się — pierwsze są jej własnością i ona ich używa dowolnie, drugie użyczone jako bussola, bo cel podróży przez Boga jest wskazany. A jako żaden żeglarz niemoże natury bussoli zmienić, bo jej prawa nie od niego zależą, może przecież niesłuchać, nieuważać błąkać się i roztrącać. Podobnież na oceanie życia ludzkości; ona się będzie potykać, upadać, chybiać celu wskazanego, jeżeli płynie nie podług bussoli. — Religija jest jej bussolą, przy niej pomyślne płynienie może nie będzie utopią. A chociaż doskonałość nie jest podziałem człowieka na ziemi, usiłując może się zbliżyć,

Do onej gwiazdy co nam zdala świeci,

Chociażby człowiek wiedział że nie wzleci,

Wzbijać się wzrokien i skrzydły orlemi!

.

O ile przez edukacją nałóg może się zmienić w naturę, mamy przykład dotykalny na korporacyi najbardziej naturze ludzkiej sprzecznej, na wojskowości: każdy czuje naturalną bojaźń śmierci, i każdy na głos bębna, trąbki, lub skinienie ręki, idzie na jej spotkanie machinalnie, ani rozbiera w sobie jak się to dzieje, choć może w niejednym w tej chwili wszystkie nerwy są w rozprężeniu; męstwo tu jest nałogiem, sztuką; a jednakże uważany pojedynczo po za swoje powołanie, żaden nie jest prostą machiną; nie przytępiły się w nim uczucia moralne ani pojęcia umysłowe. Owszem może więcej rozwinięte, bo wszelka nauka je rozwija, byleby skąd inną niedoznał skażenia, jak się trafia w każdym innym stanie. Jeżeli tam upada owe nałogowe, sztuczne męstwo, jest to skutek zaniedbanej instrukcyi, albo skutek rostrojenia się całej ludzkości, do której nieprzestaje należyć.

Otoż jest moje stanowisko, z jakiego zapatrywać się będę na metody nauczania, co je wywołuje, — jaki one wpływ wywierają na umysł, na moralność i na przyszły charakter, — czemu niektóre, acz w rozważaniu zdają się być pomyslnie pod względem instrukcyi do rozwinięcia inteligencyi szczegółowej, nierozpowszechniły się i upadły wraz z wynalazcą, prawie jakby tylko w nim samym była moc w zastosowaniu; w czém są do siebie podobne i jak się psychycznie wiążą z usposobieniem ich autorów. — Do czego mię moje badania doprowadzą, niewiem czy się okażą dziwnego rodzaju sceptykiem czy pietystą, osądzą czytelnicy podług własnej skłonności i usposobienia.

Sztuka wychowania dwie obejmuje części: *edukacyą* i *instrukcyą*; pierwsza powinna wdrażać członki

społeczne w stosunki towarzyskie, to jest nakłaniać wole szczegółowe do woli zbiorowej, tak, aby wzajem dla siebie były znośnemi, miały ku sobie wzajemny pociąg, kochały się; druga: rozwija władze umysłowe tychże członków, do użytku osobistego i społecznego. Obejmuje ona przeto wszelkie sposoby czyli metody ułatwiające nabywanie rozmaitych nauk, bo przez ich porządne nabywanie szczegółowo w osobnikach, inteligencya ogólna, duch, dzielniej się rozwija. Acz ona zdaje się być ze swego przeznaczenia wznioślejsza, bo usiłuje podnieść ducha do samodzielności, winna ulegać pierwszej, i tak urządzać swoje środki, aby samodzielność nigdy nieoddalała woli osobistej od woli powszechniej. Obdarzona przezornością niełeka się bynajmniej narzucenia pęt w obranych środkach, na rozwijanie się szczegółowe umysłów: niema bowiem w człowieku siły do ich narzucenia na umysły wyższych przeznaczeń, które opatrność sama prowadzi; rozwiną się one jakiegokolwiek będą środki instrukcyjne. Poświadczają to dzieje ludzkości:—Kopernik, Newton, Bacon i t. d. byliby zawsze czém byli. Takie umysły, jako wyższego przeznaczenia posłanniki, pojmując porządek społeczny, wpływają na postęp rzetelny bez wykrzywiania, już to przez swoją gienialność już przez nałóg wdrażania się wychowaniem. Takie umysły wnieśli się przez swoje powołanie, pozostając zawsze dodatkiem a nie wyłączością ciała społecznego. Instrukcyja tylko strzedz powinna, ażeby liczna mierność niewdzierała się na szlak samodzielności, co koniecznie nastąpić musi, jeśli jej środki niebyły w zgodzie z edukacją, jeżeli gwałtem usiłuje wzbudzić samodzielność tam gdzie jej niemasz, bo wówczas utworzy tylko fałsz ko-

nieczny. Takie indywidualne niby samodzielności, niewłózone nałogiem w wolę powszechną, ani jej przeczuwając instyktom, co jest tylko atrybucją umysłów wyższych, uniesione każda wolą swoją, tamują postęp rzetelny.

Przeznaczeniem człowieka jest rozludnić się; ztąd przybywają jego potrzeby, którym natura, jaką on zaznał, niewystarczała: te potrzeby są jakby bodźcem do rozwijania się w nim intelligencji, przez którą on wdzierał się w tajemnice natury, bo w niej wszystko było, tylko dla niego ukryte; i jest to co on może kiedyś odkryć. Z tak wydartych naturze tajemnic, tworzyła się dla niego ogromna dziedzina nauk, którą pragnął osiąść, bo stała się jego potrzebą. Lecz kiedy nauki co raz się więcej rozszerzają, lub przybywają nowe, życia mu bynajmniej nieprzybywa: owszem, nauczysz się żyć spieszniej, indywidualnie zakres swój utracą. Ztąd wynikły metody spieszniejszego nauczania; pośpiech ten stał się jego potrzebą nową, i to mu jeszcze ułatwiła jego intelligencya. Ale też sama intelligencya rozwinęła w nim silniej chucie, żądze i namiętności, niż w innych współtworach, bo je nauczyła podżegać; te go uniosły ku rozmaitym rozkoszom, rozkosze stały się jego potrzebą, dając początek sztukom i dzielniejszemu przemysłowi. Też same chucie, żądze namiętności, zrodziły występki i zbrodnie, które go trapiły i trapią; a którym intelligencya zapobiedz niemogła i niemoże; bo one zawsze są w ludzkości, w jednakić sile, tylko pod innym kształtem: czyli jak to mówią, niezmięniły się co do treści, ale co do formy. Gdybyśmy mieli odwagę zważyć je na słusznój szali, może one są nam dotkliwszemi niż dzikim ich rozboje i wzajemne łupieztwa, bo w nas czułość stała

się delikatniejsza, przynajmniej w kim jój egoizm i rozkosze nieprzytępiły. Co do mnie, acz nie chciałbym wrócić do stau pierwotnego, nie raz jednak zazdrościć dzikim, ich mniejszej czułości, bo ona jest moim gwichtem do mierzenia naszych występków. Intelligencya nie wygluzowała ich z naszej natury zwierzęcej, bo pochoz zawsze jest,— i usuńmy tylko prawo, jedyny jój środek przeciw otwartym ich usiłowaniom, a one pomimo naszego światła objawią się w pierwotnej postaci i duch zniży się do swojego stanowiska dawnego. Smutny stan człowieka! kiedy mu Bóg nie dał innego środka prócz intelligencyi, na ich pokonanie.

Instrukcyja obejmująca wszelkie nauki z rozmaitemi metodami ich wykładu, rozwija naszą intelligencyą. Ale intelligencya jest władzą tylko zwierzęcą w rozmaitym stopniu rozmaitym udzielona tworom, stosownie do naznaczonych im potrzeb, i stosownie do tych potrzeb rozwijać się może. My ucząc się zwierząt, na to szczególnież zwracamy uwagę, co mają dla nas pożytecznego, bo ku temu kłoni nasza potrzeba i nie znamy stopnia ich intelligencyi do jakiej się może rozwinać; ćwiczenia ich przez nas, nie są ich potrzebą, ani my umiemy zastosować się do ich intelligencyi, my ją nakłaniamy do naszej. Rozwijając przeto w nas naszą intelligencyą, rozwijamy w sobie władzę jedynie zwierzęcą. Ale ten nasz przymiot, tak nas wysoko podnoszący nad inne zwierzęta, jeszcze nas nie podnosi do Bóstwa, i nigdy nam nie da zdrowego o nim pojęcia, anibyśmy nawet wyobrażenia powzięli gdyby w nas nie było innego przymiotu, jakiego one nie mają, przez który człowiek zawsze przeczuwał wyższy swój początek

i koniec, słowem przeznaczenie; nawet kiedy słaba jeszcze jego intelligencya prawie go na równi stawiała ze zwierzętami. Przecież to on, tam nawet, gdzie go podania o upadku nie doszły, zawsze się domyślał, że był kiedyś olbrzymem ale z karłowaciał, i wzrosć usiłuje. Ludzkość dąży do doskonałości, przynajmniej tak mniema—lecz z kąd ona wie o tej doskonałości? musiała kiedyś w niej być, bo taka nasza natura, że we wszystkiem to tylko wiemy co było, a nigdy co będzie. Przymiot ten czuję w sobie, widzę w drugich, i nie umiem go nazwać, ale to nie jest intelligencya; on to rozniecił miłość i wzajemny pociąg pomiędzy ludźmi; wzbudził litość, użalenie się nad stanem bliźniego, poświęcenie się dla drugich, owę szlachetność w przebaczeniu uraz, wzniosłą pokorę w przyznaniu się do winy, chęć jej naprawy, on w nas rodził wiarę w nieśmiertelność i instynkt życia po za grobem, i ten instynkt nigdy zupełnie w nas nie gaśnie, bo ten nawet który całem swoim życiem wiary w przyszłe życie nie dochodził, gdy go jednak dotknie smutek utraconej osoby, zawoła w rozręwnieniu: *tam się zobaczymy!*

On to jest pobudką do wielkich ofiar, do cnót heroicznych względem bliźnich, i myśli wielkie w kilku wyrazach w duszę innych przelewa, pomimo niskiego stopnia intelligencyi. Ksiądz Turczynowicz proboszcz w Wilnie, jedynie zagrany miłością chrześcijańską, gdy zawiązywał zgromadzenie dziewic Marjawitek, regułę dla nich zamknął w tych kilku wyrazach: Kłauzura—w sercu.....Klasztor—świat cały.....Cel pracy — nawracanie, nauka miłosierdzia..... Dom zabawy—zgromadzenie żydów..... Koniec — jeden pasterz, jedna owczar-

nia..... Fundusz — w Niebie..... hasło — Imię Panny Maryi.—I Dziewice pojęły ich znaczenie i w nich znalazły swoją cierpliwość, wytrwałość, a najubożniejszy dziś czytelnik podziwia siłę wyrazistości.— On to daje życie i siłę ciałom społecznym; intelligencja środki tylko materialnego utrzymania.— Ciała słabną i starzeją się, upadają, przekształcają się w inne; w miarę jak pojedynczy zawierają w sobie pierwiastek, przez niebacznie rozwijaną cywilizacją. — Już ich w ten czas intelligencja nie podoła utrzymać przy życiu.

Kiedy dwie kozy spotkały się na wązkim gzemie starego zamku nad przepaścią, i niemogły się ani rozminąć, ani nawrócić, po długim namyśle, z podziwieniem patrzących, jedna ostrożnie przykłęka, druga przez nią przeskakuje, i udają się w dalszą drogę. Potrzeba ocalenia rozwinęła w nich intelligencją jakiej w sobie nie czuły dotąd, jakiej nie doznawały. Ale tylko pomiędzy ludźmi trafi się poświęcenie, bo matka rzuci się w przepaść dla ocalenia córki, zeskoczy młodzian, w którym jeszcze cywilizacja nie rozwinęła egoizmu, aby zachował ojca rodziny, utnie on sobie nogę, aby wrocić hetmana wojsku i t. p. Dziwna rzecz, że ten pierwiastek, czy w osobnikach, czy w ciałach społecznych, jest dzielniejszym, widoczniejszym w czynach, objawiającym się w pewnej epoce ich wzrostu, nim intelligencja rozwinęła rozkosze a z niemi egoizm; bo już później wszystko się staje rachubą, interesem; już młodzian nie rzuci się w przepaść dla starca, ale szukać będzie zręcznych sposobów zepchnięcia; zręcznych mówię, ażeby się niedomyślano umyślnęj chęci,— i nikt się nie poświęci dla ogółu przez popęd serca, aż obrachuje co mu to przyniesie. — Ani zakłady do-

broczne są już skutkiem miłości, ale chełpliwości— i owoce tych zakładów nie są czerstwe, zdrowe; bo duch fałszu, fałsz rodzi; ani prawdy nikt wręcz nikomu nie powie, już ten fałsz odziewa przyzwoitością, bo się lęka odwetu, gdyż sam jej przyjąć niezdolny. Może to ten pierwiastek młodzieńczy Rzymianie czcili pod godłem ognia Westy, a ojcowie nasi zwali bogobojnością: „*Bój się Boga*“!.....*czy masz ty Boga w sercu?* Pozostały tylko wykrzykniki, jako pomnik owiej cnoty przodków—kiedy bogobojność upada, kiedy ją zatracamy nieważnym rozwijaniem intelligencji z postępowaniem cywilizacji, społeczeństwa starzeją się, cierpią, i w skutek czczości w sercu, chcąc zagadać swój zgon bliski, umysłem ją usiłują schwycić, i chociaż skłonność ich nałogowa jest w sprzeciwieństwie, umysł ich widzi w szlubah wcielającego się ducha w formy zmysłowe; bo go w ich czynach nie masz—umieją lepiej podziwiać wielkim cnotom, bo zdobyć się na nie niezdolni, bo to nie nasze słowo stać się ciałem może.

Godzi się przeto chrześcianinowi z resztką pozostałej bogobojności rozmyślać, czy są w człowieku środki, aby rozwijając intelligencją (bo to jest jego przeznaczeniem) nie zacierał w sobie boskiego pierwiastku, i wzrastał ciągle a nie upadał, a potem przeradzał się i na nowo z upadku grzebał. Bo takie *momenta ducha*, czyli przemiany ludzkości, nie są jej koniecznością, ale karą w niej samej, złożoną z woli opatrnej, której jednak uniknąć może.

Józef Paszkowski.

— Powyższy artykuł umieściła Redakcja Dzwonu, jako dowód poszanowania i czci dla autora, który od początku swęj działalności odznaczał się nieskażoną prawością i cnotą, a następnie w pedagogicznym zawodzie, bardzo znaczną liczbę młodzieży najmoralniej ukształcił.

WIADOMOSCI NAUKOWE.

Na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego w Kambrycz, odbytem w roku 1845, J. Herschel przedstawił model wypukły globu księżycy, na którym są oznaczone kształt i wzniosłości gór, tak jak to widzieć można za pośrednictwem dobrego teleskopu. Znakomita ta praca wykonana została przez pewną damę hanowerską, panią Witte, podług bezpośrednich spostrzeżeń, robionych wyborynym teleskopem Fraunhofera, w małym obserwatorium, istniejącem na szczycie domu przez powyższą osobę zajmowanego. Położenia księżycowe i główne obwody ważniejszych kraterów, równie jak inne celniejsze zarysy, przeniesione zostały na powierzchnię gładką, podług wymierzeń mikrometrycznych i kart pp. Beera i Maedlera. Średnica modelu wynosi 12 cali $8\frac{1}{2}$ lini (stopy Reńskiej) czyli $\frac{1}{10}$ części rzeczywistej średnicy księżycy. Skala wysokości (gór) została podwojona, inaczej bowiem wypukłości nie byłyby dostatecznie widoczne. Glob w mowie będący wyrobiony został z mieszaniny mastyxu z woskiem, z taką dokładnością, że na nim są przedstawione wszystkie otwory wulkanów (kratery) czyli raczej najgłówniejsze, oraz za pośrednictwem nieco wypukłych obwódek oznaczone są tak zwane morza, stosownie do ich prawdziwego kształtu i przyjętej rozległości. Jeżeli przeto takowy księżyc właściwie zostanie oświetlony i ustawiony w odległości 30 do 40 stóp, a następnie uważany teleskopem, zaledwo wtedy odróżnić go można od księżycy prawdziwego. Wykwintność i ścisłość roboty, dopiero za pośrednictwem mikroskopu ocenić się daje, co przekonywa, że pani Witte pracę swoją wykonała za pomocą szkieł powiększających.

Okazując J. Herschel powyższy model, wspomniął jeszcze o budowie fizycznej księżycy, jego klimacie, atmosferze, ilości wilgoci na jego powierzchni i t. p. porównywając też powierzchnię tak z planem części góry Etny, udzielonym mu przez p. Walterhauzena, jakoteż i z rysunkiem jednego z głównych kraterów

księżycy, za pośrednictwem reflektora dwudziesto-stopowego przez siebie wykonanym, w którym to rysunku starał się uwydatnić cechy wulkaniczne gór tenże krater obejmujący. Przy pomocy mapy pp. Baera i Maedlera wskazał na księżycu wiele podobnych wulkanów, jako to: Aristarcha, Tychona, Keplera, Kopernika, i t. p; i opisał mnóstwo szczegółów, oznaczając na modelu miejsca przez nie zajmowane, liniami mosiężnymi, wyobrażającemi równik i południki księżycy.

Mówiąc o klimacie księżycy, Herschel uważa podobnym do prawdy, że tam temperatura znacznie podwyższać się może (nawet za punkt wody wrzącej), a to w skutku ciągłego działania słońca na jego powierzchnią prawie przez dni 15. Stąd wypływa, że księżyc w pełni, i w kilka dni po niej, do pewnego stopnia może być uważany za źródło ciepła dla ziemi, ciepło jednak to będąc słabsze od słonecznego (jako wypływające z ciała położonego niżej punktu rozpalonego), nie dochodzi wcale do powierzchni ziemi, lecz zatrzymane jest i połknięte przez zwierzchnie warstwy atmosfery, w których zużywa się, zmieniając mgły widoczne w przezroczyste pary. Raptowne przeto znikanie obłoków (w temperaturze średniej) po pełni księżycy zdającego się gołemu oku prawie w pełni, które kilkakrotnie uważał Herschel, tylko podług zasad w mowie będących da się wytłomaczyć.

Po niniejszém udzieleniu, p. Walterhausen zastanawiał się nanowo nad zjawiskami wulkanicznymi ukazującemi się na powierzchni Etny—wykrywając zarazem podobieństwo ich w wielu punktach z wulkanami księżycy.

— Świeżo doniosły dzienniki Angielskie, jakoby p. Faraday udzielił Towarzystwu Naukowemu Londyńskiemu, wiadomość opartą na własnych doświadczeniach, że już teraz nie ulega żadnej, wątpliwości iż *światło, ciepło i elektryczność są jednem i tymże samem ciałem*. Szczegóły jego spostrzeżeń jeszcze są niewiadome.

ĆWICZENIA GRAMMATYCZNE.



Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się! zbójca broń kupuje. —

*Czynghan w poemacie o upadku wieży
babilońskiej.*

O! ty, którego żaden niezrozumiał,
 Gdy w twoich pismach błąkał się jak w lesie;
 O! ty, nad którym nieraz się świat zdumiał,
 I dotąd wielbi, sławi, dziwuje się;
 O! ty coś głowy pozawracać umiał,
 Bądź pozdrowiony Arystotelesie!
 Bożku łbów twardych i próżnej mozoły,
 Witaj ozdobo starodawniej szkoły!

Osieł w lwiej skórze nieostrożnych zwodził,
 Często niezgrabny plód choć matka hoża.
 Nieraz cedr słabą latorośl urodził,
 Nieraz się zakradł kąkół pośród zboża.
 Nie twoja wina żeś głupich napłodził,
 Są to potomki nieprawego łoża.
 Jeśli się śmiejesz patrząc na te fraszki,
 Rzuć jeszcze okiem dla naszej igraszki.



PRZEDMOWA.



Roztaczano już nieraz żałosne skargi na niegościnnosć Sławian dla filozofii niemieckiej, szukano przyczyn zakamieniałości serc, z inną wcale łagodnych,— a dotąd ani skarżący się nie zostali pocieszeni, ani wiadome przyczyny oporu. W naszej też literaturze filozofowie wszystkimi siłami starali się zgotować nadziemski raj dla swoich czytelników, ale dla zatwardziałości serc ludzkich złożyli pióra i chować będą milczenie, może na zawsze. Zastanówmy się tylko: jeżeli filozofia w rzeczy samej dobrego i pożytecznego wiele nas uczy, to czemużbyśmy mieli stronić od przybytku królowej nauk? tem bardziej kiedy ona całkiem utrzymuje się kosztem cudzoziemców (Niemców) a nam otwiera skarby swoje tylko dla miłości prawdy.

Wiadomo przecie, że nasz wiek jest ostatnim ze wszystkich którego poprzedziły od stworzenia świata aż do 1800 r. Jako ostatni jest więc jedynakiem filozofii, nieodstępny jej towarzyszem: z tego wypada, że gdzie ona nie znajduje gościny, wiek XIX także tam niezagrzeje. Mielizbyśmy samochcąc zostawac pod zarzutem, żeśmy młodszy od naszych sąsiadów. Rozważmy tylko: *sine odio et ira*.

I.

W dziełach filozoficznej treści język polski do tego stopnia nowym się zdaje, że mimowolne nastęrcza pytanie: czy też filozof nasz dobrze rozumie co pisze?

Nie jeden zapewne zadawał sobie takie pytanie w ciichości, otwarcie jednak wystąpić bano się. Owszem skromność nasza do tego stopnia była posuniona, żeśmy w ten czas nawet nie wystąpili z obroną, lub z prośbą o ułaskawienie, kiedy nam wręcz powiedziano, że z naszego języka nic dla filozofii wykroić nie można i że z naszych głów wieje niezdrowe powietrze, w którym ona wegetować nie może. Coś podobnego czytaliśmy w recenzji, której ponieważ nie wypisaliśmy sobie tytułu, nazwiemy ją dla przypomnienia tylko: *Fantazje na temat Palingenezya*. Tak się zaczyna:

«Jak klimat kraju rządzi ruchem, produkcją, i wegetacją natury, tak też utworzona atmosfera intelektu narodowej rządzi ruchem, produkcją i wegetacją naukową i literacką: jak roślina w niewłaściwości klimatu, choćby też i najślachetniejsza bezowocnie konieczną śmierć znaleźć musi, tak też i utwór umysłowy choćby najwspanialszy i najszczytniejszy gotową ma zgubę i zatrąę w niewłaściwości atmosfery w której się zjawi.»

Te kilka brzmiących wyrażen przytoczyłem tylko na dowód tego co się wyżej powiedziało; że jednak one odbijają w sobie wszystkie cechy filozoficznego języka, rozbiór więc ich może posłużyć za wstęp do dalszych

wywodów. Cały ten kosztownie zbudowany perjud jest nie logiczny. Autor utrzymuje, że utworzona atmosfera intelektu narodowej rządu ruchem produkcją i wegetacją naukową i literacką, a utwór umysłowy gotową ma zgubę i zatrąę w niewłaściwości atmosfery w której się jawi. Ponieważ to porównane z rośliną, wymagaćby więc należało, aby porównanie wytrzymało wszystkie próby: co jednak być niemoże, bo roślina dowolnie w niewłaściwym sobie klimacie nie zjawia się, jak to ma miejsce w płodach literackich i jak się to stało z rozprawą o której autor pisze. Stosując do utworów literackich prawo konieczności ciężące na roślinie, nie wachamy się utrzymywać, że ten nie jest członkiem swego narodu kto *produkuje* niewłaściwe miejscowości płody umysłowe; ruszając się zaś w niej i wegetując naraża się na oczywiste niebezpieczeństwo. W ogóle wszystkie te wyrażenia złożone pod wpływem niemieckiego sposobu pisania; stąd pochodzi przesyt słów: *ruch, produkcya, wegetacya natury, bezowocnie konieczna śmierć*, (ściśle biorąc nawet bez sensu) *zguba i zatrata*; stąd i napuszonosc przymiotników: *najslachetniejsza roślina, najwspanialszy i najszczytniejszy utwór umysłowy*.

Wszystkie te przymioty z przydaniem jeszcze płaskich konceptów, napełniają nasze filozoficzne rozumowania. Czytaliśmy kiedyś artykuł o szkole jońskiej (rodzaj wyprawy po złote runo), gdzie autor sypał ochoczo podobnemi wyrażeniami. «Starożytność posiadała kilku zbieraczy, luźnych apoftegmatów i wspomnień z życia dawnych mędrców; już Arystoteles *usiłował* był szczupły zapas objawionych przed nim filozofemów w racjonalny ująć wywód.» Ponieważ nie

wielu może wiedzieć co to jest *apostegmat*, a więcej takich, co wiedzą, że *luźny* mówi się o niezaprężonym koniu lub wole, to wyrażenie autora dla większej części czytelników będzie całkiem niezrozumiałe. *Apostegmat* przecie można było bez obrazy filozofii zastąpić polskim wyrazem *zdanie*, *wyrzeczenie*, albo nawet *wyrok*. Dalej, co to znaczy *zbięracz wspomnień z życia dawnych mędrców*? Po polsku, wiadome są wspomnienia *czego* albo *i o czém*, ale nie *z czego*.(*)

Dla ożywienia zrobił autor z *wyvodu* jakieś naczynie i powiada że Arystoteles usiłował ująć w racjonalny wywód zapas filozofemów; oczywiście więc chciał je *zakonserwować*. To tylko pewna, że jakiegokolwiek namyślnie znaczniej onemu wywodowi, że słów autora nic a nic się niedowiemy co chciał zrobić Arystoteles. Podług wszelkiego jednakże prawdopodobieństwa w przytoczonych powyżej słowach, miał autor powiedzieć, że w starożytności niektórzy ludzie zbierali zdania mędrców i dowiadywali się o okolicznościach ich życia; Arystoteles zaś starał się wyłożyć w pewnym porządku sposoby zapatrywania się na rzeczy głośne przed jego czasy. Czy autor upatruje różnicę między tém co robili owi zbieracze i tem co robił Arystoteles—wiedzieć

(*) Niezgadzamy się w tej mierze z szanownym autorem, gdyż są wspomnienia z podróży i wspomnienia z życia; —z oznacza że o niektórych tylko a nie o wszystkich szczegółach mówić zamierzamy. Umieszczając w piśmie naszym „*Cwiczenia Grammatyczne*“ czynimy to nie dla tego, abyśmy z szanownym autorem bezwarunkowo podzielać mieli nieprzyjaźń przeciw filozofii Niemieckiej, ale jedynie z tej przyczyny, że *niektóre* zarzuty uznaliśmy słusznymi i że gościnność dla rozpraw w tak ważnym przedmiocie — jak filozofja, jest naszą zasadą. Najchętniej też umieścimy każdą właściwą odpowiedź na ten artykuł.

Przyp: Au: Wi:

trudno. Zdaje się jednakże znowu podług wszelkiego do prawdy podobieństwa, że tu różnicę upatrywać może tylko upór, który niemożąc jasno wyłożyć czego żąda, każe jednemu zbierać tylko apoftegmata, a drugiemu *ujmować w racjonalny wywód* filozofemy. Mam podejrzenie, że to nie tylko po polsku ale i po niemiecku będzie jałowem.

Ponieważ się zgadało o Arystotelesie idźmy więc dalej jeszcze, żeby nas nieobwiniono o uczepienie się do frazy może niewykończonęj tylko. «On jeden zdolny był pojąć *szacowną* i pożyteczną umiejętność (historią filozofii) niemógł jednakże jej napisać, bo i najlepszy architekt bez dostatecznych materyałów nie wystawić nie zdoła.» Przyznać należy, że to dowcipne i trafne porównanie. Coś podobnego czytałem w bajkach Ezopa, a raczėj o Ezopie: tam czuć przymus i pła-skość; tu i po kilkakrotném czytaniu nie można się oswoić z wyrażeniem, które mówi o czém mówić niepodobna. Jeżeli nawet coś podobnego jako przysłowie używa się po niemiecku, to jeszcze nie usprawiedliwia piszącego po polsku.

Wreszcie to fatsz: kiedy są jakie takie materyały, to robota nie może być *nie*, przy doskonałym zwłaszcza architekcie. Zapewne *dostateczny* wzięto za *potrzebny*.

W dalszym ciągu tak autor mówi o tym samym przedmiocie. «Dopiero Hegel nadał nowe, a raczėj stworzył istotne życie tej nauki, odkrywając, że historia filozofii jest kolejnóm rozwinięciem się w czasie samej absolutnej, filozofii, czyli ciągłym wzrostem i postępownóm objawieniem się jednęj prawdy w rozmaitych okresach i stopniach wykształcenia.» Wyrażenie *nadać nowe ży-*

cie» objaśnione wydatniejszym *stworzyć istotne życie*, jakoby życie mogło być nieistotnym; żyła niem jednak filozofia aż do Hegla. Zdaje się, że nieistotne życie niczem innym być nie może tylko śmiercią, albo życiem kamieni. Ponieważ więc *istotne życie*, jest tylko *życie*, a porównane z niem *nowe życie*, znaczy tylko zmianę sił, formy, kierunku, to dwa te wyrażenia w żaden sposób objaśniać się nie mogą jedno drugim. Chciał zdaje się autor powiedzieć w powyżej przytoczonem miejscu, że Hegel dopiero napisał historję filozofii; bo on pierwszy odkrył, że przez nią można okazać, jak ludzie w rozmaitych czasach pojmowali (tak zwaną) prawdę. Żeby nam jednakże niezarzucano, że tłómaczenie nasze nie wierne, bo autor więcej daleko powiedział, uprzedzamy więc niepytani, że wszystka reszta jest niepotrzebna. Wspomniało się już o jednem wyrażeniu niewłaściwem, oto są inne: *kolejne rozwinięcie się w czasie*, — *ciągły wzrost i postepowe objawienie się* (zapewne objawianie się) *w rozmaitych okresach i stopniach wykształcenia*. Te wyrażenia w ten czas tylko mogłyby zastanawiać uwagę czytelnika, gdyby np. rozwijanie się czegoś mogło nastąpić w jednem oka mgnieniu, tak że nam by się koniecznie zdawało, że do rozwinięcia się czasu niebyło potrzeba. Jeżeli zaś autor chciał przez to ostrzedz, że prawda filozoficzna nie rozwijała się w przestrzeni ale w czasie, to przyzna każdy, że trud jego był zbytecznym. To samo da się zastosować i do dalszej części wyżej przytoczonych wyrażen: postepowe objawianie się niemoże być inaczej tylko w rozmaitych okresach (czasu zapewne) i przez to samo znajdować się musi na rozmaitych stopniach wykształcenia, a to wszystko z nowu

musi być ciągłym wzrostem. Wyrazu też *kolejno* użył autor niewłaściwie; tam tylko jego miejsce gdzie się o kolej umówiono, czego zapewne w rozwijaniu się prawdy dopuścić nie można. Naostatek zwracamy uwagę filozofów, że tak często używany przez nich wyraz *absolutny* dla większej części czytelników całkiem nie po- chlebne wrazi pojęcie o absolutnej filozofii; bo absolu- tny znaczy tylko *krnąbrnego, zuchwałego* człowieka.

«Dopiero Hegel dowiódł, iż proces myśli rozwijają- cą się *intensive* w ogólnym systemacie wiedzy a pro- ces myśli rozwijającej się *extensive* w szczególnych kolejno po sobie następujących systematach filozofii, są to dwa równoległe i odpowiednie sobie postępy, a ra- częj jeden absolutny postęp, który dotąd był rozrzuco- ny na szczeble idące po sobie, a teraz skupiony został w całość, obejmującą te szczeble jako pierwiastki w so- bie.» Podług najwierniejszego tłumaczenia Hegel do- piero dowiódł, że zachodzi ścisły związek pomiędzy ogólnym i pojedynczymi systematami filozofii—tak, że po- jedyncze są składowymi częściami ogólnego (nie pier- wiastkami, bo to fałsz). Więcej w tym perjodzie niema nic a nic. Trzebaż było łamać sobie głowę że- bygo zrobić niezrozumiałym! Jest to tylko upór drobia- zgowej zaciekłości, któremu zdaje się występkiem wyra- żać swoje myśli po prostu. Może kto zechce bronić ma- lowniczości wyrażen? jak np. *proces myśli intensive* a *proces extensive* są dwa postępy, a raczej jeden postęp ($1+1=2$ albo $=1$) który był rozrzucony na szczeble (jak do suszenia) a Hegel te szczeble zebrał do kupy! To bardzo malowniczo: proszę sobie wyobrazić drabkę, której jedno drabisko stanowi postęp *intensive* a drugie *extensive*, sy- stemata zaś służą za szczeble, które ponieważ Hegel ze-

brał do kupy, więc naturalnie, drabina się rozeszła. Używają też filozofowie wyrazu *wiedza*, zupełnie niewłaściwie. Znaczenie tego wyrazu powstało całkiem na drodze prawnej, historia jego sięga pierwszych pojęć o prawie, u Sławian. W polskim języku *wiedza* znaczyć powinna *atrybucje*, co jeszcze przechowuje się w wyrażeniach: *być pod wiedzą czyją, zrobić co za czyją wiedzą* i t. d. W rosyjskim języku dotąd w tém znaczeniu używa się wyraz *wiedomstwo*. Najmniejszego jednakże związku upatryć nie można między znaczeniem tego wyrazu i użytkiem jaki z niego robią w filozofii.

«Dopiero Hegel okazał że *lubo* prawda jest jedną, to *właśnie* dla tego iż ta jej jedność jest pełną i żywozną, a nie czczą i abstrakcyjną, musi się w rozmaitych przedstawiać postaciach, coraz doskonalsze przybierać kształty i coraz wyższe zajmować stanowiska».

Tego miejsca mimo wszelkie usiłowania niemożem przetłómaczyć, bo i wyrazów znaczenie i składowia gramatyczna do nie poznania skrzywione. Użył autor spójnika *lubo* tak niewłaściwie, że niemożna zgadnąć powiązania myśli zawartych w perjodzie: spójnikowi *lubo* odpowiada *jednak* a nie *właśnie*; w takim zaś składzie jak czytamy u autora *lubo* zamienia się na przysłówek i ostzega że prawda z *przyjemnością* jest jedną. Dalej zaś, trudno zgadnąć cechę prawdy oznaczoną przez *jedna*, bo autor niedojrzał się, że po polsku wielka zachodzi różnica między *jeden* a *jedność*: pierwsze usamotnia przedmiot z którym jest położone, i tłómaczy się najlepiej przez liczbę 1; drugie zaś znaczy złączenie dwóch rzeczy najściślejsze; używa się jeszcze w matematyce na wyrażenie tego

co zwyczajnie wyraża się przez *jedno*, dla tego zastosowanie *jedności* w matematyce jest całkiem niewłaściwe. Wracając do naszego autora, chcielibyśmy wiedzieć z wszelką ścisłością, czy prawda jest *jedną* tak, że niema dwóch, ale jedna zawsze, czy też tak, że rozmaite części z jakich jest złożona zostają zawsze w *jedności*. Prawda że to są ciężko filozoficzne wymagania i z naszej strony; ale jakże poradzić, kiedy oto w tém miejscu język nasz zdaje się być filozoficzniejszym aniżeli rozumowanie o prawdzie. Wprawdzie objaśnia autor co rozumie przez *jedność prawdy*, ale i to nie więcej nas uczy; powiada bowiem że ta jedność jest pełną i żywotną a nie czczą i abstrakcyjną, (jakby to mogło być razem) i że dla téj własności musi się zmieniać i ulepszać. Żeby jednak nie zostawić przytoczonego miejsca bez jakiegokolwiek tłumaczenia, poważamy się utrzymywać, że autor myślał wymownie oddać te kilka słów: Dopiero Hegel okazał że jakaś prawda jest organiczną; lub że w przemianach swoich odbija własności organiczne; albo że w przemianach odbywa kolej ciał organicznych i t. p.

W dalszym ciągu tak się autor wyraża. «Owszem ta ciągła płynność metamorfoz jest koniecznym warunkiem organicznego życia»—kilka wyrazów a ile to niedorzeczności! Ma to znaczyć, że co żyje zmieniać się musi. Autorowi podobała się *ciągła płynność metamorfoz*; jak owe Krasickiego:

Na płytkim gruncie rozbujających fluktów, korab mądrości chwieje się i wznosi..... i podobało się jeszcze utrzymywać, że ruch jest warunkiem organicznego życia, kiedy tymczasem to dzieje się przeciwnie.

Albo np. ta wielka prawda «gdyby bowiem to ży-

cie na jednym ze swych szczelbów się zatrzymało, toby właśnie umarło.» To wyrażenie niepotrzebuje tłumaczenia; daje nam tylko powód do oskarżenia autora o całkiem niefilozoficzne zdanie, jakoby życie umierało. Umierają twory żyjące, ale życie umrzeć nie może, bo gdyby miało w sobie zaród mogący je o śmierć przypawić, życiem zwańczy się nie mogło. Tak samo powiedzieć nie można, że *światło ściemniało, że mróz się ogrzał, a ciepło uziębło*.

Albo ten szumny zamach na małe rzeczy: »jest ogromna różnica między jednością i jednostajnością«.

Różnicę tę objaśnia autor w następującem wyrażeniu, ktorego rozbiorem myślimy go pożegnać «Prawda jest jedną, ale też właśnie dla tego jednostajną być nie może, bo gdyby nią była, tedyby się stała jednostronną, a więc nie zupełną, a więc fałszywą. Ona zaś jest jedną albo pełną, to jest rozmaitość w sobie obejmującą. Ci przeto, którzy o jednostajnej prawdzie marzą, żądają fałszu nie prawdy, żądają spoczynku nie ruchu, żądają śmierci nie życia». Przeciw złożeniu tego perjodu nie mamy wiele do powiedzenia; wyrazy jednakże z których go autor splata, w tak obcém użyte znaczeniu, że z całego wyrażenia więcej jak z poprzednich niczego się dowiedzieć nie można. Prawda np. dla tego jednostajną być nie może, że jest jedną; ponieważ *jednostajnym* zwykło się nazywać bieg lub ruch w ogóle, niewiemy więc w jakim ta własność zostaje stosunku do prawdy, której autor odmawia jednostajnego ruchu, dla tego że jest jedną. Choćbyśmy nawet przypuścili że autor miał tu na myśli pojęcie zawarte w wyrazie *jednakowy* to i tak nie wiele zyskamy, bo można być jednym i jednakowym razem, czego autor nie przypuszcza. Dalej dowiadujemy się,

że pełnem to tylko być może, co jest różnaitością napełnione; co także zdaje się całkiem jak nowe odkrycie. i t. d. Przypuściwszy wreszcie że wiadomo wszystkim co znaczy w tém miejscu *prawda*, możnaby tak przetłómaczyć powyższe wyrażenie: jedna jest prawda, ale nie po wszystkie czasy jednakowo ją ludzie pojmują i stosują—do swoich czynności; gdybyśmy więc każde takie pojęcie i zastosowanie prawdy brali za samą prawdę, tobyśmy z nią zmieszali i fałsze, konieczny skutek jednostronnego o niej pojęcia.

Ale to pierwsza część dopiero; do drugiej zaś nieśmiem przystąpić, z obawy, aby mię nie spotkało nieszczęście jakie autor zapowiada, że ci co żądają jednostajnej prawdy, żądają śmierci. Chociaż to byłoby niczem w porównaniu z tém coby świat cały spotkało, gdyby prawda była jednostajną, jednakową. Oto Hegel niemiałby o czém napisać historii filozofii! I tu dopiero prawdziwe nieszczęście! Niemogąc się tedy zdecydować jakiej prawdy życzyć światu, żeby złagodzić groźby, zostawiam dalszy ciąg bez tłómaczenia, starając się raczej zrozumieć co to jest prawda.

Filozofowie nasi, używają wyrazu *prawda* za niemiecki wyraz *Wahrheit*, mylą się na wstępie i błędzą do końca. *Prawda* ma dwa znaczenia: religijne i rządowe. Przodkowie nasi urządzając swoją społeczność, opierali się na bardzo prostej i jedyniej teorii: podług nich stosunki społeczne albo się odbywały *należycie*, albo się *wikłaly*: po drogach ruchu narodu robiły się węzły, które oni czuli się obowiązanyi rozwikłać — prostować drogi Pańskie, któremi Pan chodzić przykazał. Na to używali słowa *prawić*, sprawiać rzecz pospolitą; czynność zaś tego sprawiania nazywała się sądem albo

prawdą. (*) Jeżeli kto komu krzywdę wyrządził, krzywy był, jak się dotąd używa, pociągany był do sądu po sprawę, prawdę, sąd. Jakiej zaś wartości, w jakim poszanowaniu u narodu były owe sądy, dowodzi najlepiej, że *prawda* użytą była do przełożenia łacińskiego *veritas*. Cały ten tryb myślenia i działania jest arcyfilozoficzny i jasny: w duszy Rządcy zbiegają się wszystkie wątki nerwów życia narodu; przez nie on czuje to życie, przez nie we właściwe karby ujmuje, lub do nowego kieruje obrotu. *Prawda* więc jak *wiedza* i *absolutyzm* pochodzą z życia publicznego; filozof też chcący używać tych wyrazów powinien być przede wszystkim członkiem swego narodu *in succum et sanguinem*. Na całej przestrzeni ziemi gdzie postyszyć można wyraz *prawda*, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby on mógł być absolutnym w znaczeniu filozoficznym; samo jego pochodzenie najwyraźniej dowodzi, że *prawda* rodzi się z fałszu, że nie potrzeba żadnych opisań, żadnych rozumowań, żadnych historyj filozofii, aby znaczenie jego było jasnym, zamiłowaniem niezmiennym. Bo jeżeli *prawda* zawsze zmienną była, nigdy jednakowo pojmowaną, jakżebyśmy dziś mogli ją ustalić za pomocą parowej maszyny?

Dziś wprawdzie nie używamy tego wyrazu w takim znaczeniu jakie dawali przodkowie nasi, wskazujemy jednak na pochodzenie jego dla dowiedzenia, że na tej drodze szukać trzeba przyczyny jego nieużyteczności w filozofii niemieckiej. Bo *Wahrheit* nietylko

(*) Wszędzie prawie znajdujemy ślady, że u Słowian przepisy rozstrzygania spraw w sądzie nazywano *prawdą*, co na zachodzie tłumaczono łacińskiem *justitia*; była też i *justitia polonica* o której czytamy pod r. 1148.

niema takiej historii jak *prawda*, ale jeszcze tak martwy wyraz, że znaczenia jego wcale dojść nie można: jakieś zapewnienie, jakaś okoliczność bytu (*existentia*). Dla tego nie dziw że użyty do filozofii wywołuje rozumowań bez końca o swoim znaczeniu. Heglowi należy przyznać zasługę że on takie prawie nadaje znaczenie swojej *Wahrheit* jakie ma zawsze nasza *prawda*: ona żywa, rozmaita w zastosowaniu a w rzeczy zawsze jedna i ta sama. Tam szukają prawdy, my z nią mieszkamy spokrewnieni: przypatrzcie się liliom polnym jak rosną nie pracując ani przędąc; a ja wam powiadam, że ani Salomon we wszystkiej sławie swojej nie był tak przyrodziany jako jedna z nich.

Dla zakończenia o prawdzie przytoczym kilka słów innego autora (Parafrazy) może on będzie szczęśliwszy. „W tych tedy uwagach zacniemy od tego, iż celem filozofii jest obejmować prawdę myślą i pojętnie, że ona nas nie powinna doprowadzać do tego poznania, iż nic poznać nie można, to jest: że niepojmujemy prawdziwej prawdy, ale tylko prawdy czasowe, ograniczone, to jest takie prawdy co są i nieprawdami, i nakoniec, że w historii filozofii samą filozofiją zajmować się mamy.“ Ze składu wyrażen, z myśli, ze wszystkiego zgoła nietrudno zgadnąć, że autor niniejszego perjodu pochodzi z jednej szkoły z poprzednim; tam nawet znajduje się całkiem podobne zdanie o prawdzie. Różni się zaś od poprzedzającego tem, że dokładniej gatunkuje prawdę, są podług niego: prawdy prawdziwe, czasowe, ograniczone, i prawdy nieprawdy. Do wyboru! Jeżeli wolno zgadywać, taką miał może myśl wyrazić: filozofija ma nas nauczyć dochodzić we wszystkiem do niezmiennej wiecznie istoty

rzeczy, nie dać się uwieść pozorom. Najpierwszą korzyść odnieśby powinni sami filozofowie nasi; dlaczego jednakże mijają się z celem własnej nauki? Zapewne dla tego że trwają w przekonaniu, jakoby Pan Bóg niektóre ludy skazał na wieczną ciemność i dla tego odjął ich mowie własności zatrzymujące światło. Jeżeli zaś tego świętokradztwa niemożna im zarzucać, to jużci chyba przypuścim, że uczniowie nie zawsze dobrze rozumieją nauczyciela. Wolę skromniej głosować za ostatniem przypuszczeniem, bo mi się znowu nastęrcza rażący dowód. Ten sam autor tak dalej mówi. «Stąd wynika ta wielka różnaitość bytów i wszelkie *poznanie, uczenie się, nauka* a nawet *działanie*, nic innego w *zamiarze* nie mają, jak tylko wydobyć z *siebie* to, co jest wewnątrz *siebie*, to co jest w *sobie* i zamienić go dla *siebie* w przedmiot.» Tu wprawdzie *siebie* i *sobie* są bardzo zrozumiałe, jednak wątpię należy czy i podwójna ich liczba zdołałaby wyjaśnić co takiego mają wewnątrz siebie *poznanie, uczenie się, nauka* i *działanie*, tudzież jakie to są istoty którym autor nawet zamiary przypisuje. Może autor chciał powiedzieć, że człowiek przez naukę dowiaduje się o swoich zdolnościach i uczy się ich używać. Ale któż zaręczy żeśmy zgadli? To jednakże z pewnością możemy zaręczyć autorowi, że jeżeli kto wydobędzie z siebie co jest wewnątrz niego, to ten wydobyttek żadną miarą nie staje się dla niego przedmiotem; było nim samo wydobywanie. Bo przedmiotem może być cel naszego działania: skoro cel dopięty, przedmiot zamienia się w *najątek*.

II.

Rozbierane dotąd wyrażenia filozoficzne mogą jeszcze słabym tylko być dowodem niechęci filozofów do języka polskiego; bo chociaż przytaczane ustępy nie są bynajmniej wybierane umyślnie, nie składają jednak całości, która może wcale nie traci na ciemności wysłowienia. Dla odparcia wszelkiego podejrzenia zdajemy czytelnikom sprawę z całego dziełka.

Jest to książeczka o 160 stronicach pod tytułem: *Przygotowania do nauki dziejów powszechnych i historii rozwinięcia się umysłu i ducha ludzkiego.*

O tém dziełku wychodziły nawet dosyć obszerne wspomnienia z różnych fabryk literatury naszej. Wskazano już skąd autor czerpał swoje myśli, ile tam swego włożył, i inne zwyczajne w takich okolicznościach rzeczy mówiono. Co do mnie — mówić będę o samej grammatyce. To mię nawet niejako wymawia przed sobą samym; bo prawdziwie przykro by mi było, ażeby autor moje uwagi przyjął za płochą napaść. I w ogólności przedmiot mego rozbioru uważam za najmniejszy, nie myśląc bynajmniej aby się ktoś miał obrażać za wytknięcie mu błędów przeciwko własnemu językowi. Rumienić się zwykliśmy kiedy nam zarzucają że obcym, szczególnież też francuskim językiem błędnie się wyrażamy: płody natury mniejszą u nas wartość mają jak wyroby sztuki; mąż brutal dla żony, grzeszny zawsze dla innych kobiet i t. d.

Wreszcie autor sam uprawnia moje przedsięwzięcie, wyznając (str. 9) że życzeniem jego było zwrócić uwagę powszechną naszej publiczności, i wzbudzić w młodzieży ochotę do historycznych badań i rozumowań. Uczący zwykle pozwala słuchaczom, jeżeli znajdą w jego wykładzie coś wątpliwego, prosić o objaśnienie. Otóż na samym wstępie potrzebujemy objaśnień nauczyciela. W żaden sposób niemogę zrozumieć tytułu książki: *Przygotowania do nauki dziejów powszechnych i historii rozwinięcia się umysłu i ducha ludzkiego*. Dzieje tu są powszechne, a duch ludzki tylko i pierwsze zakręca na naukę o ziemi, o zwierzętach, o gwiazdach; drugie wyłącznie o ludziach; niewiadomo tylko o czem to ludzkim. Bo wszakże dzieje powszechne obejmować powinny wszystko co się tylko dzieje na świecie; a ludzie nie są duchem, dla tego nie można mówić *duch ludzki*, jak się mówi *duch boży*. Prawda że nazwiska nauk są zupełnie przypadkowe, i że zwracając na to uwagę niepowinienbym nastawać na tytuł wspomnianego dziełka, ale do iluż niedorzeczności owe wyrażenia przywodzą! Nie sąż to śmieszne owe długie przy zaczęciu wykładu umieszczane wywody i dowody, na oddzielenie jednej nauki od drugiej? Zdawałoby się że to w tym jedynie celu robiono, aby nowością znieść słuchaczy i przygotować pomyślny obieg drukowanego wykładu skoro się zjawi.

Niebardzo ja jestem od tego aby naprawdę tak myśleć; bo chociaż się wszystko robi dla samej nauki tylko, to mnie jednak bardzo trudno oddzielić naukę od bytu profesora. I to powszechne dzisiaj wyrażenie «uczyć się dla nauki» zawsze sobie dziwacznie tłumaczę: zdaje mi się, że ono wynalezione jedynie dla utrzy-

mania katedry, a raczej całej kasty uczonych, która, na nieszczęście, niema już miejsca Braminów Indyjskich. Bo jeżeli dla otrzymania stopnia uczonego, potrzeba słuchać kilku nauk, a przy każdej wypadnie koniecznie dotknąć celu do jakiego one dążą i pożytku jaki z nich ma spłynąć na słuchacza, to niezawodnie najdogodniej powiedzieć, że każda nauka dla siebie żyje, i każdy dla niej się uczy. To jednakże nie ściąga się do autora o którym mówimy; jesteśmy bowiem szczerze przekonani, że pobudką do napisania tej książeczki były chęci zupełnie obywatelskie.

W części ogólnej autor chce powiedzieć, że człowiek stworzony słabym, własną siłą doszedł do panowania nad wszystkiem co go otacza; że historia pokazuje, nam jaką to drogą człowiek doszedł do tego stopnia doskonałości.

Z takich zasad naturalny wypływa wniosek, że wypadki historyczne są jak ruchy jednego ciała, jak wyrażenia jednej duszy ożywiającej to wielkie ciało—ludzkości, i że stan dzisiejszy ludzi przygotowywał się od początku rzeczy.

Jako *najchlubniejsze piętno obecnych wieków*, uważa autor, *odkrycie stosunku ducha powszechnego świata z czynami człowieka—poznane i przeświadczone w sobie uczucie tego nieśmiertelnego i jedynego pierwiastku snującego się od stworzenia przez wszystkie odnogi myśli i działań ludzkich, a tём samém nadającego jedność skończoną i logiczną całej historii*. Zdaje się że autor chciał mówić o XIX wieku, bo chociaż użył liczby mnogiej, jednakże niewiem czy ich kilka naraz obecnych być może. Ponieważ zaś XIX wiek jeszcze się nieskończył, niemożna więc mówić wyraźnie o jego

piętnie najchlubniejszém: dla tego i powyższe wysłowanie czas dopiero wyjaśni. Wreszcie pozwólmy że jakimś wyjątkowym prądkiem rzeczy, odkrycia filozoficzne w naszym wieku nie posuną się dalej jak do tego co już wiadome o stosunku ducha powszechnego świata z czynami człowieka, to jednakże i w ten czas powyższe wyrażenie zrozumiałem nie będzie, bo nie wiadomo co to jest ten duch powszechny. Jeżeli to Bóg podawnemu, to tu niema żadnego odkrycia; od kilku tysięcy lat o tym stosunku dobrze było wiadomo. Prawda że w innéj formie, łatwiejszój daleko i jedynej, którą dzieci i starzy zrozumieć mogą, bez względu na rozmaite zdolności każdego.

W części szczegółowej przywodzi autor ogółowe zdarzenia historyczne na poparcie tego co w części ogółnej zakreślił. Zaczyna od pierwszych siedlisk ludzi,—przez Azyą, Grecyą, Rzym i dzisiejszą Zachodnią Europę, przechodzi aż do naszych czasów. W ciągu rozumowań wspomina o rozmaitych rządach, religiach, o sztukach, filozofii, chrześcijaństwie, wędrówkach narodów, upadku i powstaniu państw, i t. d. zwyczajne w podobnych rzeczach materiały.

Jest jeszcze jedna część, która obejmuje krótkie zebranie tego co powiedziano w poprzednich. Z niej to dowiadujemy się: że *świat wschodni, świat grecki i rzymski, oraz świat północno—giermański, z swoim rozwinięciem się aż do nas, są stanowczemi zarysami całej budowy dziejów, i że każdy z tych światów inną dążnością, inném uczuciem jest przejęty, chociaż każdy jest dopełnieniem swego poprzednika.* Autor to wyjaśnia na kilku stronicach, co się da wyrazić temi jego słowami «ludzkość jako massa musi mieć swojego reprezen-

tanta w mocarzu, a jako człowiek w swoich wyższych zdolnościach. Świat wschodni pierwsze rozwiązywał zadanie bez względu na indywidualność, świat grecko-rzymski (jakby to można było łączyć) był dopełnieniem tego niedostatku, z całkowitem prawie zagłuszeniem początkowego pierwiastku; świat zaś północno-giermański z początku dopełnienie okresu grecko-rzymskiego (wiosna jest dalszym ciągiem zimy, dopełnia ją), tylko w formie wyraźniejszej i z innymi narodami, był aż do dni naszych i jest jeszcze starciem się i przechodem uczucia ogólności w uczucie indywidualności i nawzajem, pogodzenie tego wszystkiego będzie owocem następnych wieków.» Ten błogi owoc przyszłości powierza autor Słowiańsz czynnie, *która dotąd ogromem tylko swoim znamienita, niezawarła jednak w swém łonie żadnego moralnego kierunku, żadnej duchownej zasady, co postać świata przekształca na porządek inny a tём samém i lepszy, i dla ogółu narodów korzystniejszy.*

Nieco wyżej wyrażone obszerniejsze jeszcze nadzieje: wpływ cywilizacji europejskiej na zreformowanie Azji.

Oto jest do naszych rozumowań przydatna treść ó dziełka.

Zastanówmy się tylko nieco nad nią. Co to są za światy: wschodni, grecki, rzymski i północno-giermański? Przypuściwszy nawet, że tu wyraz świat użyty właściwie, kto powie, gdzie są granice jednego, gdzie drugiego? Na każdy z nich działały rozmaite plemona, w rozmaitych miejscach i przez wieków kilka lub kilkanaście. Na jakiejże zasadzie filozof wszystkie te różności zawrzeć chce w jedném pojęciu?

A bardziej jeszcze na jakiej zasadzie daje jednemu nazwisko wschodniego, drugiemu greckiego i t. d. Jeżeli wiadomo że narody ze wschodu, z Azji przeszły do Europy, że Europa jest jakby kolonią Azji, to każdy z dzisiejszych i dawniejszych narodów Europejskich może sobie rościć prawo, że także należy do stanowczych zarysów, całej budowy dziejów. Sławiańszczyzna np. podług autora nie należy do budowy dziejów świata, a północna Giermanija należy; zachodzi teraz pytanie co w tej Germanji jest północno-giermańskiego, a co Sławiańskiego? A jeżeli filozof przekona się, że giermańskie Alody i Feuda są zepsutą organizacją szlachty Sławiańskiej, to w co się obróci całe rozumowanie? Podług filozofa, ludzkość jako masa musi mieć swego reprezentanta w mocarzu, a jako człowiek (zdaje się jako ludzkość) w swoich wyższych zdolnościach. Ponieważ to autor całkiem rozdzielił między dwa światy, bo podług niego na wschodzie byli tylko mocarze, a w świecie grecko-rzymskim tylko ludzie wyższych zdolności, wypada więc że na wschodzie massom przewodzili olbrzymi, z których każdy fizycznie silniejszym był od całej sobie poddanej tłuszczy. W Grecji zaś i w Rzymie przywódcy mass tylko swoimi zdolnościami trzymając się, nie potrzebowali nawet *liktorów* prowadzić przed sobą, lub zdobywać stolice siłą zbrojną, lub sprowadzać obcych z bronią dla zatrzymania swoich przymiotów,—dosyć było objawić tłumowi, że się posiada zdolności wyższe, i wszyscy już byli za objawieniem. Chrystus właśnie w tej przyszedł chwili kiedy ten świat najbardziej mógł się nazywać grecko-rzymskim, był zapewne najzdolniejszym, a jakież było następstwo. Po

dług najjaśniejszych dowodów od początku świata aż dotąd, wszyscy przewodnicy ludzkości muszą być i zdolniejsi i mocniejsi.

Północno-giermańskiemu światu przypisuje filozof jakoby on był z początku dopełnieniem okresu, grecko-rzymskiego, tylko w formie wyraźniejszej, i że teraz jest *starcie*m, przechodem uczucia ogólności w uczucie indywidualności i nawzajem. Idzie tu zawsze jeszcze o owego reprezentanta ludzkości. Wiadomo z powyższego, że w świecie grecko-rzymskim celował on zdolnościami. Takiż sam kierunek ma być i w północnej Giermanii, tylko nieco lepszy w formach wyrazistszych. Prawdziwie już niewiem z jakiej strony zacząć, żeby się dowiedzieć co za postać miał świat giermański. Jedno tylko mnie wspiera przekonanie, że nic a nic nie rozumiejąc, wolny jestem całkiem od wdawania się w objaśnienia;—niewiadomość grzechu nieczyni. Zdawało się przecież że w Giermanii, jak i wszędzie w Europie, po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej starano się narodom nadać głównejsze zarisy urządzenia spółeczności rzymskiej z ostatnich Rzymu czasów, i że też narody opierały się długo podobnym życzeniom rządu i duchowienstwa, dopóki niedoszły do przekonania, że *uczucie indywidualności* przejść powinno w *uczucie ogólności*, i nawzajem. To przekonanie przyznaje autor najnowszym czasom i to Giermanii północnej; zwracamy jego uwagę, że ta wzajemność *szczególności ku ogólności* jest najpierwszym i najprostszym warunkiem stania się dobrym obywatelem kraju, o czém jeszcze Solon bardzo mądrze rozprawiał, o czém dawno wiadomo na wschodzie.

Zdawałoby się żeśmy zбочyli od zamiaru pierwotnego, patrzeć tylko gramatyki, uprzedzamy więc że powyższe uwagi nie są bynajmniej rozbiorem treści umyślnym. Chcieliśmy tylko zatrzymać uwagę czytelnika nieco dłużej nad treścią dziełka, przystępując już do niektórych szczegółów.

Str. 5. «Wśród istot rozlicznych, ręką stwórcy na tę ziemię rzuconych, najpierwsze miejsce zajmuje człowiek.»

W tém zdaniu zaimek *tę* każe oczekiwać przymiotnika przy rzeczowniku *ziemia*; inaczéj jestto obcy polszczyźnie przedimek. Niewiem pewno w jakim znaczeniu użyty wyraz *rzucił*; jeżeli dla wygłosni, (deklamacyi) to niema co mówić, takimi całe dziełko napełnione, lecz jeżeli w znaczeniu zwyczajném tego wyrazu, to niech mi wolno będzie powiedzieć, że tu brak ładu w myślach. Bo jeżeli był stwórca świata, to losy człowieka i całego stworzenia musiały być naprzód zakreślone w jego zamiarze stworzenia,—*istot* więc *ręką* nie *rzucił*, bo to rzecz igraszki. Z tego też pierwotnego pomysłu stwórcy pochodzi, że człowiek zajmuje pierwsze miejsce na ziemi. Tu dosyć było przypomnieć odwieczną myśl, że Bóg ze wszystkich stworzeń, człowiekowi tylko nadał własny swój obraz, tworząc go podobnym do siebie samego. (*) Odstąpienie zaś od tej formy wyrażenia, sprawiło że u autora wiele miejsc niezrozumiałych się znajduje.

(*) Proszę mi darować że zmienił wyrażenie „Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje.“ Ze słowem stworzyć przyimek *na*, wyraża cel stworzenia: przecież nie można utrzymać, że celem stworzenia człowieka był *obraz i podobieństwo do Boga*.

Trudno naprzykład wytłómaczyć sobie, jakim prawem człowiek zajmuje najpierwsze miejsce między stworzeniami, jeżeli przedstawia się nam jako stworzenie słabe, nieudolne, najmniej udarowane od przyrodzenia (drugiego widać stwórcy) bez obrony od silniejszych zwierząt, bez wrodzonego w tychże (zamiast tymże) zwierzętach instynktu do utrzymania życia. Wypada bowiem, że jeżeli człowiek te wszystkie niedostatki umiał zastąpić, i wzniósł się nad wszystko, to niezawodnie on wyższy jak jego stwórcę, który go stworzył takim tylko jakim stworzyć mógł, tj: słabym nieudolnym i t. d.

Tego wszakże autor nie miał na myśli kiedy na str. 23 utrzymuje, że stwórcę tak dostojnymi umysłowemi zdolnościami obdarzył rodzaj ludzki (zapewne na przekór przyrodzeniu) iż ten siłą własnego wyrobu wydart się z dziczy i t. d.

Człowiek uważany samotnie w nieokrzesanym i pierwotnym (we dwóch) stanie przedstawia się słabym, w stanie towarzystwa ucywilizowanego królem ziemi, panem zwierząt i t. d. który nareszcie dośledził obrotów wielu ciał nieba fizycznego (widać że są ciała moralne i niebo moralne) zdołał.... przyznać część duchowną swojego jestestwa, od tej znajomości dojść do źródła wszystkiego, do znajomości jednego Bóstwa i do naznaczenia tj: do nacechowania prawideł cnoty. Porównyując to z zasadą jaką autor przyjmuje, że ludzie się doskonalą, i że dzisiejszy stan społeczności północno-giermańskiej jest najdoskonalszym, wypada wnosić że w rzeczy samej teraz dopiero i to w północnej Giermanii znajdują część duchowną naszego jestestwa i czczą jednego Boga i mają naznaczone (nacechowane) prawi-

dła cnoty. Że to nieprawda dowodzić tego nie trzeba. Jeżeli zaś autor co innego miał na myśli i ja tonę w domysłach odgadując tok jego rozumowań, wnosić należy, że całe to przejście człowieka od nicości do poznania bóstwa ściąga się do czasów przed-historycznych; co być znowu nie może, bo historją zaczyna od stworzenia świata. Niechcę się gubić w domysłach, powiem tylko jeszcze, że wcale a wcale nierozumiem jak człowiek mógł nieznać Boga od początku, kiedy, jak sam autor przyznaje, *stwórca rzucił człowieka ręką na ziemię*; to przecie bardzo przekonywająco. Chyba że znowu stwórca co innego a Bóg co innego. Jeżeli zaś pojęcia o Bogu, o cnotie, były od początku rzeczy i pomagały bardzo człowiekowi w życiu społeczeńskim,—to komu należy wyższa chluba? czy temu co je pierwszy czy co ostatni pojął? czy temu co wierzył, czy co chciał rozumieć?

Wierny zamiarowi śledzę tylko jasności wyrażen bynajmniej nie wchodzę w to, czy rzecz sama dobra lub zła; a jeżeli kto zarzuci, że obalając wyrażenie myśl naruszam,—na to, zamiast odpowiedzi, przedstawię cud: duchy nie mają wcale ciała a jednak wierzymy że są i działają; czemużby myśl nie miała mieć wartości, mając jakie takie ciało? To także rodzaj postępu. Gdyby zaś wypadało koniecznie dać myśli wyrazistsze ciało, to można do tego użyć innego materiału, np. drzewa, nie koniecznie wyrazów; jak duchowi można je dać z *wapna* i *spojonej zalewy*. Autor tę okoliczność sam wyjaśnia. «Duch ludzki który w przestrzeni i czasie wypadki szykował i przerzynał się przez wieki niepoznany nawet od tych którzy nim zagrzeni byli, w nowszych to dopiero czasach przeświadczeniem intelli-

gencyi ujęty, zjawił się już, nie tak jak dawniej, w porządku wydarzeń, lecz w uczuciu i poznaniu, jakby wzmocniony wapnem i spojną zalewą, która przeszłości całej nadając jednorodność, ugruntowała może mocną dla przyszłości osnowę, jeśli tylko to przeświadczenie dotąd przez szczególnych pojęte, w powszechną przemieni się wiedzę.»

Na nic się nie zdała wszelka książka, wszelka mowa, która nic nie daje dla wyobraźni, która w czytelnikach i słuchaczach tej władzy ich duszy nie potrzebuje. Kto czytając nie sprawdza myśli swoich wyobraźnią, lepiej niech nie czyta; bo pamięć na to tylko służy człowiekowi, aby spamiętał nazwiska rzeczy—słowa języka, a nie porządek rozumowań, którego nikt jeżeli nie może mieć własnego, żadną filozofią niezaśtąpi.

Przy czytaniu powyższego miejsca o *Duchu ludzkim*, wyobraźnia moja niepróżnowała: widziałem jak duch uszykował swoje wojsko i z niem przerznął się (zapewne przez nieprzyjaciela) i za wstawieniem się Inteligencyi, roskochany zjawił się w Poznaniu, gdzie osłabiony tyłu trudami, wzmocnił swe siły ambrozją i nektarem tj: wapnem i spojną zalewą. Ta zalewa wywarła tak dzielne skutki, że chociaż duch był z kawałków złożony, ona jednakże nadała jego przeszłości jednorodność i tęp położyła osnowę dla przyszłości.

Więc tedy duch ludzki był i dawniej kiedy o nim niewiedziano, teraz zaś poznano go, i życzyć należy dla dobra przyszłości, aby był znany przez wszystkich.

Wyraz *duch* w naszym języku daje pojęcie obrazowe, a ten obraz jest zawsze człowieczy; przydatek więc ludzki będzie zupełnie zbytecznym; o duchu wierzą

nigdy się nie mówi; a jeżeli to ma być dla odróżnienia ludzkiego od bożego ducha, to jakże można, przyznając bytność Boga i opatrność w historii, przypuszczać *duch ludzki* jako coś oddzielnego, niezawistego? Autor wreszcie sam objaśnia co to jest opatrność: «opatrność... jest... uprzedmiotowanem i zbiorowem wyobrażeniem ogólnych działań niezmordowanego w swym biegu ducha ludzkiego, tego płodnego nasienia z którego się rodzi to drzewo wydarzeń różnych, jak są różne liście, kwiaty i owoce co zdobią krzewy tej ziemi, i któremu jako przestrzeń do wyrostu dana jest wieczność nieskończona.» Ale to nowy zamęt. Dowiadujemy się ztąd, że *duch ludzki* znaczy to samo co opatrność, bo ona zbiorowo i przedmiotowo wyraża ogólne działania ducha ludzkiego; wyraz zaś opatrność w naszym języku znaczy przymiot Boga, jego pieczę o stworzeniu, używa się nawet zamiast wyrazu Bóg: miałaby autor utrzymywać, że Bóg jest zbiorowem wyrażeniem ogólnych działań ducha ludzkiego?

Pominąwszy że prawowierny chrześcijanin niemoże bez grzechu, ducha bożego w historii zastępować duchem ludzkim, utrzymuję wręcz, że wyrażenie *duch ludzki* po polsku nic nie znaczy.

Wyraz *duch* przedstawia umysłowi naszemu istotę bez ciała, nieprzebywającą w żadnym ciele; *dusza* znaczy istotę w ciele przebywającą. Jak dusza przedstawia się wyobraźni pod formą ciała w którym mieszka, tak *duch* przybiera postać stosowną do przypisywanych mu własności. Rzeźbiarz i malarz mogą wyobrazić ducha zgody, niezgody, ducha psoty, ducha wojny, niemieckiego ducha, francuskiego, i t. d.; każdy z nich ma sobie odpowiednie kształty i ruchy, na-

wet dźwięki muzyczne, chociaż to najuboższa pod tym względem sztuka; ale żaden w świecie sztukmistrz niepotrafi wyobrazić *ducha ludzkiego*. Chyba to będzie Chrystus.

Wyrażenia *duch ludzki* bardzo można używać po francusku, po niemiecku,—bo tam wyraz znaczący *ducha* nie znaczy go wyłącznie, znaczy więc co innego. Po francusku można powiedzieć *esprit des lois*, ale po polsku *duch prawa* nic nie znaczy. Jakby wyglądało np. gdyby Cyceron zamiast *de legibus* napisał *de spiritu* albo *de animo legum*? Powie kto; że to są *abstrakta*, że wszystko com za niewłaściwe językowi naszemu wykazywał jedną myślą o *oderwanych pojęciach* da się usprawiedliwić: nie będę ja się wdawał w długie rozumowania o abstraktach, dosyć będzie wspomnieć, że do oderwanych pojęć trzeba i oderwanych wyrazów i oderwanych ludzi.

Czy mam pójść dalej? Lepiej skończyć na tém.

Przeglądane dotąd przykłady filozoficznego języka, są jakby płody ludzi młodych, zostających jeszcze pod wpływem uroku szkolnego życia. Gdyby zaś to przypuszczenie nasze było niemyślnem, gotowibyśmy uważać ich pisma jak ćwiczenia studenckie na dany temat. I to jedno rozbraja krytyka; bo choć zalecają filozofowie ażeby człowiek umiał pojmovać ogół rzeczy i siebie samego uważał jako część tego ogółu, do uczonych jednak giermańskich, a tém bardziej do studentów każdego narodu wcale się to zastosować nie da. Uczeni giermańscy stanowią osobną gminę, która i językiem i sposobem zapatrywania się na rzeczy, różni się zupełnie od reszty swoich Landsmanów. Zapewne oni jedni pod słońcem wierzą najszczerzej, że młodzież

po ich nauki do szkoły przychodzi; starają się też wykładać je z najwyszukańszą systematycznością; wywołują koniecznie filozofiją, żeby młodym dać jakieś ramki, w któreby oprawiać mogli wszelkie przedmioty następujące się ich myśli. Człowiek dowiaduje się tylko o rzeczach, a jak zebrane wiadomości uporządkować się mają w jego umyśle, zależy całkiem od jego usposobienia. Kto niema sił aby rozumiał od jednego nagromadzenia wiadomości, temu napróżno wykładać fenomenologiją, tego przywieść do przekonania tylko, że z pokorą wierzyć powinien. Najwyższymi po wszystkie wieki mędrkami byli ci którzy urządzali swoje narody: przypatrzenie się bliższe organizacyi pierwotnej społeczeństw mimowolnie skłania nas do uznania w tych ludziach odblasku jakiejś wyższej siły; bo ich to właściwie *duch*, wyrażając się filozoficznie, odbił się w dziele wielkiem, godnem może jedynie, uwagi filozofa. Jakby w świeżej pamięci mieli dzieło Boskie, bo najpierwszą społeczność urządził sam Bóg. Ich mądrość pozostała w języku, ale kto wysłuchał, kto zrozumiał tego jedynego świadka ludzkich dziejów? I dzisiejsi filozofowie nadają szczególne piętno językowi, którym ogłaszają swoje wywody; ale jakaż to różnica? Tamci mówili dla wszystkich, ci tylko dla siebie.

III.

Opuszczając ćwiczenia filozoficzne studenckie, przejdźmy do tych pism, których autorowie występują

w charakterze nauczycieli swego narodu. Do takich między innymi należy np. Fenomenologia ducha. Autor stara się wyrażać jasno i poważnie; wiele więc *terminów* filozoficznych zastępuje opisaniem ich znaczenia, i całemu wykładowi nadaje barwę języka starego. Wszystko napróżno. W tej bowiem Fenomenologii ducha albo się mówi o rzeczach zanadto zwyczajnych, albo nadzwyczajnych; jedno i drugie wymaga osobnego języka i innego jak zwykle przekonania, nim się czytać zaczyna.

Głównem tematem tego pisma filozoficznego jest myśl wyrażona przez autora str. 4. «Jak człowieka szczegółowego, takie są w pochodzie wieków dzieje całego rodu ludzkiego. Duch historii wiecznie *się pracuje*, by się wyłamał z pod brzemienia natury, by przejrzeć i w świadomości siebie był.»

Powiedzieliśmy że autor mówi o rzeczach nadto zwyczajnych i nadzwyczajnych,—w przytoczonym głównym *akkordzie* jego pisma, prawie można znaleźć oboje. Zdanie pierwsze tak jest zwyczajne, że już dla podszarżania nie używa się podział na wieki dzieciństwa, dojrzałości młodzieńca, dojrzałości człowieka i t. d. bo to w żaden sposób zastosowanem być ściśle nie może. Wreszcie na to nie nastajem, bo tu coś bardziej zajmującego swoją nadzwyczajnością. Autor upatruje związku w dziejach *całego rodu ludzkiego*; to jest właśnie nadzwyczajność o której mówić mieliśmy. W rozwinięciu bowiem tej myśli przytacza autor, że «najpierwszym i najniższym stopniem w żywocie całego człowieczeństwa, jest owe głuche pograżenie się w naturze, z którego się dzieje Afryki składają.» Wia-

domo że w Afryce mieszkają rozmaite narody, z których jednego historja pamięta tylko jak przez sen zgrzybiałość, drugiego tragiczny upadek z niechęcią wspomina, a o innych rozpowiada jakieś dziwy arabskie. Wiadomo jeszcze, że do dziś są tam ludy których pochodzenie człowiecze usprawiedliwiać potrzeba: o którychże mówi filozof? co ogólnego znajdzie między jednymi a drugimi? Albo jeżeli u niego *duch historyi* początkuje w Afryce, to jakież związku międzyj nim a *duchem Europy*?

Ale i na to niebardzo nastajem: o tém albo wiele, albo niema co mówić. Cała nasza napaść wymierzona przeciwko drugiej części przytoczonego tematu Fenomenologii ducha. Powiada autor, że *duch historyi* wiecznie się pracuje, by się wyłamał z pod brzemienia natury, by przejrzał i w świadomości siebie był. Gdyby ta *wiadomość ducha* była jakim rzemieślniczym wyrobem, to możnaby mówić że *duch* naprzód osnuł zamiar, zakreślał sobie plan swój roboty i używszy stosownego materjału wykonał robotę, choćby też niebyła zamówioną u niego,—po prostu jako amator. Ale że tu nie o rzemiosło idzie, to też niemożna *duchowi* przypisywać zamiaru, dążenia do czegoś; bo w podobnym razie dosyć dla niego wiedzieć do czego dąży i już jest u celu. Wreszcie i ja się źle wyraziłem: o celach, dążeniu *ducha*, wcale mówić niemożna, a tylko o samych stanowiskach z jakich się zapatruje na świat. *Duch* tylko rzemieślniczy dąży, *duch zaś historyczny* zmienia stanowiska bez wszelkiego dążenia.

Temat powyższy tak jest rozwinięty: (słowa są autora w których daje ogólny zarys pisma) «Obaczy-

my naprzód zjawiska pochodzące ze świadomości *zgoła* czyli *ogólnie* wziętej. W tej części obięta jest wiedza ducha człowieczego o świecie zewnętrznym. Jest to, że tak rzekę, wychylenie się ducha zewnątrz siebie.

Powtóre: następną część obejmuje wiadomość siebie. Duch człowieka nabywa wiedzy o sobie samym, a poznawszy świat zewnątrz niego będący, odziera świat ten i odróżnia od świata wewnętrznego, to jest od istoty duchowej. Duch zanurza się więc wewnątrz siebie i siebie samego za przedmiot ma. Jest to więc niby nawróceniem się ducha ze świata zewnętrznego ku sobie samemu.

Po trzecie: wyłożymy nareszcie jedność świata zewnętrznego i wewnętrznego» albo, jak lepiej następnie autor objaśnia, że z tej jedności *duch* się przekonuje, że jedne prawa rządzą światem zewnętrznym i wewnętrznym. Są to dosyć ciekawe owe wycieczki *ducha*, a bardziej jeszcze skutek ich. *Duch* się wymyka z kryjówki na świat i zbogaca wiadomościami do tyła, że za powrotem do siebie pewny jest, że co nie on to on. To głębokie przekonanie otwiera mu pole do długiego rozmyślenia, skutkiem czego, widać znudzony wmawia w siebie, że to wszystko jedno; lepiej więc żeby się był nie trudził nadaremną podróżą.

Podobne rozumowanie zdaje się samo błagać, jeżeli komu przypadkiem i przyjdzie do głowy, aby go nie ogłaszał. Podobne wędrówki *ducha* wcale a wcale miejsca nie mają; zapatrywanie się człowieka na świat i wywodzone stąd przekonania, są dziełem jednej chwili, bo one szybkie jak *mysł*; wszelkie więc

opisywanie drogi jaką myśl przebiega, jest fikcyjne, śmieszne i niepodobne.

Jeszcze tu przynajmniej można było cośkolwiek zgadnąć czego chciał filozof; ale oto najwyższy wypadek Fenomenologii ducha (182) jest po trzeci raz powtórzone to, co już wyżej przytoczyliśmy. «Dwa są bieguny sobie odwrotne a przeciwległe; jednym jest wszelka *bytność*, cała przedmiotowość, wszystko to co jedno może być osnową wiedzy naszej, jest to świadomość *z goła* wzięta; na drugim biegunie postawion człowiek z potęgą ducha swojego, jednostka w sobie płożąca, zwinięta; jest to świadomość siebie samego. Dwa te bieguny powinny się z sobą uchwycić i jedną złożyć całość; uznanie swojego jestestwa, świadomości siebie, winno spływać z wiedzą o przedmiotach, to jest ze świadomością *z goła* uważaną; owa istota którą duch nazywa «*Ja*» winna stać się jednością z osnową o której duch z razu twierdzi: «*to nie jest mną, to nie ja*»

Prawdziwie to bardzo malowniczo! Duch chwyta świadomość *z goła* t: j: póki *goła* i łączą się z sobą, jedno drugie *uznaje* i staje się jednem ciałem. Przepraszamy za materializm: *z goła* znaczy tylko *goło*, a autor wyżej objaśnia że *z goła* znaczy ogólnie. Choć to niebardzo filologiczne objaśnienie, powiemy jednak że *goły* i *ogólny* zupełnie co innego znaczą; kiedy więc duch chwyta świadomość *gołą*, to jeszcze mu wiele brak do schwywania ogólnej.

Ponieważ zaś umysł ludzki nie może sobie przedstawić aby w naturalnym porządku rzeczy dwa bieguny czegokolwiek, miały się zwracać ku sobie, a jeszcze więcej chwytać się, zatem i to wyrażenie, że dwa

bieguny powinny się uchwycić, może być obrazowo objaśnione: *biegun* w poezji znaczy *konia*, byłoby to więc bardzo zrozumiałe ale nie filozoficznie. Zarzucając niewłaściwość w użyciu wyrazów zwracamy i na to uwagę, że *bytność* nie może być użytą w znaczeniu przedmiotowości. Rozumowania filozofów tegoczesnych wtenczas są najlepsze, kiedy z nich żadnego a żadnego użytku wyciągnąć nie można, ani dla Boga ani dla ludzi, kiedy ich niczem sprawdzić niepodobna, nigdzie im miejsca znaleźć na bożym świecie. Jeżeli bowiem poznanie *świata zewnętrznego* stanowi konieczny warunek *edukacyi Ducha ludzkiego*, to jakże on ją ukończy, kiedy tego warunku nie spełnił jeszcze i może nigdy spełnić nie zdoła. W rozumowaniach *np.* o fenomenologii ducha wypadło autorowi, «że wielożeństwo jest właściwe ludom wschodnim, bo te nieświadome jeszcze zacności istoty człowieczej, obu płci z sobą nie zrównały». Zdaje się, że filozof powinien był trochę szczerzej wejrzyć jaka różnica zachodzi między owym wielożeństwem otwartym i naszym kłamanem jednożeństwem. Otrzymałby wypadek zupełnie inny; różniceby się objaśniły z przyczyn bardzo prostych, a jedność zasady wyszłaby na wierzch.

IV.

Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.

Ze skruszonym sercem p rzychodzi mi wspomnieć o związku duszy z ciałem. Jest to widać płód czło-

wieka mającego chęć niepopisywać się przed czytelnikiem, ale po prostu uczyć go. Mnie może o tem pisać się nie godzi, ale czy godzi się w ogóle mówić o związku duszy z ciałem? Jam nie zaczynał, wina nie moja że kończę.

Tok języka stworzył w mój wyobraźni człowieka nie młodego już, rubasznym obyczajów i wielkiego filozofa. Wielkiego mówię, bo z dziś piszących o filozofii niemieckiej Polaków, on jeden dowodzi najwięcej że panuje samodzielnie nad ulubionym przedmiotem: szkoda że to filozofija. Dobrze jego chęci wyrażać się jasno po polsku, natchnęły mu myśl nakuc wyrazów polskich dla dokładniejszego oddania niemieckiej terminologii. Omyłka na wstępie.

Chcąc być polskim filozofem, nie trzeba się uczyć niemieckiej filozofii,—tylko należy mieć umysł filozoficzny i dobre chęci,—należy mieć prawo filozofować po polsku. Niemieckiej filozofii przypisywać uniwersalność, —znaczy bredzić: Hegel we wszystkich swoich pismach jest tylko Niemcem. Podszycać się w tym względzie pod filozofiją starożytną, upatrywać związek między grecką i niemiecką —znaczy bredzić powtórnie. Tamtęj początek dała potrzeba, tój drobiazgowa zaciekłość. tamta była zrozumiałą, ta jest ciemną. Filozofija niemiecka zdaje się jakby weszła w prawa zgasłej Astrologii i Alchemii. Jeżeli jeden *duch* unosi się nad światem i przez niego od początku aż dotąd wszystko się dzieje,— jeżeli jedne prawa rządzą wszystkiem co tylko się dzieje na świecie, to filozof Kafrów musi się zejść w wywodach swoich z filozofem niemieckim, choćby o sobie nie wiedzieli, to filozof polski rozumować będzie jak grecki, choćby o nim niesłyszał. Jeżeli znowu ten *duch* objawia się w najrozmaitszych, w zupeł-

nie różnych między sobą dla naszych zmysłów przedmiotach, to zapewne rozumować o tym *duchu* z równą łatwością można formami każdego języka, które także świadczą o prawach owego *ducha*. Narody nie wtenczas dopiero rozumują, kiedy się doczekają filozofów, ale rozumują odtąd już jak mówić zaczęły: tworząc więc wyrazy, mające służyć na nazwanie rzeczy lub władz umysłowych, dały dowód że takimi tylko trafić można do ich przekonania. Przypatrzmy się jednak bliżej rozumowaniu autora, o związku duszy z ciałem. Zakłada on sobie tak: wiadomo każdemu że mamy ciało, wiadomo że mamy duszę, że ciało działa na duszę a dusza na ciało, ale niewiadomo jakim sposobem odbywa się to wzajemne działanie, o tem więc chce nas nauczyć. W tym celu rozbiera zdania filozofów rozmaitych, sam dochodzi do wypadku, że człowiek jest *jaznią*, t. j. ciałem i duszą w *różnojedni*.

Ponieważ nie zupełnie jasno jaka jest różnica między tem co jużesmy wiedzieli o związku duszy z ciałem a tem co autor nam powiedział, wypada pokrótce przebieść drogę jego rozumowań. *Rozum*, powiada on, jest królem władz naszych empirycznych; wszędzie dostrzegając różnic, widzi też różnicę między ciałem i duszą; on to tylko, właściwie mówiąc ciekawy wie dzieć o ich związku.

Umysł jest królem władz naszych metafizycznych, i będąc przeciwnikiem króla *Rozumu*, w niczem nie widzi różnicy. Stąd pochodzi że dla niego ciało i dusza są zupełnie jedno i to samo.

Mysł jest królem naszych władz filozoficznych, a w jego oczach i jest różnica między duszą i ciałem i niema t. j. uważa je za jedno i to samo.

Król *Rozum*, podług autora, panuje nad krajem, który się nazywa *względna różnia*;

Król *Umysł* panuje nad krajem, który się nazywa *bezwzględna jednia*.

Król zaś *Mysł* ojciec króla *Umysłu* (spokrewniony zupełnie z królem *Rozumem*) panuje nad *filozoficzną różnojednią*.

Król *Mysł* miał jeszcze jednego syna *Zmysła*, ale autor nie wymienia jego dzielnic; widać jeszcze nieletny; może też bezdzietny umarł.

Co do ciała i duszy, dowiadujemy się że *różnojednia* ich jest to samo co *osobistość* w człowieku i nazywa się *jaźnią*. Ponieważ powyżsi trzej królowie są bliscy krewni i stosunki ich są czysto słowiańskie, bo *Mysł* jako starszy w rodzie, ma nad nimi przewagę, wypada więc że i pod względem zapatrywania się *na jaźń* zawsze na jego się staje. Jak wiadomo z powyższego ona jest razem ciałem i duszą: król *Rozum* zawsze tu widzi różnicę między temi dwiema częściami *jaźni*; król *Umysł* ciągle utrzymuje że to jedno i to samo; król zaś *Mysł* jako rozsądniejszy, żeby zapobiedz sporom o fraszki, przekonywa ich po ojcowski, że każdy z nich ma rację. Tem jednakże widać nieuspokoił swarliwych młokosów, bo musiał się uciec do fortelu więcej obiecującego. Powiedział im że «Bóg tworząc człowieka, nie tworzy ani li ciała, ani li duszy, ale oboje społem, t. j. *jaźń*; bo tylko *jaźń* jest człowiekiem.» Na to zaś rozumowanie wykretne wpada z tego założenia, że «Bóg nie tworzy *abstrakcyi* ale *rzeczywistość*.» Dosyć mu się udał ten wybieg; uwierzono mu bowiem że *ciało i dusza są abstraktu* a *jaźń* prawie dotykalna *rzeczywistość*.

Stanęła tedy ugoda w której za główny warunek położono utrzymywać odtąd, że człowiek jest *jaźnią*, t: j: ciałem i duszą w *różno-jedni*.

Myslałem że przebiegając drogę rozumowań autora, zgodnę, jakim podług niego sposobem wiąże się dusza z ciałem; pokazało się zaś że tylko filozoficznie okręcił się w kółko i znowu wpadam na tę samą trudność. Pójdźmyż inną drogą:—Jak się już wyżej namieniło, wiemy, że mamy ciało i duszę i że jedno działa na drugie; nie wiemy tylko jakim sposobem odbywa się to działanie. Filozofowie rozmaicie o tem rozprawiali: jedni uważali że jest różnica między ciałem a duszą, t: j: uważali je w *różni*; drudzy utrzymywali że ciało i dusza jest jedno i to samo, t: j: uważali je w *jedni*; autor zaś nasz składa *różnię i jednię* na jeden wyraz i może na jedno pojęcie i uważa ciało i duszę w *różno-jedni*. Proszę teraz powiedzieć szczerze ileż wiemy więcej jak to co oddawna było i dzieciom wiadomo? Człowiek ma ciało i duszę, różne między sobą, ale tak połączone, że ich oddzielnie trudno uważać za życia. Ale i to zawiele: w wyrażeniu *człowiek ma duszę*, wszystko powiedziano, bo właśnie taka natura pojęcia *dusza*, że ją zawsze tylko połączoną z ciałem człowieka uważać można. Ta jedna różnica w tem cośmy wiedzieli, od tego co nam autor tłómaczy, że nasze wiadomości są więcej proste, jasne i nadzwyczajnie stare.

Powziąwszy świętokradzką myśl sprawdzać zdania filozofów od autora związku duszy z ciałem, dopiero dowiaduję się na jak wielkie narażony jestem niebezpieczeństwo. Za lekko wyraziłem się o *jaźni*, jakbym odrzucał to odkrycie; tymczasem autor utrzy-

muje, że kto się sam *jaźnią* nie czuje, a więc jest kołem (pieńkiem), temu tego niedowódź że on ma być *jaźnią*, bo on nią nie jest; ta zaś *jaźń* jest tylko w tym człowieku, który się *bóstwem czasowem* poczuł. I do takich to prerogatyw samochoćąc zagroziłem sobie drogę. A będąc bóstwem choć tylko czasowem i ja-
byłbym może *siedział sobie za światem i nie stał z nim w kmotroństwie*.

Narzeka filozof, że łamiąc sobie *głowę* (28) nad objaśnieniem związku duszy z ciałem, zamiast nagrody mozolnego trudu spodziewać się musi prześladowania, jeżeli w czem uchybi *zdawkowej monecie codziennych wyobrażeń*.

Niech nam wolno będzie wyznać, że ta skarga nieprzystoi filozofowi, i zupełnie niesprawiedliwa. Miałżeby filozof dla tego tylko, *biedny, sobie łamać głowę*, żeby się wdzięczności dosłużył lub zbierał oklaski?.

Albo mieliżby ludzie zawsze chciwi nowości, za starém obstawać tylko dla prześladowania filozofa? W imię nowości wszystko zrobić można, trzeba tylko aby ona jakikolwiek związek miała ze starém: bo inaczej trudnoby przyznać czy to w rzeczy samej nowe, czy też tylko obce; bo to wielka różnica.

A jakiż naprzykład związek między użyciem przez autora wyrazów *rozum* i *umysł*, a tém jakie one mają zwyczajnie? Wyrazem *rozum* oznaczamy nie władzę jaką umysłową, nie zdolność, ale stan dojrzałości myśli naszej. Dla tego mówimy dojść do *roz-umu*, ale nie poznawać co *roz-umem*. Możliwy też być obraz zwyczaju używać w mowie i pisać *roz-umieć*, czémby się znacznie zagroziło filozofom używać fałszywie

tego wyrazu. W naszym języku pierwiastek tego wyrazu *um* nie używa się jako rzeczownik, i niema żadnej potrzeby wprowadzać go. W rzeczy samej oznacza on zdolność umysłową, za pomocą której my *umiejem* i dochodzimy do *roz-umu*; ale jeżeli mamy skutek, o który jeden tylko nam chodzi w całym życiu, to także potrzeba wprowadzać przyczynę *um*, którego znaczenia w żaden sposób określić nie można. Dla tego ojcowie nasi zastąpili go wyrazem *zdolność*, *zdolność* i t. p. bo to i nie wymaga żadnych objaśnień i jasno pokazuje, że zdolnym być trzeba i temu kto już doszedł do *roz-umu*. Gdyby zaś zostawić *um*, lub teraz go wprowadzić, to trzeba wyrzucić *rozum* jako dotykalny skutek, bo w tym pojęciu działanie *umu* skończyło się. W rosyjskim języku *um* używa się powszechnie, ale nigdzie nie spotyka się z pojęciem naszego wyrazu *rozum*; rosyjski zaś *razum*, używany najwięcej w literaturze, właściwie nie jest wypadkiem *umu* jak u nas, ale dalszym jego zastosowaniem. Śledząc pilnie różnicy w pojęciach obydwu narodów, między *umem* i *roz-umem* dostrzedz można, że i Rossjanie swój *um* coraz bardziej zbliżają do naszego *roz-umu*. Inaczêj też być nie może; jeden lub drugi wyraz musi ustąpić, bo na historjê języków słowiańskich pracuje cała moc filozoficznej dialektyki.

Co do umysłu, zmysłu i myśli, także dajemy objaśnienie w obronie ich przeciwko autorowi. Po odebraniu wrażeń przez zmysły, powstaje w głowie naszej to krążenie pojęć, łączenie się ich dla dojścia do jakichś wypadków, ta plątanina, bez naszego udziału odbywająca się porządnie, bo pod pewnym prawem; ten stan wewnętrznego *mytlenia* nazwali ojco-

wie nasi od tego pierwiastku, od którego pochodzi *myślenie*. My jednakże nie wiemy jaka to była forma tego wyrazu, bo mamy tylko złożony *u-mysł*, oznaczający że tą drogą (myślenia) można sobie zakładać zamiary, *u-myślić* coś, żeby potem działać *umyślnie*. Wyrazu *zmysł* używamy zupełnie niewłaściwie; bo w słowie *z-myślić* znaczy tylko wynaleść coś, uskutecznić z pomocą myślenia. Tak dla przyznania komuś obrotności w działaniu, lub zręczności w robotach ręcznych, nazywają dotąd jeszcze takiego człowieka *zmyslnym*. *Umyseł* i w Rossyjskim ma prawie znaczenie zamiaru, a *zmysł* znaczenie tej zdolności, jaką w polskim języku wykazaliśmy. W takim stanie pojęć wyraz *mysł* przybrał znaczenie i zdolności myślenia i wypadku.

Mysł krąży, pracuje, umacnia się, i wydaje *dobrą* lub *złą myśl*. To jednak należy już bardziej do tych wyrazów języka, na które pierwiastkowo zaraz wielki wpływ wywierały filozoficzne rozumowania.

Stosując to teraz do związku duszy z ciałem, wypadnie, że człowiek z rozumem w żaden sposób nie może pojmować go tak jak filozofowie; człowiek zaś mogący *myśleć* (a każdy myśli jak może) ale bez rozumu pojmować go będzie zawsze nierozumnie, choćby się dowiedział, że *rozum* jest królem władz empirycznych, umysł metafizycznych, a *mysł* filozoficznych. Rozum wyłącza wszelkie brednie.

V.

Idzie nam głównie o to, skąd pochodzi niezrozumiałość? kto tu winien? czy język, czy filozofia, czy

filozofowie? Dotąd wszystko prawie zwalaliśmy na filozofów, język zupełnie wyjęliśmy z pod odpowiedzialności, ale że filozofowie ci bronią się niemożnością wyrażenia zrozumiałej swojej nauki, popatrzmyż, czy w rzeczy samej filozofia jasną być nie może. Oto jest tłumaczenie dwóch ustępów z encyklopedyji Hegla (1830 r.). Są to ustępy początkowe §§ 1 i 2;— z wielu względów daliśmy im pierwszeństwo.

§ 1.

Die Philosophie entbehrt des Vortheils der den anderen Wissenschaften zu Gute kommt, ihre Gegenstände als unmittelbar von der Vorstellung zugegeben, so wie die Methode des Erkennens für Anfang und Fortgang, als bereits angenommen, voraussetzen zu können. Sie hat zwar ihre Gegenstände zunächst mit der Religion gemeinschaftlich. Beide haben die Wahrheit zu ihrem Gegenstande, und zwar im höchsten Sinne — in dem, dass Gott die Wahrheit und er allein die Wahrheit ist. Beide handeln dann ferner von dem Gebiete des Endlichen, von der Natur und dem menschlichen Geiste, deren Beziehung auf einander und auf Gott als auf ihre Wahrheit. Die Phi-

Przy wykładzie filozofii to jest trudnego, że niemożna, jak w innych naukach, wyrazić ściśle przedmiotu który ją stanowi, ani też naprzód wskazać drogi jakaby się z nią obeznać. Jednakże przedmiotem swoim zbliża się ona najbardziej do religii: obie badają istoty rzeczy, bo Bóg jest najwyższą Istotą; obie także rozprawiają o rzeczach doczesnych, o ciele i o duszy, o ich stosunku wzajemnym do siebie i do Boga, jako do swojej Najwyższej Istoty. Może więc filozof, i powinien, obeznać słuchacza z przedmiotem i ważnością swojej nauki; bo wreszcie wprzód odbieramy wrażenia od przedmiotów, nim onich rozumować zaczniemy; umysł nasz z tych

losophie kann daher wohl eine Bekantschaft mit ihren Gegenständen; ja sie muss eine solche, wie ohnehin ein Interesse an denselben voraussetzen; — schon darum, weil das Bewusstsein sich der Zeit nach Vorstellungen von Gegenständen früher als Begriffe von dem selben macht; der denkende Geist so gar nur durch Vorstellen hindurch und auf dasselbe, zum denkenden Erkennen und Begreifen fortgeht.

Aber bei den denkenden Betrachten giebt sich bald kund, das dasselbe die Forderung in sich selbst schließt, die Nothwendigkeit seines Inhalts zu zeigen, so wohl das Sein schon als die Bestimmungen seiner Gegenstände zu beweisen. Jene Bekantschaft mit diesen erscheint so als unzureichend, und Voraussetzungen und Versicherungen zu machen, oder gelten zu lassen, als unzulässig. Die Schwierigkeit einen Anfang zu machen tritt aber zu gleich damit ein, da ein Anfang als ein Unmittelbares eine Voraussetzung macht oder vielmehr selbst eine solche ist.

wrażeń dopiero dochodzi do pojęć i myśli.

Ile razy jednakże zastanawiamy się nad czem umyślnie, to koniecznie musimy sobie z wszelką ścisłością oznaczyć przedmiot zatrzymujący naszą uwagę. To więc obznajomienie (o którym wyżej się wspomiano) okazuje się niedostatecznym, nie daje pewnej podstawy dalszemu wykładowi. Zacząć zawsze trudno, kiedy początek wiąże się bezpośrednio z całym dalszym ciągiem.

§ 2.

Die Philosophie kann zunächst im Allgemeinen als denkende Betrachtung der Gegenstände bestimmt werden. Wenn er aber richtig ist und es wird wohl richtig sein: dass der Mensch durchs Denken sich vom Thiere unterscheidet, so ist alles Menschliche dadurch und allein dadurch menschlich, dass es durch das Denken bewirkt wird. Indem jedoch, die Philosophie eine eigenthümliche Weise der Denken ist eine Weise wodurch es Erkennen, und begreifendes Erkennen wird, so wird ihr Denken auch eine Verschiedenheit haben von den in allem Menschlichen thätigen, ja die Menschlichkeit des Menschlichen bewirkenden Denken, so ihr es indentisch mit dem selben, an sich nur ein Denken ist. Dieses Unterschied knüpft sich daran, dass der durch Denken begründete menschliche Gehalt des Bewusstseins zu nächts nicht in Form des Gedanken erscheint, sondern als Gefühl, Anschauung, Vorstellung. Formen die von dem Denken als Forme zu unterscheiden sind.

W ogóle, filozofia, można powiedzieć, jest to umyślne zastanowienie się nad rzeczami świata. Jeżeli to prawda (i zapewne że to prawda) że człowiek myślą różni się od zwierząt to wszystko człowiecze dla tego tylko człowieczem jest, że z namysłem zdziałane Ale ponieważ filozofia stanowi osobny rodzaj namysłu, przezeń bowiem poznajemy rzeczy, nabywamy pojęć o nich, różni się więc od tego namysłu, który nadaje dzieciom naszym cechę człowieczych; chociaż właściwie jestto to samo. Różnica zaś na tém zależy, że przekonanie nasze wyrabiane zwyczajnym namysłem dosyć ma uczuć i wrażeń, nie potrzebuje pomysłów.

Przystępując tedy filozof do wykładu swojej nauki wyznaje, że przedmiot jej oznaczyć trudno, że tylko przez podobieństwo jego do przedmiotu religii, można dać o nim jakieś pojęcie. Nie powiada jednakże odrazu co jest właściwie przedmiotem filozofii; bo gdyby uznał za jedyny to co stanowi religiją, natenczas albo ta filozofii, albo filozofija religii ustąpićby musiała. Filozof jednakże umiał nic nieznosząc zbudować filozofiją własnym jej kosztem. Otóż jak dochodzi do tego: powiada w § 2, że filozofija niczem innym nie jest jak umyślnem zastanowieniem się nad rzeczami świata. Że jednakże podług tego określenia wszyscy ludzie, wedle sił umysłowych każdy, byliby filozofami, stara się więc przekonać że zwyczajny człowiek inaczej myśli a filozof inaczej; że ten zwyczajny rodzaj myślenia tylko od zwierząt człowieka odróżnia, niema formy pomysłu, działa na jego przekonanie tylko przez uczucia i wrażenia. Na tej różnicy myśli zwyczajnej od filozoficznej opiera filozof całe powodzenie swojej nauki; bo utrzymuje nieco niżej, że wszelkie barbarzyńskie poniewieranie filozofii stąd właśnie pochodzi, że napastnicy nie rozumieją tej wydatnej różnicy myślenia zwyczajnego od filozofii.

Muszę się też pochwalić żem pierwszy dał znać o tej różnicy; za co filozofowie nasi wdzięczni mi być powinni; bo to ich zabezpiecza od wszelkich zarzutów i jeszcze oczywiście przekonywa o możliwości filozofowania na takiej zasadzie. To nawet w pewnym względzie i mnie zastrasza żem się lekkomyślnie tar-

gnął na rozbiór ich pism, boć ja myślą różnię się od zwierząt tylko, a oni filozofiją różnią się od ludzi. Co wyżej to równe bogom. Że jednak, co sam autor powiada, wszystko ludzkie działaniem zostało siłą myśli zwyczajnej, bez przyłożenia się filozoficznej, wolę więc pozostać przy pierwszej, bo ostatnia przydać się może tylko do szkoły, żeby na niej zbudować filozofiją, która, naturalnie, niechcąc się zniżyć do zwyczajnych dzieł ludzkich, ze szkoły nie wychodzi. Filozofować znaczy tylko, jak u nas mówią, rezonować, ale rezonować o wszystkiem razem, wychodząc zawsze z jednego stanowiska i zawsze doń wracając. Że jednak na świecie wszystko się robi bez pomocy takiego rezonowania; wszystko się dzieje na odwiecznych prawach o których ani się śniło naszym filozofom; że ówszem lepiej dla nas, że niewiedząc o nich niema my sposobu zarażać ich swojemi przywidzeniami — zostawmy szkole filozofowanie, a sami szukajmy mądrości w życiu czynnem, gdzie ona jedynie nabywa się najwyższa. Zapewne pożądaną bardzo byłaby nauka przez którą możnaby rozganiać mgły przesądu przykuwającego nas do pewnych pojęć często błędnych i szkodliwych; ale jeżeli odwiecznym porządkiem rzeczy pozbywanie się jednych i nabywanie drugich przesądów (a wszystkie nasze pojęcia w przesąd przechodzą) dzieje się dopiero za jakimś usposobieniem naszego uczucia; jeżeli błędy i szkodliwość naszych pojęć w pewnej epoce dopiero po zrzuceniu ich poznajemy, — to jakimże sposobem taka nauka pozostać może? Nawet jej i żądać nie należy.

Za daleko odeszliśmy od naszego założenia, czy można jaśniej wyrazić myśli filozoficzne jak dotąd. Z po-

wyższego chcielibyśmy przekonać, że i Niemcy mają powód uzalać się na filozofów swoich o ciemność, bo im budują naukę niezależną nietylko od ziemi ale i od nieba. Zdaje się że i dla Niemca jak i dla Polaka równie jest uderzającym to np. wyrażenie filozofa: Die Philosophie kann zunächst im allgemeinen als *denkende Betrachtung* der Gegenstände bestimmt werden. Tu zaraz biedzić się musi Landsmann filozofa nad tem, jakie to jest *denkende Betrachtung*, kiedy on dotąd nieprzypuszczał aby *Betrachtung* mogło być inne; teraz zaś oczywiście musi sobie wynaleść nie *denkende*. Tłómacząc po polsku unikałem tego wyrażenia, bo niepodobna było pominąć śmieszności, w jaką wprawia ta sztuczna subtelność: każde zastanowienie się nad czémkolwiek, każda rozwaga dzieje się zawsze z myślą, gdyby zaś jęj nie było przy tej czynności, to niemożnaby mówić *zastanawiać* ale *gapić się nad czém*.

Albo dalej powiada autor, że durch Denken begründete, menschliche Gehalt des Bewusstseins zunächst nicht in Form des Gedankens erscheint, sondern als Gefühl, Anschauung, Vorstellung—Formen die von dem Denken als Form zu unterscheiden sind. Tu znowu czytelnik niemiecki dla zrozumienia wydatnej różnicy między jego trybem myślenia a filozoficznym, musi uwierzyć, że jego uczucia i wrażenia nie są dostateczne do obudzenia całej działalności umysłu; że ten niedostatek tylko filozofija zastąpić może. Wprawdzie takie mają Niemcy pojęcia o nauce w ogóle, ale to najwięcej propaguje się w kaście uczonych, jako bardzo bliskie ich bytu. O tem nawet w § 4 przekonać się można. In Beziehung auf unser gemeines

Bewusstsein zunächst hätte die Philosophie Bedürfniss ihrer eigenthümlichen Erkenntnisweise darzuthun, oder gar zu erwecken, i t. d.

Ale musimy jeszcze usprawiedliwić się z naszego tłómaczenia pierwszego ustępu. Każdy widzi że jest całkiem niewierne; następne np. miejsce tak brzmi w dosłownym przekładzie: obie (filozofija i religija) przedmiotem swoim mają prawdę, i to w najwyższém znaczeniu, bo Bóg jedynie jest prawdą; obie dalej mówią o rzeczach znikomych, o naturze i ludzkim duchu, o ich stosunku wzajemnym do siebie i do Boga jako do swój prawdy.

Ten przekład jest [daleko wierniejszy, ale widać nie rozumiały. Porządek wyrażenia myśli jest dwojaki: grammatyczny i naturalny. Pierwszy nie zawsze jest zgodny z ostatnim, bo ten wymaga aby pojęcie oznaczone jednym wyrazem wywoływało koniecznie pojęcie drugiego; co właśnie jest tylko podrzędnem dla grammatyki. Powyższy przekład dosłowny grammatycznie jest zupełnie dobry, ale pojęcia głównych w nim wyrazów trzeba chyba przymusić żeby się wiązały. Religija i filozofija mówią o prawdzie najwyższej, bo Bóg jeden jest właśnie najwyższą prawdą: co tu za związek prawdy w ogóle z tą prawdą, którą jest Bóg, albo wreszcie co za związek Boga z prawdą? To wszystko potrzebuje wyłącznego objaśnienia, żeby zapomnieć zwyczajnych znaczeń tych wyrazów, a wtenczas dopiero i miejsce całe zrozumiałem być może. Przetłómaczyliśmy tedy, że filozofija i religija mówią o istocie rzeczy, bo Bóg jest najwyższą Istotą. Z tego każdy widzi bez żadnych objaśnień, jaki jest związek między istotą każdej rzeczy i najwyż-

szą Istotą, którą jest Bóg: t.j: że istota każdej rzeczy z Istoty Najwyższej wie dzie początek i od niej ma być. Ale podobne tłumaczenie ubliża filozofii, bo ją tak popularyzuje że niebyłoby dalej o czém filozofować. To jednakże nie nasza wina. Nie trzeba umyślnie plątać, nie będzie co prostować.

Zamiast także powiedzieć że filozofija i religija mówią o rzeczach znikomych, o naturze i duchu ludzkim, o ich wzajemnym do siebie stosunku i do Boga jako swęj prawdy; wyraziliśmy się, że one mówią o rzeczach znikomych, o ciele i duszy, o ich stosunku do siebie i do Boga, jako do swęj Najwyższej Istoty. Zrobiliśmy zaś to dla tego: że naprzód *ducha ludzkiego* niema wcale, a choćby i był, to niewiadomo czy on ma jakie stosunki z *naturą*, która wyłącznie stoi pod duchem Bożym. To wiemy, że związek zachodzi między ciałem i duszą i że rzeczy znikome o których autor wspomina, obejmują właśnie to, co rozumiemy pod *naturą*, że to wszystko razem ma stosunek bardzo widoczny od Najwyższej Istoty. Wreszcie i na to zwrócić należy uwagę, że ten drugi perjod o naturze i *duchu ludzkim*, całkiem znajduje się w pierwszym o istocie rzeczy i o Istocie Najwyższej; jest więc zupełnie zbyteczny.

Rozbierane wyrażenia filozofa podobne są do dzisiejszych wielu (a bardzo, bardzo wielu) poezjek, gdzie pisarz pamiętając o abstrakcyjnej jakiejś formie wiersza, stara się jak może napęłnić ją treścią podług ścisłych form grammatycznych; myśli tam niema, bo ani wyrazy wiążą się grammatyką, ani miara wiersz stanowi, ale zawsze tryb naszych wyrażen jest niewolnikiem znaczenia wyrazów. Człowiek też w ca-

łém życiu niczego się innego nie uczy, tylko znaczenia wyrazów własnego języka.

Któż tedy winien? I filozofija i filozofowie. Pierwsza dla tego, że się nazywa filozofiją; drudzy że sądzą jakoby o formie można było mówić bez ciała, jakoby ciało mogło być bez formy, jakoby formy te niewięzły się w umyśle naszym, same przez się, bez pomocy filozofii. Jeżeli wiadomości jakie człowiek posiada o rzeczach tego świata będą dokładne, to jest będą prawdziwe, to samo nagromadzenie się w umyśle złoży się koniecznie w całość, której zasadą służyć będzie to, co jest spólnego wszystkim tym szczegółom; jeżeli zaś to nie nastąpi — napróżno uczyć że tam jest związek; kto go nie przeczuje odrazu, ten go nigdy niezrozumie. Ale skąd wzięść dokładne wiadomości o rzeczach świata, kiedy samo badanie np. historyi, zależy od tych właśnie warunków, w których badacz postawiony w towarzystwie, co rzadko się zgadza, z jego zdolnościami. Filozofują np. o historyi, charakteryzują całe wieki, całe nawet dzieje narodów, całe części świata; tymczasem nikt nie zna pierwotnego porządku społecznego, nikt nie wie jak żyły i żyją narody Afryki, Azji, Ameryki i innych części ziemi. Filozof nie więcej o nich powiedzieć może, jak to, że tam żyły i żyją jeszcze stworzenia mniej więcej do nas podobne. Niech da filozof poznać ich byt codzienny, niech powie jaka była organizacya społeczenska, właściwa każdemu narodowi w Europie, — wszyscy na raz związek odgadną.

I zapewne mniej tu jedności w myślach z takiego filozofowania nie będzie, jak już jest z powodu rozmaitych szkół filozoficznych; korzyść przynajmniej ta na-

stąpi, że prędzej do zgody się trafi, bo prędzej słabi odpadną, łatwiej dając się powodować w imię wiary. Każdy człowiek i tak już w ciągu życia swego jest raz to sceptykiem, to cynikiem, to empirykiem, to stoikiem, to platonikiem, — myśli każdego człowieka uciekają się do wszystkich szkół, jak tego wymagają warunki chwilowego usposobienia: w tém wszystkim prawda góruje, jeden charakter najwięcej, który daje koloryt wszystkim jego przekonaniom, nigdy ich jednak nie wyłącza. Czém jednakże się dzieje, że przy takiej różnorodności uczuć i myśli jednego człowieka, miliony dążą ku jednemu? Wszyscy ludzie mają jedno zadanie — żyć; wszyscy też cokolwiek robić będą innego, jak wymaga to główne zadanie, nigdy go zmienić niezdolają.

Najtrudniwszém dla człowieka żyć w społeczności, bo tej życie składa się właśnie z życia jej członków. Osobistość musi miarkować popędy, żeby nie kłócić całości złożonej. To samo ciąży i na całych narodach sąsiadujących z sobą. Z tego to umiarkowania popędów osobistych w interesie własnej społeczności, i znowu z umiarkowania popędów tej społeczności w interesie sąsiedztwa, składa się historia. Pod tym względem Azja i Europa byłyby jednakowo ucywilizowane.

Z tej potrzeby wychodziła cała mądrość wieków dawnych, której owocem mamy rządy i prawa. Przy tych nikt ani o sobie myśli, ani o społeczności, a jednak stanowi nieszkodliwą jej część. Filozofowie dawni takie mieli widoki:— co dostrzegli niepodobnego do odgadnienia, składali na religiję; mnożyły się różne szkoły, bo różny jest zawsze sposób pojmo-

wania jednej rzeczy; nie jednakowe usposobienie ludzi, nie jednakowe odkrywa im przymioty rzeczy. Byli stoicy, empirycy, cynicy, sofiści, platonicy — bo i ci są zawsze, bo to są charaktery ludzkie, są to wyrazy namiętności.

Zastanawiając się bliżej nad filozofiją Hegla, niemożna zaprzeczyć, że w gruncie myśli o rzeczach tak, jak tylko myśleć należy, ale chcąc o nich rozmawiać, wdał się koniecznie w anatomiją umysłu ludzkiego, tém naukę zaciemnił i sprawił, że ludzie myślały znowu po dawnemu.

Powiadają, że człowiek grzeszy, myślą, mową i uczynkiem; filozofowie grzeszą tylko mową, bo ani działać podług swęj myśli mogą, ani myśleć inaczej jak działają.

—ty—ski.



OSTATNIE CHWILE

ŚMIERĆ I POGRZEB

s. p. *Spirydjona Cryllerskiego.*



— Czy pan śpi?...

— Na cóż ci ta ciekawość: ledwo żeś mi stopy ze stawu nie wykręcił.

— Franciszek przyprowadził jakiegoś pana, który chce się z panem widzieć.

— Powiedz Franciszkowi, że niedorzeczność popełnił przyprowadzając tego pana o 2giej z północy, i sobie powiedz żeś głupi, budząc mnie ze snu smacznego;—a temu panu powiedz, że się zemną widzieć nie może, bo ciemno.

— Proszę pana to ja świecę zapalę, bo ten pan ma pilny interes.

— Skądże wezmiesz świecy, kiedy ja resztę wypaliłem.

— Proszę pana, zrobię ognia na kominku.

— Pewnie schwyciłeś złotówkę i dlatego jesteś tak bardzo gorliwy. Zapal stoczek, a na drugi raz pamiętaj aby świec nie brakowało.

Pawełek wysunął się po zapalki, ja tymczasem wstałem z łóżka i w nocnym tołubku wyszedłem do pierwszego pokoju, gdzie ów pan czekał na mnie z tym pilnym interesem.

Scena po ciemku.

— Któż to przyszedł do mnie?...

— To ja wielmożny panie.

— Co za ja? po co?...

— Mój pan prosi pana do siebie, bo już kona.

— Kiedy, gdzie, kto kona?...

— Mój pan.

— I jakżeż się twój pan nazywa?...

Scena przy rozpalonym stoczku.

— To ja jestem, Andrzej, — od pana Tryllerskiego.

— Widzę żeś to ty o.... — czy w istocie twój pan kona?...

— O proszę pana, już od godziny kona a skonać nie może, tylko koniecznie żąda z panem się widzieć. Niech wielmożny pan się spieszy, bo on nieskona.

— A to lepij, że nieskona.

— Ale gdzie tam, on już zaraz o dwunastej zaczął konać.

— Może ze strachu zwołujesz mnie, a twój konający pan zapewne może i nie żądał widzieć się ze mną.

— Jak tego Boga kocham, tak żądał.

— No ruszajże naprzód, ja zaraz przyjdę za tobą.

— E! chyba wielmożny panie pójdziemy razem, — bo mnie strach samemu powracać.

Podczas téj rozmowy ukończywszy ubranie, bezzwłocznie pobiegłem do konającego.

W rynku starego miasta, na 2giem piętrze narożnego domu mieszkał Spirydjon Tryllerski, od niedawna exbibliotekarz, niegdyś obywatel *dobrze urodzony*. Gdym drzwi do obszernéj komnaty otworzył, świeca przy łożku chorego dogorywała, i tylko papier złożony nocnym jaśniał płomieniem i jaskrawe rzucił światło na śmiertelnie bladą twarz pana Spirydjona, który oczy kołem postawił, usta zsiniałe ściał, piersią ciężko pracował, a palcami szczypał kołdrę, jakby mu było potrzeba waty uskubać.

Nachyliwszy się do ucha pana Spirydjona, poszeptałem mu przyjaźno: — *podobno pragnąłeś ze mną pomówić?*...

Chory milczał, tylko żar jego ciężkiego oddechu osiadł na ustach moich. Jeszcze dwa razy i coraz głośnień powtórzyłem moje zapytanie, ale gdym żadnej nie odebrał odpowiedzi, na świstku bibuły następującą napisałem receptę:

Moschi veri granum unum

Sachari albi grana quinque

M. f. p. D. t. d. N X.

Au: Wi: ch: fil:

i z tą to receptą wysłałem Andrzeja do apteki. Nieza-

długo wrócił Andrzej z proszkami, z których, dla pewniejszego skutku, dwa czy wcale trzy zawarłem w opłatek i konającemu w usta włożyłem, a ująwszy za dolną szczękę poruszyłem nią kilka razy tak szczęśliwie, że chory połknął owe proszki. Poczem dałem mu jeszcze kieliszek starego wina francuzkiego. W kilka minut jego trupia twarz zaczęła przybierać rumieńce, i oczy poczęły się poruszać, i *puls* mocniej bić począł, — w końcu otworzył usta, i z wyraźnym niedowierzaniem zapytał:

— Czy ja żyję jeszcze?...

— A któż ci powiedział żeś umarł.

— Tak mi się zdawało... czy to ty Augustcie?...

— Ja, mój Spirydjonie. Andrzej przyszedł do mnie, oświadczając że pragniesz ze mną pomówić.

— Dziękuję ci. — To już późno być musi.

— Godzina trzecia wybiła.

— Doktor mówił do mego Andrzeja, że nie dożyję godziny 12ej.

— Jak się przekonywasz, konsyliarz pomylił się najwyraźniej.

— Tak, pomylił się, ale o kilka godzin tylko, gdyż ja czuję zbliżający się koniec. Myśl moja była już na sądzie Bożym—i tylko jakaś niewidoma siła przywołała mnie na chwilę do ziemi.

— To ja ci dałem trzy proszki, które cię orzeźwiły, a kto wie czyli ci nie powrócą zdrowia na długie jeszcze lata.

— Nie, nie,—próżna nadzieja, chociaż wyznaje szczerze, że żał mi umierać bez pozostawienia po sobie użytecznych dla ludzkości pamiątek... Zmarnowałem lat kilkadziesiąt... wina to moich rodziców...

mojego wychowania. Przy schyłku dopiero zamierzałem pracować... Bóg nie dozwolił tej jedynej... tej upragnionej pociechy...

— Nie rozczulaj się.

— O! gdyby nie ta kłótnia z panią hrabiną,—możebym nie był popadł w tak ciężką chorobę,—byłbym przy bibliotece pozostał,—byłbym pracował... Ale nie podobna mi było zrzec się uczucia prawdy!.. Kazała mi zdjąć rysunek z tej obory... oni tam bydło umieścili na górze, osły na pierwszym piętrze... a ludzi na dole.

Andrzej. Zawsze panisko o jakiejś oborze majaczy.

Spirydjon. Odmówiłem tej usługi, odradzałem hrabiemu, twierdząc, że naśladować przebrzmiałych urojeń zwyczaj, urągać chrześcijańskiej wierze odrodzenia ludzkości... jest dzisiaj występkiem... ale ta podrzędna chęć publicznego blasku, to *ja* mordujące ludzkość całą... to *ja*, najzjadliwsza trucizna—gangrena społecznego ciała... dla tego, gdyby i w najdrobniejszych, w najniewinniejszych na pozór szczegółach, każdy odcień szatańskiego *ja*, należy bez żadnego względu tępić i niszczyć,—gdyby przytém przyszło i część zdrowego ciała skaleczyć..... Auguście! weź scyzoryk i wyrznij z mojego ciała to *ja*, które mnie czyniło *nicością* przez lat 40...

Andrzej. Ojczy nasz, któryś jest w Niebie, świeć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Spirydjon. Jako w niebie tak i na ziemi. Rozumiesz ty bałwanie co to jest: «jako w niebie tak i na ziemi»

— Panie Spirydjonie nie unosię gniewem ... któż widział w czasie słabości...

Chory uściśnął moją rękę, wzniosł oczy do góry i cichemi usty szeptał coś do swój duszy, — zimne krople wystąpiły na jego czoło, i zażądał księdza, — i dwie łzy stoczyły się po jego licu.

Czyniąc zadosyć pobożnej woli chorego, natychmiast wysłałem Andrzeja po księdza, a tymczasem jałem mu wykładać znikomości światowe, szczęśliwość przyszłego żywota; — powiedziałem mu o miłosierdziu Boskiem, podsyciałem jego żal i skrucę za grzechy, jakie kiedykolwiek popełnił, — a gdym spostrzegł że na wspomnienie grzechów, niby frebra go trzęsła, więc znów zacząłem w ogólnikach mówić o znikomościach światowych, i tak jakoś długo o tych znikomościach mówiłem, aż oczekiwany ksiądz nadszedł i godnie mnie wyręczył w religijnej powinności przygotowania duszy Spirydjona na daleką wędrówkę.

O godzinie 5ej sprowadziłem księdza ze świecą po wschodach, a gdym do pokoju wrócił, już chory ostatnie oddał tchnienie, a jego ręce na krzyż złożone, były zimne i na wieki wieków martwe.

Podumawszy chwilę nad niedocieczoną zagadką przyszłości zmarłego człowieka, zapaliłem sygaro i wezwałem Andrzeja aby mi podał lak i pieczętkę, do opieczętowania starej sosnowej szafy i olszowej na trzech nóżkach komody, jedynych sprzętów mogących zawierać jakąkolwiek po ś. p. Tryllerskim puściźnie. Lecz Andrzej upewnił, że szkoda laku, bo ani w komodzie, ani w szafie żadnych rzeczy nie było.

— A gdzież jest garderoba nieboszczyka?...

— Zastawiło się na lekarstwa.

— Jakto, wszystkie rzeczy?...

— Wszystkie, proszę pana, niemasz ani jednego kawałka.

— A w czymżeż go pochowamy?...

— Proszę pana, jest szlafrok.

— Głupiec z ciebie, widziałeś też, żeby kogo chowali w szlafroku.

— E! proszę pana, to jeszcze nowy szlafrok dadzą się świeże szkarpetki i te haftowane pantofle od panny Emilii.

Z resztą w czymżeby go inném pochować, kiedy *het* wszystko żydzi wynieśli. To nie żart przez sześć tygodni ratować się samą garderobą, bo zegarek i ten pierścionek od pieczętowania, zastawiłem zaraz, jak pan odstał z biblioteki...

— Słuchajżeż, ja przyślę tutaj moje rzeczy, ubierz w nie nieboszczyka, bo w szlafroku niemożna go kłaść do trumny.

Na nic się nie zdało, nieboszczyk głową wyższy od wielmożnego pana, a toćżeby w pańskich rzeczach wyglądał na trzy dziwy i na czwarty śmiech. Już mnie wielmożny pan usłuchaj, pochowamy go w szlafroku, bo też nieboszczyk najbardziej lubiał w szlafroku.

Na trzeci dzień było dżdżysto i pośepno, błota na Starem Mieście po kostki. O godzinie 3ej z południa przed narożną kamienicę zatoczył się parokonny karawan.—Na drugiem pięttrze zeszło się szczupłe grono przyjaciół, literatów i znajomych; — przybył ksiądz z parafii ś. Jana, odmówił modlitwy, święconą wo-

dą pokropił;—po raz ostatni przypatrzyliśmy się regularnym rysom twarzy nieboszczyka; wreszcie Andrzej głośno zapłakał,—włożono wieko, i ostatnie uderzenie młotka głucho o puste obiło się ściany.

Na smętarzu nie było księdza, nie było mowy pochwalnej,—kilka garści piasku rzuconych ręką życzliwych osób,—otóż i koniec pielgrzymki Spirydjona Tryllerskiego, niegdyś zamożnego obywatela wiejskiego, przed śmiercią exbibliotekarza, i pocziwój woli spółpracownika *Dzwonu Literackiego*.

Pozostało po nim tylko przyjazne spomnienie w sercach tych osób, które go bliżej poznały, i pozostał rękopis *tabelki bibliograficznej*, którą po uporządkowaniu w następnych poszytach, drukiem ogłosić nieomieszkam, jako wypłatę długu wdzięczności zmarłemu, i jako częściowe wywiązanie się (*) względem moich czytelników.

Tymczasem oświadczam, że osieroconą katedrę bibliografii do następnych poszytów rychle opatrzę.

Au: Wi. ch. fl.

(*) Zobacz poszyt pierwszy str. 97.

*Właśnie w chwili, kiedy rozmyślałam komu
osieroconą katedrę bibliograficzną godnie
powierzyć, aliści z modrego sklepienia,
Opatrzność zsyła list następujący:*

Szanowny Redaktorze!



Otrzymał w tych dniach od jednego z życzliwych sąsiadów cztery zeszyty Dzwonu Literackiego, wyczytałem między innymi odezwę p. Tryllerskiego, względem przesyłania sądu swego o nowo zjawiających się książkach. Rozumiałem że odpowiedź pańska z kanarkowego pokoju przy weneckim oknie powinna go była zachęcić w dopełnieniu dobrowolnie uczynionej obietnicy. Mimo tego jednak p. Tryllerski coś nieuiszcza się w słowie; ani jednej rozmowy książek niepodszuchał, — ani jednej tajemnicy nieodstąpił. Snadź nie wie jak zajmujące dla nas są one Areana litteraria. Otóż ja, jakkolwiek odległego po-

wiatu mieszkaniac, w piśmie nie bardzo ćwiczone, dopadłszy kilku nowych książek, pospieszam donieść panu co o nich tutejsze okoliczne obywatelstwo mówi, jakie wrażenie sprawiły na umysłach naszych prowincjonalnych diletantów, co o nich wreszcie rozsądek i sprawiedliwość tutejsze zawyrokowały. Ile mogłem sądzić z Ramotek pana dobrodzieja, życie nasze obywatelsko-ziemiańskie, stosunki sąsiedzkie i t. p. nie są dla niego obce: znasz je Redaktorze nietylko z pism Delilla i Karpińskiego (że nie wspomnę Koźmiana i innych), ale ze strony praktycznej; chcę mówić, że żyłeś nie mało czasu na wsi, poznałeś niezbędną potrzebę zajęcia się gospodarstwem, a ztąd brak czasu na naukowe kształcenie się;—wiesz jednak że i światiełko umysłowe lubo niewszędzie zarówno, błysnie i u nas niekiedy, ot tak np. w ciepłe nocy letnie około ś. Jana. W ogóle jednak mało w naszych okolicach robaczków świętojańskich.

W ostatnich czasach, pisma Warszawskie zadziwiły nas mnogością doniesień o nowych literackich płodach, — cóż to za różnorodność tłumaczenia z francuzkiego, włoskiego, angielskiego, oryginalne, belletrystyczne utwory, massa artykułów rozsiianych po pismach perjodycznych, dzieła treści ciężko naukowej — wazsze drukarnie jęczą bez spoczynku, wyrzucając zgłodniałej publiczności nową umysłową strawę nieledwie codziennie. Zaiste i liczba czytających niemusi być mała, i pojąć niepodobna jak jeszcze pewien autor śmie na brak czytających narzekać.

Muttatis tamen mutandis są to ogólniki, które jeszcze nie wiele dowodzą: wiadomo że wartości wszech

rzeczy pod słońcem dochodzimy przez rozbiór lub porównanie. Zostawiając tę drugą kategorię świadomszym rzeczy, przejrzą badawczo oddzielne formy, w których się duch myślący w ostatnich czasach objawił.

Pocieszającą jest rzeczą, jak potrzeba gruntownego myślenia wsiąka coraz bardziej w nasze społeczeństwo, widnokres umysłowy znacznie się rozszerzył — nowe pojęcia krzyżują się w głowach. — Wiele wyrazów nowozłożonych, wynalezionych lub przypomnianych, na które parę lat temu wszyscy jak na złowrogie ptaki krzyczeli, poczyną się ucierać i wchodzić w skład mowy potocznej. Pisarze którzy zarzucali nas mnóstwem ulotnych powieści, wyrobami bladej częstokroć wartości, zwrócili się na drogę filozoficznych poszukiwań; w odwiecznych i niesmiertelnych prawdach zdają się szukać środka ciężkości tego świata, którego obrazy tak często i z tak rozmaitem szczęściem kreślili. Nowy dowód nieodzownej potrzeby związania biegu codziennego życia, z stałym nieodmiennym porządkiem rzeczy, uduchownienia działalności człowieka przez związek z wiedzą przyczyn pierwotnych.

W ostatnich numerach Tygodnika Petersburskiego, pan Żegota Kostrowiec umieścił rozprawę o *filozofii chrześcijańskiej*. Nierozwiązane to jeszcze dotychczas pytanie, ażali filozofija jako wyrob jednego wszędzie rozumu, może się z charakteru narodu, sposobu jego zapatrywania się na Boga, naturę i siebie, lub ze stanowiska pewnego systemu społecznego, religijnego rozwinać? Czyli też będąc wypadkiem wrodzonej potrzeby myślenia, jest z natury swój kosmo-

polityczną, niepodległą symbolom, dogmatom i obja-
wieniu. Te uwagi mimowolnie nastęrczyły mi się po
przeczytaniu powyższej rozprawy. Pomysł pojednania
filozofii z objaśnieniem nie nowy zapewne, — odda-
wna ludzie pracowali nad możnością ich pogodze-
nia, — Szellingianizm wyłącznie temu poświęcony. Sta-
nowisko filozofii uniwersalnej podjęto między inne-
mi i to ciężkie zadanie zakończenia sporu szlache-
tną z obu stron transakcją, — wyrzekło że ani wiara,
ani rozum życiem człowieka wyłącznie rządzić nie-
powinno, że w ich assymilacyi, zjednoczeniu, naj-
wyższa doskonałość istnieje. Pan Kostrowiec na
każdej prawie karcie usiłuje waśń przygaszoną od-
nowić, powstaje na zgubne skutki racjonalizmu, przy-
znając wyłącznie objawieniu prawo jedynowładztwa.
Dziś potrzeba samoistnego myślenia coraz staje się
widoczniejszą, z drugiej strony zaprzeczyć niepo-
dobna, że racjonalizm w ostatniem swem rozwinię-
ciu w Niemczech przyszedł do zaprzeczenia nawet
siebie. Czas więc obecny powołanym jest szczegól-
nie do wyrobienia filozofii uniwersalnej, jednoczącj
dwa nieprzyjazne żywioły, rozum i wiarę, których
bezpośrednim wypadkiem twórczość być musi. — P.
Kraszewski przysłużył się naszej literaturze przepol-
szczeniem *Idej Hegla systematu* przez Otta. Myśl obe-
znania nas z systematem mędrca berlińskiego, godna
zaiste pochwały choć nie nowa. *Przegląd Naukowy*
i *Listy z Krakowa* już podobno w tym względzie sił
swoich doświadczyły. Nie śmiem wyrokować jak da-
lece ich usiłowania wpłynęły na usposobienie znajo-
mości Hegla, to jednak pewna, że nigdy przewa-
żnego wpływu niewywarły. Dziełko Otta zdaje mi

się być niewiernym planem rozległej, górzystej a mało znanj okolicy. Z przyjemnością powitaliśmy pierwsze tomy *dział Platona* w polskim przekładzie. Czas też było przyswoić sobie nieśmiertelne pomysły filozofa poety. Jeszcze Sebastjan Petrycy w wieku XVII żyjący, w przedmowie do przekładu polityki Arystotelesa, zachęcał ziomków do obeznania się z filozofiją akademii. — Karpiński w rozmowach Platona wzniosłe wskazał praktycznej moralności zasady. Od tego czasu nietrudzono się u nas studjowaniem filozofa Ateńskiego, — w zagranicznych jedynie dziełach i to dość rzadko zdarzało się coś dobrego o nim przeczytać, — w ostatnich dopiero czasach Cousin, Lerminier, Marbach i inni bacznią na niego zwrócili uwagę. — Przekład p. Kozłowskiego co do języka nader szczęśliwy, subtelności dialektyki greckiej dość wiernie przepolszczone. W ogóle wzniosła idea Platona nie straciła na tém tłómaczeniu.

Rok bieżący pamiętnym będzie wydaniem wielu dzieł historycznych, stanowiących epokę w tego rodzaju badaniach: chcę mówić *O Pierwotnych Dziejach Polski i Litwy* i *O Znaczeniu Pruss Dawnych*. Pierwsze, wyświecające ciemne początki narodu naszego, owoc długoletnich poszukiwań, niezmiernj erudycyi, znalazło już właściwe ocenienie w *Przeglądzie Naukowym*. Rozdziały o naturze mitologij sławiańskiej, instytucjach sądowych i uspołecznieniu pojedynczych plemion nieledwie po raz pierwszy piórem znawcy dotknięte, ważnym przy starannj oględności stać się mogą dla prawdy historycznej materjałem. Drugie, zmianę zupełną w dotychczasowém geograficzno-historycznym zapatrywaniu się na Prussy stanowiące,

zwróciło już uwagę zaodrzańskich uczonych. W tego rodzaju badaniach, zdaniem inojem, najkorzystniej dla prawdy jest *pugnantia secum frontibus adversis componere* (1), tém więcéj, że polemika mieści się w historycznych dowodach, nieprzypuszczając dowolnych hipotetycznych złudzeń, któremi w dziedzinie historyj zasypani w ostatnich czasach byliśmy i jesteśmy. P. Gołębiowski, znany monograf miasta Warszawy, zbogacił nasze piśmiennictwo wydaniem *Dziejów Władysława Jagiełły i Władysława Warneńczyka*. Epoka Jagiellońska bogata w wypadki harakter życia narodu znamionujące, stanowi poniekąd węzeł w naszym dramacie historycznym. Jestto czas brzemienny zarodkami wypadków, które w przyszłości dopiero rozwiniąć się miały; mimo to jednak mało znalazła dziejopisów, którzyby jej ważność z właściwego ocenić zdołali stanowiska. Dzieło p. G. jakkolwiek nieodpowiada wszelkim warunkom historyj pojmowanej, jako ciągły postępowy objaw życia narodu moralnego, zaleca się przecieź pilném obejrzeniem szczegółów, — widać w niém obszerne rozczytanie się w spółczesnych dokumentach,—styl wszędzie do godności historyj wzniesiony, niekiedy nawet malowniczy (np. opis bitwy pod Grünwaldem),—przydanie zaś dokumentów i wypisów urzędowych, nie mało wartość dzieła podwyższyło.

Panowanie Władysława IV i Jana Kazimierza słusznie za dni naszych uwagi uczonych stały się przedmiotem: nieledwie co dzień nowe odgrzebują pomniki, wydają stare rękopisma: gromadzą się zewsząd dostatnie do budowy dziejów materjały, myślę

(1) Stawiać obok przeciwnieństwa.

nawet. że względne ich ocenienie, już dla samej ilości i różnorodności, niepośledniem będzie dla dziejopisa zadaniem. Wolę wszakże takowe bogactwo niż brak.

Publikacja *Starożytnej Polski* zbliża się już do końca. Ostatnie posyty obejmujące monografie miast Litwy, odznaczają się skrzętnem zebraniem wiadomości lokalnych z źródeł prawie zawsze wiarogodnych; pożądaną jednak byłoby rzeczą, aby w zakres pisma tego wchodziło więcej historyi domowej, uzupełniających dokładniej obraz dziejów wewnętrznych, niż suche statystyczne różnych lustracyj wywody.

Z ciekawością odczytujemy tutaj *Historję Literatury Polskiej w zarysach* p. Wójcickiego. Dzieło to w użyciu nieskończenie okaże się pożytecznem, i życzyłoby należało aby było upowszechnione. Pojmuję że zakres jaki autor dzieła naznaczył niedozwolił mu w szczegółach wykończyć tego obrazu, który i tak czytającej publiczności niemałą przyniesie korzyść; żałuję tylko, że w nim po polsku jedynie piszący autorowie zamieszczeni zostali, — wszak było najwięcej takich, którzy dzielnie zamarały Rzymian mową na stan oświaty wpływali, wielu z nich wieńczono w grodzie Cezarów, wielu przewodniczyło europejskiego duchowienstwa zgromadzeniom; inni nakoniec z całą świeżością wrażeń przekazali potomności tę świetną przeszłość, która się za dni ich chwały rozwijała.

Krzycki, Janicki, Orzechowski, Hozyusz, Sarbiewski, Hejdensztejnowie, Jakób Sobieski, to czynni aktorowie na ówczesnej umysłowo-historycznej scenie. Tomy VI i VII *Hist. Liter. Polskiej P. Wiszniewskiego* otwierające dzieje złotego wieku nauk za Zygmun-tów, wielu w tym względzie wymaganiom zadość czy-

nić się zdają,—mówię wielu, albowiem wszystkim dzieło jednego człowieka odpowiedzieć nie może. Tu już nie idzie o opuszczenie lub niewłaściwe umieszczenie pisarzy,—ważniejsze nierównie uważnemu czytelnikowi nasuwają się myśli. Wiadomo że dzieje literatury przedstawiają organiczną całość. Przez cały ciąg historycznego żywota narodu snuje się pasmo myśli w postępowem kształceniu się i rozrodze, — momenta pojedyncze, parciem przeszłości zrodzone, zachodzą brzemieniem w przyszłość. Zadaniem autora jest wysledzić w pojedynczych pomnikach czasu początek i rozwijanie się oświaty we wszelkich kierunkach, stawić przed oczy sprawozdanie z umysłowej pracy ubiegłych stuleci, przenieść się następnie w sferę historyczną, sprawdzić faktami dziejowemi rzeczywistość poczynionych w sferze umysłowej odkryć, wytlomaczyć wreszcie na tej zasadzie postanictwo historyczne narodu. Całość jedynie dzieła pana W. pozwoli ocenić go z tego stanowiska, dla tego też ukończenia jego niecierpliwie oczekujemy, tém więcej, że dotychczasowe tomy znakomitej erudycyj autora rękojmą mające, najróżnorodniejsze w tym względzie wzbudziły zdania. Wzorowa polszczyzna nie mało dziełu dodaje wartości.—Z żalem dowiadujemy się, że *Obraz bibliograficzny* Jochera, dla niewiadomych nam przyczyn wychodzić przestał.

Tom IIgi *Historji Państwa i Narodu Rzymskiego* do prowadzony do upadku rzeczypospolitej, ma te same wady i zalety co i poprzedni. Czołem bijemy przed rzeczywistą erudycją autora, cenimy myśl czerpania ze źródeł pierwotnych,—nadmienić wszakże musimy, że wybór ich nie zawsze trafny. Polibiusz i Plutarch nieznali pierwotnej historyj Rzymu, spoczywającej w tra-

dycjach, pieśniach i fastach kapłanów. Dorobili początkowe dzieje wtedy, gdy Rzymianie całą Grecyę podbili, zapelniając nieznanne czasy królami i konsulami z rodzin zwycięskich wodzów; — wyższego poglądu historycznego, stanu oświaty tyle ważnego w rozwiązującem się owczesném społeczeństwie, dopatrzeć niepodobna. — Triumvirat Cezara, Pompejusza i Crassa, wielkiego będący znaczenia historycznego, w szczupłych nader zamkniętych granicach. Cezar szczególnie, mąż najzupełniejszy czasu, polityk, wojownik i pisarz, owa postać olbrzymia wznosząca się nad zachodem świata starożytnego, tak po mistrzowsku w dziele Michelet'a skreślona, w ogólnych tu tylko rysach oddana. Toż o Annibalu, Scypionach i Brutusie. (*)

W dziedzinie literatury nadobnej X. Hołowinski obdarzył nas poematem *Dzieciątko Jezus*. Rzadko który utwór większą różnorodnych opinii poruszył masę. Powitały go pisma Warszawskie mniej więcej przychylnemi recenzjami, o ile nam wiadomo już i Kraszewski objawił umiejętnie swe zdanie. Co do nas, widzimy pobożne natchnienie autora, wiejące przez cały ciąg poematu, plastyczne odbicie miejscowości orientalnój, przeplatane poetycznemi legendami wschodu. Idei wielkiej (**) przeprowadzonój artystycznie, prawdziwego talentu poetyckiego, napróżnoby szukać. Zgadzam się zupełnie ze zdaniem jednego z recenzentów Warszawskich, że śpiewak *Przenajświętszój Rodziny* nierównie wyżej w tym

(*) Szanowny receuzent pozwoli rwrócić swoję uwagę, że Michelet drukuje w Paryżu. *przyp. Red.*

(**) Idea wielka obecnie niepoławia się ani na Litwie, ani na Ukrainie, — ani też na Wołyniu *przyp. Red.*

zawodzie stanął. Trylogija P. Kraszewskiego *Anafielas*, cudowna w pierwotnych Witoloraudy i Mindowsa pieśniach, przenosząca nas mimowolnie w nocą zamglone wieki Litwy pogańskiej, w owo bystrym nurtem płynące życie na wespół dzikiego narodu, zesałabła widocznie w ostatnich ustępach Witoldowych bojów.— Autor nie podołał zadaniu rapsodów epicznych Homera,—nie chcemy tu rozstrzygać, czy twory tego rodzaju mogą być dziełem indywidualnych zdolności, czy zbiorową siłą fantazyi ludowej wyśpiewane być winny. Skoncentrowaną poetycznych żywiołów masą nie wszystkie ustępy zarówno ukoloryzowane,— zdaje się, że promienie prawdy historycznej padają prostopadle na bliższe i znajomsze czasy, zanadto wyświeciły tajemniczą piękność porannych lat Litwy. Zamiar jednak niebył pospolitym—tchnąc w pojedyncze pieśni ducha ożywiającego niegdyś opiewanych bohaterów, odkłąć bieg czasu i miejsca, — zaiste cel wielki, godzien talentu autora. Powtarzamy: *In magnis et voluisse sat est.*—*Obrazów Litewskich* chwarta już serja wychodzi,—odbicie miejscowości, wspomnienia z lat ubiegłej młodości, przeplatane poetycznym obrazowaniem, są głównemi zaletami chciwie czytanych powieści. Gdyby jednakże przyszło wybierać, nie wachalibyśmy się przyznać pierwszeństwa *Brzegom Wilii*. — *Listopad* Rzewuskiego i *Tajhury* Edwarda Tarszy utrzymują ciekawą publiczność w zawieszeniu,—ostatnia powieść już podobno ukończona, nie dostała się dotąd w nasze strony. W zawodzie literatury dramatycznej najwyżej bezsprzecznie stanął Józef Korzeniowski; ostatni historyczny dramat, tak pod względem prowadzenia, akcji, jak i pod

względem określenia pojedynczych charakterów, nierównie wyższy nad wszystko co go poprzedziło Duch Szekspira powiewa widocznie w oddaniu sytuacji dramatycznych. Tłómacz *Króla Jana* dał nam może pierwszy poznać charakter poezji wieszca Albionu. Przepolszczenie tego dramatu wzniosło go nad najlepsze w tym rodzaju przekłady Hamleta, Julii, i Burzy Kefalińskiego, że pominię Korsaka i innych. Drobniejsze utwory Korzeniowskiego teatru Warszawskie ciąglez zadowoleniem widzów przedstawiają.

Te są znaczniejsze ostatnich czasów utwory oryginalne, o których wiadomość do nas doszła. Co do tłómaczeń, temi zasypani prawie jesteśmy. Tajemnice Paryża i Londynu, Żyd Tułacz, Hrabia Monte Christo, dzieła Dumas'a, Balzaca, w ciągłym zostają obiegu. Upatrywać przyczynę tego, jak chce p. Kraszewski (*) jedynie w wiejącym ciągle od zachodu, duchu mody, zdaniem mojem, nie można. Wiadomo jakie jest teraz znaczenie powieści, w zakres jej wchodzi wszelkie kwestje polityki, filozofii i ekonomii politycznej, wstrząsające obecnie umysłami. Poznali autorowie francuscy niezbędną potrzebę wtajemniczenia ogółu w nieprzystępne niedawno doktryn socjalnych zadania, poznali, mówię, że jedynie zbiorową potęgą umysłów rozwiązane być mogą najważniejsze zadania czasu, — obrać więc musieli formę najprzystępniejszą, formę powieści: umysł ludzki z natury swój jest solidarny, to też Europa cała i Ameryka chciwie rozbiera i czyta nadsyłane dzieła. Mówiąc to wszakże nie pochwalam bynajmniej skwapliwości tłómaczenia lada ramoty z Bru-

(*) Athenaeum oddział VI zeszyt 1.

xelli lub Paryża—tłomaczę jedynie przyczyną rozpo-
wszechnienia zagranicznych powieści.

Ale czas już podobno na dzisiaj skończyć, cho-
ciaż przedmiotu w zupełności nie wyczerpnąłem.

Racz przyjąć i t. d.

Ludwik Skórczyński.

leżę, za świeżej pamięci opowiem co mi się dzisiaj wśród białego dnia przytrafiło.

Rano o godzinie Sój wybiegłem na miasto,—już było ciepła stopni 16;—odwiedziłem cztery księgarnie; byłem u Magenfisha; zajrzałem do drukarni; za żelazną bramą obejrzałem nowy papier z Jeziorny; w Komitecie Cenzury Rządowej zyskałem podpisy niektórych rękopisów, — a gdym powrócił do domu było już południe. Niewiem czy skutkiem utrapień, czy też ze znużenia fizycznego, zasnąłem na twardo. Z początku ciemne, następnie coraz jaśniejsze obrazy rozpostarły się przed memi oczyma i szczególniejsze widma trapić mnie poczęły, —jak gdyby na jawie utrapień podostatkiem nie było. Najprzód zdawało mi się, że jestem na bardzo obszernej płaszczyźnie urodzajnej ziemi, którą jednakże po większej części ubogi, w łachmany okryty lud zamieszkiwał,—gdzie niedzie tylko spostrzegłem jakieś świecidełka, rządzą z łachmanami stanowiące sprzeczność.

Potem jechałem niby do kościoła, i w lesie zastąpili mi zbójcy, żądając abym im oddał jedyną z ojcowizny puściznę... Bili mnie, mordowali, i byłiby może zabili, ale w tém zapał kogut, —prosięta kwiczeć poczęły,—ludzie jechali na jarmark, zbójcy uciekli, a ja przywłókłem się do domu. Zastałem żonę płaczącą, skarżyła się, że ją serce bardzo boli; w tém przyszedł posłaniec z poczty i przyniósł mi list od Kou Houg, komissarza Chińskiego, z uprzejmą prośbą, abym peruki nienosił,—iżby mózgu zbytnie niezagrzewać.

Zaledwo żem Chińskie pisanie przeczytał, wtoczył się z 2ma świadkami komornik, i na rzecz Abrahama Lir-

basą, w imieniu prawa, zabrał mi sześć arkuszy niezapisanego papieru,—więcej nie znalazł.

Ledwo że komornik w imieniu prawa czynność swoją ukończył,—otworzyły się drzwi na rościecz i poczęło się tłoczyć do mego pomieszkania mnóstwo żyjątek rodu człeczego płci obojęd:

Wysocy, niscy, tłuści, chudzi, czerwoni, żółci, bladzi, z długimi nosami, z krótkimi nosami, z czuprynami, z lokami, bez czupryn, w perukach, z łysinami, prości, ułomni, kulawi, zyzowaci,—zgoła zdawało się, że nikogo nie brakuje, a było ich z górą osób czterysta. Na widok tylu gości niemogłem znaleźć wyrazów przywitania, gdy w tém jeden z nich, w granatowém odzieniu, z okularami na nosie, zapytał mnie:

— Czy tu jest redakcja zbiorowego pisma *Dzwonu Literackiego*?...

— Tak jest,—odrzekłem z pośpiechem.

— Czy pan jesteś redaktorem?...

— Spółredaktorem i głównym redaktorem.

Ledwo żem te słowa wymówił, jak panowie i panie krzykną i hukną, rozumiałem, że mnie w drobne rozszarpią kawałki. Byli to niemal wszyscy prenumeratorowie *Dzwonu Literackiego*, przybyli upominać się o zwrot pieniędzy, twierdząc, że *Dzwon Literacki* nie odpowiedział ich oczekiwaniom, żem zdradził powszechnie zaufanie, że nieznam warunków pism zbiorowych, że drukuję artykuły *ni w pięć ni w dziewięć*; i t. d. i t. d. i t. d.

Na tak boleśne zarzuty wyrzeczone hurmem, języka w gębie zapomniałem, i ta to gęba, której przecież na to daję jeść aby gadała, w najpotrzebniejszym razie

umilkła jakby zakłęta. Lecz gdy się państwo nieco uciszyło, stanąwszy za mym redaktorskim stołem, odkrząknąwszy, w następujące do nich odezwałem się słowa:

Przezacni płci obojój prenumeratorowie Dzwonu

Literackiego!

Pobłażanie należy do najpiękniejszych cnót chrześcijańskich; pobłażanie ułomnościom naszym utwierdza wiarę w zacność człowieczeństwa; nakoniec ustala wzajemną miłość bliźniego.

Do potępienia człowieka, potrzeba tylko nieco złości i nieco powszedniego rozumu,—do pobłażania potrzeba szlachetnego serca i na wielkiej wiedzy opartego sądu,—sądu zdolnego rozróżnić tysiączne odcienia krzyżujących się okoliczności, przyczyn i skutków.

Ale zanim się do waszych szlachetniejszych uczuć pobłażania odwołam, dozwólcie że się zapytam, jakie to szczegółowe zarzuty ciążą na *Dzwonie Literackim*?...

— Dla czego Wać-pan nie drukujesz poezyj?..... zawrzała jakaś pani, mająca na różowym kapelusiku wypisaną liczbę 37.

— Pani!—odrzekłem z głębokim ukłonem—ktożby z śmiertelników nie pragnął poezyj?... tej boskiej poezyi, o której powiedziała Putifara żona wielkorządcy Egiptu, że jest orzeźwieniem ducha, odgłosem najdroższych serca popędów, elektryczną iskrą naszego działania. Poezję pani! w *Dzwonie* umieszczać, jest mojem najgorętszem życzeniem, ale daję pani słowo wielbiącego cię *kawalera*,—że zachodziły niezłomne przyczyny, dla których dotąd wyborowej poezyi drukować nie mogłem.

Nr 13. (Niska, nieco zyzem patrząca blondynka). Któż panu poradził drukować artykuł o skamieniałościach,—cóż pan sądzisz, że my mamy strusie zółdki?...

Ja. Rospoczynając nową budowę uznałem za właściwe użyć kamieni do fundamentów; nadto pragnąłem okazać czytającej publiczności, że nauki ściśle mają u nas zawsze pierwszeństwo przed utworami fantazyi lub osobistego widzenia.

Nr 385. (Rumiany z sumiastym wąsem kardeszowaty jegomość). Jakiż związek ma pańska ramotka o Byczykowskich z naukami ścisłymi?...—dla czegoż pan ciągle atakujesz szlachtę?...

Ja. Panie dobrodzieju! Jednolitość treści artykułów nie jest bynajmniej warunkiem pism zbiorowych, rozmaita zdolność czytelników wymaga rozmaitych przedmiotów, a główny redaktor winien tylko przestrzegać, aby wszystkiemu przewodniczyła myśl postępową, moralną, aby nawet cień myśli wstecznej nieprzesunął się po kolumnie pisma wychodzącego pod jego firmą. W ramotce o Byczykowskich nie jest, jak pan nazywasz, atakowanie szlachty, ale objawiona ironija dla tyceb, którzy są bezużytecznymi członkami społeczeństwa, a na bogatym ożenku całą swoją przyszłość budują. Autor malował Byczykowskiego, a że to był szlachcic, nie autora w tym wina. Wszakżeż nie zapieram się, że chętnie chwytam za czuprynę tych, którzy nie na różnicy moralnego ukształcenia i użytecznej działalności, ale na ślepym trafie urodzenia wartość swoją opierają. W zwierzętach przyznają różnicę rass, w ludziach widzę jeden tylko pierwiastek—duchowość Boską, spólną dla całego ro-

du człeczego, — i miara czynów z tój Boskiej duchowości pochodząca, jest miarą, podług której pojedynczego człowieka cenię, to jest: poważam lub karzę. W człowieku, człowieka tylko uznaję, dla pogańskich bożyszczów nie mam kadzideł, — i jeżeli mi to panowie za winę poczytujecie, należą do najwinniejszych; — a to wyznanie czynię z prawdziwą chlubą i roskoszą, i dziękuję wam za sposobność złożenia świadectwa w życie ludzkości coraz więcej wcielając się się prawdy.

Nr 184. (Garbonos, nieco ułomny, fabrykant świec). Co nam tam o indywidualne zasady waćpana, — my chcemy abyś nas panie bawił wesołemi ramotkami, i kwita.

Ja. Jeżeli panu idzie tylko o wesołą zabawę, przepraszam najmocniej, że obecnie nie jestem usposobiony do rozweselania szanownych czytelników, a kontraktu też na ciągłe rozweselanie z nikim niezawierałem. Przedsięwziąłem wydawać pismo zbiorowe, a nie Momusa.

Nr 399. (Wychudzona, z pargaminowém obliczem, mała, ale djabelnie uczona figurka). A dla czegoż to pan redaktor nieumieścił dalszego ciągu rozbiórów dzieł Cieszkowskiego.

Ja. Przekazny dobrodzieju! wielce szanowny autor artykułu o dziełach czcigodnego Cieszkowskiego, chorował przez sześć tygodni, i dopiero wczoraj zdążył ukończyć tę tak obszerną i potrzebującą głębokiego zastanowienia pracę. W najbliższych poszytach umieści się ciąg dalszy.

Następnie wiele się jeszcze kolejnych odzywało głosów z żądaniami najpocieszniejszymi: jakiś

tłusty jegomość skarżył się, że poszyty Dzwonu są zbyt chude,—byłem więc zmuszony przeliczyć arkusze i okazać, że nie po 5, jak przyrzekłem, ale po 6 i po 7 arkuszy w jednym poszycie szczelnie drukuję, — a zatem, że cienkość papieru za zarzut służyć nie może. Znow jakaś bielidłami i różem opatrzona jejmość objawiła skromne życzenie, abym coś pisał o modzie strojów, — i zapytała, czyby nie można umieszczać w *Dzwonie* rysunków mody. Naturalnie żem uróżowaną damę odesłał do *Dziennika Mód*. Trudno powtórzyć wszystkich żądań, które bez ładu i bez liczby objawiali panowie prenumeratorowie i panie prenumeratoroki; — a toć-że chcąc każdemu dogodzić, potrzebaby 200 arkuszy na każdy poszyt drukować. Ale najgłośniejsze krzyki wzniosły się przy dopominaniu się o powieść i o romans!...

— Prawda, że w tych lekkich potrawach rozposzechniają się niekiedy myśli bardzo pożyteczne, ale i to jest także prawdą, że zamiłowanie powieści, wielu zdolnych młodzieńców odwiodło od nauk zasadniczych, od pracy fundamentalnej, — bo dzisiaj dosyć jest spisać kilkanaście arkuszy zdań oderwanych, związać je brudną intrygą, przyprawić zużyтым efektem, dać modny tytuł, — aby zyskać imię literata. Dawniej kwestje żywotne rozbierano na katedrach, dzisiaj lada piszczyk ogłasza w powieściach sąd płytki, lub co gorsza, zupełnie fałszywy. Drugostronnie,—ponieważ niewysłownie cenię każdą naukę dla mass, — przeto piszę się za powieściami, i dla tego dopominających się o powieści prenumeratorów Dzwonu zapewniłem, że starać się będę, aby mniej więcej w każdym poszycie była albo powieść obyczaj-

jowa, albo historyczna, lub też romans przyzwoity. Czyli zaś te powieści będą miernościami, czy pięknościami, uprzedzać nie mogłem zapewniając jedynie, że gdy jest co do wyboru, wybór uczynić potrafię. W końcu oświadczyłem panom prenumeratorom, że okoliczności... *tedy ten*...—lecz że jest nadzieja świetniejszej w literaturze barwy, i że tylko należy mieć czytelnikom cierpliwość, a Dzwon Literacki głos swój o wiele poprawi i oczekiwaniu zacnych prenumeratorów w zupełności odpowie. —Po czem, bez poniżenia, z godnością, wezwałem obecnych, aby brakiem wytrwałości nie przyczynili się do upadku pisma,—przeciwnie, aby *defektów* w egzemplarzach nie czynili a niebawem przedpłatę na IIgi tom złożyć raczyli. Już pocziwcy udobruchali się i poczęli sięgać do sakiewek, — gdy w tak stanowczej chwili — uczułem mocne naciskanie ręki. Budzę się! — Pawełek donosi, że z drukarni przysłali po papier, — na szósty poszyt Dzwonu Literackiego.

— Ach kochanku! gdybyś mnie nie zbudził, byłyby pieniądze i na papier i dla ciebie na zastugę. Lecz cóż począć?... ruszaj prędko i poproś do mnie pana Magenfisha; — chłopca z drukarni obstaluj na jutro.

Au: Wi:

lowa, albo historyczna, lub też romans przyzwolny.
 (X)il nie to powieści będy mierzosciami, czy piskno-
 sciami, uprzedzając nie modlom, spowiadając jedynie,
 że gdy jest co do wyboru, wybór uczynić potrzeba.
 W końcu odwieksystem pismo promematorom, że oko-
 licznosci... (czyli tam... — jest że jest nadzieja swietlaj-
 szej, w literaturze barwy, i że tylko należy mieć czy-
 telnikom ciekawosc, a Dawon literacki głos swój
 o wiele poprzaki i oczekiwaniu, zachęty przedmowa-
 row w zapoznosc odpowiedzi... — to czym, bez poni-
 rania, i godności, wewzajem operacjach, aby prakciem
 wytworosci nie przetrzymi się do upadku pisma, —
 przetrzymi, aby bezkole w egzemplarzach nie egzylili
 a niekiedy przodajac na listom słozke, traczyli.
 Iuz powieści, w których się odgad do sa-
 kiewek. — (czyli tam... — uoglen
 mocne naciskanie ręk. Huda się! — Pawełek dono-
 si, że z drukarni przyslano no papier, — na saosly po-

SPIS RZECZY

W TOMIE I szym ZAWARTYCH,



	stron.
<i>Dominik Magnuszewski i jego pisma; przez Włodzimierza Wolskiego.....</i>	5
<i>Rzut oka na budowę geologiczną Tatrów i wznie- sien od nich równo-odległych, tudzież porówna- nie ich skał warstwowych z Alpejskimi przez Ludwika Zejsznera.....</i>	27, 142, 219
<i>Przedślubne przygody Juljana Byczykowskiego, mto- dzieńca pełnego nadziei bogatego ożenku. kome- dja w ramotce uwięziona, dla powszechnego użytku co do słowa wiernie spisana, przez Au- Wi: ch. fil. k. k. n.....</i>	43
<i>List Spirydjona Tryllerskiego.....</i>	97
<i>Odpowiedź na tenże list.....</i>	99
<i>August Cieszkowski i jego prace przez Fr. Henry-</i>	

	<i>stron.</i>
ka Lewestama.....	105
<i>O lichwie i o lichwiarzach</i> przez Józefa Krolńskiego	113
<i>Władysław, niepodobne do prawdy a jednak prawdziwe zdarzenie</i> , przez J. B. Dziekońskiego.....	161
<i>Samuel książę Korecki</i> , przez Wł. Kazimierza Wojcickiego.....	201
<i>Paradoksy o szczęściu</i> , przez T. Ch.....	244
<i>O mitologii Polaków i Litwinów</i> , przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego.....	253
<i>Moje wspomnienie z 1837 r.</i> przez T. L.....	268
<i>Jan Gutenberg</i> , przez P. Dubrowskiego.....	279
<i>Pół światła, pół-cienia czyli kilku ludzi, szkic ledwo zaczęty</i> przez Włodz: Wol:.....	298
<i>O metodach nauczania</i> , przez Józefa Paszkowskiego p. b. w. p.....	375
<i>Wiadomości naukowe</i>	389
<i>Ćwiczenia grammatyczne</i> , (odnoszące się do filozofii niemieckiej) napisał—ty—ski.....	393
<i>Ostatnie chwile, śmierć i pogrzeb Spirydjona Tryllerskiego</i> , napisał Au: Wi:.....	444
<i>List do Redakcyi</i> , obejmujący krytyczny pogląd na najnowsze dzieła w piśmiennictwie naszym; — napisał Ludwik Skorczyński.....	451
<i>Najwyraźniejsza rzeczywistość a przecież nierzeczywistość</i> , przez Au: Wi:.....	464

OGŁOSZENIE

O WYJŚĆ MAJĄCEM DZIELE

POD NAPISEM:

OPIS FIZYCZNY I GEOLOGICZNY TATROW

I WZNIESIEN OD NICH RÓWNOODLEGŁYCH

przez

L. ZEJSZNERA.

Silne rozwijanie się w wieku naszym przemysłu stającego się potęgą żywotną narodów, nadaje badaniom w zakresie nauk przyrodzonych czynionym, podwójną ważność; gdyż oprócz pomnażania bogactw w dziedzinie umiejętności, przedstawiają one coraz nowe, korzystne dla ogółu zastosowania. Jeżeli zaś badania te odnoszą się do szczególnych okolic, lub miejscowości, stają się rzeczywiście dla krajowców szacownymi, pokazując im jakoby w zwierciadle zapas bogactw, których umiejętne użycie od nich samych zależy. Poszukiwania dotyczące natury i układu warstw ziemi, należą bez wątpienia do liczby tych,

które wydają wypadki najogólniejsze pod względem kierunku, jaki nadać należy wielkim przedsięwzięciom rolniczym, fabrykantom, handlowym, lub pod względem środków jakie użyte być winny przy zakładaniu dróg komunikacyjnych, i t. p. Dlatego dzieła geologiczne, w ostatnich czasach szczególną uwagę uczonych i całej ludności na siebie zwróciły, a sztuka drukarska użyła wszelkich bogactw swoich na wydanie okazałych pomników, przedstawiających ogromne zasoby spostrzeżeń zebranych w tej gałęzi nauk przyrodzonych. Kraje Galicyjskie ograniczone od strony południowej łańcuchem Karpat, opisującym wielkie półkole między Prezburgiem Węgierskim a Bukowiną, dotąd mało pod względem geologicznym badane były. W tym pasmie gór, najważniejszą część stanowią Tatry na pograniczu Węgier leżące, gdyż są wzniosłościami w północno-wschodniej Europie najwyższymi; zbadaniem tych gór zajmował się od lat kilkunastu P. Ludwik Zejszner, znany już zaszczytnie z prac swoich geolog. Wieloliczne podróże we wszelkich kierunkach pasma tego przedsiębrane, obznajmiły go z wysokimi grzbietami Tatrów i z przyległymi im południowymi łańcuchami, ku wielkiej równinie Węgierskiej zniżającymi się; z podłużnymi ku północnej stronie ciągnącymi się pasmami i z wielką masą skalną zwaną Babią Górą, gdzie w bliskości, Wisła bierze początek. Przedstawienie naukowego obrazu tej części Karpat tym może być ciekawszem, że w niej napotykamy mnóstwo najwspanialszych widoków, wiele miejsc wypadkami historycznymi wstawionych, owe wysoko położone jeziora będące siedliskiem dziwnych powieści i opowiadań, wreszcie

ludność prostotą i oryginalnością odznaczającą się. W [szczegółności pod względem naukowym, dzieło p. Zejsznera będzie miało znakomitą wartość, z powodu, że przeświadczy o podobieństwie skał [warstwowych Tatrów, z takimiż skałami Alp, Apeninów, gór Sycylijskich, Turcyi europejskiej, Krymu i Kaukazu, a o różnicy z górami północnej Europy; poda oraz to dzieło wiadomości o bogatych kopalniach rud żelaznych i miedzianych, a mianowicie o owych niezmiernych pokładach soli kamiennój w Wieliczce i Bochni, które za szczegółowem staraniem zbadane i opisane zostały.

Aby dzieło p. Zejsznera stanęło, co do wydania na równi z odpowiadającemi mu podobnież pismami zagranicznymi, i aby naukowej potrzebie zadosyć uczyniło, zubożone zostanie wielu rycinami najstaranniej wykonanemi i po większej części kolorowanemi, przedstawiającemi: mappy geologiczne Tatrów, przecięcia Wieliczki i Bochni, tudzież innych miejsc pod względem geologicznym ważnych; widoki z różnych miejsc w tych górach brane, tablice nowych gatunków skamieniałości w Tatrach odkrytych, nadto, inne pomniejsze drzeworytowe ryciny.

Opis fizyczny i geologiczny Tatrów wydany zostanie w 4ch poszytach, każdy z 15tu arkuszy druku in 4to majori. Cena dzieła tego, któremu pod względem kosztowności wydania, niewiele dzieł w Polskim języku ogłoszonych wyrówna, ustanawia się sposobem przedpłaty na złotych 100, wypłacone w ten sposób iż złp. 50 uiszczone zostaną z góry, a następne po złp. 25 przy odbieraniu poszytu 1go, i 2go płacić się

będzie, 3ci i 4ty poszyt prenumeratorowie otrzymają bezpłatnie.

Jeżeli dostateczna liczba prenumeratorów zbierze się, pierwszy poszyt wyjdzie dnia 1 Lipca 1847 roku a następne wychodzić będą co trzy miesiące.

Przedpłata przyjmuje się w Księgarni J. Klukowskiego, przy rogu ulicy Miodowej i Senatorskiej w domu Bujno, Nro 497 lit. C,—tudzież u Osób na ten cel uproszonych.

Dwie powieści p: t: «**Zapóźno!**» i «**Jeszcze dość wczesnie**» w 3 tomach napisane przez Paulinę z L. Wilkońską, w druku są rozpoczęte, i w miesiącu Wrześniu 1846 r. ukończonemi będą. Przedpłata wynosi złp. 13 gr. 10 i przyjmuje się w Redakcyi *Dzwonu Literackiego*.



N. P. 5
548
1846